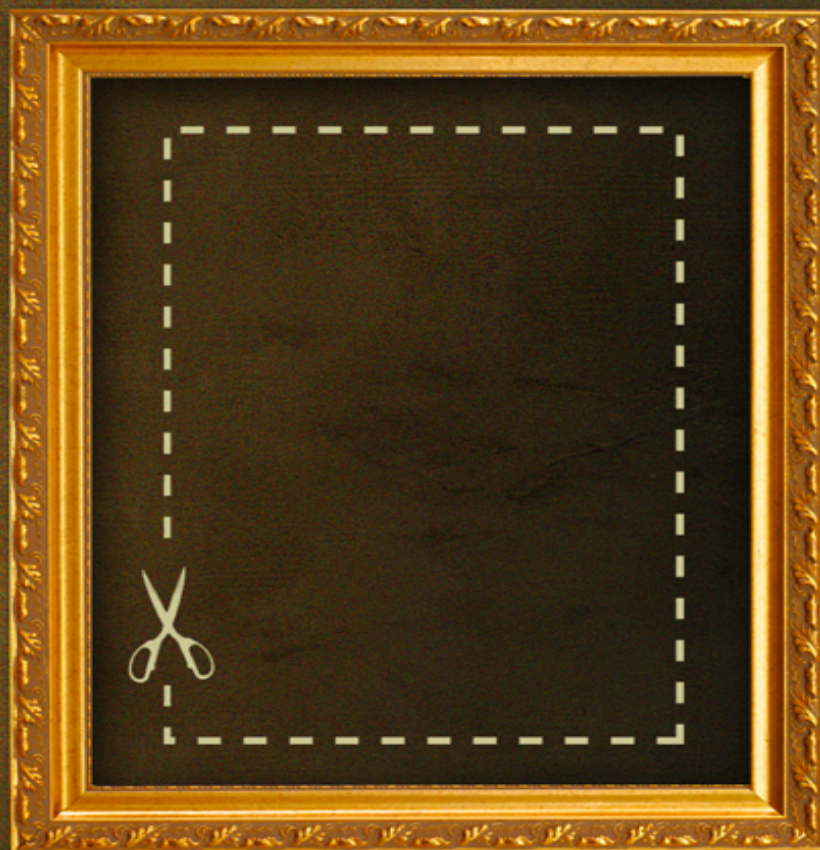


B . A . S H A P I R O



# FAŁSZERKA OBRAZÓW

Intrygująca opowieść kryminalna  
z historią sztuki w tle

LETRA

B . A . S H A P I R O

FAŁSZERKA  
OBRAZÓW

Przekład Dagmara Budzbon-Szymańska

LETRA



# Spis treści

Karta redakcyjna

Dedykacja

Motto

Wstęp

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3. *Trzy lata wcześniej*

Rozdział 4

Rozdział 5

Napisane piórem Isabelli Stewart Gardner

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9. *Trzy lata wcześniej*

Rozdział 10

Rozdział 11

Rozdział 12. *Trzy lata wcześniej*

Rozdział 13

Napisane piórem Isabelli Stewart Gardner

Rozdział 15

Rozdział 16

Rozdział 17. *Trzy lata wcześniej*

Rozdział 18

Napisane piórem Isabelli Stewart Gardner

Rozdział 20

Rozdział 21. *Trzy lata wcześniej*

Rozdział 22

Rozdział 23

Rozdział 24

Rozdział 25. *Trzy lata wcześniej*

Rozdział 26

Rozdział 27

Rozdział 28. *Trzy lata wcześniej*

Rozdział 29

Napisane piórem Isabelli Stewart Gardner

Rozdział 31

Rozdział 32. *Trzy lata wcześniej*

Rozdział 33

Napisane piórem Isabelli Stewart Gardner

Rozdział 35  
Rozdział 36. *Trzy lata wcześniej*  
Rozdział 37  
Napisane piórem Isabelli Stewart Gardner  
Rozdział 39  
Rozdział 40  
Rozdział 41  
Rozdział 42  
Rozdział 43  
Rozdział 44  
Rozdział 45  
Rozdział 46  
Rozdział 47  
Rozdział 48  
Rozdział 49  
Epilog. *Sześć miesięcy później*  
  
Podziękowania  
Informacja na temat stanu badań

Tytuł oryginału: *The Art Forger*

First published in the United States under the title: *The Art Forger: A Novel*

Copyright © 2012 by Barbara Shapiro

Published by arrangement with Algonquin Books of Chapel Hill,  
a division of Workman Publishing Com., Inc., New York and Graal Literary Agency  
Copyright for the Polish edition © Wydawnictwo ARKADY Sp. z o.o., Warszawa 2021

Copyright for this edition © 2021 Wydawnictwo ARKADY Sp. z o.o., Warszawa

Wszelkie prawa zastrzeżone. Żadna część tej publikacji nie może być reprodukowana w jakiegokolwiek formie ani powielana graficznie, elektronicznie czy mechanicznie, w tym za pomocą kopiowania, nagrywania, ani przechowywana w informatycznej bazie danych bez pisemnej zgody wydawcy. Prosimy o przestrzeganie praw twórców do ich własności intelektualnej i niedostępianie treści książki w sieci.

Tłumaczenie: Dagmara Budzbon-Szymańska

Redakcja: Agata Żabowska

Korekta: Aleksander Kmak

Projekt okładki: 3oko Krzysztof Kiełbasiński

Skład i łamanie: GJ-studio Grażyna Janecka

ISBN 978-83-213-5162-9

CIP Biblioteka Narodowa

Shapiro, Barbara A.

Fałszerka obrazów / B. A. Shapiro ; przekład  
Dagmara Budzbon-Szymańska. Wydanie I. -

Warszawa : Letra, 2021

Wydanie I, 2021. Symbol 5290/R

Wydawnictwo ARKADY Sp. z o.o.

ul. Dobra 28, 00-344 Warszawa

tel. 22 444 86 50/51

[info@arkady.eu](mailto:info@arkady.eu), [www.arkady.eu](http://www.arkady.eu)

[www.facebook.com/Wydawnictwo.Arkady](https://www.facebook.com/Wydawnictwo.Arkady)

[www.facebook.com/Wydawnictwo.LeTra](https://www.facebook.com/Wydawnictwo.LeTra)

księgarnia firmowa tel. 22 444 86 61, e-mail: [ksiegarnia@arkady.eu](mailto:ksiegarnia@arkady.eu)

Wyłączny dystrybutor: DOBRA 28 Sp. z o.o.

ul. Dobra 28, 00-344 Warszawa

tel. 22 444 86 94  
e-mail: [biuro@dobraz28.pl](mailto:biuro@dobraz28.pl), [www.dobraz28.pl](http://www.dobraz28.pl)  
księgarnia wysyłkowa: [www.arkady.info](http://www.arkady.info)  
tel. 22 444 86 97

Konwersja: [eLitera s.c.](#)

Ta powieść jest fikcją. Jak w każdej fikcji, pewne zawarte w niej spostrzeżenia i przemyślenia oparte są na doświadczeniach. Jednak wszelkie imiona, postaci, wydarzenia i większość miejsc to tylko i wyłącznie wytwory wyobraźni autorki. Żadne odniesienie do jakiegokolwiek rzeczywistej osoby nie jest zamierzone i nikt nie powinien się go doszukiwać.



*Dla Dana, który nigdy się nie poddał*

*Każdy obraz to przede wszystkim produkt wyobraźni  
artysty. Nigdy nie powinien być kopią.*

– Edgar Degas

## 21. ROCZNICA KRADZIEŻY W GARDNER MUSEUM

Tajemnica największej kradzieży dzieł sztuki w historii nadal pozostaje nierozwiązana.

**Boston, MA** – 18 marca 1990 we wczesnych godzinach porannych dwóch mężczyzn przebranych za policjantów związało i zakneblowało dwóch strażników w Isabella Stewart Gardner Museum i ukradło trzynaście dzieł sztuki, wartych dziś ponad 500 milionów dolarów. Wśród skradzionych obrazów znalazły się bezcenne arcydzieła, takie jak *Burza na Jeziorze Galilejskim* Rembrandta, *Koncert* Vermeera i *Po kąpieli* Degasa. Policja poświęciła na śledztwo tysiące godzin. Sprawa dawno się już przedawniła, a prace nigdy nie zostały odzyskane. Na znalazcę czeka nagroda w wysokości pięciu milionów dolarów.

W ciągu ostatnich dwudziestu lat FBI prześwieciło znanych złodziei dzieł sztuki i innych podejrzanych, związanych tak z organizacjami przestępczymi, jak i z kościołem katolickim. Agenci podążali za poszlakami przez całe Stany Zjednoczone, Europę i Azję. Wśród podejrzanych znaleźli się syn pewnego policjanta, Irlandzka Armia Republikańska, Whitey Bulger i bostońska mafia, handlarz antykami, informator Scotland Yardu i pracownik domu aukcyjnego w Nowym Jorku. Nikt nie został aresztowany.

Gardner Museum prosi o kontakt z biurem FBI w Bostonie każdego, kto posiada jakiegokolwiek informacje o miejscu pobytu zaginionych dzieł sztuki.

„Boston Globe”

17 marca 2011

# I

Robię krok w tył i przyglądam się obrazom. Jest ich jedenaście, choć mam ich w sumie setki, może nawet tysiące. Ale chcę mu pokazać tylko płótna z cyklu okien. Albo nie. Wyciągam komórkę z kieszeni, sprawdzam, która godzina. Mogę jeszcze zmienić zdanie. Usuwam *Wieżę*, bardzo realistyczny obraz odbić na szkle budynku Hancock. W jego miejsce ustawiam *Chodnik*, abstrakcyjną kompozycję ukazującą Commonwealth Avenue przez okno wykuszowe z salonu. Potem zamieniam je z powrotem.

Nad cyklem okien pracuję od ponad dwóch lat, biegając po mieście ze szkicownikiem i Nikonem. Okna kościelne, okna odblaskowe – wszechobecne zatoki Bostonu. Duże, małe, stare, połamane, drewniane i w metalowych ramach. Okna od zewnątrz i od wewnątrz. Szczególnie lubię je popołudniami w późną zimą, zanim ktokolwiek w środku zauważy ciemniejące niebo i zatrzaśnie rolety.

Wieszam *Chodnik* obok *Wieży*. Teraz jest ich dwanaście, okrągła liczba. Ale czy to wystarczy? Za dużo i może się poczuć przytłoczony. Za mało, a będzie tęsknił za polotem, zarówno pod względem ilości, jak i treści. Tak trudno się zdecydować. To jeden z wielu powodów, dla których wizyty studyjne zawsze mnie stresują.

A tak w ogóle, to o co chodzi z tą wizytą? Jestem pariasem w świecie sztuki, nazywają mnie Wielką Symulantką. I to od ponad trzech lat. A tu nagle Aiden Markel, właściciel światowej sławy Markel G, przybywa, by spotkać się ze mną na moim poddaszu. Aiden Markel, który zaledwie kilka miesięcy temu ledwo dostrzegł moją obecność, kiedy poszłam do jego galerii obejrzeć najnowszą wystawę. A teraz nagle taki przyjazny, pochlebny, chce zobaczyć moje najnowsze prace. Opuszcza swoją elegancką galerię na Newbury Street, aby odwiedzić mnie w slumsowej SoWa. By przyjrzeć się moim obrazom, jak powiedział, „in situ”.

Spoglądam na dwa obrazy stojące na sztalugach w głębi pokoju. *Kobieta kończąca kąpiel*, akt kobiety wychodzącej z wanny, której pomaga ubrana pokojówka, został namalowany przez Edgara Degasa pod koniec XIX wieku. Wersja z mojego studia została namalowana przez Claire Roth na początku XXI wieku. Drugi obraz jest stworzony tylko do połowy: to Camille Pissaro, *Ogród warzywny z kwitnącymi drzewami, Wiosna, Pontoise à la Roth*. Reproductions.com płaci mi, żebym je malowała, a następnie sprzedaje je online jako „doskonałe repliki”, których „pochodzenie może rozpoznać tylko historyk”. Za dziesięciokrotność mojej ceny. Oto moje najnowsze prace.

Odwracam się znów do moich okien, robię krok do przodu, mrużę oczy, robię jeszcze jeden krok. Tak musi zostać. Zarzucam znoszony meksykański koc na pognieciony materac w rogu, następnie zbieram brudne naczynia rozrzucone po studiu i wrzucam je do zlewu. Zastanawiam się, czy je pozmywać. Decyduję, że jednak nie. Jeśli Aiden Markel chce „in situ”, będzie miał „in situ”. Ale napełniam miseczkę orzechami nerkowca i wyciągam butelkę białego wina – nigdy nie podaję czerwonego w czasie wizyt studyjnych – i dwie szklanki po soku.

Pochodzę do przodu studia i wyglądam przez okna na Harrison Avenue. To widok uwieczniony na moim *Poddaszu*. Spędziłam tu dużo czasu udając, że pracuję nad najnowszym projektem, a tak naprawdę głównie marząc, szpiegując i zwlekając. Moje studio znajduje się na czwartym piętrze, a każde z sześciu okien przede mną rozciąga się od pół metra nad podłogą do pół metra poniżej wysokiego na cztery i pół metra sufitu.

Kiedyś była tu fabryka. Chusteczek do nosa, jak powiedział mi jakiś staruszek. Ale staruszkowie nie są znani ze swojej wiarygodności, więc mogły to być kapelusze, szelki, a może nawet w ogóle nie była to fabryka. Teraz jest tu labirynt pracowni artystów. Niektóre, jak w moim przypadku, to studia mieszkalne. Oczywiście nielegalne, ale tanie.

Według doniesień mediów, SoWa – South of Washington, na południe od Washington Street – jest nową modną dzielnicą na południowym

krańcu bostońskiego South End. Północ była modna jakieś dziesięć lat temu. Ale tak dla mnie, jak i dla każdego, kto spędza tu trochę czasu, SOWA to przede wszystkim skrajności. Magazyny, studia, słynne schronisko dla bezdomnych i opuszczone boiska do koszykówki tworzą podstawę sąsiedztwa, chaotycznie poprzecinaną drogami restauracjami, galeriami sztuki i nieskazitelnymi, budynkami mieszkalnymi z ochroną. Ryk I-93 jest tak wszechobecny, że brzmi jak cisza. Nie chciałabym żyć nigdzie indziej.

Widzę, jak Aiden Markel skręca zza rogu East Berkeley, idąc swoim zgrabnym krokiem. Nawet z odległości pół przecznicy dostrzegam, że ma na sobie idealnie skrojone spodnie – najprawdopodobniej lniane – i koszulę wartą jakieś pięćset dolarów. Jest prawie trzydzieści stopni, późnoletnie popołudnie, a on wygląda, jakby wyszedł z mieszkania w Back Bay w chłodny wrześnieowy poranek. Wyciąga komórkę, spogląda na mój budynek i dotyka ekranu. Mój telefon dzwoni.

W korytarzu i na klatce schodowej nie ma windy ani klimatyzacji. Kiedy docieramy na czwarte piętro, Markel oddycha spokojnie, a jego ubranie nadal wygląda świeżo. To musi być efekt siłowni. Nie wspominając o tym, że nie przestał mówić, odkąd wpuściłam go do środka. Nikt by się nie domyślił, że nie rozmawialiśmy ze sobą od prawie trzech lat.

– Niedawno byłem tu niedaleko, tuż za rogiem – mówi Markel, kontynuując swój monolog. – Dedham i Harrison. Przyjrzałem się najnowszemu projektowi Pata Hirsi. Znasz go, prawda?

Potrząsam przecząco głową.

– Pracuje w kostce brukowej. Bardzo pomysłowe.

Obiema rękoma otwieram szerokie stalowe drzwi.

Markel przekracza próg, bierze głęboki oddech i zamyka oczy.

– Nie ma to jak zapach artysty przy pracy.

Oczy ma cały czas zamknięte. Nie do końca o to mi chodzi. Przyszedł tu, żeby obejrzeć moje obrazy, zakochać się w nich i zaproponować mi wystawę indywidualną w Markel G. Jasne. Jakby to w ogóle było możliwe.

Chociaż tego, co się ma wydarzyć i dlaczego tak naprawdę się tu pojawił, nie potrafię nawet pojąć.

– Co powiesz na kieliszek wina? – pytam.

Nareszcie otwiera oczy i uśmiecha się do mnie ciepło.

– A dotrzymasz mi towarzystwa?

Nie mogę się powstrzymać i odwzajemniam uśmiech. Markel nie jest klasycznie przystojny, jego rysy twarzy są zbyt ostre, ale jest w nim coś, co mnie pociąga: szerokie, głęboko osadzone oczy, dołek w brodzie. Można to nazwać charyzmą. No i nasza wspólna historia.

– Pewnie.

Chwytam stos płócien, o których zapomniałam, że leżały na mojej poobijanej kanapie i opieram je o jeszcze bardziej poobijany stół. Czasami wydaje mi się, że jestem żywą parodią samej siebie: głodująca artystka, która śpi na materacu w swoim studio, żeby zaoszczędzić na czynszu. A jednak tak właśnie jest.

Markel się nie porusza. Patrzy na mnie przez dłuższą chwilę, po czym przenosi wzrok ponad moje ramię. Wygląda na zamyślonego. Wiem, że myśli o Isaacu. Powinam chyba coś powiedzieć, ale nie wiem, co. Że mi przykro? Że nadal jest mi źle? Że też straciłam przyjaciela?

Nalewam wino do dwóch szklanek, a on siada na kanapie. Nie jest to łatwe zadanie, ponieważ jest zbyt nierówna i głęboka, aby zapewnić jakikolwiek komfort. Powinam kupić nową lub przynajmniej jakąś używaną w lepszym stanie, ale właściciel lokalu właśnie podniósł czynsz i jestem praktycznie spłukana.

Siadam w bujanym fotelu naprzeciw niego i pochylam się do przodu.

– Słyszałam, że wystawa Jocelyn Gamp wypadła bajecznie.

Bierze łyk wina.

– To były jej wytapiane rzeźby. Sprzedała wszystko, co miała. I dostała trzy zamówienia. Niesamowita kobieta. Niesamowita artystka. Met poprosił ją o wizytę studyjną.

Podoba mi się, że nie przypisuje sobie żadnej zasługi. „Sprzedała” zamiast „sprzedałem” albo chociaż „sprzedaliśmy”. To niezwykle rzadkie

na tle większości handlarzy sztuką i właścicieli galerii o rozbudowanym ego.

– Nieczęsto wystawa z Bostonu zostaje opisana na łamach „New York Timesa” – podlizuję się.

– Tak, to było naprawdę niezłe – przyznaje. – Cieszę się, że nadal śledzisz to, co dzieje się w świecie sztuki. Mimo tego, że my nie śledziliśmy dokładnie twojego świata.

Spoglądam na niego przenikliwie. Co to ma do cholery znaczyć? Ale widzę, że w jego oczach widać współczucie, może nawet odrobinę poczucia winy.

– *Pomarańczowy akt* Isaaca sprzedał się w zeszłym tygodniu – mówi.

Ach. Wszyscy wiedzą, że pozowałam do *Pomarańczowego aktu*. Mimo że to abstrakcja, zdradzają mnie moje długie, rozwichrzone, rude włosy, bladość skóry i brązowe oczy. Gdybym nie wyrzuciła tego obrazu za drzwi, kiedy z sobą zerwaliśmy, prawdopodobnie mieszkałabym teraz w mieszkaniu w Back Bay, zamiast wynajmować studio w przemysłowym budynku w SOWA. Chociaż z drugiej strony, nie jestem typem z Back Bay.

– Nawet mi nie mów, ile za niego dostałeś.

– Oszczędzę ci tego. Ale ta transakcja sprawiła, że zacząłem myśleć o tobie i o ciężkiej sytuacji, w jakiej się znalazłaś.

Z trudem staram się ukryć zaskoczenie. W ciągu ostatnich trzech lat nikt poza kilkoma kumplami artystami i moją matką, która nigdy tak naprawdę nie rozumiała, o co w tym wszystkim chodzi, nie spojrział na sytuację z mojego punktu widzenia.

– Więc postanowiłem wpaść i zobaczyć, co robisz – ciągnie. – Może mogę jakoś pomóc.

Serce zaczyna mi bić mocniej i aż podskakuję.

– Przygotowałam parę płócien z mojego ostatniego cyklu – wskazuję w kierunku obrazów. – To oczywiście okna.

Markel zbliża się do płócien.

– Okna – powtarza i patrzy na wszystkie dwanaście prac z daleka, po czym podchodzi do każdego z osobna.



– To miejskie okna, bostońskie. W tematyce Hoppera, ale bardziej wielowymiarowe. Pokazują nie tylko publiczną twarz samotności, ale też to, kim jesteśmy w wielu wymiarach. Niewidoczne od wewnątrz. Lub widziane nieświadomie. Zawsze na świeczniku: z zewnątrz, pozujące lub zapominające. Separacje, odbicia, załamania.

– Światło – mruczy. – Świetne światło.

– To też. Bez światła nie widać nic. A z nim i tak wiele rzeczy pozostaje niezauważonych. – W czasie wizyt w studiu mówię zupełnie jak pompatyczny krytyk sztuki.

– Twoje światło jest niesamowite. Subtelne. Prawie jak u Vermeera. – Wskazuje na *Poddasze* – uderza mnie różnica w wartości światła w lewym i prawym oknie. – Podchodzi parę kroków bliżej. – Każde jest nieco inne, a jednak każde jest świetlistą częścią całości.

Też jestem zadowolona z tej konkretnej gry światła, ale żeby porównać to do Vermeera, mistrza światła...

– Ile warstw nakładasz?

Nie mam ochoty dzielić się tą informacją. Bardzo niewielu artystów używa obecnie klasycznych technik olejnych, a ci, którzy to robią, nie są aż tak nonszalancy, jeśli chodzi o laserunek. Wzruszam ramionami.

– Osiem? Dziewięć? – To i tak mało jak na mnie.

– Przypomina mi to światło padające na czarno-białą podłogę z płytek w *Konercie*. – Podchodzi bliżej do *Poddasza*. – Tutaj światło odbija się od budynku. To prawie tak, jakby diamentami muskać ogniwa łańcucha.

Cofa się, przygląda się obrazom dokładnie, zupełnie jak ja wcześniej.

– Uwielbiam, jak bawisz się klasycznym stylem i współczesnymi tematami, abstrakcją. Ale tym, co mnie najbardziej porywa, są twoje realistyczne prace.

Lekceważąco wskazuje ręką na *Chodnik*.

– Abstrakcje nie są aż tak mocne.

– Nie za kanapowe? – pytam. Kanapowe to w mowie artystów obraźliwe określenie dla obrazów kupowanych przez ludzi, którzy szukają prac pasujących do ich wystroju wnętrz.

Markel śmieje się.

– Daleko im do tego. Przez lata próbowałem powiedzieć ludziom, że sztuka realistyczna nadal żyje. Że nic nie może równać się wielkiemu talentowi w klasycznym oleju.

Ciepło wypełnia całe moje ciało i biegnie aż do twarzy. Już od dawna nikt niczego takiego o mnie nie powiedział.

– Mam ich dużo więcej – mówię kierując się do trójpoziomego regału, który zbudowałam, by pomieścić moje książki o sztuce i płótna.

Chociaż teraz wszystkie moje płótna i książki piętrzą się w na wpół poukładanych stosach na podłodze. Na półkach oczywiście panuje bałagan. Ale to bałagan, który znam doskonale. Zaczynam wyjmować obrazy, zanim powie, że chce je zobaczyć. Biorę drabinę. Potrzebuję jej, by dosięgnąć najwyższej półki, gdzie przechowuję większość moich bardziej realistycznych płócien. Tych, o których myślałam, że nie zainteresują nikogo.

– A to twoje kopie? – krzyczy Markel z drugiej części pomieszczenia.

Spoglądam przez ramię.

– Tak. Zwykle nie trzymam tu tych ukończonych. Ale ciężarówka jest zajęta cały tydzień, więc Degas nie zostanie odebrany przed piątkiem.

– Reproductions.com. Uwielbiam tę nazwę. Widziałem artykuł w „Globe” w zeszłym miesiącu. Niezła reklama dla ciebie... – waha się. – A może niekoniecznie?

– Nie do końca taka, jakiej bym chciała. – Właśnie tego potrzebuję: rozgłosu, że maluję arcydzieła kogoś innego. – Chciałam się wycofać się z wywiadu, ale Repro by mi tego nie darowało.

– Biznes idzie im tak dobrze, jak się chwalą?

– Prawdopodobnie nawet lepiej – mówię, chociaż tak naprawdę nie słucham i wcale nie jestem zainteresowana Repro. Jestem zbyt skupiona na wyciąganiu moich najlepszych obrazów. Tylko paru. Światło. Podoba mu się interesujące, głębokie i przezroczyście. Łapię za jeden. Niewystarczająco mocny. Biorę następny.

– O, to jest kanapowe – mówi, wskazując na Pissarro, który chociaż niekompletny, jest oczywiście wypełniony drzewami pokrytymi masą białych kwiatków.

Śmieję się.

– Dla pretensjonalnych.

– Ale biednych – dodaje.

Schodzę w dół z trzema płótnami pod pachą.

– Nie aż tak biednych. Te rzeczy kosztują po parę tysięcy dolarów. Te większe nawet dziesiątki tysięcy. Niestety, mnie przypada tylko skromna część.

Szybko usuwam ze ściany moje bardziej abstrakcyjne obrazy. Zastępuję je tymi, które właśnie wybrałam. Odwracam się do niego, ale on się gapi na kopię obrazu Degasa.

– Jesteś w tym naprawdę dobra.

– To lepsze niż bycie kelnerką.

Jego oczy są cały czas na płótnie.

– No myślę.

– Późne prace Degasa nie są wcale tak trudne do skopiowania. Nie to, co jego wczesne oleje. To dopiero prawdziwe cholery – mówię, starając się być uprzejma, chociaż każda moja cząstka chce złapać Markela i przeciągnąć go na drugą stronę studia. – Te wszystkie warstwy. Malujesz i czekasz. Malujesz i czekasz. To może trwać miesiącami, nawet latami.

– I tak robisz dla reproductions.com?

– Nie. Nigdy. Tak malowane obrazy musiałabym sprzedawać za setki tysięcy dolarów. – Podchodzę do niego. – Degas to moja specjalność, szczególnie jego oleje. Mam nawet certyfikat ukończenia kursu od Repro, cokolwiek to oznacza. – Wskazuję na stosy książek leżących w rogu. –

Pracuję nad propozycją książki o Degasie. O jego relacjach z innymi artystami, handlarzami, kolekcjonerami z jego czasów. Kielkowanie sztuki na różnych płaszczyznach. Tego rodzaju rzeczy. Ale nie poświęcam temu tyle uwagi, ile powinnam.

Oczy Markela są nadal wlepione w moją kopię.

– To zdecydowanie lepszy użytek z twojego czasu. Doceniają cię?

– Czasem dostanę premię, jak ktoś zamówi kopię Degasa z zastrzeżeniem, że ma być zrobiona przez artystę – wzruszam

ramionami. – Chociaż trudno nazwać artystą osobę, które kopiuje dzieła sztuki.

Nie zaprzecza, więc wskazuję na moje prawdziwe prace. Po raz ostatni patrzy na *Kobietę kończącą kąpiel*, potem idzie za mną.

Stoimy w ciszy, wpatrując się w moje okna. Zmuszam się do tego milczenia, żeby prace przemówiły same za siebie.

Po dwóch minutach, które wydają się być dwudziestoma, Markel dotyka mojego ramienia.

– Usiądźmy.

Podchodzimy do kanapy i siadamy na jej przeciwległych końcach. On kończy wino i nalewa sobie kolejną szklanekę. Ja nie chcę, by mi dolewał. Mam ochotę na wino, ale obawiam się, że jestem zbyt roztrzęsiona, by wypić więcej.

Markel odchrząkuje, bierze kolejny łyk.

– Claire, właśnie dostałem życiową szansę. Szansę zrobienia czegoś dobrego, naprawdę dobrego dla wielu ludzi. Mam nadzieję, że pomyślisz tak samo o propozycji, którą mam dla ciebie. – Przerzywa. – Chociaż przypuszczam, że dla ciebie będzie to bardziej pakt zawarty z diabłem.

Nie mam najmniejszego pojęcia, o czym mówi, ale wyłapuję słowo „szansa”.

– I ty jesteś tym diabłem?

Energicznie potrząsa głową.

– Diabłem jest ten, kto dał szansę mnie. Chociaż nie wiem, kim jest. Jestem od niego zupełnie odcięty.

– Jak Dante?

To był żart, ale on zastanawia się nad tym pytaniem, jak profesor próbujący odpowiedzieć swemu przedwcześnie dojrzałemu uczniowi.

– Nie. Pionki to lepsza analogia. Ale takie sprytne pionki, które mogą zbić królową. Tak czy inaczej, mieszam moje metafory.

– Nie mam problemu z diabłem. Jestem jedną z tych osób, które myślą, że raj byłby zbyt nudny. Ale bycie pionkiem nigdy do mnie nie pasowało.

Tym razem się śmieje, ale widzę, że jest to śmiech wymuszony.

– Więc zostaniemy przy diable.

Dość tego.

– Dobrze – mówię. – O czym my w ogóle mówimy?

Patrzy mi prosto w oczy.

– O czymś nie do końca zgodnym z prawem.

Nie spuszczam wzroku.

– Myślałam, że mówiłeś, że to okazja zrobienia czegoś dobrego?

– Zakończenie jest dobre, ale sposób, by do niego dojść, jest trochę podejrzany.

– Nielegalny?

– Są rzeczy nielegalne i nielegalne.

– A ta to która z nich?

Markel patrzy na wprost na mojego Degasa i Pissarro.

I nagle wszystko staje się jasne.

– Ach – to wszystko, na co mnie stać.

Bierze łyk wina i wygodnie rozkłada się na nierównej kanapie. Najbardziej niewygodna część tej rozmowy najwyraźniej dobiegła końca. Krzyżuję ręce na piersi.

– Nie mogę uwierzyć, że po tym wszystkim, co się stało, ty, ze wszystkich ludzi na świecie, w ogóle rozważasz, żeby mnie prosić o sfalszowanie obrazu.

– Ile ci płaci reproductions.com?

– Płacą mi za kopiowanie, nie za fałszowanie.

– Mówiłaś, że płacą ci skromną część. Parę tysięcy za obraz? Więcej?

Często mniej, ale potakuję.

– Zapłacę ci pięćdziesiąt tysięcy dolarów. Do tego zwrot kosztów, oczywiście. Jedna trzecia zaliczką z góry, druga część po ukończeniu i mojej akceptacji, trzecia po autentyfikacji.

– Czy to przez to, co się stało z Isaakiem?

– To pomimo tego, co się stało z Isaakiem.

Jestem zszokowana tą odpowiedzią i musi to być widoczne w moim wyrazie twarzy, bo mówi:

– Jesteś najlepsza do tego projektu.

– Spośród tysięcy artystów, jakich znasz?

Znów patrzy przez pokój na reprodukcję Degasa.

– Jesteś jedyną osobą, której mogę zaufać.

– Skąd wiesz, że nikomu nie powiem?

– To nie w twoim stylu – mówi. I ma rację. Ci, którzy sami byli ofiarą plotek wiedzą, kiedy trzymać usta na kłódkę.

– A co, jeśli cię wydam? Zawsze mogę pójść na policję.

– Nie wtedy, kiedy zrozumiesz, co jest stawką – mówi.

– Więc powiedz mi.

– Nie żartowałem, gdy mówiłem o twoich obrazach, Claire. Masz wyjątkowy talent. Zawsze go miałaś. To, że zostałaś wykluczona, nie znaczy, że nie umiesz malować – przerywa. – Chciałbym zorganizować indywidualną wystawę twoich prac w mojej galerii.

Ledwo ukrywam westchnienie.

– Za sześć, dziewięć miesięcy – mówi. – Kiedy już skończysz ten projekt. Czy myślisz, że mogłabyś przygotować do tego czasu dwadzieścia obrazów? Z tych z najbardziej realistycznym wykończeniem?

Odwracam się, by ukryć moje myśli. Moja własna wystawa w Markel G. Marzenie nie do zrealizowania.

– Jestem pewien, że mogę zapewnić ci tego samego dziennikarza z „Timesa”, który pisał o Jocelyn Gamp. Napisze też o tobie – mówi.

„New York Times”. Sprzedaż. Zamówienia. Metropolitan Museum of Art odwiedzające studio. Czuję, że boli mnie serce.

– Claire, proszę, spójrz na mnie.

Kiedy to robię, mówi:

– Ochronię cię. Mówiłem, że jestem odcięty od kogokolwiek, kto cokolwiek o tym wie. A ty będziesz odcięta ode mnie.

– A gdzie następuje ta część, kiedy robimy coś dobrego?

– Powiem ci wszystko, jeśli potwierdzisz, że w to wchodzisz.

– Na pewno nie zgodzę się na zrobienie czegoś tak tajemniczego.

Markel wstaje.

– Pomyśl o tym. – Dotyka mojego ramienia. – Odezwę się do ciebie w przyszłym tygodniu.

– Jesteś diabłem.

– Jeśli wierzysz w diabły.  
W które, oczywiście, zupełnie nie wierzę.

## 2

Po wyjściu Markela zapadam się w kanapę i gapię na rury i otwory wentylacyjne ścigające się po suficie. Próbuję przetrwać najdziwniejszą wizytę studyjną, jaką kiedykolwiek miałam. Markel G. Moja własna wystawa. Cudowna opcja odzyskania wszystkiego, co zostało utracone, wszystkiego, co zawsze chciałam. Ale być fałszerzem? Udawać? To absolutnie ostatnie, co chcę robić.

„Jesteś w tym naprawdę dobra”.

Wstaję z kanapy, podchodzę do okien frontowych i patrzę na Harrison Avenue. Spoglądam na ogrodzony parking i na podwyższoną autostradę w oddali, potem na moje płótna z oknami, ustawione wzdłuż ścian.

„Masz wyjątkowy talent. Zawsze go miałaś”.

Niech go szlag. Niech szlag trafi jego, jego komplementy, jego oferty i sznureczki, za które pociąga.

Biorę mój plecak i idę do Jake'a, baru, w którym wszyscy znają moje imię. Niestety, znają nie tylko imię. Wiedzą także o wizycie Markela.

„Są rzeczy nielegalne i nielegalne”.

Kiedy docieram do baru, zaciskam zęby i otwieram drzwi. Jake to miejsce stare i dumne, zupełnie inne niż ekskluzywne lokale na południe od Back Bay. Brak tu niebieskich martini, zaś stoły pokryte są bliznami od lat użytkowania, a nie celowo przetarte, by wyglądać szykownie. Nie ma kamerdynera, bo klienci przychodzą tu ze swoich małych apartamentów lub kawalerek. Neon Budweisera wisi w wąskim oknie, by odstraszyć tych zbyt trendy.

Większość mojego towarzystwa już tu jest; w końcu to szósta, godzina drinków. Po niej przychodzi godzina jedzenia – menu to hot dogi,



hamburgery i club sandwich – po czym znów następuje godzina drinków. Jedna lub parę.

Widzą mnie i ręce idą w górę. To znak rozpoznawczy naszej paczki.

Mike wskazuje na pusty stółek barowy stojący obok niego.

– Tutaj – mówi i wraca do rozmowy z Małą. Ksywka Małej to Mała, bo jest bardzo malutka – najwyżej metr pięćdziesiąt, pewnie nawet mniej. Mówi, że nazwała się Mała, żeby stawić czoła temu problemowi, a także dlatego, że jej prawdziwe imię jest tak etniczne, że od razu by ją zaszufładowano. Mike jest wyższy od niej tylko o jakieś 15 centymetrów, ale jest zbyt niepewny siebie, by zdobyć się na tak przenikliwą samocenę. Do tego jest mężczyzną.

Siadam na stołku. Maureen, właścicielka i barmanka, otwiera butelkę sama adamsa i stawia ją przede mną. Wie, że nie potrzebuję szklanki. Rik, dobrze zbudowany, przystojny i z kangurzymi rzęsami, których pragnie każda kobieta, jaką znam, nachyla się od tyłu, żeby mnie pocałować.

– Mów – żąda.

Rik to jedyny z moich przyjaciół ze studiów, który mnie wsparł po tym, jak „afery Culliona” przedostała się do Muzeum Sztuk Pięknych i do środowisk artystycznych Bostonu i Nowego Jorku. Za to go uwielbiam.

Odwzajemniam pocałunek.

– Dzień dobry.

– Chcę poznać każdy najsmaczniejszy szczegół. – Rik zawsze chce poznać każdy najsmaczniejszy szczegół.

– Cóż, mam wrażenie, że spodobały mu się niektóre z moich prac, zwłaszcza obrazy, w których użyłam – ściszam głos naśladowując tenor Markela – „klasycznego realizmu w nowoczesnych tematach”. Powiedział, że zadzwoni, ale wydaje mi się, że chciał mnie splawić.

– A czy ten wspaniały człowiek powiedział ci, dlaczego nagle zdecydował się zaszczyścić cię swoją jakże cudowną obecnością?

– Powiedział to samo, co wcześniej: że chciał zobaczyć, co porabiam.

– Nic o Sir Isaacu Cullionie? – Kiedy nie odpowiadam, Rik dodaje – ani jednego maluteńkiego, samotnego słówka?

Znam Rika wystarczająco długo, żeby wiedzieć, że muszę mu coś powiedzieć. Nie odpuści, dopóki nie pozna prawdy. Wydaję z siebie dramatyczne westchnienie.

– Powiedział, że sprzedał *Pomarańczowy akt* Isaaca. I że to sprawiło, że pomyślał o mnie.

Mała odwraca się w naszą stronę, a Mike kładzie mi dłoń na ramieniu. Maureen opiera łokcie na barze. Danielle i Alice, które siedzą obok Rika, milkną. Wszyscy patrzą na mnie wyczekująco. Prawie nie mamy przed sobą tajemnic, szczególnie takich związanych z karierą, a do tego to chyba jedyni ludzie, którzy naprawdę wierzą, że Isaac kłamał.

– Nie poszło zbyt dobrze? – pyta Mike.

Czasem nazywamy Mike'a „kościelną babcią”, żeby żartobliwie oddać cześć jego głębokiemu poczuciu dobra i zła. Byłby wstrząśnięty ofertą Markela. A jeszcze bardziej wstrząśnięty tym, że nie odmówiłam mu od razu.

– Wydaje mi się, że nie, chociaż nie miałam zbyt dużych oczekiwań – to kłamstwo, które każdy rozpoznaje. Każdy z nich mówi mniej więcej to samo po dużym rozczarowaniu związanym z karierą. W ten sposób dajemy radę iść do przodu.

– Shot tequili dla tej pani – mówi Mike do Maureen.

Mike to jedyny z nas, artystów, który może pozwolić sobie na drinki. Jest prawnikiem w ciągu dnia, malarzem w nocy.

Wypijam shota, gdy tylko go dostaję. Ciepło rozlewa mi się po gardle i po moim pustym żołądku. Niebezpieczne, szczególnie jeśli Maureen zdecyduje się zaszerwować mi drugiego, co, biorąc pod uwagę okoliczności, najpewniej zrobi.

– Masz pojęcie, ile Markel za niego dostał? – pyta Mała.

Wiem, że mówi o *Pomarańczowym akcie*.

– Poprosiłam, żeby mi nie mówił.

– A bardziej do rzeczy: czy ktoś wie, czy Cullion naprawdę go namalował? – głos Danielle jest pełen sarkazmu.

W barze zapada martwa cisza. Wpatruję się w mój pusty kieliszek. Chociaż wcale tego nie chce i nigdy celowo nie skrzywdziłaby nikogo, Danielle często przekracza linię, której nie dostrzega. Jakby brakowało jej czujnika taktu.

– Claire wie – włącza się Rik. – Była tam. I nie miała na sobie żadnych ubrań.

Rzucam mu wdzięczne spojrzenie i unoszę rękę.

– Obecna i naga. Winna. Mogę potwierdzić jego autentyczność.

– Nie powinnaś była oddawać go temu oszustowi – mówi do mnie Rik. – Nawet nie... – przerywa i marszczy brwi. Oczy wszystkich podążają za jego wzrokiem. – No, no, no – mówi kwaśno – czyż to nie wspaniała Crystal Mack, nasza lokalna artystka przy pracy? Zniżasz się do naszego poziomu dziś wieczorem?

– Och, kotku – mówi Crystal, siadając na stołku obok Rika. – Nie bądź głuptasem. – Całuje go w oba policzki. – Mówicie o sprzedaży *Pomarańczowego aktu*? – Patrzy na mnie i puszcza oko. – Słyszałam, że cena była sześciocyfrową liczbą.

Crystal jak zwykle jest zbyt wystrojona. Jest coś bluszczowatego i superdrogiego w tej modnej zieleni, co sprawia, że ja sama wyglądam w niej, jakbym zapadła na chorobę morską. Niestety, do niej pasuje świetnie. Blondynkom dobrze w każdym kolorze.

– To pewnie ze względu na piękno modelki, a na nie umiejętności artysty – Rik obejmuje mnie ramieniem.

– To albo potęga skandalu – Crystal uśmiecha się do mnie słodko.

Crystal też często przekracza linię, ale ona dobrze wie, co robi.

Maureen stawia przede mną drugiego shota. Odwracamy się od Crystal i zaczynamy rozmowy w mniejszych grupach. Crystal zamawia podwójną szkocką, czystą, i wdaje się w ożywioną dyskusję z Maureen, udając, że barmanka nie jest jedyną osobą, która chce z nią rozmawiać. Nie żeby Crystal to obchodziło. Celem jej obecności tu jest polepszenie własnego samopoczucia poprzez pogorszenie naszego. Za każdym razem jest tak

samo. Dobra wiadomość jest taka, że nikt nie zada mi więcej pytań o Markela w jej obecności. Ostatnim, co każdy z nas chce, to dać jej więcej amunicji.

O dziewiątej jedynymi osobami, które zostały, jesteście Rik i ja. Wszyscy inni poszli już do domu i chociaż wiemy, że my też powinniśmy, ociągamy się, nadal stojąc przy barze. Dwa shoty tequili zrobiły swoją robotę: jestem rozluźniona, miło ożywiona.

– Nadal mam przecież jakieś opcje – mówię.

Chociaż nie wspomnieliśmy o Markelu od ponad godziny, Rik wie dokładnie, o czym mówię.

– Masz masę opcji, kochanie. Znacznie więcej, niż ci się wydaje.

– Markel powiedział mi, że to, że zostałam wykluczona, nie oznacza, że nie umiem malować.

Rik otwiera szeroko oczy.

– Naprawdę ci tak powiedział, skarbie? Co za dupek.

– Nie – odpowiadam szybko. – Nie to miał na myśli.

– Więc co do cholery miał na myśli?

– Myślę, że to był komplement.

– Co za komplement... – mruczy Rik.

– W każdym razie – mówię – dotarłam do ostatniej rundy konkursu ArtWorld Trans. I nie zostałam odrzucona z pokazu Cambridgeport. Przynajmniej na razie.

– A co to ten Trans? – Rik nie jest już artystą studyjnym, więc nie bierze udziału w najnowszych konkursach i wystawach ocenianych przez jurorów. Dostał pracę w departamencie kuratorskim w Isabella Stewart Gardner Museum zaraz po ukończeniu studiów, co było niesamowitym osiągnięciem i w przeciągu czterech lat dorobił się świetnego awansu na stanowisko asystenta kuratora. Twierdzi, że nie tęskni za „artystyczną harówką, dźganiem w plecy i biedą”. Czasem mu wierzę, czasem nie.

– Twoja praca musi pokazywać to, co myślisz, kiedy słyszysz „trans” – wyjaśniam. – Transpiracja, transplant, transcendencja, transfuzja,

transmutacja, transseksualność.

– Nieźle – mówi Rik i widzę, że oczyma duszy przegląda swoje obrazy ułożone w szafie, jakby sprawdzał, czy któryś by pasował. Mruga oczami, żeby zatrzymać wizję. – Co zgłosiłaś?

Wzruszam ramionami, jakby mnie to nie obchodziło.

– Kilka płócien z cyklu okien. Transparencja, tranzyt, transponowanie, transludentne. Pomyślałam, że jeśli każdy z moich obrazów będzie trochę Trans, może dać mi to przewagę.

– Brzmi jak plan.

– Słyszałam, że w przyszłym roku tematem będzie Fałsz, więc pomyślałam, że zgłoszę któreś z moich reprodukcji jako fałszerstwa.

– Dobrze – mówi Rik w sposób, który jasno wskazuje, że wcale tak nie myśli. – A jak ci to w ogóle idzie?

– Markelowi się podobały.

Rik podłapuje w mig.

– Co Aidenowi Markelowi do twoich reprodukcji?

– Nie wiem, Rik. Nie umiem czytać w jego myślach. Po prostu tam były.

Rik unosi ręce do góry.

– Przepraszam. Nie chciałem nadepnąć ci na odcisk.

– Nie, skąd – mówię. – To ja przepraszam. Przepraszam.

– W porządku – Rik uśmiecha się. – Wszyscy wiemy, że nie masz mocnej głowy.

Nalega, by odprowadzić mnie do domu. To tylko parę przecznic stąd, więc się zgadzam. Mężczyźni muszą robić to, co do nich należy. Chociaż sama dobrze wiem, co oznacza życie w mieście. Znam zasady. Idź środkiem ulicy lub przynajmniej na skraju chodnika, bądź uważna i nasłuchuj. Żadnych białych słuchawek („ukradnij mojego iPoda”), żadnych sms-ów („jestem rozkojarzona”), żadnych zabaw z aplikacjami („ukradnij mojego iPhone’a”). Ale przede wszystkim nigdy, przenigdy nie wyglądaj, jakbyś się zgubiła.

Wychodzimy z Jake'a wprost w gęsty, letni żar i idziemy chodnikiem, mijając wąskie przejście do ChiRoom, restauracji fusion z kuchnią azjatycko-dominikańską, która jest teraz na czasie. Obok siedzi paru mężczyzn w brudnych ubraniach. Właściwie opierają się o śmietnik, podając sobie butelkę whisky i głośno się śmiejąc. Dobrze ubrana para podchodzi bliżej, patrzy w przejście i przechodzi na drugą stronę.

– Myślisz, że wizyta Markela mogła mieć coś wspólnego z Isaakiem? – pyta Rik.

– Isaac nie żyje – sama jestem zaskoczona ostrością mojego tonu.

Rik zatrzymuje się i odwraca do mnie.

– Hej – mówi cicho. – Wszystko ok?

– Dlaczego wszyscy myślą, że chodziło mu o Isaaca? – warczę. – Czy to takie niewiarygodne, że może być po prostu zainteresowany moimi pracami?

### 3

#### *Trzy lata wcześniej*

- Daj spokój, Claire – powiedział Isaac. – Nie chcę tego robić.
- Po prostu masz ochotę się polenić.
- Możliwe.

Isaac i ja leżeliśmy na łóżku w jego pracowni. Ale nie byliśmy nadzy ani nie uprawialiśmy seksu, pomimo moich starań. Gdy przyszedłam i zobaczyłam go rozwalonego na łóżku w samym środku dnia, użyłam wszystkich moich kobiecych sztuczek, aby wydobyć go z tego odrętwienia. Dosłownego i w przenośni. Nie udało mi się. Chciał się po prostu wylegiwać, co, niestety, nie było niczym nowym.

Domyślałam się, że jest dwubiegunowy, ale nie miałam co do tego pewności. Nie chciał pójść do lekarza. Nie miałam zamiaru go do tego przekonywać. Suszenie głowy na tematy zdrowotne to odpowiedzialność żony, nie kochanki. Ale kiedy zaczęło to paprać jego karierę, musiałam zająć stanowisko.

Usiadłam, a Isaac położył głowę na moich kolanach. Skręciłam kosmyk jego ciemnych włosów. Spojrzał na mnie swoimi niesamowitymi, niebieskimi oczami i musnął palcem koniec mojego nosa, potem moje wargi. Pocałowałam ten palec i położyłam jego dłoń na moim sercu.

– Isaac – powiedziałam. – Jesteś wielkim wrzodem na tyłku.

– Ale mam też wiele innych wspaniałych cech, prawda? – zapytał głębokim, aksamitnie czekoladowym głosem. Przekorny uśmiech rozjaśnił mu twarz. Chociaż wcale tego nie chciałam, rozjaśnił też moją.

Z naszym związkiem wszystko było nie tak: byłam jego studentką, on miał 44 lata, ja 28. Wykazywał skłonności depresyjne przeplatane genialnymi wybuchami działalności artystycznej. Do tego był zniewalająco uroczy. Nawet jego małżeństwo, od trzech lat w separacji, z nadchodzącym, ale jeszcze nieprzeprowadzonym rozwodem, było strasznym banałem.

Ale nie dla mnie.

– Nie próbuj mnie uwodzić, gdy jestem na ciebie wściekła. –  
powiedziałam – Nie pozwolę ci na to. To w końcu MoMA, Muzeum Sztuki  
Nowoczesnej w Nowym Jorku, głuptasie.

– Właśnie, Claire. To tylko muzeum sztuki, a nie klinika dla chorych na  
raka. – Zdjął rękę z moich piersi i owinał ją wokół mojej talii.

– Pieprzysz głupoty.

– To też.

– Jeszcze masz czas – powiedziałam. – Dwa tygodnie.

– Dwanaście dni, ale kto by tam liczył!

– Nie musisz czekać, aż wyschną wszystkie warstwy. W tym czasie  
można nałożyć trzy warstwy mokro na mokro, jeśli się przyłożyć.

– Można nałożyć trzy warstwy mokro na mokro – zgodził się Isaac. – To  
kwestia determinacji.

– Więc gdzie się podziała twoja determinacja?

– Wysokie ceny benzyny?

Trzasnęłam go w ramię.

– To przecież nie ma sensu.

– A widzisz? Po prostu się do tego nie nadaję.

– Karen Sinsheimer uważa, że się nadajesz.

Sinsheimer to starsza kuratorka malarstwa i rzeźby w MoMA. To ona  
zauważyła obrazy Isaaca w Markel G i postanowiła uwzględnić je na swojej  
wystawie Przegląd Współczesnego Malarstwa i Rzeźby. Taki kijowy tytuł  
pokazu prac najlepszych wschodzących artystów.

– Karen Sinsheimer widziała obrazy, które namalowałem w zeszłym  
roku.

– No i...?

– No i nic – nachylił się, podniósł ze stolika powieść detektywistyczną  
i otworzył ją. Uśmiechnął się do mnie niewinnie. – Jest ich więcej, tam –  
wskazał na półkę wypełnioną nowiutkimi książkami. – Chciałbym, żebyś  
też jakąś wzięła. Moglibyśmy wtedy razem poczytać i porozmawiać.

Nawet nie chciało mi się odpowiadać. Dobrze wiedział, że nie lubię  
historii detektywistycznych. Siedziałam wściekła, kiedy on wertował  
książkę. Czułam, że powinnam to zostawić, ale nie chciałam poddawać się



aż tak szybko. Byłam po uszy zakochana w tym facecie, a to tego, jak wiele innych osób, wiedziałam, że miał wielki talent. Jak najlepsi artyści naszych czasów. I że jeśli nie wezmę się za niego, straci największą szansę w karierze.

Pokaz w MoMA to naprawdę nie było co. Sinsheimer przejechała cały świat i zamówiła prace u artystów, którzy odnieśli sukces w ciągu ostatnich dziesięciu lat. Chociaż muzeum nie opublikowało jeszcze oficjalnej listy, wieść niosła, że na wystawie pokazane zostaną prace pięćdziesięciu malarzy i rzeźbiarzy. Co oznaczało, że Isaac został wybrany jako jeden z dwudziestu pięciu najważniejszych, wschodzących malarzy na świecie.

– Isaac – powiedziałam w końcu, starając się brzmieć poważne. – Zastanówmy się.

– Nie musimy. Ja już wiem, kto to zrobił.

Wyrwałam mu książkę z ręki i zepchnęłam go z moich kolan.

– Obraz dla MoMA będzie częścią twojego cyklu poświęconemu czasowi, zgadza się?

– Taki miałem plan.

– Ale już nie masz?

– Dobrze wiesz, że nic, co spróbowałem, nie było dobre.

– Dlaczego?

Wzruszył ramionami.

– Wszystko było do dupy.

– Dlaczego?

– Daj spokój, Claire. To nudne. A właściwie otępiające.

– Po prostu odpowiedz na pytanie: dlaczego było do dupy?

Skrzyżował ramiona na piersi.

Nie mogłam nic na to poradzić: moje oczy wypełniły się łzami.

– Och, Saac.

– Dobrze, dobrze – powiedział, siadając. – Dlaczego do dupy? Dlaczego do dupy?

Spojrzał w dal. – Myślę, że są do dupy, bo są zbyt mroczne.

– Kolorystycznie czy tematycznie?

– I tak, i tak.  
– Więc wymyślmy coś, co jest jasne.  
– To mroczny temat.  
– Nie musi być.  
– Czas pochłania wszystko – zaintonował podniosłym i głębokim głosem. – Z jego upływem umierają ludzie, zawałają się budynki, znikają cywilizacje.  
– A co powiesz na bardziej optymistyczną interpretację? Narodziny? Wiosenne odradzanie się?  
– Żelazo rdzewieje, srebrno matowieje, miedź zielenieje.  
– Więc daj spokój z czasem – powiedziałam. – Wymyśl coś innego.  
– Od czasu do czasu. Jest czas i miejsce – rozłożył szeroko ręce. – Czas by żyć, czas, by umrzeć, czas, by rzucić kamieniem.  
Ciężko było mi zachować powagę.  
– Czas, by malować?  
Isaac objął mnie ramionami.  
– Moja kobieta – powiedział.  
– A może czas jako czwarty wymiar? – zapytałam leniwie, kiedy on obrysowywał moje ucho językiem.  
– Brzmi ciekawie – zamruczał, schodząc powolutku w kierunku szyi.  
Odepchnęłam go.  
– Ciekawie? Czyli jak? Jak to widzisz?  
Isaac jęknął  
– Claire...  
– Popracujmy nad tym razem – podskoczyłam i podeszłam do pustej sztalugi. – Masz nowe płótno?  
– Nie.  
– Nie wygłupiaj się.  
– Nie mam dziś ochoty malować.  
Podeszłam do ogromnej szuflady pod ścianą regałów. W przeciwieństwie do mojego studio Isaaca zostało zaprojektowane przez architekta i zbudowane przez stolarza. Wyciągnęłam największe płótno.

Było zagruntowane i gotowe, by położyć na nim farbę, więc ustawiłam je na sztaludze.

– Jaki kolor widzisz?

– Claire...

– Czas jako czwarty wymiar – powiedziałam. – Płynąca rzeka, przyszłość przed nami, przeszłość za plecami, ale jednak współistnieją. Jaki kolor na podmalówkę? – Biorę butelkę z terpentyną i rozglądam się za farbami. – Surowa umbra? Sjena?

Isaac pokręcił głową.

– Widzę ruch – ciągnęłam dalej. – Dużo gęstej farby, która płynie, na sobie i pod sobą, do przodu i do tyłu. Mokre na mokre. Wyskrobywanie, przedzieranie się przez warstwy farb, by odkryć to, co jest pod spodem. Jak przedzieranie się przez warstwy czasu. Wszystko tam jest, ale poniżej lub powyżej, niektóre widoczne, inne ledwo widoczne, jeszcze inne stłoczone i ukryte pod kolejną warstwą czasu.

Isaac podszedł do sztalugi i wyjął mi terpentynę z ręki.

– To urzekający pomysł, ale się nie wydarzy. Ty masz chęć, ja jej nie mam.

– Zacznijmy razem – błagałam. – Zróbmy chociaż podmalówkę. Zobacysz, jak pójdzie, jak to na ciebie wpłynie. Może kiedy w to wejdziesz, zaskoczy.

Isaac pocałował mnie w czoło.

– Nie mam nawet siły kłócić się z tobą.

Sama więc zaczęłam malować, używając pędzli Isaaca, farb Isaaca, cyklu Isaaca, stylu Isaaca. Od czasu do czasu mnie poprawiał. Pokazywał, jak wykorzystać jego technikę impastu do nakładania farby grubo, całym pędzlem. Jak używać szerokich, mocnych pociągnięć, jak wykorzystać do tego siłę ciała. Jak nakładać mokrą farbę na mokrą farbę, a potem przeskrobać się przez tę na górze, by odsłonić to, co pod nią.

Pod wieloma względami było to dokładne przeciwieństwo mojego sposobu malowania, ale pokochałam tę swobodę, a także tworzenie z Isaakiem. Bycie Isaakiem. Pracowaliśmy tak razem prawie każdego dnia

przez ponad tydzień. Ja malowałam, Isaac głównie czytał i drzemał, czasem dając mi wskazówki.

– A co byś powiedział, Isaac – zapytałam jednego popołudnia – gdybyśmy potraktowali styl malarski jako kolejny wymiar czasu?

Wzruszył ramionami.

– Rozumiesz, przejście od klasycznego mokro na suchym do współczesnego mokro na mokrym? Może jakiś przejście figuratywności w abstrakcję? – wskazałam pędzlem na płótno. – Jak tutaj, poprzez warstwy sztuki na przestrzeni czasu.

Znów wzruszył ramionami.

Rozcieńczyłam farbę terpentyną i zaczęłam nakładać serię cienkich warstw, susząc każdą z nich suszarką do włosów, którą trzymałam w łazience. Przy końcu pracy, prawa dolna ćwiartka pokryta była mocno świecącymi, abstrakcyjnymi półksiężycami – klepsydrami, płynącymi przez czas.

Kiedy obraz był skończony, Isaac spojrział na półksiężycy i powiedział, że wyglądają bardziej jak moje niż jak jego. Następnie podpisał się i znów zapadł w drzemkę.

## 4

Wcale mnie nie dziwi, że nie mogę spać. Szczególnie po koszmarze, który właśnie miałam: w Markel G gonili mnie ludzie w groźnie wyglądających maskach z piórami. Kiedy wbiegłam na zaplecze, zastanawiając się, kiedy dokładnie galeria została przeniesiona do Nowego Orleanu i szukając wyjścia, którego nie mogłam znaleźć, zauważyłam, że chociaż wszystkie obrazy na ścianach były mojego autorstwa, to na białych karteczkach przyczepionych obok nich jest nazwisko kogoś innego. Co przeraziło mnie znacznie bardziej niż zamaskowany tłum.

Około trzeciej nad ranem daję sobie spokój z ciągłym przewracaniem się na drugi bok i wstaję. Zaparzam kawę i podchodzę do komputera, żeby pograć w pasjansa i sprawdzić maile.

Ze skrzynki mailowej wyskakuje na mnie wiadomość o tytule „Zwycięzcy konkursu ArtWorld Trans”. Serce wali mi w piersiach, a żołądek zaciska się. Cholera. Naprawdę tego chcę. Naprawdę tego potrzebuję. Moja ręka zatrzymuje się nad klawiaturą. Klikam i zamykam oczy.

Kiedy już mogę zmusić się do ich otwarcia, skanuję ekran, szukając mojego nazwiska. Żadnej Roth. Patrzą dalej, żeby upewnić się, czy nie ma innych list. Nie ma. Znajome mdłości wykręcają moje wnętrze. Nie wiem, czy nie wygrałam z powodu Isaaca, czy dlatego, że moje prace były kiepskie. I nie wiem, która z tych opcji byłaby gorsza. ArtWorld jest dla sztuki tym, czym „New Yorker” jest dla literatury, a sędziowie są tu wyrocznią absolutną. Wyrocznią, która od czasu śmierci Isaaca mnie wykluczyła, jak trafnie ujął to Markel. Wracam na górę listy, żeby zobaczyć, kto wygrał.

– Cholera – mówię na głos i rzucam telefonem na kanapę. Nie trafia. Uderzając o podłogę, rozpada się na dwie części. Nie raz pierwszy. Zawsze, gdy nim rzucam, dzieje się to samo.

Ale nie przejmuję się tym. To, co zobaczyłam, jest chyba gorsze niż to, że przegrałam. Zwycięzczynią jest Crystal Mack. Crystal, która podczas wystawy „Lokalni artyści przy pracy” w Markel G sprzedała trzy kanapowe obrazy jakimś bogatym mieszkańcom przedmieścia, którzy nie odróżniliby oryginalnego oleju od grafiki. Crystal, ta pozbawiona talentu pozerka w modnych, nowych ciuchach, wchodząca w tyłek swoim modnym, nowym przyjaciołom z Oak Room. Crystal, która bycie nieznośną popycha do zupełnie nowych, nieznanych wcześniej granic. Usuwam maila, następnie wyrzucam go też z kosza, żeby przypadkiem nie natknąć się na niego nigdy więcej. Pieprzyć ją i jej pastelowe imitacje.

Myślę o propozycji Markela i wyobrażam sobie minę Crystal, gdy mówię jej o mojej wystawie indywidualnej w Markel G: niedowierzenie, potem wściekłość, potem czysta, obezwładniająca zazdrość. Mimo całej swej niedorzeczności musi wiedzieć, że sama jest lata świetlne od własnego pokazu. To byłoby cudowne. W Jake’u płynęłaby tequila. Prawdopodobnie przez miesiąc.

A co, gdybym faktycznie to zrobiła? Co, gdyby się udało, a Markel i ja zrobilibyśmy razem coś dobrego? Co, gdybym faktycznie miała własną wystawę? Wszystkie moje okna, dumnie wiszące na ścianach prawdziwej Markel G. Ja dumnie stojąca pośrodku. Wszystkie białe karteczki z moim własnym nazwiskiem, wyraźnie napisanym. Mnóstwo czerwonych kropek oznaczających sprzedaż. Żadnych piór.

Chociaż kopiuję obrazy profesjonalnie: studiowałam to i mam opanowane techniki potrzebne do stworzenia iluzji autentyczności (zrobiłam więcej niż jeden kurs z Repro), nie jestem przecież ekspertem od fałszerstw. Ani od tego, jak zmylić ekspertów. Ani od tego, jak to wszystko działa. Waham się, potem wrzucam w Google frazę „jak fałszerze dzieł sztuki zarabiają pieniądze”.

Pierwszy artykuł zatytułowany jest „Fałszerze obrazów robią kokosy na postarzaniu tanich prac”. Fałszerstwa obrazów Szyszkina i Malewicza królują, podobnie jak zmienianie przeciętnych XIX-wiecznych

europijskich krajobrazów w obrazy rosyjskie. Nie znajduję informacji, dlaczego ani jak robi się to drugie, ale najwyraźniej łatwowierni nowobogacy nie mogą się tym nasycić.

Jest artykuł o historii handlarza Gianfranco Becchini, który w 1985 przekonał J. Paul Getty Museum, by zapłacili mu prawie dziesięć milionów dolarów za podróbkę greckiej rzeźby, która, jak utrzymywał, miała pochodzić z VI wieku p.n.e. Getty wynajęło ekspertów od sztuki antycznej, geologów, prawników i speców od uwierzytelniania, którzy użyli wszelkich zaawansowanych technologii, od mikrosondy elektronowej po spektrometrię mas, by zweryfikować to, co mówił Becchina. Wszyscy dali się nabrać i muzeum kupiło podróbkę.

I jest jeszcze John Myatt, który dokonał chyba największego przekrętu w historii XX-wiecznej sztuki. Namalował i sprzedał ponad dwieście „nieodkrytych” wcześniej dzieł znanych (i martwych) artystów. Ale to nie sam przekręt jest najlepszy z całej historii. Okazuje się, że po odsiedzeniu krótkiego wyroku w więzieniu, Myatt założył biznes polegający na sprzedaży swoich fałszerstw jako fałszerstwa za kwoty od tysiąca do dziesięciu tysięcy dolarów za sztukę. W 2005 roku miał indywidualną wystawę w londyńskiej Air Gallery zatytułowaną, jakże trafnie „Autentyczne podróbki”. By ją zobaczyć, ludzie ustawiali się w długich kolejkach.

Prawdopodobnie najbardziej błyskotliwym z tej grupy był Han van Meegeren, sfrustrowany malarz holenderski, który w latach trzydziestych XX wieku spędził sześć lat na analizie procesów chemicznych i technicznych potrzebnych do stworzenia fałszerstw, które zwiodłyby handlarzy i krytyków. Tych samych, którzy nie docenili wcześniej jego sztuki. Użył części tostera, by stworzyć piekarnik, w którym piekł swoje płótna. Odniósł oszałamiający sukces. Zbił fortunę, aż w końcu jeden z jego „Vermeerów” został znaleziony wśród innych powojennych hitlerowskich łupów. Musiał wówczas udowodnić, że sam go sfalszował, aby uniknąć zarzutów o zdradę w postaci sprzedania wrogowi skarbu narodowego Holandii.

Jednak najlepsza historia to ta o Ely Sakhaiu, właścicielu pomniejszej galerii w Nowym Jorku, który na fałszerstwach zarobił ponad trzy miliony dolarów. Kupował obrazy ze średniej półki, a konkretnie pomniejsze prace znanych artystów, których ceny oscylują wokół pięciocyfrowych sum, a potem zatrudnił malarzy, którzy je podrabiali. Następnie sprzedawał oba obrazy jako oryginały, żeby zwiększyć zyski. Podróbki wraz z właściwymi certyfikatami autentyczności szły do kolekcjonerów z Japonii, prawdziwe natomiast sprzedawał poprzez nowojorskie domy aukcyjne. Robił tak przez lata, aż wreszcie w maju 2000 roku niepodejrzewający niczego właściciel podrobionego Gauguina zdecydował się sprzedać pracę w Sotheby's dokładnie w tym samym czasie, w którym Ely dostarczył oryginał do Christie's. Biedny, sprytny Ely Sakhai. Złapany bez możliwości wyłgania się. A tak mu dobrze szło.

Jednak najważniejszą rzeczą, jakiej się dowiedziałam, było coś, o czym co prawda wiedziałam wcześniej, ale jakoś zapomniałam. A mianowicie, że akt kopiowania obrazu nie jest przestępstwem. To oczywiste, biorąc pod uwagę, że tak właśnie zarabiam na życie i raportuję to co kwiecień do urzędu skarbowego. O przestępstwie mówi się dopiero, kiedy kopia jest wystawiona na sprzedaż jako oryginał. Więc to sprzedawca, a nie malarz, jest oszustem.

Na mapach i broszurach bostońskiego transportu publicznego, Silver Line nazywana jest linią, aby korzystający z niej myśleli o niej jak o zwykłej linii metra, takiej jak Red Line, Green Line, Blue Line czy Orange Line. Nazwa ta jest oczywiście tylko chwytem marketingowym, niezwykle irytującym dla każdego, kto zdecyduje się skorzystać z Silver Line. Dlaczego? Bo Silver Line to autobus. Autobus obsługujący głównie biedne obszary zamieszkałe przez mniejszości. Były chłopak Rika, Dan, jest urbanistą i mówi, że w świecie transportu oficjalnie nazywa się ją BRT (Bus Rapid Transit – Szybki Autobus Tranzytowy). Kiedy siedzę w tym BRT, który podąża w kierunku Beverly Arms, kiedy stoję w korku i pocę się,



gdy gorące letnie słońce pali mnie przez szyby, rozumiem, że to też podpucha. Może i jest to autobus, ale zdecydowanie nie szybki.

Nazwa Beverly Arms, podobnie jak Silver Line, jest w najlepszym przypadku myląca, w najgorszym złośliwie okrutna. Przywodzi mi na myśl moją babcię-ciocię Beverly, do której ogromnego biustu uwielbiałam się przytulać, gdy byłam małą dziewczynką. Niestety, tutejsza Beverly to ośrodek dla nieletnich chłopców, którzy popełnili przestępstwo, za które, gdyby byli dorośli, skończyliby w więzieniu stanowym. Któregoś dnia większość z nich i tak tam trafi. Od prawie pięciu lat, z małymi przerwami, prowadzę tam zajęcia plastyczne, zwykle raz na tydzień. Zaczęłam jeszcze na studiach, jako obowiązkową służbę społeczną, a po dyplomie ciągnęłam to dalej. Dzieciaki lubią te zajęcia – i mnie – bo uwalniają je od nieprzyjemnych, popołudniowych obowiązków. Ja zaś mam słabość do bycia lubianą.

Beverly Arms ma styl i ciepło niczym z radzieckich gułagów: bloczki z bezbarwnego betonu poprzecinane identycznymi rzędami malutkich, uszczelnionych okien. Dobra wiadomość jest taka, że okna nie mają krat. Zła jest taka, że okrywająca je druciana siatka jest tak gruba, iż prawie żadne światło nie przedostaje się do środka. Kraty byłyby lepsze.

Kiedy w końcu tam dojeżdżam, przechodzę przez procedurę wejścia ludzako podobną do kontroli bezpieczeństwa na lotnisku, gdy pojawia się mężczyzna z Bliskiego Wschodu z podejrzaną wizą. Kiedy ta część się kończy, muszę odpowiedzieć na serię pytań, na które strażnik dobrze zna odpowiedzi, bo maglował mnie już wcześniej przynajmniej sto razy i trzyma moje prawo jazdy w ręku. Próbowałam z nim z tego żartować, ale nie załapało, więc teraz czekam na każde pytanie i monotonnym, cierpliwym głosem udzielam mu odpowiedzi, które już dobrze zna. Czasami trudno mi utrzymać powagę.

– Claire Roth.

– 173 Harrison Avenue, Boston, Massachusetts.

– Nauczyciel sztuki.

– Arthus Marcus, dyrektor, wydział sztuki, departament do spraw dzieci i młodzieży.

– Green East.

Sprawdza swoje notatki i patrzy na mnie, jakbym ja też popełniła jakieś przestępstwo.

– GE 107 – warczy. To pokój, w którym jestem najczęściej. Może dzieciakom wyszłoby na dobre, gdyby ktoś w tym miejscu miał choć trochę poczucia humoru.

Przedzieram się przez serpentyny korytarzy walcząc z niezliczoną liczbą grubych, ciężkich drzwi. Naciśnij przycisk, spójrz w górę i uśmiechnij się do kamery, czekaj i miej nadzieję, że ktoś, kto zajmuje się dziś centralą, nie jest palantem. W przeszłości zdarzało się, że czekałam do dziesięciu minut, aby mnie wpuścili. Mogę sobie tylko wyobrazić satysfakcję w centrali, gdy patrzyli, jak przestępowałam z nogi na nogę.

Przekonałam się na własnej skórze, że centrala tak widzi, jak i słyszy. Pewnego popołudnia, na samym początku mojej więziennej przygody, popełniłam duży błąd mamrocząc coś pod nosem o dupku, który nie chciał otworzyć mi drzwi. Nie wyszło mi to na dobre. Okazało się, że dupkiem była wielka i wszechmocna Oz, pociągająca za sznurki w Beverly Arms, i że nigdy nie zapomina ona o takich policzkach. Mam nadzieję, że dzisiaj jej nie ma. Rozlega się dzwonek i z ulgą przechodzę przez drzwi, które zatrząskują się głośno za mną. Już po dwudziestu krokach zatrzymują mnie kolejne drzwi.

Gdy zbliżam się do ostatniego etapu mojej podróży do GE 107, czuję, że jednak byłabym szczęśliwa, gdyby towarzyszyła mi wielka i wszechmocna Oz. Przechodzę przez izolatkę, patrzę tylko przed siebie i staram się znieczulić na krzyki wściekłych chłopców przetrzymywanych w celach wzdłuż korytarza. Niektórzy są na odwyku, inni kłócą się ze sobą krzycząc przez szpary w dole drzwi. Kontynuują sprzeczki z ulicy, które wcześniej doprowadziły ich do tego właśnie korytarza.

Wszystko tutaj pomalowane jest na mdły kolor zielonego groszku od zawsze związany z instytucjami. Czy niebieski kosztuje więcej niż zielony? A co z wesołym żółtym? Kiedy zaczęłam tu przychodzić myślałam, że

ściany są zielone, bo to Green East. Ale nie. Okazuje się, że całe to miejsce ma kolor rozkładających się warzyw. Właśnie dlatego przyszedł mi do głowy pomysł na mural: może gdyby pozbyć się choć części tej zieleni, pomogłoby to dzieciakom. Powiedziano mi, że współczynnik recydywy wynosi 73%. Nie ma więc wiele do stracenia.

Pomysł na mural jest taki, że każdy dzieciak musi narysować coś, co pamięta z życia spoza krat, a czego mu brakuje. Do dyspozycji mają węgiel i papier gazetowy. Długopisy i ołówki są niedozwolone, ponieważ mają ostre końcówki, które mogą być użyte jako broń. Kiedy rysunki będą skończone, przerzucimy je na ścianę pokoju dziennego, odrysujemy, a potem pomalujemy. Żegnajcie, gnijące warzywa.

Nie mówię chłopcom, co mają rysować, nie osądzam wartości ich prac. Nie daję im nawet wskazówek dotyczących techniki, chyba że sami o to poproszą. Moja teoria jest taka, że chłopcy – młodzież, jak tu ich nazywają – mają sztukę w sobie, a moją pracą jest dać im materiały i pozwolić jej się wydobyć. Xavier rysuje sto puszek piwa, a Christian robi niezwykle dobry szkic igły i paczki heroiny. Jedyne, o co proszę, to żeby pracowali w czasie zajęć i pozostali wiernymi sobie. Dzieciaki nie mają problemu z tym ostatnim. Palą się, by wyrazić swoje prywatne prawdy.

Chłopców wprowadza do sali pracowniczka socjalna, której wcześniej nie widziałam. Wypalenie zawodowe jest tu dość powszechne. Nietrudno zrozumieć dlaczego. Dziś jest tylko dziesięciu chłopców, ostatnio było ich trzynastu. Jeden jest nowy. Brakuje czterech. Nie pytam, gdzie są, tak samo jak nie pytam, co zrobili, żeby się tu dostać. Nie chcę wiedzieć.

Mówię „cześć” do Jonathana, Xaviera, Seana, Johana, Christophera, Reggie’go, Briana, Christiana i Andresa. Większość z nich reaguje. Nowa pracowniczka, Kimberly Deeny, przedstawia siebie i Manuela – twardego i solidnie zbudowanego dzieciaka, który nie patrzy mi w oczy. Myślę, że ma około dwunastu lat. Buńczucznie bierze kawałek węgla i czysty arkusz papieru gazetowego, który podaje mu Kimberly. Ukrywając niepokój

czeka, aż wszyscy zajmą swoje miejsca. Biada nowemu, który usiądzie nie tam, gdzie powinien.

Kimberly, nie mając pojęcia, który rysunek należy do kogo, podaje mi je, bym je rozdała. Jest ładna i młoda, z dziką grzywą rudo-brązowych włosów zwiniętych w sztywny kok. Niesforne kosmyki okalają jej twarz nadając, niestety, dość seksownego wyglądu. Luźne ubranie nieudolnie maskuje jej piękne, smukłe ciało, podobnie jak kok, który najwyraźniej ma maskować jej bujne włosy. Chłopcy patrzą i szturchają się łokciami wskazując w jej stronę. Jest zdecydowanie zbyt ładna i zdecydowanie zbyt młoda, żeby wykonywać tę pracę. Zastanawiam się, czy będzie tutaj za tydzień, jak wrócę.

Wszyscy oprócz Manuela i Xaviera zaczynają pracę. Poświęcam parę minut, żeby wytłumaczyć Manuelowi, na czym to wszystko polega, a następnie kucam przy Xavierze. Ma ponad metr osiemdziesiąt wzrostu, jest szczupły, ale umięśniony. Musi być gwiazdą na boisku do koszykówki. Ma tak słodką buzię i sposób bycia, że trudno sobie wyobrazić, jak mógłby kogokolwiek pobić lub zrobić cokolwiek, co zaprowadziłoby go tutaj. Najwyraźniej wygląd jest mylący. Ze względu na swój wzrost Xavier wydaje się mieć co najmniej osiemnaście lat, ale ja mu daję czternaście, piętnaście. Bardzo młody wiek jak na to, by tego, czego mu najbardziej brakuje, były setki puszek piwa.

– Co jest grane, X? – pytam.

Wzrusza ramionami.

Przyglądam się jego rysunkowi. Puszki wyglądają jakby narysowało je małe dziecko, ale etykiety wykonane są w misterny sposób. Mają napis Budweiser.

– Wygląda na to, że prawie skończyłeś. Czego ci jeszcze brakuje?

– Wielu rzeczy.

– Nie musisz rysować stu puszek, jeśli nie chcesz. Chodzi o pomysł.

Xavier znów wzrusza ramionami.

– Nie chodzi ci o to, ile jest puszek?

Patrzy na swój rysunek i potrząsa głową.

Kucanie zaczyna wchodzić mi w uda, ale czasami trzeba po prostu pomilczeć i poczekać. Kiedy i to nie działa, dotykam jego ramienia, choć nie powinnam tego robić.

Podnosi wzrok.

– A co chodzi? – pytam.

– O srebrny.

– Srebrny?

Wskazuje palcem puszki.

– Bud jest srebrny. Za nim tęsknię. Powiedziałaś, że mamy być szczerzy. A tymczasem będzie tylko czerwień, błękit i żółć.

Ma rację. Budżet na projekt jest ekstremalnie niski, ale Al ze sklepu z materiałami plastycznymi powiedziała, że da mi zniżkę, jeśli wezmę kolory podstawowe. Ma ich za dużo. Pomyślałam, że mogę je wymieszać i uzyskać wszystkie barwy, jakich potrzebujemy, ale Xavier ma rację: nie będzie wśród nich srebrnego. Te dzieciaki zawsze potrafią mnie zaskoczyć.

Znów myślę o propozycji Markela. Gdybym ją przyjęła, nie musiałam trzymać się sztywno alokacji przydzielonej mi przez instytucję państwową – zajęcia plastyczne dla młodocianych przestępców nie są zbyt medialne. Miałabym pieniądze, pięćdziesiąt tysięcy dolarów. Miałabym środki, by dołożyć do tego, co oferuje skąpy rząd z klapkami na oczach. A może po prostu szukam wymówki, by przeprowadzić kontratak na świat sztuki, który wcześniej wyrządził mi krzywdę. Claire Roth, XXI-wieczny Han van Meegeren. Mam nadzieję, że Markel nie zna żadnych nazistów.

Wstaję.

– Nie ma problemu, X. Znajdę sposób, żeby załatwić dla ciebie srebrny.

Patrzy na mnie bez wyrazu. Widać nie jest przyzwyczajony, żeby dostawać to, czego potrzebuje.

Tyle dobrych rzeczy do zrobienia pieniędzmi pozyskanymi w zły sposób.

## 5

Wspinam się na czwarte piętro do mojego studia, myśląc o farbie dla Xaviera, o zaskoczonych Crystal i moich obrazach wiszących w Markel G. Myślę o dobrych rzeczach – czymkolwiek miałyby być – i o tym, że kopiowanie obrazów nie jest przestępstwem. Markel jest lokalnym celebrytą i gdyby kiedykolwiek miał do czynienia z czymś śmierdzącym, zarówno ja, jak i cały Boston wiedzielibyśmy o tym od razu. Ufał mu nawet Isaac, który miał tendencję do widzenia w ludziach tylko zło.

Dzwonię do Markela.

– Jak dobre jest to dobre? – pytam bez ogródek.

Chichocze.

– To coś, o czym na pewno myślałaś, że chciałabyś, by się wydarzyło.

– Jak pokój na świecie?

– Może nie aż tak imponujące, ale w mniejszej skali tak.

– Czy mógłbyś być bardziej nieprecyzyjny?

– Przypuszczalnie nie.

Nie mam wiele do dodania, więc pytam:

– Powiedz jeszcze raz, ilu osobom byśmy pomogli?

Kiedy odpowiada, że setkom tysięcy, a może i milionom, czuję, że trochę przesadza.

– Poważnie?

Śmieje się.

– Wiem, że to brzmi jak szaleństwo, ale tak, poważnie.

Waham się.

– To twoja decyzja, Claire – przypomina mi. – Mogę poprosić kogoś innego, jeśli muszę...

Kogoś innego?

– Dobrze – mówię. – Zrobię to.

Parę dni później do studia przywożą mi drewnianą skrzynię transportową. Jest ogromna, co najmniej trzy i pół na trzy i pół metra. Jest na tyle duża, jakby miała pomieścić z sześć płócien, ale zgaduję, że w środku są dwa, góra cztery.

Jeśli są trzy lub cztery, oznacza to prawdopodobnie, że Markel chce, bym stworzyła „nieodkryty” obraz. Taki, jaki fałszerz tworzy na podstawie innych prac znanego artysty, podobnie, jak robił to John Myatt. Jeśli są tylko dwa, to brzmi bardziej jak sprawa w stylu Ely Sakhia – jeden obraz byłby wówczas oryginałem namalowanym przez znanego artystę albo pomniejszą pracą kogoś bardzo sławnego, a drugie płótno pochodziłoby z tego samego czasu, co oryginał. Po ściągnięciu farby z drugiego płócna namalowałabym na nim moją kopię tak, by podróbka znalazła się na płótnie i deskach pochodzących z epoki, w której żył artysta. W ten sposób nie dałabym się złapać w trakcie datowania metodą węglową.

Strasznie mnie kusi, żeby się dowiedzieć, czyja praca znajduje się w skrzyni, ale Markel powiedział, bym jej nie otwierała i że przyjedzie tu w godzinę. Kazał mi obiecać, że niczego nie tknę. Ale ile jest warta obietnica dana oszustowi przez oszusta?

Sprawdzam skrzynię ze wszystkich stron i zauważam, że taśma jest rozdarta w lewym górnym rogu. Wchodzę po drabinie, wkładam palec do szpary i ciągnę. Udaje mi się zrobić dziurę o średnicy około dwóch i pół centymetra. Przyciskam do niej oko. Oczywiście nic nie widzę. Chwytam za młotek i łom, waham się, a potem dłubię w taśmie jeszcze raz używając drugiego końca młotka. Nie mam wiele do dłubania – skrzynia zabezpieczona jest gwoździami – ale dłubię dalej i powiększam dziurę. Teraz widzę folię bąbelkową.

Pracując dla Repro, bardzo rzadko zdarza mi się malować w oparciu o oryginały. Większość prawdziwych McCoyów jest w Paryżu lub Londynie, a Repro nie wysyła mnie za Atlantyk. Kiedyś robiłam dla nich kopię *Tragedii Lukrecji* Botticellego, która znajduje się w Gardner Museum. Wtedy malowałam z oryginału. Niestety Gardner Museum jest

niesamowicie starodawne, pozwala tylko na rysowanie ołówkiem i zabrania robienia zdjęć. Mimo to reprodukcja wyszła dobrze.

Sama myśl, że w moim studiu znajduje się cenne dzieło sztuki, elektryzuje mnie i przeraża. Gdybym miała się założyć, postawiłabym, że Markel gra w Ely Sakhaia, a obraz jest pomniejszą pracą, którą mam sfalszować, żeby on mógł ją sprzedać jakiemuś nic nie podejrzewającemu kolekcjonerowi jako oryginał.

Dziwne tylko, że Markel miałby się angażować w coś takiego. Żeby jego motywem miała być chciwość. Jest na to zbyt bogaty i zbyt zaangażowany w działalność filantropijną, nie wspominając nawet o tym, że wspiera biednych artystów. Ale jako, że nie mam pojęcia, co oznacza owo „dobro”, o którym wspominał, nie będę go oceniać.

Wprawdzie oprócz... oprócz kontaktów, jakie miałam z Markelem jako handlarzem prac Isaaca (czasem były one mocno wyczerpujące), a także zwykłego rozgłosu prasowego, wiem o Aidenie Markelu bardzo niewiele. Dziesięć lat temu, jako dwudziestolatek był cudownym dzieckiem sztuki wkraczającym na bostońską scenę i podkrecającym ją. Potem został na miejscu, zamiast wyruszyć na podbój Nowego Jorku czy Paryża. Reprezentuje wielu uznanych artystów krajowych i zagranicznych. Dzięki niemu Boston nie jest już zaściankiem. Chociaż jest tylko sześć czy siedem lat starszy ode mnie, ma tak dużo doświadczenia i zasług na koncie, że równie dobrze mogłyby nas dzielić dekady.

Upuszczam młotek, chwytam za łom i patrzę na skrzynię. Wspinam się z powrotem po drabinie, wkładam łom w dziurę i porządnie ją szarpię. Ze skrzyni wydobywa się niemal ludzki wrzask i zaczyna się otwierać. Robię to jeszcze raz, wkładam trochę więcej siły i przestrzeń między dwoma kawałkami drewna powiększa się. Teraz widzę, że najpierw muszę usunąć większość gwoździ, więc znów przerzucam się na młotek.

Kiedy metodycznie wyciągam gwoździe, myślę o pieniądzach, które Markel ma ze sobą przynieść. Prawie siedemnaście tysięcy dolarów. To więcej niż kiedykolwiek trzymałam w ręku. Mam pożyczkę studencką w wysokości około dwudziestu pięciu tysięcy, więc duża część tego pójdzie na jej spłatę. Zapłacę też czynsz za ostatnie dwa miesiące i spłacę mój



rachunek w Materiałach Plastycznych Al. Zarówno Al, jak i właściciel studia są bardzo wyrozumiali, ale dowcipne i autoironiczne opowieści nie wystarczą mi już na długo. Poza tym kończą mi się pigmenty i podobrazia, nie wspominając o pędzlach. A nie ma mowy, żeby Al dała mi je na kredyt.

Patrzę na studio. Prawdziwe łóżko, zamiast materaca. Kanapa, na której można siedzieć bez obaw dla kręgosłupa. Komputer, którego odpalenie nie zajmuje dwudziestu minut. Komórka, która nie jest w częściach. Lista potrzeb nie ma końca.

Dzwoni telefon. To Markel. Schodzę na dół i otwieram mu drzwi. Tym razem wcale nie gawędzi. Kiedy wchodzimy do studia, natychmiast zauważa, że już zaczęłam siłować się ze skrzynią. Ale nie wydaje się być tym zdziwiony.

– Nie mogłaś się doczekać – mówi, a w jego głosie nie ma ani krztyny irytacji.

Wzruszam ramionami.

– Nie zaszłam zbyt daleko.

– Widzę.

Tym razem nie częstuję go winem ani orzeszkami. Stoimy przed wielką skrzynią, przez dłuższy moment milczymy. W końcu Markel mówi:

– Musimy porozmawiać.

Wskazuję na fotel na biegunach, sama siadam na kanapie. Kładę dłonie na kolanach i czekam.

Z wewnętrznej kieszeni wyciąga kopertę i kładzie ją na stole stojącym między nami. Jest dość gruba.

– Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko temu – mówi, jakbyśmy rozmawiali o pogodzie – ale większość to gotówka.

Siedemnaście tysięcy dolarów. Czuję się oszołomiona.

– Oczywiście, że nie, nie ma problemu – mówię w nadziei, że mój ton jest zupełnie zwyczajny, chociaż słyszę, że wcale taki nie jest.

Markel kładzie stopy na podłodze i pochyla się w moim kierunku.

– Nie chcę, żebyś pomyślała, że robię ci wykład, ale musimy porozmawiać o tym, co zrobisz z tymi pieniędzmi.

Myślę, że robi mi wykład.

– Jestem w stanie sama zająć się swoimi pieniędzmi.

– Biorąc pod uwagę, co mówiłaś mi o twoich zarobkach – mówi, jakby wcale nie słyszał, co powiedziałam – wystawiłem ci czek na osiem tysięcy dolarów z konta Markel G. To oficjalna zapłata za twoje usługi, którą zdeponujesz na swoim koncie i ujawnisz urzędowi skarbowemu. W razie, gdyby cokolwiek poszło nie po naszej myśli, będzie to dowodem, że mamy standardową umowę na reprodukcję i skutecznie odsunie cię od tego, co robisz. Reszta jest w gotówce.

Zerkam na kopertę, potem szybko odwracam wzrok. Dziewięć tysięcy dolarów w gotówce.

– Będziesz musiała założyć parę kont w różnych bankach – ciągnie. – Nie wpłacaj więcej niż parę tysięcy w każdym, żeby nie wzbudzić podejrzeń. Dwa tysiące są w pięćdziesiątkach, które po prostu sobie zachowasz. Ale nie wydawaj ich w miejscach, w których jesteś znana. Wydaj je w supermarkecie albo na targu.

– Czy to wszystko jest naprawdę konieczne?

Nie znam się za bardzo na pieniądzach, nigdy ich nie miałam, ale moje dłonie zaczynają się pocić.

– Moją robotą jest upewnienie się, że nikt nie popełni żadnych błędów. Wylicza na palcach kolejne wskazówki.

– Bez większych zakupów, bez drogich wakacji i bez żadnych gestów, takich jak ekstrawagancki prezent dla matki lub drinki dla wszystkich w twoim ulubionym barze.

– Nie jestem dzieckiem – mówię, znów czując się jak uczennica. – Rozumiem, co tu robimy.

– Nie – wstaje. – Nie wydaje mi się.

– Więc może czas, byś mnie oświecił – odpowiadam, też wstając.

Podchodzi do skrzyni i bierze łom.

– Zajmij się gwoździami, ja popracuję z łomem.

Po raz ostatni zerkam na leżącą na stole kopertę, potem do niego dołączam. Z dobrymi paroma burknięciami i dużą ilością potu udaje nam się wydostać obrazy z ich więzienia. Jak podejrzewałam, są dwa. Oba są owinięte w tyle warstw folii bąbelkowej, że nadal ich nie widać. Jestem

rozczarowana. Płótna są nieoprawione i mają taki sam wymiar. Są duże, ale nie tak wielkie, jak myślałam. Przypuszczalnie sto dwadzieścia na sto pięćdziesiąt. Zastanawiam się, który to ten cenny.

– To nie będzie jak jedno z typowych zleceń dla reproductions.com

– Myślę, że wybrałeś mnie do tej roboty, bo wiesz, że zdaję sobie z tego sprawę.

Przez moment wygląda na zaskoczonego, ale potem wyraźnie się rozluźnia.

– Wybacz, że jestem taki upierdliwy – mówi – ale ta sytuacja trochę mnie przerasta.

– Więc po co to robisz?

– Zaraz się przekonasz – rzuca mi figlarne spojrzenie. – Masz nożyczki?

Rozcina taśmę, a ja odwijam folię bąbelkową. W kilka minut obraz jest odsłonięty. Od razu rozpoznaję artystę, ale nie obraz.

– Meissonier – mówię.

Jest w tym dużo sensu. Ernest Meissonier był drugo-, a może i trzecioligowym artystą z XIX wieku. Specjalizował się w tematyce wojennej, którą przedstawiał w sposób niezwykle skrupulatny i realistyczny. Malował olejami w sposób bardzo klasyczny i, jeśli dobrze pamiętam, uważał siebie za drugie wcielenie Rembrandta. Nikt inny tak nie uważał. Ale jak dokładnie obraz Meissoniera miałby uszczęśliwić miliony ludzi?

– Degas uważał ponoć – mówi mi Markel – że wszystko, co namalował Meissonier wyglądało jak metal. Oprócz zbroi.

Śmieję się i podchodzę bliżej, żeby przyjrzeć się obrazowi.

– Składa się z całej masy warstw. Zrobienie idealnie wiernej kopii zajmie naprawdę dużo czasu. – mówię – Czy jesteś pewny, że jest tego wart?

– Nie – mówi Markel. – Nie jest tego wart.

Patrzę na niego.

– To jest obraz, na którym mam malować kopię, zgadza się?

– To jest obraz, który masz usunąć.

Oczywiście. Wiem, że pod kopią nie może być żadnego innego obrazu, bo zwykle prześwietlenie pokazałoby to od razu. Ale żeby zniszczyć Meissoniera...

– To naprawdę pomniejsza praca, pomimo jej wielkości. A do tego jej proveniencja nie jest do końca potwierdzona.

Całe zainteresowanie Meissonierem, jakie miałam, znika bez śladu. Odwracam się do drugiego płótna nadal owiniętego folią.

– Kto to?

Markel znów spogląda na mnie figlarnie.

– Nie chcesz poczekać?

– Nie.

Markel śmieje się.

– Nie lubisz słodkiego oczekiwania na miłą niespodziankę?

– Nigdy nie było to moją mocną stroną.

Markel waha się.

– Kto?

– Degas, oczywiście.

Brakuje mi tchu. Zakochałam się w Degasie już jako dziecko, w czasie muzealnych lekcji rysunku. A teraz jedna z jego oryginalnych prac, dotkniętych przez tego wielkiego artystę, znajduje się w moim własnym studiu. Dosłownie dwa kroki przede mną. Markel wybrał mnie do tego zadania pewnie właśnie dlatego, że ma do sfalszowania olej Degasa.

Serce wali mi z zawrotną prędkością. Co za szczęściara: będę mieszkać z obrazem Degasa, będę go dotykać, oddychać nim, studiować każdy najmniejszy jego szczegół, tropić sekrety samego mistrza. To cudowny prezent. Być może najlepszy ze wszystkich, jakie mogłabym dostać. Coś, co na zawsze odcisnie piętno na moim sposobie malowania. Cudowne. Absolutnie cudowne. Teraz naprawdę nie mogę oddychać.

Markel delikatnie rozcina taśmę, która podtrzymuje folię bąbelkową. Warstw folii jest znacznie więcej niż poprzednio.

Ja stoję bez słowa, zahipnotyzowana. Nie mogę się ruszyć, by mu pomóc. Nie mogę myśleć. Degas, Degas, Degas – to jedyne słowo, jakie mój mózg jest w stanie z siebie wykrzesać.

Markel odwija obraz bardzo starannie, znacznie wolniej niż w przypadku Meissoniera. To akty. Trzy, może cztery. Coś z cyklu kąpiących się. Z czasów, kiedy, w przeciwieństwie do większości swoich współczesnych, koncentrował się na chwilach z codziennego życia. Widzę błękit, zieleni, koral. Cudowna świetlistość kolorów Degasa przebija się nawet przez warstwy folii bąbelkowej. Który to obraz? Był tak płodny w tym okresie. Ale mój mózg odmawia współpracy. Nie przychodzi mi na myśl nawet jedno płótno.

Kiedy Markel odwija ostatnią warstwę i obraz stoi przede mną w całej okazałości, jestem zdezorientowana. Moją pierwszą myślą jest, że to nie jest prawdziwy Degas. Że to niemożliwe. A potem głośno wzdygam. To nie tylko najprawdziwszy Degas. To Degas, którego widziałam wcześniej. I to wielokrotnie.

– Nie – mówię i brzmi to jak jęk.

Powinno być się domyślić już po wielkości płótna. To nie jest zwyczajny Degas. To jedno z jego arcydzieł. *Po kąpieli*, ostatni z pięciu, którym nadał ten sam tytuł, ale zdecydowane najszlachetniejsze. Ale to nie koniec. Ten obraz został zerwany ze ściany Isabella Stewart Gardner Museum, wyrwany ze swoich ram. I tak, jak pozostałe obrazy skradzione w tę deszczową noc przez niewydarzonych złodziei, nigdy nie został znaleziony.

Przedemną stoi jeden z najcenniejszych obrazów na świecie – ofiara największej nierozwiązanej kradzieży dzieł sztuki w historii.

# Napisane piórem Isabelli Stewart Gardner

10 czerwca 1886, Paryż, Francja

Moja najdroższa Amelio,

Nie potrafię wyrazić słowami tego, jak bardzo mi przykro, że minęłam się z Tobą i z Twoim mężem. I to tylko o dwa dni! Morze między Londynem a Paryżem było tak wzburzone, że statki nie płynęły wcale, a Twój wuj Jack i ja byliśmy zmuszeni spędzić dwie wilgotne i nędzne noce w okropnym zajeździe w Brighton. Mam nadzieję, że Twoja podróż powrotna minęła lepiej.

Tak bardzo chcieliśmy zobaczyć Cię podczas Twojej podróży poślubnej – piękną i promieniejącą, wspartą na ramieniu Sumnera. Pocieszam się myślą, że wkrótce wrócimy do Bostonu i że zostanę zaproszona do domu pani i pana Sumner T. Prescott Jr. zaraz po naszym przyjeździe. Ach, gdyby tylko Twoi ukochani zmarli rodzice i Twój słodki brat Joe mogli doczekać tego samego.

W Londynie było prawie tak samo mgliście i ponuro jak w Brighton, a wszystkie przyjęcia były potwornie nudne. Ale teraz, gdy jesteśmy już w Paryżu, mieście piękna i blasku, wszystko znów jest dobrze. To cudowne być otoczoną ludźmi wesołymi i dowcipnymi.

Byliśmy już na wielu przedstawieniach i przyjęciach, a w zeszłym tygodniu wybraliśmy się na jeden z zupełnie nowych koncertów kawiarnianych. Cóż to było za wspaniałe wydarzenie! Zabawiali nas tancerze w kostiumach tak ciasnych i błyszczących, że wydawało się, jakby tańczyli nago, cali pomalowani. Twój wuj, jak się domyślasz, był trochę zgorszony, ale ja po prostu uwielbiam Francuzów!

A potem nastąpił ostatni wieczór. Och, co to był za wieczór! Tego wieczoru Twój wuj Jack i ja byliśmy na kolacji w domu naszego drogiego przyjaciela, pana Henry'ego Jamesa. (Czy pamiętasz, jak poznałaś go

w Green Hill, w czasie jego podróży do Ameryki? Pewnie nie – to było dawno temu – ale był wtedy zupełnie oczarowany tak Tobą, jak i Twoimi dokazującymi braćmi.) Ku mojej wielkiej przyjemności, Henry zaprosił także Jamesa Whistlera i Johna Sargenta, których na pewno dobrze pamiętasz. A zaledwie tydzień temu Henry poinformował mnie, że dołączy do nas również Edgar Degas.

Chociaż dobrze znam prace Degasa, nigdy nie dostąpiłam zaszczytu poznania tego wielkiego człowieka. (Moim zdaniem pod względem techniki laserunku i świetlistości prac dorównuje on wielu dawnym mistrzom, szczególnie jego Portret René de Gas oraz *Młodzi Spartanie*). Jestem zdeterminowana, by wrócić z mojej wyprawy z co najmniej obietnicą możliwości zakupu trzech większych prac po rozsądnej cenie, a może wręcz z samymi obrazami, więc informację o obecności pana Degasa przy stole przyjąłam z wielką radością.

Słyszałam, że pan Degas ceni u kobiet nie tylko ramiona i szyję (które, biorąc pod uwagę moją twarz, są i tak najlepszym, co mogę pokazać), ale także to, jak są ubrane. Natychmiast poszłam więc do salonu Charlesa Fredericka Wortha, który szyl zarówno dla księżniczki Pauliny de Metternich, jak i dla cesarzowej Eugenii. Ku mojemu zdumieniu, w zaledwie tydzień zaprojektował wspaniałą jedwabną suknię, która gładko układa się na moich biodrach, skromnie na piersi, odkrywa za to moje ramiona. Odślania tak, by nie odsłonić za dużo, a Twój wuj Jack jest z niej bardzo zadowolony.

Z tego, co wiem, pan Degas nigdy nie był romantycznie związany z kimkolwiek. Byłam natomiast pewna, że jako jedyna kobieta przy stole będę w stanie pociągać sznurkami wystarczająco dobrze, by przyciągnąć jego uwagę. Mówię to tylko Tobie, moja droga siostrzenico, ale w przeszłości zarówno pan Whistler, jak i pan Sargent byli dla mnie bardzo łatwymi zdobyczami.

Dyskutowaliśmy oczywiście o sztuce i literaturze, zwłaszcza o tym, jak bardzo Henry nie lubi *Framley Parsonage* Trollope'a oraz o plotkach, jakoby

George Eliot był kobietą! Wino i poncz sprawiły, że byliśmy weseli, a słuchanie Jamesa Whistlera i Edgara (*tak kazał mi mówić do siebie Edgar!*) dyskutujących o różnicach między światłem paryskim a weneckim sprawiło mi wielką radość i było wyjątkowym przywilejem.

Potem Edgar zaczął mówić mi o swoich powiązaniach, zarówno w sztuce, jak i przyjacielskich, z tymi, którzy nazywają siebie „impresjonistami”. Jestem głęboko przekonana, że człowiek z jego talentem nie powinien marnować go na takie fanaberie. Dlatego też zapytałam go, dlaczego miałby ciskać w płótno plamami mokrego pigmentu zamiast posługiwać się swoim doskonałym okiem i pędzlem, by osiągnąć laserunek, który tak dobrze mu wychodzi. Powiedziałam mu też, że nie sądzę, by Vermeer albo Rembrandt chcieli robić coś takiego i że on też nie powinien.

Zamiast się zezłościć, jak być może zrobiłby człowiek mniejszego kalibru, Edgar zaczął się śmiać tak głośno, że wszyscy do niego dołączyliśmy. Stuknął mój kieliszek swoim i powiedział: „Dobrze powiedziane, pani Gardner, dobrze powiedziane”. (Wcześniej poprosiłam go, by nazywał mnie po imieniu, ale zdaje mi się, że nie był w stanie tego zrobić). Byłam oczywiście oczarowana. Czy zbyt sobie schlebiam, myśląc, że może dzięki mnie Edgar zobaczy, jak niewłaściwe jest jego postępowanie? Może za wiele sobie wyobrażam. Niemniej jednak spróbuję!

A potem, by ten magiczny wieczór stał się jeszcze bardziej magiczny, okazało się, że Edgar i ja dzielimy miłość do koni i wyścigów konnych. Zaprosił nas wszystkich do swojej prywatnej łoży na otwarcie sezonu w Longchamp! Na pewno nie przepuszczę takiej okazji!

Chociaż nie udało mi się uzyskać obietnicy sprzedaży obrazu od żadnego z trzech artystów ani nawet przyjęcia zamówienia na pracę w cenie, na jaką mogę sobie pozwolić, każdy z nich (na osobności, oczywiście) obiecał, że rozważy moją propozycję. Pan Degas nalegał, byśmy przyszli do jego studia. Co oczywiście zrobimy.

Kiedy wstaliśmy od stołu, by się rozejść, Edgar przyłożył moją rękę do swych ust i powiedział, że minęły lata, odkąd „spędził tak uroczy wieczór z tak uroczą towarzyszką”.



I na tym, moja kochana, zakończę. Napisz mi, proszę, o wszystkich przygodach z Waszego Grand Tour oraz o szczegółach dotyczących Waszego domu. Tylko proszę, nie wybieraj sama *wszystkich pościeli i zasłon* – bardzo chciałabym pomóc Ci w dekoracji Twojego domu i buduaru.

Z wyrazami miłości,  
Ciocia Belle

## 7

Patrzę na *Po kąpieli*, jakby moje oczy były uwiązane do płótna. Jako dziecko siadałam na podłodze w Małej Galerii w Isabella Stewart Gardner Museum z ołówkiem w dłoni, próbując narysować właśnie ten obraz. Nachylenie pleców, cień w fałdzie ręcznika, wyciągnięte ramię. *Po kąpieli*. Jestem przejęta. Jestem zachwycona. Jestem przerażona.

– Ja, to znaczy to... – mamroczę do Markela. – To nie może tu zostać. Musisz to zabrać z powrotem.

Gdy wypowiadam te słowa, coś we mnie krzyczy: „Nie, zostaw to, proszę zostaw to tu, gdzie jest.”

– To jest zbyt cenne, to jest bezcenne. Nie wspominając o tym, że kradzione. Nie mogę wziąć odpowiedzialności za...

– Oczywiście, że możesz go tu mieć – mówi Markel. – To idealne miejsce. Nawet jeśli ktokolwiek go zobaczy, pomyśli, że to jedna z twoich reprodukcji.

To, co mówi, jest równie imponujące, co przekonywujące. Nie mogę oderwać oczu od pociągnięć pędzla, głębi kolorów, ich nasycenia. Jak Degas w ogóle to osiągnął: klej króliczy w gruncie? Żółta ochra w podmalówce? Tempera jajowa w jego farbach? Ale to tylko pytania techniczne. Geniusz jego malarstwa to znacznie więcej niż technika. Jest zupełnie niemożliwy do powielenia. Jak Markel mógł nawet pomyśleć, że będę w stanie stworzyć wiarygodne fałszerstwo tej cudownej bestii?

– Nie martw się, mam zamiar go oddać – mówi.

– Ale przecież dopiero go tu przyniosłeś. – Kiedy stoję tak blisko płótna, logiczne myślenie sprawia mi trudność.

– Oddać do Gardner Museum.

– Teraz?

W oczach Markela widać wesołe iskierki.

– Później. Jak już z nim skończysz. To jest to robienie dobra. Sprzedam zrobioną przez siebie kopię, a oryginał oddam do muzeum.

– Jeśli sprzedasz to jako oryginał, stanie się fałszerstwem, a nie kopią.

– Nazwij to ja chcesz. Najważniejsze, że arcydzieło Degasa zostanie zwrócone muzeum i światu. Całkiem dobra rzecz, nie uważasz?

Mówię, jakbym wychodziła z narkotycznego transu.

– Ale jakiś niewinny kolekcjoner straci na tym miliony.

– Nie taki niewinny. Pamiętaj, że ktokolwiek kupi ten obraz, będzie przekonany, że kupuje kradzione arcydzieło.

– Zupełnie jak ten... Jak mu tam było?

Pamięć mnie zawodzi.

– Wiesz, ten handlarz z Nowego Jorku, który robił duplikaty oryginalnych obrazów, a potem sprzedawał je jako oryginały. Imię na E... Ely Sakhai.

– Claire – mówi Markel. – Nie słuchasz mnie. Nie słuchasz nawet siebie samej. Zgadza się, Ely Sakhai podrabiał obrazy, a potem sprzedawał je jako oryginały. Ale to zupełnie co innego niż to, co robimy my. My zwrócimy oryginał jego prawowitemu właścicielowi. To zupełnie co innego.

– Ale kupujący dowie się o tym – oponuję. – Pójdzie na policję.

Znów te iskierki.

– I co powie? Że jego własne, skradzione arcydzieło okazało się fałszerstwem? Poza tym nie będzie miał pojęcia, kto sprzedał mu obraz. Wiem, jak chronić samego siebie.

Czuję, że Markel musi zwolnić z odpowiedziami. Udziela mi ich zbyt szybko. Ale moje pytania też nadchodzą w ekspresowym tempie.

– A co ze sprzedającymi? Nie będą wkurzeni?

– Dostaną pieniądze, co ich obchodzi reszta? – Markel wzrusza ramionami.

Nagle rozumiem, co tak naprawdę mnie niepokoi.

– A pozostałe obrazy? Reszta tych skradzionych z muzeum. Wiesz, gdzie one są.

Parzy mi prosto w oczy.

– Nie mam pojęcia.

Wytrzymuję jego wzrok.

– Wiesz, skąd wzięłeś ten.

– Właściwe to nie wiem.

– Ale...

– Zwrócił się do mnie ktoś z pytaniem, czy nie mam jakieś znaczącego klienta, który byłby zainteresowany ważnym dziełem sztuki. Odpowiedziałem, że najprawdopodobniej tak, choć to zależy od ceny. W dużym skrócie, rozmawiałem z wieloma osobami, które, jak sądzę, posługiwały się fałszywymi nazwiskami. Zresztą ja sam postępowiałem tak samo. I w końcu jedna z nich powiedziała mi, co dokładnie zamierzają sprzedać. Moją pierwszą odpowiedzią było: nie, nie jestem zainteresowany. Ale potem zacząłem myśleć o zwróceniu obrazu do Gardner Museum i wykuł mi się plan. Oddzwoniłem więc i powiedziałem, że znalazłem odpowiednią osobę.

– Chyba nie mówisz poważnie.

– Wyobraź sobie – mówi Markel ciepłym głosem – *Po kąpieli* znów na swoim prawowitym miejscu w Gardner Museum. Miliony szczęśliwych ludzi. Sprzedający dostaje swoje pieniądze, a kolekcjoner dostaje coś, co uważa za prawdziwego Degasa, dopóki z prasy nie dowiaduje się prawdy. Ale wtedy jest już za późno. Ty i ja jesteśmy z siebie bardzo zadowoleni. Nie wspominając o tym, że twoje własne prace zostają pokazane w sposób, na jaki zasługują.

– To nie może być aż takie proste.

– Alternatywą jest, że jakiś inny handlarz sprzeda go jakiemuś oszustowi, który najprawdopodobniej będzie trzymał obraz w ukryciu, posługując się nim na czarnym rynku jako zabezpieczenie w handlu bronią lub narkotykami. Nie będzie o niego dbał. Nikt go nigdy nie zobaczy. Możemy uratować *Po kąpieli* przed takim losem.

Nie do końca rozumiem, co dokładnie mówi i nie jestem pewna, czy ma to sens.

– Dlaczego po prostu nie zwrócisz go Gardner Museum od razu? Po co ci cała ta reszta?

– Muszę się chronić. I muszę pokryć moje koszty.

- Potrzebujesz pieniędzy?
- Nie bądź naiwna, Claire. Nie pasuje to do ciebie.
- A galeria? Wszystkie obrazy, jakie masz? – jestem naprawdę zdziwiona.

Markel waha się, potem mówi:

– Ostatnie parę lat było naprawdę ciężkich. Biznes nie idzie tak dobrze, wartość sztuki wcale nie rośnie. A alimenty są, jakie były.

– Ale przecież mógłbyś odebrać nagrodę.

– Nie, jeśli zwróciłbym obraz anonimowo. A nie mogę wpłacać w to mojego nazwiska ani galerii. Mimo obietnic, że nie będzie żadnego dochodzenia.

Markel najwyraźniej wszystko dobrze przemyślał, a ja nie mogę dopatrzeć się żadnych rażących dziur w jego logice. I w tym właśnie może tkwić cały szkopuł. W całej sprawie jest coś zbyt gładkiego, zbyt wygodnego. Ale zakładam, że to najmniejszy z moich problemów.

Odwracam się do obrazu. Przedstawia trzy akty wycierające się ręcznikami. To temat dość typowy dla obrazów Degasa namalowanych w jego późniejszych latach, ale tu ujęty jest w jego klasycznym, wczesnym stylu. Gęste warstwy żywych kolorów ułożone jedna na drugiej pozwalają wyrazić to, co niewyraźalne. Świetlistość obrazu Degasa rzeczywiście sprawia, że praca Meissoniera wygląda na nudną i siermiężną. Tak bardzo chcę go dotknąć, że muszę zacisnąć pięści, aby utrzymać ręce blisko ciała.

– Dla ciebie to życiowa szansa i to pod wieloma względami – mówi Markel. – Nie wspominając nawet o gigantycznym zastrzyku adrenaliny, jaki dostaniesz. Zawsze uważałem cię za osobę ceniącą sobie przygody. Dlaczego miałabyś nie spróbować?

– Powody są oczywiste – mamroczę.

– Dla mnie wcale nie są takie oczywiste.

Potrząsam głową.

– Claire?

W końcu wyszeptuję:

– Nie jestem wystarczająco dobra.

Śmiech Markela odbija się echem po całym studiu.

– Czyli źle zrozumiałem twój opór. Myślałem, że bierze się z jakichś nieuzasadnionych obaw moralnych.

Wypycham podbródek do przodu.

– Oczywiście, to też.

Puszczą do mnie oko i mówi:

– Daj mi znać, czego potrzebujesz.

Potem przechodzi przez pokój i zamyka za sobą drzwi.

Pokój jest spowity w ciemności, a ja leżę na materacu. Nie spałam przez większość nocy. Obecność *Po kąpieli* jest niemal ludzka: masywna, oddychająca, niepokojąca, a przy tym dodająca otuchy. Trochę tak, jakby był tu ze mną zmartwychwstały Degas: jego geniusz, jego pociągnięcia pędzla, jego serce.

Myślę o Gardner Museum, o pustych ramach, które wiszą na ścianach Pokoju Niebieskiego, Pokoju Holenderskiego i Małej Galerii. Ramy są puste, bo w nich właśnie znajdowały się skradzione obrazy. Teraz przypominają o stracie i spokojnie czekają na powrót tego, co stanowi ich rację bytu. Od czasu kradzieży byłam w muzeum wiele razy i zawsze zatrzymywałam się przed tymi ramami, żeby pomyśleć o losie arcydzieł.

Wiele napisano na temat kradzieży w Gardner Museum, ale wiadomo o niej bardzo niewiele. A raczej ci, którzy coś o niej wiedzą, milczą. Nagroda w wysokości pięciu milionów dolarów, obietnica braku pytań i braku dochodzenia i nadal cisza. Sprawa się już przedawniła, a nadal nie ujawnił się nikt z choćby najmniejszą poszlaką. W tej globalnej, internetowej wiosce, w jakiej żyjemy, wydaje się to niemożliwe. A jednak tak właśnie jest.

Wychodzę z łóżka, zapalam światło i staję przed obrazem. Cóż za przepiękna istota! Żywa, a jednak bardziej jak wyobrażenie życia niż jak życie takie, jakim jest. Płótno kipi wręcz kolorami i emocjami. Znowu czuję, jak do oczu napływają mi łzy, ale tym razem pozwalam im swobodnie płynąć po policzkach. Powinnam zwrócić go do Gardner Museum od razu. To nie w porządku ukrywać takie dzieło przed światem. Ale wcale nie chcę

go oddać. Chcę z nim mieszkać, spędzić z nim czas, namalować go. Wiem, że nie powinnam, ale wyciągam rękę i delikatnie dotykam placem tuż nad dłonią aktu po prawej. Siedzi z jedną nogą uniesioną i wyciera ręcznikiem kostkę. Nazywam ją Françoise. Pozostałe dwie to Jacqueline i Simone.

Z zewnątrz Isabella Stewart Gardner Museum jest, delikatnie mówiąc, rozczarowujące. Fasada jest jednolita, prawie nieskażona oknami czy dekoracjami. Nieprzyjazna forteca. Kiedy pierwszy raz je zobaczyłam, musiałam mieć około siedmiu lat. Płakałam, gdy mama powiedziała mi, że to jest to muzeum, którym się tak zachwycała. Ale kiedy weszłam do środka, łzy szybko wyschły.

Tym, co wzbudziło zachwyty siedmioletniej dziewczynki, jest fakt, że muzeum jest odwróconym na lewą stronę ozdobnym pałacem weneckim. Zamiast kanałów, wewnętrzne ściany otacza magiczny czteropiętrowy centralny dziedziniec. Swoista szklarnia. Dach jest przeszklony, a podłoga to zmysłowy ogród wypełniony wolnostojącymi kolumnami, kapryśnymi XII-wiecznymi stylobatami o głowach lwa i innymi rzeźbami. W samym środku znajduje się rzymska mozaika otoczona wiecznie zmieniającymi się kompozycjami kwiatowymi i krzewami. Para wysokich palm sięga aż do słońca, wystając ponad trzecie piętro.

Wszystkie cztery ściany, które wznoszą się na co najmniej osiemnaście metrów, poprzecinane są łukami o kamiennym froncie, figlarnie powycinanymi drzwiami i oknami, marmurowymi balustradami i wyeksponowanymi schodami, zalanymi kwiatami i zielenią. Pomieszczenia znajdujące się wokół dziedzińca stanowią najważniejszą część całego muzeum. Isabella Gardner zbudowała to dzieło, by w nim mieszkać, zmieścić w nim swoją kolekcję sztuki i by zostawić je ludziom po swej śmierci.

Przyszedłam tu, by zjeść lunch z Rikiem. Ale wcześniej wchodzę po schodach na drugie piętro i przechodzę przez Galerię Malarstwa Wczesnowłoskiego i pokój Rafaela, prosto do Małej Galerii. Czuję, że muszę zobaczyć puste ramy *Po kąpeli*. Pomieszczenie ma około trzech metrów szerokości i jest chyba najgorszym miejscem, w jakim można



powiesić obraz tak duży, jak *Kąpiel*. Ale to ekscentryczna Isabella sama zdecydowała, gdzie umieścić każde z jej dwóch tysięcy pięciuset dzieł sztuki i ustanowiła testament, na mocy którego nic w muzeum nie mogło zostać zmienione, usunięte lub dodane. Nigdy.

To właśnie jej silna osobowość stworzyła miszmasz, jakim jest Gardner Museum. W przeciwieństwie do jasnego i przestronnego dziedzińca zaciemnione galerie wypełnione są niepasującymi do siebie meblami, sztuką i przypadkowymi świecidełkami. Nad drzwiami wiszą bezcenne obrazy, a stare, liczące trzy tysiące lat rzeźby poukrywane są po kątach.

Słabe oświetlenie i ciasne przestrzenie sprawiają, że cały ten bałagan sprawia klaustrofobiczne wrażenie. Chyba ani jedna praca nie jest tu pokazana w korzystny dla niej sposób. Od 1924 roku, a więc od czasu śmierci Isabelli, muzeum wygląda tak, jak życzyła sobie jego założycielka. Jest czarujące i kapryśne, zupełnie jak ona sama. Tylko złodzieje dali radę lekko zmienić to miejsce.

Podchodzę do pustej ramy, pustej obudowy, w której żyło kiedyś *Po kąpeli* i ogarnia mnie wstyd. Wciskam się w kąt, staram się wyglądać niepozornie, mając nadzieję, że nikt mnie nie zauważy i nie zobaczy mojego poczucia winy. Ale nikt nie zwraca na mnie uwagi. Kiedy wreszcie udaje mi się zrelaksować i wyprostowuję się, ku mojemu zaskoczeniu czuję zastrzyk adrenaliny. Prawie mnie przewraca. Nagle wypełnia mnie radość. Mam *Po kąpeli*! Jest w moim własnym studiu, gdzie śpię i maluję. Arcydzieło Degasa, na które mogę patrzeć i które mogę wahać, kiedy tylko mam na to ochotę. Mogę nawet zdobyć się na największe muzealne świętokradztwo i dotknąć go. A do tego będę częściowo odpowiedzialna za jego szczęśliwy powrót do domu.

Obserwuję przechodzących obok ludzi, patrzących ze smutkiem na puste miejsce, zastanawiających się, tak jak ja zawsze zastanawiałam. Mam przemożną potrzebę powiedzieć im, wykrzyczeć światu, że obraz jest mój, tylko mój. Odwracam się nagle i opuszczam pomieszczenie. Uspakajam się w drodze do kawiarenki, ukrytej za maleńką księgarnią na pierwszym piętrze.

Rik i ja witamy się, obejmujemy, wymieniamy uprzejmościami i nowymi plotkami, zamawiamy jedzenie, a potem zadaję mu parę pytań na temat kradzieży.

– Skąd to nagłe zainteresowanie? – pyta.

Wzruszam ramionami.

– Zawsze byłam zainteresowana. Chyba każdy jest.

Rik zjada kawałek swojego burgera.

– Założę się, że informacja, jakoby Whitney Bulger zawiózł je z sobą do Argentyny jest tak samo fałszywa jak cała reszta poszlak w tej sprawie.

– Myślisz, że nie mógłby ich tam mieć? Jeszcze zanim został aresztowany? Może nadal tam są?

– Nie. Nigdy nie wierzyłem, że Whitney albo ktokolwiek inny z bostońskiej mafii miał jakikolwiek związek z tą sprawą. Gdyby złodziejami była grupa mafijna, sprzedaliby większość prac od razu i co najmniej parę z nich już dawno by wypłynęło.

– Więc kto to zrobił?

– Wydaje mi się, że ktoś z Europy. Ta akcja wymagała dobrego planowania, przebieranek i ukrywania się. A tak właśnie działają złodzieje obrazów w Europie.

– Tu nie?

– Prawie nigdy.

– Myślisz, że obrazy są w Europie?

– Teraz mogą być wszędzie – mówi Rik. – Wiele osób uważa, że są ukryte na strychu jakiegoś chciwego kolekcjonera. Ale ja myślę, że służą jako zabezpieczenie w handlu bronią i narkotykami. Czasami grupy terrorystyczne wymieniają skradzione obrazy za uwięzionych towarzyszy.

Markel też do tego nawiązał.

– A nie jak Dr No w Bondzie?

– Dla przestępców tak jest wygodniej. Trudno sprzedać obrazy od razu, bo wszyscy wiedzą, że zostały skradzione. Więc używają ich na czarnym rynku. Załóżmy na przykład, że chcesz kupić kokainę za milion dolarów. Wiesz, że możesz sprawić, by za tydzień była warta cztery miliony. Nie

masz tego miliona, ale masz Rembrandta, wartego co najmniej trzydzieści milionów. Więc oferujesz finansjerowi obraz jako zabezpieczenie i kolejny milion, gdy transakcja zostanie sfinalizowana. Jeśli transakcja się nie powiedzie, finansjer zostaje z czymś, co jest warte znacznie więcej niż pieniądze, który pożyczył. Jeśli się powiedzie, zostaje z dwukrotnością tego, co ci pożyczył, a obraz zwraca tobie. Więc ty kończysz z dwoma milionami na czysto oraz z obrazem wartym trzydzieści milionów. I możesz znów wykorzystać ten schemat, jeśli nadarzy się taka okazja.

– Świetne dla złodziei, podłe dla obrazów.

– Dokładnie – mówi Rik. – To, co się z nimi dzieje, jest straszne. Są ukrywane w miejscach, gdzie jest zbyt mokro, za gorąco lub za zimno. Są wycinane z ram. Darte. Niszczone. – Kładzie rękę na brzuchu. – Od samego mówienia robi mi się niedobrze.

Ja też czuję mdłości, gdy myślę o takiej dewastacji.

– Krwawe obrazy.

– Jak krwawe diamenty? – Rik śmieje się smutno. – Ale zamiast ludzi wykorzystywana jest sztuka. Czasem nawet masakrowana.

Nie chciałabym, aby taki los spotkał *Po kąpieli*.

Kiedy opuszczam muzeum, lecę do domu, by znów być z moją *Kąpielą*. Trochę jakbym się śpieszyła, żeby być z nowym kochankiem: czuję ekscytację, pragnienie, pozornie niekończący się przyływ serotoniny. Zdejmuję prześcieradło z płótna i oto jest. Całe i zdrowe. Piękniejsze nawet niż pamiętałam. Ustawiam je na dużych sztalugach i wyciągam składane krzesło, by móc siedzieć naprzeciwko i napawać się.

Za każdym razem, gdy na nie patrzę, widzę coś nowego. Teraz zauważam, jak dużo jest w nim zieleni. Nie widziałam tego wcześniej, bo błękitny i pomarańczowy tętnią życiem, a delikatna skóra przedstawionych kobiet jest blada i świetlista. Jednak to zielenie wypełniają cały obraz spokojnie rozciągając się za wszystkimi ostrzejszymi barwami.

Patrzę na twarze namalowanych kobiet. Wszystkie są ujęte z profilu, jednak każda jest zupełnie inna. Większość kąpiących się Degasa jest albo

namalowana od tyłu, albo mają twarze zasłonięta rękoma. Czasem są tylko luźno naszkicowane. Tutaj ujęcia są indywidualne. Rudowłosa Françoise o ostrym nosie siedzi po prawej stronie z wyciągniętą nogą. W środku Jacqueline, wysoka i potężna, patrzy przez ramię na podniesione kolano, które Françoise wyciera ręcznikiem. Simone, introwertyczna, z rysami zbyt drobnymi jak na jej okrągłą twarz, suszy włosy kucając u stóp Jacqueline.

Mający zbyt dużo czasu historycy sztuki od dziesięcioleci spierają się, czy Degas był naprawdę impresjonistą. Ci, którzy mówią, że nie, wskazują, że nie malował on na świeżym powietrzu, jak większość impresjonistów, a także, że nie używał śmiałych plam barwnych, by uchwycić przemijającą chwilę. Zamiast tego robił dziesiątki szkiców i dokładnych rysunków, a potem pracował powoli, w swoim własnym studiu.

Ale dla mnie te kłótnie to czysta semantyka, mentalna masturbacja. Prawda, Degas nie malował spontanicznie *au plein air*, ale wypracował swój własny sposób na oddanie widzowi ulotnej chwili: ruch koni wyścigowych i baletnic, przedstawienia zwykłej modystki, praczki lub kąpiących się przyłapanych na nieświadomym ruchu.

Odwracam się od *Kąpieli* i kucam przy stosach książek, które piętrzą się przy północnej ścianie studia. Mam tu parę stosików poświęconych Degasowi: biografie i krytykę, książki o jego rysunkach, drukach i obrazach, pamiętniki i zbiory listów, notatki z wykładów. Mam też dwie książki poświęcone tylko jego szkicom przygotowawczym. Nie wspominając o wszystkich książkach bibliotecznych, w większości przetrzymanych, na temat jemu współczesnych. Używałam ich, by przygotować konspekt mojej książki.

Wyciągam jego szkicowniki i zanoszę je w pobliże mojego krzesła. Otwieram pierwszy i przeglądam szkice do różnych kąpiących się. Degas często używał tych samych modelek w wielu obrazach. Szukam więc Simone, Jacqueline i Françoise.

Znajduję parę wizerunków Simone. Teraz odwracam się do obrazu, by przyjrzeć się bliżej Jacqueline. Znów uderza mnie siła *Po kąpieli*. Chociaż jestem pewna, że mogę odtworzyć technikę artysty tak, by fałszerstwo się

nie wydało – mogę zedrzeć farbę ze starego płótna Meissoniera, pomieszać odpowiednie XIX-wieczne pigmenty, mogę użyć odpowiednich starych pędzli – to jednak nie mam pojęcia, jak odtworzyć dominujący charakter arcydzieła Degasa. Ale *Po kąpieli* wyciąga do mnie dłoń, chwyta mnie za serce i wiem, że po prostu muszę spróbować.

Sumiennie pracuję nad kopią Pissarro dla Repro, ale tak naprawdę pragnę jedynie oglądać szkice Degasa, by odnaleźć moje trzy panie, a może nawet szkice kompozycyjne do całości obrazu. Umawiam się sama z sobą: jeszcze godzina z Pissarro, a potem robię sobie przerwę na przejrzenie książek. Cokolwiek robię, to pieniądze z Repro pokrywają mój wynajem. Poza tym, jak słusznie zauważył Markel, Repro daje mi przykrywkę.

Właśnie przymierzam się, by kontynuować pracę nad Pissarro, kiedy do pracowni wchodzi Markel z drogo wyglądającą butelką szampana i dwoma kryształowymi kieliszkami. Musiał pamiętać, że ostatnio poczęstowałam go winem w szklankach po soku. Wznosimy toast z okazji naszej umowy oraz za powrót skarbu do Gardner Museum. Zdejmuję prześcieradło z *Kąpieli*. Markel robi mały krok do tyłu, jakby rażony siłą obrazu. To jasne, że czuje dokładnie to samo, co ja. Wskazuję mu składane krzesło, sama przyciągam sobie fotel bujany. Siedzimy w milczeniu, popijamy szampana i patrzymy na obraz.

– Jak dwoje starych ludzi patrzących na zachód słońca – mówi.

– Czasami płaczę, gdy nie niego patrzę.

Cisza, a potem:

– Ja też.

– Wczoraj byłam w Gardner Museum – mówię.

– Patrzyłaś na pustą ramę?

Kiwam głową, ale nie przestaję patrzeć na obraz.

– Nie czułaś się tak winna, jak myślałaś, że będziesz, prawda?

– Dlaczego tak mówisz?

– Tak było, prawda?

– Oczywiście, że nie – mówię z pełną powagą. – Miałam poczucie winy.  
Myślałam nawet, żeby go oddać.

– Ale tego nie zrobiłaś.

Wzruszam ramionami.

Śmiech Markela jest ciepły i wyrozumiały, bez cienia wywyższania się.

– Zakochałaś się w nim.

– Czy to aż tak oczywiste?

Stuka swoim kieliszkiem w mój, nasze oczy spotykają się.

– Rozpozna swój swego.

– Te twarze są tak indywidualistycznie, zupełnie inne niż w większości jego aktów.

Markel patrzy na dwie książki ze szkicami, które leżą na podłodze pod jego stopami.

– Znalazłaś którąś z postaci?

– Dopiero zaczęłam szukać. Wśród szkiców nie ma zbyt wiele twarzy, ale wydaje mi się, że znalazłam parę szkiców Simone.

– Simone?

– Françoise, Jacqueline i Simone – mówię, wskazując na każdą z nich po kolei. – Ciężko kochać się w kimś, kogo imienia nie znasz.

## 9

### *Trzy lata wcześniej*

Markel i Karen Sinsheimer, starsza kuratorka z MoMA, stali naprzeciw 4D, opartego o sztalugę w studiu Isaaca. Isaac i ja trzymaliśmy się z tyłu.

Karen, wysoka i smukła, ubrana w strój, który prawdopodobnie kosztował więcej niż mój miesięczny czynsz, podeszła bliżej obrazu. Zrobiła parę zdjęć telefonem, coś zapisała. Jej włosy w kolorze jasnego blondu, młodzieńcza twarz i szczupłe ciało dawały wizerunek, nad którego osiągnięciem na pewno długo pracowała: rozsądna, twarda profesjonalistka z Nowego Jorku.

Nikt nic nie mówił. Patrzyliśmy na płótno. Wino i orzeszki leżały nieruszone na stoliku. Isaac przestępował z nogi na nogę. Ja starałam się wyglądać na średnio zainteresowaną, jakby 4D było tylko kolejnym z obrazów Isaaca, a sama wizyta tak samo istotna, jak wszystkie pozostałe.

To był pierwszy raz, gdy ktokolwiek prócz nas zobaczył 4D. Karen przyjechała tu, by zdecydować, czy zaakceptować go na wystawę w MoMA. Akceptując go, potwierdziłaby autentyczność płótna. Markel był tu w roli handlarza prac Isaaca, ale jego opinia była dla nas tak samo ważna, jak opinia Karen. Markel znał prace Isaaca lepiej niż ktokolwiek inny. Jeśli on dałby się nabrać, jesteśmy w domu.

Żałowałam, że nie przygotowałam wody. Chciałam się napić, ale nie śmiałam się ruszyć. Zarówno Isaac, jak i ja byliśmy niespokojni i poddenerwowani, jeszcze zanim się pojawili. Wiedzieliśmy dokładnie, co zrobiliśmy, ale nie wiedzieliśmy, co z tego wyniknie. Spojrzałam na Karen, która robiła właśnie zdjęcia moich klepsydr, i na Markela, który też na nie patrzył. Bałam się, że zemdleję. Isaac był chyba w podobnym stanie.

Wcześniej próbowałam przekonać go, by powiedział mi, jak się czuje. Ale, jak to zwykle Isaac, robił uniki, żartował, potem robił jeszcze większe uniki. Może nie chciał mówić, może sam nie wiedział, co o tym myśleć.

Dla mnie sprawa była prosta. Namalowałam 4D w prezencie. Żeby mu pomóc, kiedy potrzebował tej pomocy, żeby wyprowadzić go ze złej ścieżki.

4D było dla mnie pomostem, który miał przenieść go do jego kolejnego obrazu. I bardziej niż czegokolwiek innego pragnęłam, by Karen i Markel przekonali się do tego obrazu, by zawisnął na wystawie, by Isaac poszedł do przodu i zaczął malować tak, jak tylko on potrafił.

Karen odwróciła się od obrazu i wyciągnęła do Isaaca dłoń.

– Gratulacje, Isaac. Jest cudowny. Więcej niż cudowny. Lepszy niż jakakolwiek z twoich wcześniejszych prac. Biorę go.

Nie zdawałam sobie sprawy, że wstrzymuję oddech, dopóki nie usłyszałam, jak powietrze uchodzi ze mnie ze świstem. Zarzuciłam ramiona wokół Isaaca i uściśnęłam go długo i mocno. Prawie nie odwzajemnił. Szok. Szok i ulga. Odsunęłam się, uśmiechając.

– Świetne, fantastyczne – Markel poklepał Isaaca po plecach – Zgadzam się. To może być twój najlepszy obraz.

Wiedziałam, że to nie była tylko typowa gadka handlarza. Markel naprawdę tak myślał.

– Dzięki – powiedział sztywno Isaac, jakby był w transie. – Dziękuję wam. – Potem spojrzał na mnie. – I wielkie dzięki tobie.

Gdy cała trójka skupiła się wokół obrazu, ja poszłam do zamrażalki i wyciągnęłam butelkę szampana, którą schowałam za lodami.

– Szampan? – zawołałam.

Markel podszedł i wziął ode mnie butelkę.

– Czy mogę pełnić honory?

Poszperałam po szafkach w poszukiwaniu kieliszków do wina i wręczyłam je Markelowi.

– Opijanie czas zacząć!

Kiedy skończyliśmy szampana i przeszliśmy na wino, Isaac zaczął się rozluźniać. Stał się wręcz bardzo rozmowny.

– Praca z czasem w kompletnie nowym wymiarze naprawdę otworzyła mi oczy. Do tej pory obrazy z tego cyklu dotyczyły tematu czasu w znaczeniu linearnym, płaskim, ledwo zahaczając o nasze doświadczenia. Ale 4D otworzył nowe wrota, pociągnął mnie w zupełnie innym kierunku, nadał całości głębi. – Potrząsnął głową, jakby chciał coś strzepnąć. – Nawet nie pamiętam, jak wpadłem na ten pomysł. – Wtedy jego oczy spoczęły na



moich i uśmiechnął się – To była Claire. – Skierował kieliszek w moją stronę. – Wypijmy za moją wspaniałą, utalentowaną i piękną Claire. – Wznieśliśmy toast, a potem nachylił się do mnie i pocałował. – Która też ma wielki talent. Niedługo, Karen, będziesz pokazywała jej prace.

– Bardzo chciałabym je zobaczyć – powiedziała Karen.

– Możesz pożałować, że to powiedziałaś – ostrzegłam. – Mam twój numer.

Może karma naprawdę istnieje. Mała zawsze tak uważała. Może to właśnie będzie moją zapłatą za pomoc Isaacowi?

– Zadzwoń, proszę. Prześlij zdjęcia. Za około miesiąc będę znów w Bostonie, więc jeśli spodoba mi się to, co zobaczę, wpadnę do Ciebie na wizytę studyjną. – Karen Sinsheimer była po prostu uprzejma, a ja wiedziałam, że to, co mówi, mogło nie mieć żadnego znaczenia. Ale mogło też mieć bardzo duże.

– Oj, będziesz chciała przyjść na wizytę – powiedział Markel. – Prace Claire są zupełnie inne od prac Isaaca – wskazał na 4D. – Trochę jak dzień i noc. Ale ma świetne oko i jeszcze lepszy pędzel. Jakość jej kolorów jest naprawdę niezwykła.

– Amen – powiedział Isaac i ścisnął moje ramię, a potem odwrócił się do Karen, by kontynuować swój wywód. – Wiesz, robiąc 4D, myślałem o cyklu w cyklu, o temacie czasu w różnych wymiarach. Najpierw kropki, potem linie, potem cały świat, potem przez wszechświat, czarne dziury. Kto wie, gdzie mnie to zabierze.

– Brzmi interesująco – powiedziała Karen. Ale tak Isaac, jak i cała reszta obecnych wiedziała, że „interesująco” to ładne określenie na „nudno”. – A może po prostu zatrzymam się na tym czwartym wymiarze – dodał. – Czas jako rzeka, zawsze płynący, zawsze obecny. – Wrzucił do buzi parę orzeszków nerkowca. – Pod prąd w przyszłość, z prądem w przeszłość. A wszystko to, wraz z teraźniejszością, istnieje symultanicznie. Musisz po prostu unieść się wystarczająco wysoko nad nim, może wręcz do piątej przestrzeni, żeby zobaczyć, czym naprawdę jest. Żeby wiedzieć, gdzie do niego wejść i gdzie z niego wyjść.

– Teraz to brzmi bardzo dobrze – powiedziała Karen z prawdziwym entuzjazmem. – Mów dalej.

Isaac oparł się na krzesło, zaplótł ręce za szyją i spojrzał w sufit.

– Widzę ruch. Płynna, grubo nałożona farba podąża do przodu i do tyłu, nad i pod sobą. Mokra na mokrym. Przedziera się przez warstwy, by odsłonić to, co pod spodem. Przedziera się przez warstwy czasu. Wszystko jest tam, ale nad i pod sobą. Niektóre warstwy widać, inne są prawie niewidoczne, jeszcze inne zostały stłamszone i ukryte pod kolejną warstwą czasu.

Staram się uchwycić jego spojrzenie, gdy wypowiada moje słowa i posługuje się moimi pomysłami, ale jego wzrok skupiony jest na suficie.

– Brzmi świetnie – Karen wskazuje na 4D. – A 4D to doskonały początek, twój start do prawdziwej eksploracji tego...

– ...kim jesteśmy – przerywa Isaac. – Gdzie się znajdujemy względem kosmosu. Jak to wszystko do siebie pasuje.

– Daj znać, jak już coś będzie gotowe. Ale pomyśl, by dodać więcej tego – Karen wskazuje na półksiężyc. – Uwielbiam warstwy znaczeń, granie z różnymi stylami na osi czasu.

– Już o tym myślę – zapewnił ją Isaac.

Spojrzała na zegarek, wstała i odłożyła na stół swoje okulary.

– To było naprawdę świetne popołudnie. Doskonale się bawiłam – odwróciła się do Markela. – Muszę złapać następny lot, ale jeśli chcesz przejechać się ze mną taksówką na lotnisko, będziemy mieli czas, by porozmawiać i ustalić szczegóły.

Markel oczywiście się zgodził. Podaliśmy sobie dłonie i pogratulowaliśmy nawzajem. Były całusy, uściski i dużo śmiechu. Kiedy wychodzili, Karen przypomniała, bym do niej zadzwoniła. Obiecałam, że tak zrobię.

Kiedy wyszli, Isaac przyciągnął mnie i mocno przytulił.

– Nigdy nie będę w stanie podziękować ci w sposób, w jaki bym chciał – wyszeptał mi do ucha.

– Cóż, Karen Sinsheimer chce spojrzeć na moje prace. Jak dla mnie to wystarczające podziękowanie.

Zanurzył nos w moich włosach.

– Nigdy, nigdy, nigdy nie będę w stanie ci się odwdzięczyć.

– Nie zależy mi na odwdzięczeniu się, Saac. Chcę tylko, byś poszedł do przodu.

Ale pochwały dla 4D nadal dźwięczały w moich uszach.

„Lepszy niż jakakolwiek z twoich wcześniejszych prac”, powiedziała Karen.

„To może być twój najlepszy obraz”, wtórował jej Markel.

## 10

Robię, jak powiedział Markel. Otwieram trzy konta w trzech różnych bankach: dwa oszczędnościowe i jedno bieżące. Za radą osoby otwierającej mi jedno z kont kupuję też parę certyfikatów depozytowych i wpłacam czek na moją kartę debetową w jeszcze innym banku. Wbrew temu, co podejrzewał Markel, nie posiadam oddzielnego konta firmowego. Jeden czek wystawiam dla wynajmującego moje studio, drugi wrzucam do skrzynki pocztowej, żeby spłacić część pożyczki studenckiej. Do „Materiałów Plastycznych Al” idę z pustym, bo nie pamiętam już, ile powinnam jej oddać. Wszystko to sprawia, że czuję się bardzo, bardzo dobrze. Rozmyślam, jak cudownie będzie mieć działający aparat w telefonie.

„Materiały Plastyczne Al” znajdują się na Shawmut Avenue, niedaleko mojego studia. Sklep jest dokładnie wszystkim, czego można oczekiwać od miejskiego sklepiku z artykułami plastycznymi: to ciasny, maleńki klocek pełen wypchanych regałów, półek, rzędów wąskich szuflad z farbami, a wszystko to spowite w przepyszny zapachu terpentyny, farb i kurzu. Mój przyjaciel pisarz powiedział mi kiedyś, że gdy wchodzi do biblioteki w dowolnym miejscu na świecie, zapach sprawia, że od razu czuje się tam, jak w domu. Ja mam tak samo w przypadku sklepiku Al.

To, co zaskakuje, to sama Al. Na początku myślałam, że jest tylko pracowniczką, podczas gdy prawdziwa Al, właścicielka, którą wyobrażałam sobie jako osobę starszą i zrzędlivą, nieustannie robi inwentaryzację gdzieś na zapleczu. Nawet, kiedy powiedziała mi, że nazywa się Al, zajęło mi trochę czasu, zanim skojarzyłam fakty. Al jak Alwina. Z zewnątrz sztywna i piękna, w środku prawdziwa mamuśka.

– Przepiękna Claire – wykrzykuje, kiedy wchodzę do środka. Wychodzi zza wysokiej lady i ściska mnie. – Tak myślałam, że wpadniesz w tym tygodniu. Że muszą ci się już kończyć materiały. – Odsuwa się. – Czy ty przypadkiem nie schudłaś? Zapominasz jeść? Czy chcesz, żeby porwał cię wiatr? – Wzdycha. – Oczywiście, jest ci z tym do twarzy.

– A tobie nie?

Głęboko miedziany kolor skóry Al, jej niezwykle kości policzkowe i smukłe ciało przywodzą na myśl kenijskich biegaczy, którzy zawsze wygrywają bostoński maraton. Al twierdzi, że jest potomkinią amerykańskich niewolników. Ma krótko przycięte włosy, a w każdym uchu co najmniej pół tuzina dziurek, z których zwisają różnego rodzaju piękne kolczyki.

Po tym, jak uregulowałam rachunek, kieruję się na tyły sklepu, żeby wybrać kilka rzeczy potrzebnych do rozpoczęcia pracy nad *Kąpielą*. Nie jestem nawet bliska momentu, żeby zacząć malować obraz. Ale w czasie, kiedy się uczę i szkicuję, mogę zabrać się za oczyszczanie Meissoniera. Proces, w zależności od stanu płótna, może zająć od kilku dni do kilku tygodni.

Biorę aceton jako rozpuszczalnik, rektyfikowaną ropę naftową jako utrwalacz, a także kilka paczek waty. Obraz Meissoniera jest duży, a ja będę musiała często zmieniać waciki, żeby utrzymać płótno w czystości. Biorę też butelkę wody utlenionej i trochę bibuły, bo zakładam, że stare podobrazie będzie pożółkłe i będę musiała je wybielić. Kto by pomyślał, że tak bardzo przyda mi się Ellen Bonanno i jej obsesja na temat autentyczności obrazów. Podczas jej wykładów w Repro wymienialiśmy znaczące spojrzenia, gdy kazała nam rozbierać płótno, wiedząc, że nie ma mowy, aby Repro kiedykolwiek wyłożyło pieniądze na tak drogą procedurę. Kiedy zacznę już malować moją wersję *Kąpeli*, będę potrzebowała wszystkiego: od pędzli, przez farby, po werniks, ale nie rozpracowałam jeszcze, jakich dokładnie materiałów używał Degas, więc z zakupami będę musiała trochę poczekać. Teraz kupuję jeszcze dużo srebrnej farby dla Xaviera. Potem wracam do domu.

Kiedy wchodzę do studia, zamiast zacząć pracę nad Meissonierem, siadam na krześle przed *Kąpielą*. Ze stosu na podłodze podnoszę dwie książki ze szkicami Degasa i wertuję je. Ale nawet kiedy ze zwykłego wertowania przerzucam się na uważne przyglądanie się, nadal nie znajduję tego, czego szukam. Dziwne. Znalazłam już kilka szkiców Simone i Jacqueline, ale nigdzie nie ma Françoise. Degas miał obsesję na punkcie rysunków, był znany z tego, że potrafił zrobić dwadzieścia do trzydziestu opracowań dla jednego tylko obrazu. Gdzie są więc szkice Françoise?

Oczywiście muszą gdzieś być, a przynajmniej kiedyś gdzieś były. Żadna z moich książek nie daje gwarancji, że zawiera każdy rysunek, jaki Degas kiedykolwiek stworzył, ale jedna ma tytuł *Edgar Degas: Szkice i rysunki, 1875–1900*, obejmuje więc dokładnie ten okres, w którym malarz namalował cykl kąpiących się. Degas znany jest z korzystania z tych samych modeli, a nawet tych samych szkiców w wielu obrazach. I chociaż zmieniał kompozycję każdej swojej pracy, to jednak często zdarzało się, że ta sama modelka, często w podobnej pozie, pojawiała się na kilku kolejnych obrazach. Nadaje to jego cyklom malarskim niezwykłą spójność.

Znajduję coś, co wygląda jak rysunki kompozycyjne do *Kąpeli*. Podczas gdy postaci Simone i Jacqueline są identyczne z modelkami na moim obrazie, Françoise wygląda zupełnie inaczej. Na szkicu ta nie-Françoise ma inne ciało i stoi, a nie siedzi, tworząc asymetryczną kompozycję, charakterystyczną dla większości obrazów Degasa. Szkoda, że cały szkic to zaledwie kilka linii określających twarz.

Czy to możliwe, że istnieje szósta wersja *Po kąpeli*? W końcu nie raz zdarzało się, że ktoś odnalazł gdzieś na strychu oryginalny obraz setki lat po jego namalowaniu. Chociaż bardziej prawdopodobne jest to, że Degas planował namalowanie szóstego obrazu cyklu, ale nigdy tego nie zrobił.

Skupiam się na znalezieniu większej liczby różnic między dwiema kobietami. Na obrazie przede mną Françoise jest potężna i solidnie zbudowana, jak prawie wszystkie kąpiące się Degasa. Jego szkice przedstawiające nie-Françoise pokazują kobietę mniejszą i bardziej delikatną, o drobnej talii.

Chociaż nie wiem tego na pewno, bo twarz ze szkiców jest ledwie zarysowana, to modelka na rysunku nie wydaje się tak ładna, jak ta na obrazie. Możliwe więc, że Degas zwyczajnie zastąpił ją kimś bardziej atrakcyjnym. Ale gdzie w takim razie są szkice do ostatecznej wersji *Françoise*?

Patrzę na rysunki, patrzę na *Kąpiel*. I tak w kółko. Podchodzę do mojego stosiku książek o Degasie i znajduję więcej kąpiących się, z których wszystkie są solidnie zbudowane. Nie ma wśród nich ani jednej wyciętej talii. Jak poprzednio, jest tu sporo rysunków i obrazów przedstawiających Simone i Jacqueline, ale nawet śladu po *Françoise*.

Bostońskie Muzeum Sztuk Pięknych (MFA) to zupełna odwrotność Gardner Museum. Od wielkiego wejścia otoczonego kolumnami korynckimi po ultranowoczesne dodatki, wszystko bije tu jasnością, otwartością i zachęca do podziwiania. Wysokie sufity i rozległe przestrzenie wypełnione zarówno sztucznym, jak i naturalnym światłem dodają dziełom sztuki blasku i pozwalają odwiedzającemu doświadczyć ich w pełni. Nie ma tu bałaganu, jest za to dużo wygodnych ławek i można używać długopisów. Nawet aparatów.

W zbiorach muzeum znajduje się ponad siedemdziesiąt obrazów, rysunków, grafik i rzeźb Degasa. Kilkanaście prac to obrazy olejne na płótnie. Tylko pięć z nich jest wystawionych, kiedy tam przychodzę. Reszta jest wypożyczona lub w magazynie.

Moim ulubionym z tej piątki jest *Na wyścigach na wsi*. To portret młodej pary, męża i żony siedzących w powozie z niemowlęciem i mamką. Niebo jest idealnie błękitne i zajmuje całą górną połowę obrazu. Kilka małych koni i namiotów rozproszonych jest w oddali, co nadaje obrazowi głębi i pogodnego charakteru. Chociaż uważany za część cyklu wyścigów konnych, obraz nie pokazuje praktycznie nic związanego z wyścigami. Degas był znanym żartownisiem, jestem więc pewna, że ten tytuł jest najzwyczajniejszym w świecie żartem.

W przeciwieństwie do swobodnej, sielankowej atmosfery *Wyścigów*, pozostałe cztery obrazy – dwa portrety ojca Degasa, jeden jego siostry i szwagra i jeden jego ciotki z córkami – są ciemne, o bogatym, emocjonalnym ładunku smutku i samotności. Chociaż Degas nigdy się nie ożenił, a wieść niosła, że romansował niewiele (z mężczyznami i z kobietami), to był podobno bardzo oddanym i kochającym członkiem dużej, wielopokoleniowej rodziny. Ponury charakter tych portretów każe się zastanowić, czy na pewno.

Ale nie jestem tutaj, żeby oceniać obrazy, ani żeby dokonywać psychoanalizy osobowości Degasa. Jestem tu po to, by przypatrzeć się, jak tworzył kompozycje, jak wyglądały jego pociągnięcia pędzlem, jakich technik używał, jak stawiał linie, jak malował cień, światło i ruch. Chociaż mam oryginalny obraz w domu, to moja kopia wyjdzie znacznie lepiej, jeśli zanurzę się w świat Degasa tak bardzo, jak to tylko możliwe.

Trzy z obrazów wiszą w galerii impresjonistów, jeden w XIX-wiecznej europejskiej, a ostatni w rotundzie łączącej z salami Dawnych Mistrzów. Galerie przylegają do siebie, więc chodzę od obrazu do obrazu, a potem znów wracam. I tak w kółko. Zanim skupię się na szczegółach, chcę zrozumieć te pięć płócien jako całość, jako pracę jednego mistrza. Zawsze gdy jestem otoczona pracami Degasa, przepelnia mnie podziw dla ich twórcy, połączony z wszechogarniającą radością z chwili, którą spędzam w obecności czegoś tak wielkiego. Wzrokowy orgazm. Kiedyś słuchałam wywiadu z muzykiem, który powiedział, że nie rozumie całego halo wokół muzeów sztuki, że czuje wobec nich obojętność. Twierdził, że jest słuchowcem, a muzea nie produkują żadnego dźwięku. Wolałabym być martwa niż odczuwać jak on.

Wzrusza mnie umiejętne użycie asymetrii przez Degasa, którą wykorzystuje, aby zadziwić widza, żeby go zachęcić, a potem tak wiele ujawnić. W portrecie Edmonda i Teresy Morbilli poważny szwagier dominuje nad całością, podczas gdy siostra Degasa jest znacznie mniejsza, drobniejsza, smutniejsza. Ale sposób, w jaki dotyka ramienia męża i w jaki pochyla się ku niemu zdradza, że nie jest smutna z jego powodu, ale bardziej razem z nim. W portrecie Duchessy di Montejasi skromna ciotka



Degasa zajmuje dwie trzecie obrazu z prawej strony, podczas gdy jej dwie córki są mocno ściśnięte na malutkim skrawku po lewej. Czyżby szeptały? Dzieliły się zwierzeniami, do których ich matka nie ma dostępu?

Sposób malowania Degasa jest zdumiewający: to, jak tworzy światło od wewnątrz i z zewnątrz, jak twarze jego modeli jaśnieją życiem, choć są tylko płótnem i farbami. Jak pokazuje ruch poprzez lekkie nachylenie głowy lub rąbek sukienki jakby delikatnie zsuwającej się z krawędzi płótna. Jak używa ciemnych i jasnych wartości, aby stworzyć teksturę, głębię i cień. Jak w ujęciu matki i mamki z *Wyścigów*, które siedząc koło siebie z dumą patrzą na niemowlę, uwiecznia chwilę z codziennego życia, by potem popędzić ją do przodu.

Wpatruję się w obrazy, robię notatki na temat pociągnięć pędzla Degasa, grubości warstw, jego kompozycji, sygnatury, jego dobrze narysowanych linii i nasyceniu jego kolorów. Słowem: na temat wszystkiego, co pomoże mi lepiej zrozumieć *Kąpiel*. Wyciągam z plecaka mój zasłużony Nikon i robię kilkanaście zdjęć każdego z pięciu obrazów: z drugiego końca pokoju, ze średniej odległości i z bliska. Podchodzę tak blisko, jak tylko się da, bez uruchomienia alarmu.

Właściwie uruchamiam alarm, ale tylko raz. Strażniczka patrzy na mnie podirytowanym, pełnym wyrzutów spojrzeniem, a ja unoszę w górę ręce.

– Przepraszam – mówię bezgłośnie, ale najwyraźniej to nie wystarcza, bo zaczyna chodzić za mną po galeriach, prowokując mnie do ponownego przekroczenia linii. Mój aparat ma potężne makro, więc zbliżenia na pociągnięcia pędzla Degasa same w sobie wyglądają jak dzieła sztuki. Niestety, jedną z cech charakterystycznych jego wczesnego, klasycznego stylu jest brak widocznych pociągnięć pędzla. Ale nawet Degas nie potrafił ukryć każdego z nich.

Podchodzę parę kroków do przodu, tak blisko Edomonda i Thérèsy, jak tylko mogę bez uruchamiania alarmu. Strażniczka stoi tuż za mną. Pochylam się bliżej płótna upewniając się, że moje stopy są nadal przed czerwoną linią, a następnie robię zdjęcie. Czy nie ma tu nikogo bardziej godnego uwagi niż ja? Jakiegoś dziecka z potłuszczonymi rękoma?

Kieszonkowca? Niebezpiecznego kryminalisty, który planuje właśnie kradzież? A potem dochodzi do mnie, że strażniczka ma więcej intuicji, niż mi się wydaje. Z bardzo dużym prawdopodobieństwem to ja jestem najbardziej niebezpiecznym kryminalistą w całym budynku.

Jak tylko wracam z muzeum, zdejmuję prześcieradło z *Kąpieli*, by zobaczyć obraz na świeżo, od razu po uważnym obejrzeniu tamtych. Rzucam okiem i czuję klucie w żołądku. Potrzebuję chwili, by mózg podążył za ciałem i wtedy zdaję sobie sprawę, że to, co czuję, to przerażenie.

Opadam na krzesło stojące przed obrazem. Czego do diabła się boję? Pamiętam moją pierwszą reakcję na *Kąpiel*. Pomyślałam: to nie jest prawdziwy Degas. Ale oddaliłam tę myśl jako nedorzeczną. To niemożliwe, żeby obraz był fałszerstwem. A może jednak? Myślę o Johnie Myatt'cie, Hanie van Meegerenie i Ely Sakhaiu. Nie byłby to na pewno pierwszy sfalszowany obraz. A brakuje przecież szkiców do postaci Françoise.

Gapię się na *Kąpiel*, potem zamykam oczy, by przywołać pięć obrazów Degasa, które wcześniej obejrzałam. Nachylam się i przyglądam się farbie. Jest popękana, jak powinna. Przez lata wilgoć odparowuje, farba kurczy się, a zmiany wilgotności i temperatury powodują, że drewniany blejtram rozszerza się i kurczy. Te zjawiska powodują powstawanie sieci delikatnych pęknięć. Wydaje mi się, że mam tu do czynienia z plus minus stu latami pęknięć, więc niby wszystko się zgadza.

Odwracam obraz i przyglądam się podobrazii. Wygląda, jakby zostało zrobione pod koniec XIX wieku. Na krawędziach blejtramu, który przytrzymuje płótno, widoczne są ślady oksydacji, a niektóre włókna wydają się kruche i nawet trochę zbutwiałe. Kiedy olej na płótnie ma ponad dwieście lat, trzeba przełożyć go na nowy blejtram właśnie z powodu tego typu uszkodzeń. Na oko *Kąpiel* ma przed sobą jeszcze około siedemdziesięciu pięciu lat. Więc i tu wszystko wydaje się w porządku.

Samo podobrazie jest miejscami miękkie od starości. Gwoździe są zardzewiałe, podobnie jak małe skórzane kwadraciki, które przez te

wszystkie lata chroniły płótno przed rdzą. Do tego widzę sporo kurzu między blejtrmem a płótnem. Wyciągam Meissoniera i odwracam go. Wygląda bardzo podobnie.

Chociaż farba olejna wysycha w ciągu kilku tygodni na tyle, by przyjąć kolejną warstwę, może upłynąć pięćdziesiąt do siedemdziesięciu pięciu lat zanim cała ciecz z farby wyparuje, a powierzchnia stanie się całkowicie sucha i twarda. W czasie zajęć w Repro fanatyczna Ellen Bonanno pokazała nam, jak się upewnić, czy obraz ma mniej niż pięćdziesiąt lat. Biorę kawałek waty i zamaczam go w alkoholu. Nie mogę uwierzyć, że to w ogóle robię.

Podchodzę do *Kąpieli*, która nadal odwrócona jest tyłem. Znajduję miejsce, gdzie przeciekła farba i lekko przysuwam tam materiał nasączony alkoholem, nie dotykając płótna: jeśli farba jest nowa, opary alkoholu spowodują jej zmiękczenie. Umieszczam materiał około półtora centymetra od płótna. Wstrzymuję oddech. Farba pozostaje niezmienną. Dotykam jej. Twarda jak skała.

Waham się, po czym delikatnie dotykam farby watą. Oglądam ją uważnie. Zupełnie czysta. To samo robię z Meissonierem. Wynik identyczny. Odkładam obraz na sztalugę i jeszcze raz zasiadam naprzeciwko. Zdał wszystkie moje testy: pęknięcia, oksydacja, miękkie podobrazie, łamliwe włókna, zardzewiałe gwoździe, kurz, nawet test z alkoholem. Wydaje się prawdziwy. Ale, jak dowiedziałam się z internetowych poszukiwań, obraz może zostać zerwany do podobrazia. Na płótno można nałożyć mieszaninę kleju, która pomaga uzyskać odpowiednią szorstkość, co z kolei nie pozwala warstwom farby łączyć się. Powstałe z biegiem czasu pęknięcia pozostają nawet po usunięciu starej farby. A kiedy fałszerz nakłada nową farbę na spękane podłoże, nierówny szkielet niezbędny do stworzenia spękań zostaje zachowany. Gwoździe zardzewieją, jeśli potrzymamy je przez kilka tygodni w wodzie. Nietrudno zdobyć stare drewno, żeby zrobić podobrazie. Olejek lawendowy można zastąpić olejem lnianym, który utwardzi farbę w około dwadzieścia lat. A super piece zrobione na wzór van Meegerena mogą utwardzić wszystko w parę godzin.

Nie ma wątpliwości, że *Kąpiel* to wspaniałe dzieło sztuki, bogate i prawdziwe. Sam pomysł, że nawet najbardziej doświadczony z fałszerzy mógłby ją namalować, wydaje się niedorzeczny. Markel nie zauważył w nim nic podejrzanego, a jego oko jest znacznie bardziej wyszkolone niż moje. Chociaż, jak sama się przekonałam, ludzie widzą to, co chcą zobaczyć. I dotyczy to także tak zwanych ekspertów.

Postanawiam, że nie stanie się nic złego, jeśli pobawię się w adwokata diabła. Co, jeśli jakiś niesamowicie utalentowany fałszerz namalował *Kąpiel*, którą mam teraz przed sobą? Ktoś jak John Myatt lub Han van Meegeren? Tysiące podrobionych obrazów zostało zakupionych za miliony dolarów i zawieszono na ścianach muzeów. Wiele z nich nadal tam jest. Czy jest możliwe, że mam do czynienia z takim właśnie przypadkiem? Czy coś takiego mogło się wydarzyć?

A może *Kąpiel* jest wysokiej jakości nowoczesną podróbką? Mało prawdopodobne, bo wisiała w Gardner Museum przez ponad sto lat. Z drugiej strony, co, jeśli oryginał został ukradziony wcześniej i ta praca zawisała w jego miejscu? Ktoś zauważyłby zmianę: kurator, historycy, strażnicy, zwiedzający.

Więc może to podróbka zrobiona już po tym, jak obraz został skradziony? Może ktoś robi Markelowi to, co Markel chce zrobić swemu pozbawionemu skrupułów kolekcjonerowi? Chociaż domyślam się, że Markel miał na tyle oleju w głowie, żeby potwierdzić autentyczność zanim zdecydował się pośredniczyć w sprzedaży.

Więc może to XIX-wieczna podróbka? Ale przecież Degas żył, kiedy Isabella Gardner kupiła obraz. Najprawdopodobniej kupiła go bezpośrednio od niego. Nie wiem o niej wiele, ale wiem na pewno, że nie była kobietą, którą łatwo było oszukać. To samo można powiedzieć o pracującym dla niej handlarzu, Bernardzie Berenssonie, uważanym za najważniejszego ówczesnego amerykańskiego eksperta w dziedzinie malarstwa europejskiego.

Po raz kolejny wychodzi mi zatem, że obraz, na który patrzę, to prawdziwy Degas, namalowany przez mistrza w latach dziewięćdziesiątych XIX wieku, sprzedany Isabelli Stewart Gardner

niedługo po tym, jak został ukończony. *Kąpiel* przechodzi zwycięsko każdy mój test i kontruje każdy mój argument przeciwko jej autentyczności.

Z ulgą przykrywam obraz prześcieradłem i idę do Jake'a. W barze zamawiam shota tequili. Pomimo wszystkich testów, argumentów i kontrargumentów, coś siedzi mi z tyłu głowy. Gnębi mnie nieprzyjemnie i chcę zdusić to gnębiecie.

Wyciągając butelkę, Maureen unosi brew.

– Kiepski dzień?

– Stara bieda – wzruszam ramionami.

Mike, Rik i Mała patrzą na mnie współczująco.

– Mam wieści, od których poczujesz się jeszcze gorzej – mówi Danielle.

Wszyscy przewracamy oczami. Ale Danielle jakby nie złapała.

– Znów ta pieprzona Crystal Mack.

– Tylko nie to – wzdycha Mała.

– Danforth – to Danielle.

– Boże. One będzie nie do zniesienia – to Rik.

– Skąd Danforth w ogóle o niej wie? – to Mike.

– Domyślam się, że przez ArtWorld – mówię. – Właśnie ogłosili wyniki dużego konkursu. Trans. Pamiętasz? Jeden z kuratorów z Danforth był sędzią. Był też ktoś z Whitney.

– Nie miałbym nic przeciwko, gdyby chociaż była naprawdę dobra – mówi Mała.

– Ile mamy czasu, zanim tu przyjdzie? – Danielle patrzy na zegarek.

– Godzina? Może pół. Na pewno nie będzie chciała zbyt długo czekać, żeby się pochwalić.

Rik obejmuje mnie.

– Nic dla ciebie, kochanie?

– Whitney ma w zbiorach trzy obrazy Culliona – mówię, starając się nie brzmieć gorzko. Raczej mi to nie wychodzi.

Mike odwraca się do Rika.

– To posłuchajmy teraz o twoim wypadzie do Paryża.

– Nie mówiłeś, że jedziesz do Paryża! – wykrzykuję z udawaną irytacją, szczęśliwa, że mogę podpiąć się pod sprytną zmianę tematu przez Mike’a. – O co chodzi?

– Dopiero się dowiedziałem. Poza tym to biznesowe, a nie prywatne. Właśnie zacząłem o tym mówić Mike’owi i Małej. Robimy wystawę na temat prac, które Belle kupiła w czasie swoich podróży po Europie. Mój szef wybrał Włochy, Sheryl jedzie do Londynu, więc dla mnie został Paryż – uśmiecha się.

– Oj, biedactwo – mówi Danielle z uśmiechem.

– Czy nie mówiłeś mi, że Isabella Gardner miała świra na punkcie Wenecji? – pytam.

– Paryż był jej drugim ulubionym miastem.

– A co ze spacerami z lwami po Tremont Street? – pyta Mała – Albo z bejsbolówką Red Sox, która nosiła na przedstawienia? Czy to prawda?

Rik krzyżuje ramiona na piersi.

– Naprawdę wkurza mnie to, co ludzie wiedzą na temat Belle. Była jednym z pierwszych wielkich amerykańskich kolekcjonerów sztuki, tak wśród kobiet, jak i mężczyzn, a pamięta się ją z powodu dwóch lwiatek i nakrycia głowy.

Wszyscy śmiejemy się z jego nadęcia. Pokazuje nam środkowy palec, a potem puszcza oko.

– Więc jak to się stało, że była pierwszą wielką amerykańską kolekcjonerką? – pytam zanim rozmowa zdąży zejść na inne tematy. – Wśród kobiet i mężczyzn?

Rik krzywi się do mnie.

– Miała wiedzę i świetne oko. I, oczywiście, miała Bernarda Berensona.

– Nie wspominając o kupie pieniędzy – mówi Danielle.

– A co z tymi wszystkim fałszerstwami, których było wtedy tak dużo? – pytam. – Zanim wynaleziono cuda techniki do ich wykrywania?

– Słyszałam, że Michał Anioł pożyczał obrazy od swoich znajomych – wtrąca się Mała – a potem je kopiował i oddawał kopie. Oryginały zatrzymywał dla siebie.

– Jeśli tak było, jego znajomi wyszli na tym znakomicie – odpowiada Mike. – Ostały im się prawdziwe michały anioły.

– Może i nie było wtedy technologii, jaką mamy dziś – mówi Rik, podirytowany, że nie traktujemy jego Belle dostatecznie poważnie – ale nadal było wielu inteligentnych i utalentowanych ekspertów. Historyków sztuki, krytyków, handlarzy, rzeczoznawców. W większości przypadków nie popełniali błędów.

– Podobnie jak w MoMA. Tam też były tabuny inteligentnych i utalentowanych ekspertów od Isaaca Culliona – mówi Danielle.



## 12

### *Trzy lata wcześniej*

Nie poszłam na otwarcie w MoMA. Następnego dnia miałam egzamin. Początkowo byłam tak przygnębiona, że nie będzie mnie na przyjęciu, że Isaac próbował wykręcić mnie z egzaminu, ale kiedy nie dał rady tego zrobić, zorientowałam się, że nie zależy mi aż tak bardzo. Chciałam być z Isaakiem, cieszyć się jego sukcesem, pokręcić się wśród bogatych i znanych. Ale nie byłam pewna, czy chciałam słuchać tych wszystkich zachwyty nad 4D, nad talentem Isaaca. Oczywiście, zobaczyć właśnie płótno w MoMA to byłoby coś. A jednocześnie wcale niekoniecznie.

Więc zostałam w domu i uczyłam się. Ale nie mogłam się skoncentrować. Cały czas zastanawiałam się, co robi Isaac. Jak chodzi po pustej galerii, oglądając prace innych. Jak czeka. Potem tłumy. Od ciszy do wrzawy. Dumnie kroczący piękni ludzie. Pianie krytyków. Potem gratulacje, uściski dłoni, gruchanie, zamieszanie, podlizywanie się. I, jeśli miałoby się sprawdzić to, co przewidział Markel, ogłoszenie Isaaca nowym odkryciem.

Isaac zadzwonił zaraz po północy. Dało się wyczuć, że trochę wypił.

– Muzeum urządziło wystawę w pięknym pomieszczeniu. Widoki na park. Pełen minibar – grzechot lodu. – Jestem wykończony, ale muszę z tobą porozmawiać.

– Było cudownie? Jak poszło?

– Jediną rzeczą, które nie była idealna, był brak ciebie. Kochanie, myślałem o tobie cały wieczór. Chciałem być z tobą. To nasze wspólne zwycięstwo.

– To twoja chwila Saac. Moja nadejdzie wkrótce.

– Bardzo wkrótce. Bardzo bardzo. Śniadanie z Karen jutro. Porozmawiamy.

Wypełniła mnie fala wdzięczności. Tak właśnie wyobrażałam sobie związek idealny. Wzajemny szacunek. Wzajemne wsparcie. Wielka miłość.

– Opowiedz mi o wystawie. Jakies zajawki recenzji? Jakiekolwiek głosy o sprzedaży?

Wymamrotał coś, czego nie zrozumiałam, a potem powiedział:

– ...spotkanie z komisją w przyszłym tygodniu.

– Komisją? Jaką komisją?

– Akwizycji.

– W MoMA?

– Karen powiedziała, że jest zainteresowanie zakupem.

– MoMA chce kupić 4D? – poczułam się oszołomiona.

– Do kolekcji stałej.

– Isaac, to cudowne, niesamowite. To...

– Nie chcę o tym mówić. Nie chcę zapeszyć.

Wiedziałałam, że Isaac był przesądny i zaśmiałam się.

– Dobrze, dobrze. Poczekajmy, aż się wydarzy.

– Nie miałyby nawet szansy się wydarzyć, gdyby nie ty.

Jeden z moich obrazów w MoMA. W Nowym Jorku. Część kolekcji stałej. To szczyt marzeń każdego artysty. Szczyt, którego zdobycia doczeka się niewielu. A oto ja: dwudziestoosmioletnia, żywa i z pełnymi rękami roboty, patrząca z nadzieją w przyszłość.

Przyznaję, czasem ciężko było mi patrzeć na to całe uznanie wokół Isaaca. Ale przez większość czasu cieszyłam się z nim, cieszyłam się z tego, że miał dobry humor i że snuliśmy plany na wspólne życie. Cieszyłam się tak bardzo, że reszta się nie liczyła. I udało mu się wymóc obietnicę od Karen Sinsheimer, że obejrzy moje prace w dniu, w którym dostanie zdjęcia. Powiedziałam mu, że to jego triumf, a ja jestem gotowa, żeby poczekać na mój. To wszystko było po prostu niesamowite. Oszalamiające. 4D okazał się hitem. Wielkim hitem. Z jakiegoś powodu uderzał w odpowiednią strunę i to nie tylko w świecie sztuki, ale także wśród zwykłych ludzi. Powoli stawał się ikoną. Jak puszki zupy Warhola. Może to wszystko przez internet? Viral marketing i tak dalej?

Bez względu na powód, Isaac Cullion i 4D stanowił jedność i byli gwiazdami. Isaac był w „Today Show”, a 4D znalazł się na okładce

„ArtWorld”. Żartowaliśmy, że obraz osiągnął status magnesu na lodówkę. Tydzień później MoMA sprzedawała je w sklepiku muzealnym.

A potem Isaac zaczął brać to wszystko na serio. Im więcej mówił o 4D i nowych obrazach, nad którymi już „pracuje”, a które są nim zainspirowane, tym bardziej zdawał się wierzyć we własne kłamstwa. Tylko ja wiedziałam, że nie pracuje nad żadnymi nowymi obrazami. Był zablokowany, zupełnie tak samo jak przed 4D. A może nawet bardziej.

Isaac w najlepszym swym wydaniu był delikatny, w najgorszym niestabilny, a nowa sytuacja zdecydowanie ciągnęła go w tym gorszym kierunku. Po raz pierwszy naprawdę zobaczyłam, jaki miał temperament. Potrafił przełamywać pędzle na pół i rzucać płótnami w ściany. Przesiadywał zamknięty w swoim studiu, przez wiele dni odmawiając rozmów z kimkolwiek, wliczając w to mnie i krzycząc na każdego śmiałka, który odważył się zapukać w jego drzwi.

A potem zaczęliśmy się kłócić. Najpierw o drobne rzeczy, potem o większe, ale nigdy o 4D – tego giganta, który nas dzielił i który sprawiał, że Isaac odchodził od zmysłów. Kochałam go i chciałam mu pomóc. Jako jedyna rozumiałam jego sytuację, wiedziałam, jak głęboko zabrnął w swoich kłamstwach, widziałam, jaki wpływ na psychikę ma udawanie. Wiedziałam, bo moja sytuacja była lustrzanym odbiciem tego, co przeżywał on. Nie, żeby Isaac kiedykolwiek się do tego odniósł. I nie, żebym ja mu to wypominała. To nie była ani jego wina, ani moja. Nigdy nie zastanawialiśmy się nad tym, co się stanie, jeśli 4D stanie się tak sławny. Bo po co mielibyśmy się nad tym zastanawiać? To tak, jakby myśleć nad wygraną w totolotka. Więc postanowiłam, że będę cierpliwa. Założyłam, że jeśli poczekam odpowiednio długo, on pogodzi się z sytuacją. I może ja też się z nią pogodzę.

Zamiast tego pojawił się pewnego dnia w moim studiu cały we łzach. Powiedział, że jestem jego bratnią duszą, że kocha mnie bardziej niż samego siebie, najbardziej na świecie. A potem powiedział, że ze mną zrywa. Że wraca do Marthy.

– Potrzebujesz kogoś młodszego, szczęśliwszego i zdrowszego – powiedział.

– To niedorzeczne – odpowiedziałam myśląc, że przemawia przez niego jeden z jego typowych dołów. – Nie chcę nikogo młodszego. Ani bardziej szczęśliwego, ani zdrowszego, choć miałoby to swoje plusy – przysunęłam się, by go objąć. – Chcę ciebie. Takiego, jakim jesteś.

Zerwał się z kanapy.

– Zaslługujesz na mężczyznę, który cię doceni, który będzie cię kochał tak, jak powinnaś być kochana.

– Właśnie mi powiedziałaś, że kochasz mnie najbardziej na świecie – próbowałam zdobyć się na beztroskę, ale coś w jego spojrzeniu i opuszczonych ramionach mówiło mi, że to nie zaledwie jedno z wielu wahaniec nastrojów Isaaca.

Odsunął się ode mnie na parę kroków.

– Nie mogę być i nie będę tym, który powstrzyma cię przed znalezieniem prawdziwego szczęścia.

I wtedy zrozumiałam, o co mu chodzi.

– Gównu prawda – krzyknęłam wstając i podchodząc do niego. – To gigantyczny stek bzdur.

– Nie, nie. Ja cię ranię – powiedział, oddalając się coraz bardziej. – Codziennie. A nie chcę.

– Tu nie chodzi o ranienie mnie – warknęłam, wściekła na to, że świadomie oszukuje samego siebie, na jego tchórzostwo i wymówki. – Chodzi o to, co rani ciebie. A rani cię to, jak na mnie patrzysz, bo wiesz, że znam prawdę!

Isaac stał w milczeniu, z pochyloną głową. Ja zebrałam wszystko, co mi kiedykolwiek podarował, włączając *Pomarańczowy akt* i wyrzuciłam na korytarz. – Wynoś się i zabierz z sobą cały swój chłam, ty dupku! – wykrzyczałam.

I tak właśnie zrobił.

Kiedy wracam do domu od Jake'a, zastanawiam się, ile razy na przestrzeni lat eksperci nie mieli racji. Mówili, że ziemia jest płaska, mózgi kobiet są gorsze od mózgów mężczyzn, czarnoskóry człowiek nigdy nie zostanie prezydentem Stanów Zjednoczonych. Lista zdaje się nie mieć końca. To prawie tak, jakby z czasem okazywało się, że wszystko, co wydaje się być prawdą, w rzeczywistości nią nie jest. Czy tak samo jest z *Kąpielą*? Czy eksperci mogli się po prostu pomylić? Myślę o komentarzu Danielle na temat MoMA. Oczywiście, że mogli się pomylić.

Może *Kąpiel* namalował ktoś inny, a Degas twierdził, że zrobił to sam? Ciężko w to uwierzyć biorąc pod uwagę jego talent. Chociaż taka praktyka była dość powszechna w XVII i XVIII wieku, kiedy uczniowie kopiowali prace swych mistrzów, a mistrzowie podpisywali je swoim nazwiskiem. Głównie po to, żeby zarobić. Ale za czasów Degasa nie miało to już prawie miejsca. Chociaż miało za czasów Isaaca Culliona.

Kiedy przychodzę do domu, po raz kolejny rozważam wszystkie argumenty, które sugerują, że praca jest autentyczna. Ale nie ucisza to gnębiącego mnie wewnętrznego głosu. Ten głos już nie raz wpakował mnie w kłopoty. Na przykład, kiedy mówił mi, że powinnam zamieszkać w Paryżu, a dałam radę zostać tam przez zaledwie trzy miesiące. Albo kiedy twierdził, że Isaac Cullion nigdy, przenigdy mnie nie zrani.

Wstaję i odwracam się plecami do *Kąpeli*, a potem okręcam się dokoła, próbując doznać jakiegoś podświadomego olśnienia. Zmieniam kierunek. Gaszę światła, potem zapalam je znów. Patrzą bez mrugania powiekami tak długo, jak tylko mogę. Zwieszam się z oparcia kanapy, żeby obejrzeć obraz do góry nogami.

Siadam na krześle i patrzę. Myślami znów krążę po galeriach impresjonistów i malarstwa europejskiego w MFA, potem po rotundzie, i tak w kółko. Obrazy Degasa wirują mi przed oczami. Czuję ich psychologiczną moc, ich nakazującą posłuszeństwo asymetrię, światło pulsujące z zewnątrz i od wewnątrz. Wyciągam moje notatki i znów je czytam. Zamykam oczy. Widzę dobrze obrysowany cień parasolki z *Wyścigów*, który pada na matkę i niańkę, ukazując radość samego południa w słoneczny, letni dzień. Czuję grzeszną przyjemność z podglądania, niczym przez dziurkę od klucza, rodzinnych zawilości w *Duchessa de Montejasi z córkami*. Wkraczam w głębię stworzoną przez skrócone postaci i cofnięte meble w płótnie przedstawiającym Edmondo.

Otwieram oczy i znów wpatruję się w obraz stojący przede mną. Patrzę na Simone, Jacqueline, a w szczególności na Françoise. Niepokoi mnie ich symetria. Niepokoi mnie sztywność Françoise, niepokoją nijakie cienie wokół niej. Podobnie jak brak interakcji pomiędzy trzema kobietami.

Wyciągam kartę pamięci z aparatu i wkładam ją w komputer. Kilka kliknięć myszką i parę zdjęć, które zrobiłam w MFA, wypada z drukarki. Wiem, że przydadzą mi się tylko duże zbliżenia. Drukuję jeszcze fotografie pokazujące pociągnięcia pędzla i siadam, by je porównać. Ale tak w *Kąpieli*, jak i na zdjęciach pociągnięcia pędzlem są praktycznie niewidoczne.

Dla artysty pociągnięcia pędzlem są tak charakterystyczne i unikalne, jak charakter pisma. Korzystano z tego faktu przez wieki, by odróżnić oryginalne dzieła sztuki od fałszerstw. Ponoć podobnie ma się sprawa z pisarzami: kiedy już ktoś wypracuje swój własny styl – język, budowę zdań, ulubione czasowniki czy przymiotniki – pozostaje on niezmienny. Znów drukuję zdjęcia, tym razem jeszcze bardziej zbliżone.

Przeszukuję parę szuflad, odnajduję moją jubilerską lupę powiększającą i przykładam ją do oka. Tak, przy takim przybliżeniu faktycznie widać niektóre pociągnięcia pędzlem, ale tylko niektóre. Gdybym miała do czynienia z jakimkolwiek z późniejszych obrazów Degasa albo z tymi namalowanymi przez jego kumpli, Maneta, Pissarro

czy Mary Cassatt, wówczas miałabym co oglądać, bo kładli oni farby grubo, szerokimi pociągnięciami. Ale kiedy masz do czynienia z dziesięcioma czy dwudziestoma warstwami laserunku, wówczas to, co widzisz, to efekt gładkości i przejrzystości. A gładkość i przejrzystość to dokładnie to, co mam teraz przed sobą.

Przeoglądam fotografie, aż odnajduję taką, gdzie pociągnięcia są zbliżone do tych, jakie widać w *Kąpieli*. Przykładam ją do obrazu, poruszam nią, szukam różnic i podobieństw. Nie mam za dużo materiału do porównania.

Nagle zauważam, że na samym środku jednego zdjęcia widać parę pociągnięć pędzlem. Tnę je na pół i przykładam do punktu w lewym dolnym rogu *Kąpieli*. To tam znajduje się górne ramię Jacqueline, gdzie także widoczne są pociągnięcia. Przykładam lupę jubilerską do oka i przesuwam się do przodu i do tyłu pomiędzy obrazem a zdjęciem. Żeby nabrać pewności potrzebowałabym obu obrazów obok siebie, ale na oko wyglądają na dzieło tego samego człowieka. Co nadal mnie nie przekonuje.

Następny dzień. Autobus – znów ta cudowna Silver Line – zatrzymuje się w korku i jestem spóźniona do więzienia. To naprawdę niedobrze, bo chłopaki, młodzież, będą siedzieć w celach, dopóki nie przybędę. I nie będą zadowoleni. Kiedy wreszcie przyjeżdżam, zdecydowanie zbyt ładna Kimberly przyprowadza ich do GE 107.

GE 107 znajduje się w piwnicy. Sufit jest tu naprawdę niski, otulony wielkimi rurami, które syczą od wilgoci. Każdy chłopak wyższy niż metr sześćdziesiąt, czyli znakomita większość, musi trzymać się na baczności, aby uniknąć poparzenia gorącym metalem. A i tak na koniec każdego spotkania co najmniej jedno czoło zyskuje czerwony ślad. Nie ma tu żadnych okien, zazwyczaj jest za mało krzeseł, a oba stoły mocno się chwieją. Mimo tego dzieciaki wykazują niesamowitą umiejętność odcięcia się od tego otoczenia, by nawiązać kontakt ze swoim wewnętrznym artystą. Przypuszczam, że odcinanie się od otoczenia to czynność, którą większość z nich robi od pierwszego dnia pobytu tutaj.

– Czekaliśmy na ciebie – narzeka Reggie. – Jakąś godzinę.

Spóźniłam się piętnaście minut.

Johan odwraca się do Kimberly.

– Czy to znaczy, że będziemy mieć dodatkową godzinę, żeby malować?

Kimberly klaszcze w dłonie:

– Dobrze, pani Roth rozda wam teraz farby i pędzle. – Wskazuje na trzech strażników stojących w rogach pomieszczenia. – Mamy dziś potrójną obstawę.

Nie musi wyjaśniać, dlaczego. Patrzę na stolik, na którym leżą pędzle i około trzydziestu małych puszek z farbą. Nie mogę dojrzeć, jakie to kolory.

– Czy srebrna farba już doszła?

– Naprawdę nie powinnaś się spóźniać – mówi Kimberly ściszym głosem. – Nieoczekiwane zmiany mocno ich denerwują. – Patrzy na strażników. – Jak się domyślasz, to bardzo niepożądane.

– Przepraszam – czuję się strasznie. – Korek na Washington Street w ogóle się nie poruszał. Autobus po prostu stał w miejscu. – Jestem zdziwiona, że mi to wypomina. Nie spodziewałam się, że wytrwa tu tydzień, a co dopiero, że będzie dla mnie tak surowa. – Przepraszam – powtarzam, starając się brzmieć przyjaźnie. – Na przyszłość będę wychodzić z domu wcześniej.

– Dobrze – mówi i odwraca się do chłopców. – Wszyscy stają naprzeciw swoich własnych rysunków. Każdy, kto chce zacząć od czerwieni, żółci lub błękitu podnosi rękę.

Chłopcy tłoczą się zmieniając miejsca i dwóch strażników podchodzi bliżej.

– Bez kontaktu fizycznego – zarządza Kimberly.

W zeszłym tygodniu, jak już chłopcy skończyli rysować, rzutowaliśmy wszystkie ich prace na ścianę, a chłopcy odrysowali je węglem. Pracowałam z nimi, żeby pomieścić wszystkie rysunki tak, by stworzyły całość. Wycofywałam się, kiedy mieli inne zdanie, pozwalałam im samym poradzić sobie z tym zadaniem. Nawet Kimberly kilka razy pomogła, a Manuel, który nie miał ukończonego rysunku, został wyrzucony za



zaczepianie Christiana. Kiedy chłopcy wrócili już do cel, zostałam na miejscu, żeby poprawić ich rysunki czarnym markerem permanentnym i zmyć węgiel. Zrobili naprawdę kawał dobrej roboty.

Dziś jest ich dziesięciu. Dziewięciu z rysunkami do namalowania i Manuel, którego obecność mnie zaskoczyła. Stoi po jednej stronie muralu ze skrzyżowanymi ramionami, wygląda groźnie. Z jego wędrującego spojrzenia rozumiem, że potrzebuje jakiegoś zadania.

Biorę Kimberly na bok.

– Manuel będzie musiał z kimś pracować – mówię. – Z kim powinien albo z kim zupełnie nie powinien?

W Beverly Arms jest dużo różnych frakcji, w większości opartych o gangi, do jakich chłopcy należeli na wolności. Albo do jakich chcieliby należeć. Złe dobranie w parę mogłoby wytworzyć napiętą sytuację.

– Nie jest stąd – mówi Kimberly. – Nie zadaje się tu z nikim. Trenował boks, ma wujka, który jest chyba w wadze ciężkiej. Po tym, jak wysłał dzieciaka dwa razy większego od siebie do szpitala, nikt nie chce się z nim zadawać.

– Dogaduje się z kimkolwiek?

Kimberly uśmiecha się.

– Powiedziałabym, że jest agresorem, który daje wszystkim równe szanse. Ale nie każ mu pracować z Christianem ani z Johanem.

Patrzę na dziewięciu chłopów ustawionych przy muralu. Wszyscy prócz Xaviera trzymają ręce w górze. Poprosiłam Al, żeby przesłała tu farby i pędzle już parę tygodni temu, żeby mogły być sprawdzone zanim będziemy ich potrzebować. Ale jako że srebrna farba została wysłana później, musiała być sprawdzana zupełnie osobno. Rodney, jeden z niewielu sympatycznych strażników, nie był pewien, czy uda się sprawdzić je wszystkie do dzisiaj, ale obiecał, że spróbuje przyspieszyć proces.

Na widok srebrnej farby na stole uśmiecham się. Dzięki, Rodney. Odwracam się do Xaviera, który przygląda mi się uważnie. Te dzieciaki

zawsze oczekują, że ktoś je wyroluje. Unoszę kciuk do góry. Uśmiecha się i zaczyna wygłupiać się z Reggie.

– Xavier i Reggie – mówi Kimberly. – Przestańcie.

– Ile potrzeba niebieskich? – pytam, kiedy Kimberly podaje chłopakom puszki farby. – Żółtych, czerwonych? – podaję Xavierowi dwie puszki srebrnej. – Masz tu dużo budweiserów.

Nie odpowiada, tylko nieśmiało kiwa głową.

Są trzy rozmiary pędzli – wszystkie kwadratowe, żadne ostro zakończone – ale ja podaję tylko te najmniejsze, pokazując chłopakom, jak poprawić linię po markerze zanim zaczną malować na większych powierzchniach. W ciągu paru minut zapada kompletna cisza. Koncentracja jest wręcz namacalna. Podchodzę do Xaviera.

– Czy Manuel może pomóc ci z twoimi puszkami? W przeciwnym razie może ci to zająć dużo czasu.

Xaviera wzrusza ramionami, nie odwracając się od swojego malowidła. Podaję Manuelowi pędzel. Bierze go, ale się nie rusza. Xavier, który już namalował kontur trzech budweiserów, wskazuje na puszki najbardziej oddalone od siebie. Odwracam się do Kimberly, a ona kiwa głową w aprobacie.

Wraz z Kimberly chodzimy wzdłuż muralu, pomagamy, kiedy to konieczne: podajemy farby, pędzle, dajemy sugestie. Strażnicy bacznie obserwują chłopców. Mieszam parę puszek, żeby otrzymać fioletowy, pomarańczowy i zielony. Otwieram jedną białą. Idzie nam zadziwiająco dobrze. Zniechęcali mnie do pracy grupowej, mówili, że może stać się iskrą zapalną, ale póki co idzie nie najgorzej. Ale nie popadam w samozachwyty. Spędziłam tu dostatecznie dużo czasu by wiedzieć, że wywołanie burzy zajmuje tylko chwilę.

I dokładnie to się dzieje. Manuel uderza Xaviera w brzuch. Xavier, znacznie wyższy od Manuela, leci do tyłu, obija się o ścianę i osuwa na ziemię. Z prędkością światła dwóch strażników wykręca ramiona chłopców za ich plecami i zakłada im kajdanki. Trzeci trzyma Reggiego, który próbuje pomóc Xavierowi. Też kończy z kajdankami.

– Wszyscy pod ścianę i ręce do góry – mówi Kimberly, wyciągając swoje walkie-talkie. – Już.

Reszta chłopców odwraca się do ściany i unosi ręce.

– Pieprz się – krzyczy Manuel do Xaviera, kiedy strażnicy ciągną go przez salę. – Nie masz pojęcia, o czym mówisz.

– To moje puszki, dupku – odpowiada Xavier. – A ty mi je wszystkie spieprzasz. Malujesz w złym kierunku.

Patrzę jak Manuel, Xavier i Reggie są wyprowadzani z pomieszczenia. Natychmiast wpadają dwaj nowi strażnicy. Kimberly kiwa głową na znak, że ma wszystko pod kontrolą. Strażnicy wyglądają, jakby mieli co do tego wątpliwości i zajmują miejsca po dwóch stronach ustawionych w linii chłopców.

– Dobrze – mówi Kimberly. – Zaczynamy od początku kolejki. Christian. Zamknij swoje farby i odłóż je na stół. Tak samo pędzle. Do pojemnika, który przyniosła pani Roth. Potem stań na drugim końcu sali z uniesionymi rękoma. Johan, jesteś następny. Potem Sean.

Chłopcy robią, jak im kazała. Kiedy wszyscy są już po drugiej stronie pomieszczenia, strażnicy wyprowadzają ich pojedynczo. Każdy patrzy wprost przed siebie. Nikt nic nie mówi.

Siadam na krześle i przeciągam ręką po włosach. Kimberly siada obok mnie.

– Wszystko w porządku?

– To nie pierwszy raz, gdy tak to się kończy.

– Niewiele im trzeba.

– Wiesz, dlaczego Manuel go uderzył? Pokłócili się?

– Słyszałam tylko, jak Xavier powiedział mu, że chciał, żeby malował w innym kierunku. Żeby wyglądało jak jego puszki.

Podchodzę do puszek Xaviera i kucam, by się im przyjrzeć.

– Był wściekły?

– Jak to Xavier.

Chcę zapytać, dlaczego Xavier tutaj w ogóle wylądował, ale potem przypominam sobie, że wcale nie chcę wiedzieć.

– I Manuel go tak po prostu uderzył?

– Ma problemy z kontrolą emocji.

– No co ty! – porównuję puszki Xaviera do puszek Manuela. Obaj chłopcy zrobili kawał dobrej roboty z konturem i chociaż wnętrze puszek Xaviera jest zrobione troszkę staranniej, to różnica jest naprawdę niewielka. A potem podchodzę bliżej i widzę, że pociągnięcia pędzla Xaviera biegną od prawej do lewej, a Manuela od lewej do prawej.

– Czy jeden z chłopców jest leworęczny? – pytam Kimberly.

Zastanawia się.

– Wiesz, teraz jak o tym wspomniałaś, jestem prawie pewna, że Manuel jest leworęczny. Tak, jest na pewno. Chwalił się, że przez leworęczność stał się lepszym bokserem. Dlaczego pytasz? Czy to ma jakieś znaczenie?

Nie odpowiadam. Po prostu patrzę na puszki z piwem.

Kiedy wracam do domu, drukuję każde zbliżenie, jakie posiadam i wycinam je tam, gdzie widać pociągnięcia pędzlem. Zdejmuję *Kąpiel* ze sztalug, kładę na podłodze i przykładam do niej maleńkie kawałeczki zdjęć, szukając podobnych fragmentów. Znajduję parę, jedne lepsze od innych. Znów zmieniam ich położenie. Kiedy czuję, że osiągnęłam to, co chciałam, siadam na ziemi i przyglądam się mojej pracy. Praktyczne wszędzie farba jest zbyt gładka, żeby cokolwiek dostrzec, ale jest parę miejsc, głównie w postaci Françoise, gdzie można coś zobaczyć. Na każdym zdjęciu zrobionym w MFA wszystkie pociągnięcia pędzla wiodą od prawej do lewej. Ale w *Kąpeli* parę z nich wiedzie od lewej do prawej. Nachylam się bliżej, żeby upewnić się, że widzę to, co myślę, że widzę. Nie mam wątpliwości, a z moich ust wydobywa się cichy gwizd. Wiedziałam to od chwili, kiedy Markel odwinął płótno. Wiedziałam, ale nie mogłam uwierzyć. Mój głos wewnętrzny nie pomylił się. Ta *Kąpiel* to nie *Kąpiel* Degasa. Została namalowana przez kogoś innego. Przez kogoś leworęcznego.

# Napisane piórem Isabelli Stewart Gardner

1 lipca 1886, Paryż, Francja

Jeszcze tylko sześć tygodni i znów będziemy razem! Nie mogę się już doczekać, żeby Cię zobaczyć: dorosłą i zamężną! Musisz pozwolić mi na takie sentymenty, bo jesteś mi tak bliska, jak tylko córka mogłaby być. I doprawdy, jeśli chodzi o mnie, jesteś moją córką, nawet jeśli z obliczeń wychodzi, że nie mogłabym urodzić Cię naprawdę.

Jestem zasmucona, że kupiłaś już tyle mebli beze mnie. Mimo tego przywiozę Ci parę rzeczy z moich podróży i mam nadzieję, że znajdą miejsce w Twoim domu.

Cieszę się, że Sumner pozwolił Ci całkowicie zająć się Waszym apartamentem. Chciałabym, aby Twój wuj zrobił to samo dla mnie. A on ciągle drży, że wydaję za dużo pieniędzy.

Proszę, proszę, proszę, nie zwracaj uwagi na to, co piszą w „Town Topics”, chyba że tylko po to, by śmiać się z ich przesadzonych tekstów. Nie żałuję, że mężczyźni lubią spędzać ze mną czas, ani tego, że ja lubię towarzystwo najzdolniejszych z nich. I nigdy nie widziałam, by żona kóregokolwiek z nich „krzyczała i tupała nogami”, kiedy oni ze mną rozmawiają. Wręcz przeciwnie – Maud Elliott i Julia Ward Howe są tak samo zachwycone moimi przyjęciami i kolacjami, jak ich „przewrotni i krnąbrni” mężowie!

A informacja o moich sekretnych schadzkach z Frankiem Crawfordem! Cóż, jest tak młody, że mógłby być moim synem! Ale nie zamierzam psuć tak dobrych historii mówieniem prawdy. W każdym razie nie denerwuj się tym, co pisze ten szmatławiec, a już na pewno nie z mojego powodu. Jeśli natomiast ktoś wierzy w te rzeczy, proszę, nie odmawiaj im tej przyjemności.

Pytasz, czy spotkałam się jeszcze z panem Degasem. Tak właśnie się stało. W poprzednim liście wspominałam, że zaprosił mnie do swojego studia. Tak więc, moja droga, wybrałam się do cudownie artystycznego Montmartru, a dokładnie na ulicę Pigalle 21 (gdzie żyje i pracuje) i było to naprawdę niesamowite przeżycie.

Edgar to taki złożony i interesujący mężczyzna. Wszystko, co z nim związane, jest sprzecznością. Jego obrazy sprzedają się świetnie i jego imię jest wszędzie, a jego mieszkanie jest tak małe, że musi używać studia jako garderoby! Jego twarz jest raczej mało imponująca, ale postura i ubrania tak piękne, że prawie tego nie zauważasz. Jego oczy są ciemne i podkrążone, ale widać w nich cudowną i umęczoną duszę artysty. A najatrakcyjniejszy jest wtedy, gdy odrzuca głowę, śmiejąc się (jest duszą towarzystwa).

Jest najbardziej starannym malarzem, jakiego znam, a jednak jego pracownia to obraz zamieszania. Poza ubraniami porozrzucanymi tu i tam oraz zwykłymi przyborami artysty, znajdują się tam zupełnie nietypowe przedmioty: prasy drukarskie, wanny, wiolonczele, figurki woskowe, a nawet zepsuty fortepian. Twierdzi, że nie potrafi pozbyć się żadnego z nich, ponieważ nigdy nie wie, co może mu się przydać. Kolejna sprzeczność: chociaż jest pięćdziesięcioletnim kawalerem, jest także niezłym flirciarzem! Byłam zupełnie oczarowana.

Edgar jest w ostatniej fazie przygotowań do jesiennej wystawy wraz z panami Bracquemondem, Forainem, Monetem, Gauguinem, Pissarro i Rouartem. To artyści, o których nie mam zbyt wysokiego zdania. Z przykrością muszę stwierdzić, moja droga Amelio, że ich wpływ na Edgara jest niestety widoczny. Rysunek w jego najnowszej pracy jest nienaganny, a asymetryczna kompozycja perfekcyjna. Do tego tak odważny i niezwykły temat: akty kobiet w czasie ich toalety. I to widziane z góry! Niestety, samym obrazem nie mogę się aż tak zachwycać. Ku memu wielkiemu rozczarowaniu wykonany jest pastelami i wydaje się skłaniać ku temu okropnemu stylowi impresjonistycznemu, który sprawia, że odczuwam potrzebę włożenia okularów.

Chociaż zaledwie dwa tygodnie temu podczas kolacji u Henry'ego powiedziałam, co myślę na temat jego odwrotu od malarstwa olejnego, to nie mogłam powstrzymać się od ponownego zabrania głosu w tej sprawie. Spytałam go, czy nie widzi, jakim arcydziełem ta praca mogłaby być, gdyby namalował ją w stylu dawnych mistrzów, czyli we własnym stylu sprzed zaledwie dekady. Odpowiedział, że ma o wiele za dużo pracy, by czekać tygodniami między każdą kolejną warstwą laserunku, że to dobre dla młodzieńców z odpowiednimi zasobami finansowymi, nie dla starych malarzy bez takich zasobów. Kiedy zaprotestowałam, w jego oczach pojawiły się wesołe iskierki i zapytał, które z tych stwierdzeń wydaje mi się nieprawdą: że jest starym człowiekiem czy że nie ma pieniędzy. Chociaż zirytowało mnie, że zażartował z takiej kwestii, ciężko było mi zachować powagę, kiedy on był tak rozweselony. Więc roześmialiśmy się.

Następnie wyszliśmy ze studia i zabrał mnie do Café Guerbois, gdzie panowała tak pogodna atmosfera, że nie daliśmy rady dokończyć naszej dyskusji. Ja jednak będę dalej próbować zniechęcić go do tego typu szaleństw.

Twój wuj Jack i ja wyjeżdżamy jutro z Paryża i jedziemy do Wenecji. I choć jak zawsze jestem podekscytowana, że udaję się do mojego ukochanego miasta, to jednak tęsknię za domem, za chłodną bryzą Green Hill i za Tobą. Ciepło myślę także o Twoich braciach.

Z wyrazami miłości,  
Ciocia Belle

Nie jestem pewna, jak długo już tu kucam, ale moje mięśnie czworogłowe proszą o zmiłowanie. *Kąpiel* leży na podłodze, na niej pocięte zdjęcia. Ostrożnie wstaję, przeciągam się, potem podnoszę obraz, ignorując kawałki fotografii z pociągnięciami pędzla, które zawalają całą podłogę. Ustawiam obraz na sztaludze, potem opadam na krzesło stojące naprzeciwko.

Odkąd przyznałam sama przed sobą, jak się sprawy mają, wszędzie widzę dowody na to, że obraz to fałszerstwo. Pociągnięcia pędzlem nie są tak wyrafinowane jak te u Degasa. Widać w nich niepewność. Od środka obrazu nie bije głębia, która powinna rozplýwać się do krawędzi i dalej. Obraz zdaje się być ograniczony, ściśnięty.

A Françoise? Jak mogłam być tak ślepa? Zbyt sztywna, z aurą samoświadomości, jakby wiedziała, że jest obserwowana. Na pewno nie została złapana w intymnym momencie. Nawet podpis jest nie taki – za dużo odstępu między „a” i „s”. Jestem zdumiona, że oszukiwałam się aż tak długo. Że ja, samozwańcza ekspertka od Degasa, mogłam dać się aż tak nabrać. Przeczuwałam prawdę od chwili, w której pierwszy raz spojrziałam na obraz, ale chciałam wierzyć, że jest inaczej. Co ciekawe, nie jestem jedyną, która dała się nabrać. Jeśli moje założenie, że obraz wisiał w Gardner Museum jest prawdziwe – a raczej nie mogło być inaczej – oznacza to, że wszyscy historycy sztuki, krytycy i publiczność, którzy go widzieli, byli równie łatwowierni. Wiem już, dlaczego tak wielu fałszerzy, plagiatorów i innych oszustów odnosi takie sukcesy.

Chociaż wykładowcy z Repro mieli za zadanie nauczyć nas, jak zrobić efektowną kopię, prawie wszyscy byli zafascynowani fałszerstwami. Jeden z nich zacytował raz Theodore’a Rousseau, eksperta z Met, mówiąc: „Możemy mówić tylko o złych fałszerstwach, o takich, które zostały wykryte. Dobre wciąż wiszą na ścianach muzeów”. Poparł tę tezę



badaniami z „New York Timesa”, według których około czterdzieści procent wszystkich prac proponowanych na sprzedaż w dowolnym roku jest fałszywe. Założyłam, że to statystyka wyssana z palca. Teraz sama już nie wiem.

Biedna *Kąpiel*. Jest fałszerstwem, a ja dałam się nabrać.

Muszę powiedzieć o tym Markelowi. Biorę telefon i wybieram jego numer. Potem szybko zrywam połączenie. Może już wie. Może dlatego właśnie jego wyjaśnienie brzmiało tak wygodnie: bo nie mówił mi prawdy. Przekładam telefon z ręki do ręki. A może mnie testuje, dając mi kopię i czekając, czy dostrzegę różnicę. Ale to dużo zachodu w zamian za niewielki efekt. A może to on jest tym, którego testują. Albo próbują zrobić. W takim przypadku powinnam powiedzieć mu prawdę.

Znów wybieram jego numer. Gdy odbiera, mówię:

– Musimy pogadać o piecach. – Taka forma szyfru wydaje mi się najstosowniejsza.

Chichocze.

– W twoich ustach brzmi to bardzo ekscytująco.

– Masz czas się spotkać w najbliższych dniach? Chciałabym już zacząć pracę.

– Może za pół godziny – odpowiada. – Tak koło szóstej? W Oak Room?

Waham się. Wydaje mi się, że potrzebuję trochę czasu, żeby to wszystko przemyśleć.

– Ewentualnie w przyszłym tygodniu – mówi. – Jutro wyjeżdżam do Nowego Jorku.

– W takim razie dziś pasuje – odpowiadam. – Będę o szóstej.

Oak Room znajduje się w Fairmont Copley Plaza, eleganckim hotelu, który przypomina renesansowy pałac. Powinien wyglądać tandetnie ze swoimi marmurowymi, strzelistymi kolumnami, malowanymi sufitami i przesadzoną złotą ornamentyką, ale jakoś nie wygląda. Nigdy tam nie byłam – jest tu trochę zbyt drogo jak na moje możliwości – ale słyszałam, że serwują tu najlepsze cytrynowe martini w mieście.

W szafie nie mam zbyt wielu rzeczy, które byłyby odpowiednie do Oak Room. Mam natomiast długą niebieską spódnicę, którą kupiłam na

rocznicową kolację z Isaakiem. Zakładam ją. Jest trochę przyduża, ale może być. Narzucam też białą koszulkę, żeby nie wyglądać zbyt elegancko, ale za to lekko seksownie.

Wychodzę z pracowni i kieruję się na północ od Dartmouth Street. To tylko sześć czy siedem przecznic od Copley Square, ale ilekroć tam idę, zawsze uderza mnie, jak szerokie spektrum społeczno-ekonomiczne obejmują. Przechodzę obok zamalowanych graffiti magazynów z dokami przeładunkowymi, które sąsiadują z budynkami mieszkalnymi. Potem idę obok starej katedry i krzywej huśtawki stojącymi pomiędzy bursztynowymi kawałkami potłuczonych butelek od piwa.

A co, jeśli Markel odwoła wszystko, razem z moją wystawą, kiedy powiem mu o *Kąpieli*? Co, jeśli będzie chciał dostać swoje pieniądze z powrotem? Dotykam mojego nowego telefonu i myślę o czerwonej sofie, którą widziałam na 70-procentowej przecenie w sklepie meblowym naprzeciwko studia. Myślę o srebrnej farbie dla Xaviera i o pięciu tysiącach dolarów, które już wydałam. Ale nie chodzi mi o pieniądze. Zrobiłabym to za darmo, gdyby oznaczało to, że moje obrazy będą pokazane w Markel G. i że Gardner Museum dostanie swoje arcydzieło z powrotem. Chociaż teraz trudno ten obraz nazywać arcydziełem.

Kościół wtapia się w tło zaniedbanych kamienic, których wysokie werandy zajęte są przez grupy pijących nastolatków, którzy przyglądają się innym nastolatkom pijącym na innych werandach. Jest tam też dużo matek, o wiele zbyt młodych, by być matkami, które pilnują, lub nie, swoich dzieci. Są obmacujące się pary. Są starsi ludzie drzemający na leżakach w upale.

Kiedy przechodzę przez Washington Street, oficjalnie wychodzę z artystycznej, wschodzącej SoWa i wchodzę w mocno aspirującą dzielnicę, gdzie przeciętny czynsz to dwukrotność mojego, ale tylko ułamek tego, ile wynosi kilka ulic dalej. W mojej okolicy można naliczyć jedną lub dwie dobre restauracje czy sklepy na przecznicy, na Washington Street jest ich przypuszczalnie pięć czy sześć, a kiedy dochodzę do Tremont praktycznie wszystko od steków po manicure kosztuje zdecydowanie za dużo. A jednak wciąż można się tu natknąć na

śmierdzące śmieci powtykane w rogach i na werandowiczów ignorujących zakaz spożywania alkoholu na świeżym powietrzu.

Gdy kieruję się na północ, kamienice stają się ładniejsze: mają malowane okiennice i malutkie, zadbane ogródki; chodniki stają się czystsze, a połowa samochodów zaparkowanych przy ulicy to te małe czarne BMW. Kiedy dochodzę do przecznic najbliższych Copley Square, nie ma już ani werandowiczów ani śmieci. Ach, Back Bay.

– Za naszą *Kąpiel* – wznosi toast Markel.

Patrzy mi prosto w oczy. Jest opalony, wysportowany i wygląda na całkiem zadowolonego z siebie. Zastanawia mnie, że przez te wszystkie lata, gdy pracował z Isaakiem, nigdy nie zwróciłam uwagi na to, jaki jest atrakcyjny. W przeszłości zawsze, kiedy z nim byłam, byłam też z Isaakiem. Teraz dywaguję, czy jest z kimś związany. Wiem, że dobrych parę lat temu się rozwiódł, co jest na plus, ale po przygodzie z Isaakiem mam poważne wątpliwości co do własnych możliwości oceny wiarygodności mężczyzny.

Obserwuję go uważnie, szukając czegoś, po czym mogłabym zdecydować, co dokładnie powiedzieć mu o fałszywym obrazie. Tylko nie mam pojęcia, co to miałyby być.

– Jest cudowna – stukam jego kieliszek moim i popijam drinka. Siedzimy w wygodnych fotelach, przyciśnięci mocno do siebie i schowani w tylnym rogu Oak Room. W powietrzu unosi się subtelny zapach dobrego jedzenia. Na drugim końcu sali ktoś cicho gra na fortepianie, a goście rozmawiają dyskretnie. Jest prawie tak samo intymnie, jakbyśmy spotkali się u mnie w studiu. Tylko znacznie bardziej elegancko.

– Dobrze ci z nią?

– Bardzo. I już nie mogę się doczekać, kiedy zabiorę się za malowanie. Dużo czytałam o samym procesie: jeśli obraz będzie musiał przejść testy absorpcji atomowej lub spektrometrię mas, to myślę, że pełen laserunek, wypiekanie i werniksowanie to nasza jedyna opcja. A jeszcze ta cała cyfrowa dekompozycja falkowa... – podnoszę ręce do góry. – Naprawdę nie mamy wyboru.

Markel drapie się w brodę.

– Jeśli założymy, że spotkamy się z aż takim poziomem dokładności.  
– Myślisz, że tak nie będzie?  
– Zależy od wyrafinowania nabywcy.  
– Nawet jeśli będziemy mieli do czynienia tylko z powierzchniowymi testami, łatwo będzie sprawdzić, czy farba jest zupełnie sucha. Dlatego właśnie niezbędny będzie piec.

– Piec?

– Brzmi trochę dziwnie, ale działa. Mieszasz farby ze specjalnymi chemikaliami, potem pieczesz płótno pomiędzy nakładaniem kolejnych warstw. Taka kombinacja powoduje, że obraz schnie w taki sam sposób, w jaki sechłby przez parę setek lat.

Markel rozmyśla, pochylony nad drinkiem.

– Nabywca na pewno nie będzie muzealnikiem ani żadnym etycznym kolekcjonerem – mówi myśląc głośno. – I w znaczącej części rozwijającego się świata, skąd myślę, że będzie pochodził, nie ma dostępu do technologii i ekspertów, jakich mamy tutaj. Z drugiej strony osoba, która będzie chciała go kupić, może być wystarczająco sprytna i zbzikowana, by chcieć go porządnie sprawdzić.

To mój moment.

– Ty tak zrobiłeś?

Poważnieje i siada z powrotem w fotelu.

– Oczywiście – mówi patrząc mi przez ramię.

– Wszystkie testy?

– Więc ile czasu dokładnie zaoszczędzi nam piec? – pyta.

– Miesiące. Wiele miesięcy. Czy mamy jakiś termin, do którego obraz ma być gotowy?

– Nie – mówi. – Nie mamy. Ale oczywiście im szybciej, tym lepiej.

– To ty jesteś szefem – wzruszam ramionami. Czy naprawdę ma znaczenie, w jaki sposób sfalszuję fałszerstwo?

– Więc czego potrzebujesz?

– Obraz ma sto dziewiętnaście na sto czterdzieści siedem centymetrów. Mój piec w kuchni ma czterdzieści na czterdzieści pięć, więc go nie pomieści.

– Piec do wypalania cegieł?

– To za dużo. Myślałam bardziej o zwykłym piecu cukierniczym, jakiego używają w piekarniach. Dostatecznie szerokim, żeby można było swobodnie włożyć i wyciągnąć obraz, z regulacją temperatury i czasu pieczenia – zatrzymuję się. – Czy kiedykolwiek obito ci się o uszy, że *Po kąpieli* mogło być namalowane przez kogoś innego niż Degas?

Prostuje się w swoim fotelu.

– Nic mi o tym nie wiadomo – patrzy na mnie przenikliwym wzrokiem. – Skąd to pytanie?

– Chcę po prostu wiedzieć, czy ktokolwiek może podejrzewać, że był kopią od samego początku. Zastanawiam się, jak byśmy do czegoś takiego podeszli. Jak moglibyśmy się zabezpieczyć przed takim pytaniem.

– Sprawdzę ten piec.

– Super, dzięki – mówię. – Ale jeśli to naprawdę jest....

Markel wskazuje na moje martini.

– Pij.

Robię, jak mówi. Rozumiem, że ten wątek jest już skończony.

– Ktokolwiek powiedział, że dają tu najlepsze cytrynowe martini w Bostonie, miał rację.

– Twoja przyjaciółka Crystal Mack.

– Co?

Śmieje się z mojej dezorientacji.

– To Crystal musiała ci powiedzieć o martini. Uwielbia je.

– Acha – to nie jest mój ulubiony temat do rozmów.

– Musisz być z niej dumna.

Wzruszam ramionami.

– Nie jest moją przyjaciółką. Po prostu się znamy.

– Rozumiem – Markel mruży oczy i widzę, że też jej wcale nie lubi.

– Jest trochę zadufana.

– A zakup Danforth zadufa ją jeszcze bardziej.

– Zgadza się – przytakuję. – Mam tylko nadzieję, że będzie tak zadowolona z siebie, że porzuci skromne Harrison Avenue i zacznie się pojawiać tylko tu, w Back Bay.

Markel unosi rękę.

– Błagam, tylko nie to.

– Zaraz, zaraz. Przecież to wystawa „Lokalni artyści przy pracy w Markel G” spowodowała, że Crystal przeniosła się z SoWa. Możesz winić tylko siebie.

– Danforth zainteresowało się nią z powodu konkursu „ArtWorld”.

– Nigdy nie chodzi tylko o konkurs – staram się zachować żartobliwy ton.

– Też wzięłaś udział – to nie pytanie.

– Pewnie, że tak – biorę kolejny łyk martini.

– Wiesz, że jeden z jurorów był z Whitney, prawda? I że decyzja musiała być jednogłośnie? – wzdycha. – Whitney zawsze miało bzika na punkcie Isaaca.

Nie ma co się okłamywać – to nadal boli.

– Tu nie chodzi o twoje prace – mówi Markel. – Twoje prace są wybitne. Zdecydowanie lepsze od jej.

To wcale nie poprawia mi nastroju.

– Isaaca nie ma już od trzech lat – mówi Markel. – Urazy umierają, wspomnienia zanikają.

– Jakoś nie zauważyłam.

– Mało jest tak snobistycznych miejsc jak Whitney.

Podnoszę mój kieliszek i zmuszam się do uśmiechu.

– Miejmy nadzieję, że tak właśnie jest.

– Nie wiem, o co dokładnie chodziło z 4D i MoMA – mówi. – Chociaż mam swoje podejrzenia. Miałem nawet wówczas.

Przymykam oczy. Czy właśnie mi mówi, że wierzy, że to ja namalowałam 4D?

– Ale nie moja opinia się tu liczy, a teraz nie czas na roztrząsanie tej sprawy – Markel bierze moją rękę i wkłada ją pomiędzy swoje. – Ważne, że twoja wystawa sprawi, że wszyscy zapomną o historii z Isaakiem Cullionem.

Jestem poruszona tym, że jego dłonie otaczają moje – czuję pokrewieństwo dusz i zrozumienie, tak przeszłości jak i teraźniejszości.

Czuję też, jak bardzo mnie pociąga seksualnie.

– A jeśli ludzie zbojkotują moją wystawę?

– Nie chcę wyjść na zadufanego jak Crystal – mówi Markel – ale ciężko byłoby ludziom zbojkotować wystawę w Markel G.

W zeszłym tygodniu oszacowałam, że potrzebuję jeszcze dziesięciu godzin, by skończyć Pissarro dla Repro. Ale jakoś udało mi się to rozciągnąć na trzy dni. I nadal nie skończyłam. Staram się skupić na obrazie, jaki mam przed sobą, zamiast na Meissonierze, który zdaje się popędzać mnie ze swego rogu studia. Muszę zdjąć z niego farbę i zacząć pracę nad *Kąpielą II*. Ale ciągle odnajduję jakieś rzeczy, którymi powinnam się zająć najpierw.

Powinnam skończyć moje poszukiwania informacji na temat pędzli i farb używanych przez Degasa, na temat tego, jak mieszał pigmenty i medium oraz na temat najlepszych technik postarzania, chociaż jeszcze trochę czasu upłynie, zanim będę faktycznie potrzebowała tych informacji. Potem muszę zrobić pranie i jeszcze raz obejrzeć tą czerwoną sofę, zanim podejmę decyzję co do jej zakupu. Muszę przeczytać maile, opłacić rachunki i, oczywiście, skończyć obraz Pissarro.

I jest jeszcze tyle innych rzeczy do przemyślenia. Jak na przykład moja decyzja, żeby nie mówić Markelowi o statusie *Kąpiel*. Mimo tego, co sam mówi, jest dla mnie jasne, że moje dni pariasa jeszcze się nie skończyły i że moją jedyną szansą na wydostanie się z pętli ostracyzmu jest udana wystawa w Markel G. Naprawdę wkurza mnie to, jak źle zostałam potraktowana, a myśl o tym, że mogłabym się wszystkim za to odpłacić, jest bardzo kusząca. Zastanawiam się, czy Markel zorganizowałby moją wystawę, gdybym mu powiedziała, co wiem. W końcu tak bardzo podobają mu się moje obrazy.

Nakładam odrobinę żółci chromowej na płatek kwiatka. Jestem prawie pewna, że wystawę zrobiłby i tak, ale boję się zaryzykować. Cofam się, porównuję moje dzieło z dużym wydrukiem obrazu Pissarro, który jest przyklejony do ściany. Dodaję jeszcze jedną plamkę. Wysuwam pędzel do przodu, ale zatrzymuję się, zanim dotknie płótna. To moment, w którym



często zaczynam się znów zastanawiać nad całością i przemalowywać ją. To niebezpieczne, bo w najgorszym razie może to zniszczyć cały obraz, a w najlepszym kosztować mnie dodatkowych parę tygodni pracy. Opuszczam pędzel. Patrzę na kopię Pissarro z uwagą, potem wrzucam pędzel do puszki z terpentyną. Jeszcze ostatnia warstwa werniksu i skończone.

Przykryte prześcieradłem *Po kąpieli* stoi po drugiej stronie studia. Irytuje mnie, że nie jest oryginalnym obrazem Degasa, ale wyjmuję aceton, rektyfikowaną ropę naftową i paczki waty, które kupiłam u Al. Umieszczam Meissoniera na moim stole roboczym tuż obok rozpuszczalnika, rozczynnika i paru ścierek. Jeśli wszystko pójdzie dobrze – jeśli płótno jest w dobrym stanie, jeśli farbę można łatwo usunąć, a stary grunt nie jest zbyt poślizki – zajmie mi to parę dni. Ale jeśli jest inaczej lub jeśli pojawią się dodatkowe problemy, może to oznaczać tygodnie ściągania farby. Po lekcjach z Ellen Bonanno wiem, że ściąganie farby jest moją najmniej ulubioną częścią całego procesu.

Jeśli robiłabym to dla Repro, wówczas najpierw kupiłabym nowe płótno i zagruntowałabym je białą ołowiową zmieszaną z olejem tak, by od razu mogło przyjąć farbę. Ale żeby namalować kopię, która przejdzie wszelkie testy autentyczności, potrzebuję starego płótna, starych blejtram i starego gruntu. Datowanie węglowe to nie proces, który można łatwo oszukać, więc wysokiej jakości fałszerstwo musi być namalowane na płótnie pochodzącym z tego samego okresu, co oryginał. A grunt musi być zupełnie nienaruszony, żeby zachował stare pęknięcia jako podstawę, na której powstanie nowy obraz. Dlatego wszystkie warstwy werniksu i farby nałożone przez Meissoniera muszą być zdarte, aby odkryć stary grunt. Kiedy płótno będzie już oczyszczone z tych warstw, będę mogła stworzyć mój własny obraz na XIX-wiecznej bazie.

Tradycyjne malarstwo olejne opiera się na warstwowości: grunt, podmalówka, laserunek, w skład którego wchodzi do trzydziestu półprzezroczystych warstw farby i werniksu. Celem warstwowania jest kontrolowanie załamывania się światła w obrazie. Zdejmowanie farby jest natomiast zadaniem iście paradoksalnym – jest żmudne i wymaga

intensywnego skupienia wymieszanego z gigantyczną nudą. A do tego moje plecy zaczynają boleć już po kilku godzinach.

Biorę głęboki oddech i schylam się, by zacząć. W jednej ręce mam watę nasączoną rozpuszczalnikiem, w drugiej – rozczynnikiem. Zaczynam od prawego dolnego rogu. Delikatnie przyciskam rozpuszczalnik do płótna i ścieram farbę. Uważnie obserwuję, czy nie pojawia się biel, co znaczyłoby, że dochodzę do gruntu. Cholera. Moja lewa ręka porusza się nieznacznie i zanim rozpuszczalnik zdąży upłynnić farbę, dotykam płótno rozczynnikiem. To nie lada umiejętność – trzeba użyć odpowiedniej ilości rozpuszczalnika, który zjada farbę, ale nie za dużo, bo może zedrzeć grunt lub, co gorsza, samo płótno.

Pracuję dalej: przyciskam watę i wycieram. Kilka godzin później kawałki waty wirują wokół moich bosych stóp jak sadzawka poplamiona farbą. W głowie pulsuje mi od oparów, a kręgosłup boli, jakby był połamany w co najmniej paru miejscach. Ale zniknął już całkiem spory fragment obrazu. Zamieniłam go w nieprzerwane morze gruntu – lekko pożółkłego, ale z tym poradzi sobie woda utleniona. Jest pełne malutkichgórek i dolin, które sprawiają, że na końcowym obrazie pojawi się charakterystyczna pajęczynka pęknięć.

Płótno jest wyczyszczone aż do warstwy gruntu w trzy dni. Chodzę zgarbiona i poruszam się po studiu jak starsza pani. Zastanawiam się, czy nie pójść do masażysty Rika o ksywce New Age Bob, ale dochodzę do wniosku, że nie jest to warte tylu pieniędzy. Wbijam więc palce pod lewą łopatkę i mocno uciskam. Nie przynosi mi to wielkiej ulgi. Czego bym nie dała za jeden z masażów pleców zrobionych przez Isaaca.

Dwa płótna stoją obok siebie na sztalugach. Meissoniera wyczyściłam wodą utlenioną i jest teraz tak perłowo biały, że aż świeci. To ważne. Wręcz konieczne. Wraz z wiekiem farba olejna zyskuje na przezroczystości, bo przepuszcza więcej światła, które załamuje się na gruncie. Daje to obrazowi głębię i jasność. Degas był mistrzem w takiej właśnie technice, więc właściwa baza jest niezbędna, jeśli ktokolwiek ma uwierzyć, że faktycznie go namalował.

Z węglem w dłoni przystępuję do działania: szkicuję *Kąpiel* na nowym płótnie. Proces jest dokładnie taki sam, jak ten, który robię dla Repro. Rysunek jest gotowy w kilka godzin. Mieszam surową umbrę z terpentyną i za pomocą bardzo cienkiego pędzla poprawiam linie zrobione wcześniej węglem. Kiedy czekam, aż farba wyschnie, przeszukuję internet w poszukiwaniu informacji na temat farb i narzędzi używanych przez Degasa. Kiedy farba jest sucha, strzepuję węgiel. Przede mną stoi pierwszy etap *Kąpeli II* – rysunek linią i farbą.

I świetnie się składa, bo właśnie ma przyjść Markel. Chce zobaczyć, jak idzie praca i przyrzuć się piecowi. Piec jest istną piękną: cały ze stali nierdzewnej, z cyfrowymi bajerami i drzwiczkami wystarczająco obszernymi, by przeszło przez nie płótno. Han van Meegeren byłby zachwycony!

Markel natychmiast podchodzi do pieca. Dziś wygląda bardziej na luzie, oczywiście jak na Markela. Ma idealnie dopasowane khaki i srebrzysto-zieloną koszulę, świetnie pasującą do jego oczu i podkreślającą umięśnione ramiona.

– Co za piekarnik – mówi.

– Dostarczyli go wczoraj. Mówię ci, wyjdzie świetnie. Idealnie. Dzięki.

– A kiedy skończysz, będziesz mogła sprzedawać muffinki – otwiera drzwiczki. – Spokojnie zmieścisz tu z setką na raz. Może nawet dwieście.

– Mam jednak nadzieję, że będę sprzedawać obrazy.

Patrzy na moje obrazy okien, które cały czas wiszą na ścianie.

– Będiesz. – Odwraca się i wskazuje na *Kąpiel II* – To grunt Meissoniera?

Jestem zaskoczona, że w ogóle o to pyta. Ale to tylko potwierdza, że nie ma pojęcia o tym, jak wygląda cały proces.

– Jasne.

– Rysunek prezentuje się świetnie. Naprawdę dobrze – robi krok do przodu. – Jeszcze bez podmalówki?

– To kolejny etap.

Markel spogląda w kierunku kanapy.

– Oj, przepraszam – mówię. – Chcesz usiąść?

Siada.

– Widzę, że zrobiłaś zakupy.

– Nie mogłam się powstrzymać. – Przeciagam ręką po delikatnym czerwonym materiale. – Była przeceniona o siedemdziesiąt procent.

Markel przechyla głowę i patrzy na mnie z mieszaniną humoru i współczucia.

– Nie musisz mi się tłumaczyć.

Zastanawiam się, dlaczego nigdy wcześniej nie zauważyłam, jaki miły z niego facet. Chyba byłam zbyt onieśmielona aurą wokół Markel G i jego pozycją handlarza sztuki robionej przez gwiazdy, żeby zobaczyć w nim prawdziwego człowieka. Byłam wtedy młodsza i znacznie bardziej naiwna. Siadam obok.

– Tłumaczę się sama przed sobą.

– Tego też nie musisz robić.

– Wiesz, jak to jest, nieuczciwe pieniądze i tak dalej. – Macham beztrąsko ręką, żeby pokazać, że tak naprawdę wcale tak nie myślę. Ale Markel nie daje się oszukać.

– Nie ma nic nieuczciwego w kopiowaniu obrazu.

– Ale posiadanie skradzionego Degasa jest już przestępstwem.

– A co, jeśli to nie jest skradziony Degas? Jeśli to tylko kopia? Czy poczułabyś się wtedy lepiej?

Prostuję się.

– A to jest kopia?

Nachyla się do mnie.

– Słuchaj Claire, jeśli cokolwiek się wydarzy, chociaż jestem pewien, że się nie wydarzy, to według mojego planu powiedziałem ci, że to kopia. To dlatego dałem ci czek na osiem tysięcy dolarów. W razie, gdyby ktoś sprawdzał nasze finanse, czek będzie potwierdzeniem, że zaakceptowałaś zlecenie, a następnie wykonałaś standardową reprodukcję. Oboje powiemy, że powiedziałem ci, że obraz był kopią i nigdy nie przyszło ci do głowy, że to płótno z Gardner Museum. Nikt ci nie udowodni, że było inaczej.

Obserwuję go uważnie.

– Czy to jest to, co mi właśnie mówisz? Że ten obraz to nie jest prawdziwy Degas?

– Jeśli to ci pomoże poczuć się lepiej.

– Ale czy to prawda?

Markel muska ręką moje udo.

– Wiesz tak samo dobrze jak ja, że jest tak prawdziwy, jak tylko może być.

## *Trzy lata wcześniej*

Pierwszy tydzień bez Isaaca spędziłam na użalaniu się nad sobą. Płakałam, marudziłam, mało jadłam, dużo spałam. W kolejnym tygodniu rzuciłam się w szal pracy tworząc jedne z najbardziej ckliwych obrazów, jakie kiedykolwiek powstały. Wszystkie wyrzuciłam. Dopiero po miesiącu udało mi się wyjść ze stanu, który, bazując na mojej wiedzy zdobytej w czasie zajęć z psychologii, można nazwać „epizodem maniakalno-depresyjnym, spowodowanym stresogenną sytuacją”. Czyli nie zwariowałam zupełnie, ale tylko na chwilę. Kiedy udało mi się powrócić do własnego ja, mój ból i żal przerodziły się w furję.

Isaac i 4D nadal byli wszechobecni. Praktycznie nie było dnia, żeby w sekcji „Nazwiska i twarze” w „Boston Globe” nie pojawiła się wzmianka o Isaacu i jego spotkaniu w supermodnej restauracji z bejsbolistą z Red Sox albo z jakimś kucharzem celebrytą. I wszystkie media, od „New York Timesa” do „South End News”, publikowały artykuły o nim albo o jego pracach. Chciało mi się rzygać.

Dużo komentarzy skupiało się na moich klepsydrach, a raczej na „niezwykłej eksploracji czasu w każdym możliwym wymiarze, włączając w to natchnione zestawienie tradycyjnych i współczesnych stylów malarskich”. Krytycy ekstatycznie piali na temat „doskonałego połączenia tematu, obrazu i znaczenia w samym dziele” oraz umiejętności Isaaca „zlewania sztuki abstrakcyjnej i figuratywnej” w konceptualną całość, znacznie lepszą niż jej poszczególne części.

„Artysta dzisiejszych czasów” pisało o nim „ArtWord” w swojej wiosennej edycji, a „Wall Street Journal” opublikował tekst na temat wpływu kuratorskich wystaw muzealnych na prace wschodzących artystów. Chodziło im oczywiście o Isaaca. Wyglądało na to, że jego wcześniejsze obrazy były teraz rozszarpywane za dziesięć do dwudziestu razy więcej, niż dostawał za nie przed wystawą w MoMA.

Nigdy nie wspomniał mojego imienia. Nigdy nie zadzwonił. Nigdy nie napisał maila. Nawet wtedy, gdy zostawiłam mu wiadomość prosząc, by przekazał Karen Sinsheimer, żeby do mnie oddzwoniła. Właśnie dlatego znalazłam się w autobusie Chinatown, zmierzającym na Manhattan. Dwadzieścia dolarów za podróż tam i z powrotem. Jechałam do MoMA zobaczyć 4D, moje 4D, i dać Karen kolejne zdjęcia moich prac, które tak chciała obejrzeć. Jej asystentka twierdziła, że te, które przesłałam, nigdy do nich nie doszły.

Chociaż byłam już w przebudowanym MoMA dobrych parę razy, wejście do budynku znów lekko mnie zaskoczyło. Po tylu latach oglądania ciasnych i mocno ograniczonych wnętrz muzeum, potrzebowałam chwili, by przyzwyczać się do otwartego lobby ze strzelistym atrium i widokiem na ogród rzeźb. Ale przyszłam tu z misją, nie miałam więc chwili do stracenia. Wystawy czasowe zazwyczaj znajdują się na najwyższym piętrze Rockefeller Building, więc tam właśnie skierowałam swe kroki. Ale kiedy spacerowałam po przestronnych, jasnych galeriach, nie znalazłam tam nawet śladu po „Przeglądzie Współczesnego Malarstwa i Rzeźby”, choć byłam pewna, że wystawa ciągle jeszcze trwa. Poczułam jednocześnie ulgę i rozczarowanie. Czy naprawdę w takich właśnie warunkach miałam zobaczyć mój własny obraz w MoMA? Najwyraźniej tak, wróciłam więc do lobby i ustawiłam się w kolejce do informacji. Wydało mi się mało prawdopodobne, by niedawno zakupiony obraz już wisiał jako część wystawy stałej, ale postanowiłam zapytać.

– Wiem, że to raczej niemożliwe – powiedziałam do kobiety z informacji – ale czy jest szansa, że nowo zakupione płótno jest już wystawione jako część kolekcji stałej? Zostało kupione zaledwie parę miesięcy temu. Autorem jest Isaac...

– Oczywiście! Chodzi pani o 4D – przerwała uśmiechając się wiedząco. – Nasz nowy Cullion.

Nasz nowy Cullion. Jak nasz nowy Picasso. Nasz nowy Rembrandt.

– Kolekcja Sztuki Najnowszej. Drugie piętro, Rockefeller Building – powiedziała. – Następny!

Wspięłam się po schodach. Kiedy doszłam na samą górę, światło z okien atrium wypełniło całą przestrzeń, rażąc mnie w oczy tak, że przez chwilę widziałam wszystko na białą. Zdezorientowana zwróciłam się w stronę księgarni, a nie galerii. Chwyciłam za górną poręcz, wzięłam głęboki oddech i zmusiłam się, by powoli podążać we właściwym kierunku.

Znalezienie go zajęło mi dobrą chwilę. Ale kiedy go znalazłam, powalił mnie na kolana. Oto on. Pomiędzy kolażem *Książę wśród złodziei* Chrisa Ofili a zegarami *Bez tytułu (Idealni kochankowie)* Féliksa Gonzáleza-Torresa. W jednym z najważniejszych muzeów sztuki nowoczesnej na świecie.

I chociaż mała biała karteczka na ścianie przypisywała tę pracę komu innemu, wiedziałam, że jest moja. 4D też to wiedziało. To oczywiście nie wystarczało. Zupełnie nie wystarczało. Szczególnie po tym, jak asystentka Karen Sinsheimer, mniej więcej w moim wieku, ale znacznie lepiej ubrana i uczesana, nie pozwoliła mi zobaczyć się z jej szefową i poinformowała mnie, że co prawda mogę zostawić zdjęcia, ale pani Sinsheimer jest bardzo zajęta i nie może mi obiecać, że będzie miała czas, by na nie spojrzeć.

Kiedy wyjaśniłam, że pani Sinsheimer sama chciała je zobaczyć, asystentka spojrzała na mnie trochę dłużej niż było to potrzebne, a potem bez słowa wyjęła zdjęcia z mojej ręki. Mogę sobie tylko wyobrazić co z nimi zrobiła, kiedy wyszłam z biura.

W drodze powrotnej autobus złapał gumę. Musieliśmy czekać na poboczu Mass Pike przez trzy godziny zanim znalazł się drugi autobus, który nas stamtąd zabrał. Kiedy wróciłam do domu, byłam wściekła. Tak wściekła, że zadzwoniłam do Isaaca z budki telefonicznej, żeby nie mógł rozpoznać mojego numeru. Gdy odebrał, powiedziałam:

– Właśnie widziałam 4D. Niezłe miejsce między Ofilim a Gonzálezem-Torresem.

Jego głos zabrzmiał jak warknięcie.

– Czego chcesz?

– Po prostu dzwonię ci o tym powiedzieć. Pogratulować wielkiego sukcesu. Jak była studentka do swojego dawnego profesora. Jak była studentka, która namalowała twoje obecne arcydzieło.



- Nie bądź śmieszna, Claire. I ty i ja wiemy, że obraz jest mój.
- Nie wydaje mi się, że to jest to, co oboje wiemy.
- Oczywiście, to ty rozpoczęłaś 4D. Podziękowałem ci za to wiele razy.

Nawet w obecności Karen i Markela, jeśli dobrze pamiętam. Ale pomysł był mój, cykl był mój, styl był mój. Nie potrafiłaś nawet używać całego ciała w malarstwie. Musiałem ci to pokazać. Nie miałaś pojęcia, jak to robić.

Przez moment nie wiedziałam, co odpowiedzieć.

– Kto go namalował? – spytałam cicho.

– Ja.

Nie mogłam uwierzyć, że to powiedział.

– Ty niewdzięczny skurwielu.

– Czego chcesz Claire?

– Chcę, żebyś powiedział im, że obraz jest mój – odpowiedziałam, zanim zdałam sobie sprawę z tego, że to dokładnie to, czego chciałam. I że chciałam tego przez cały ten czas.

– Postradałaś rozum?

– Możliwe.

– Cóż, nie zrobię tego.

Głos w telefonie, który trzymałam w ręku, zamilkł.

Mocne światło wypełnia studio. To świetny omen na pierwszy dzień malowania. Wcześniej zmieniłam pozycję obu sztalug, żeby każdy obraz oświetlony był pod tym samym kątem. Zagruntowałam podmalówkę. Biel ołowiowa, surowa umbra i terpentyna, wymieszane z odrobiną sjeny, by dodać ciepłego odcienia – to mój sekretny przepis. Pędzel z czerwonego sobola (niebotycznie drogi, ale takiego właśnie używał Degas) też jest gotowy do akcji. Zanurzam go w małej miseczce z miksturą, zamykam oczy i wyobrażam sobie, jak będzie wyglądał obraz po ukończeniu. Nie jest to aż takie trudne, biorąc pod uwagę, że stoi cały czas przede mną. Zaczynam.

Podmalówka idzie mi szybko i bezproblemowo – idealny pierwszy etap długiego projektu. Polega na monochromatycznym lawowaniu, a więc nałożeniu warstwy pomiędzy wstępnym szkicem a pierwszym kolorem. To taki cienki płaszczyk pokrywający płótno, który nada tonacji całemu obrazowi. Żeby było prościej, umbra i terpentyna z mojej mikstury sprawiają, że warstwa ta wysycha bardzo szybko i nie muszę jej wypiekać.

Kiedy maluję, moje myśli podążają ku historii podrobionej *Kąpieli*. Ostatnio coraz częściej zastanawiam się, kiedy i po co powstała. Jeśli została namalowana pod koniec XIX wieku, czego jestem prawie pewna, oznacza to, że Belle Gardner oraz Edgar Degas mogli maczać palce w jej podrabianiu. Możliwości jest wiele: Degas mógł sprzedać fałszywy obraz. Belle mogła go kazać skopiować już po tym, jak go kupiła. Mógł go podrobić ktoś inny bez ich wiedzy, na przykład w czasie transportu. Belle i Degas mogli sfalszować go razem.

Sfalszowanie obrazu w czasie transportu to opcja, która jako jedyna wydaje się mieć ręce i nogi. Do tej pory zakładałam, że Belle kupiła płótno bezpośrednio od Degasa, ale przecież równie dobrze mogła kupić je od jego poprzedniego właściciela. A licho tylko wie, ile osób miało do niego

dostęp, gdy podróżował między Paryżem a Bostonem. Okazji do sfalszowania go mogło być naprawdę wiele.

Podmałówka skończona. Potrzebuje teraz paru godzin, by wyschnąć. Czuję się niespokojna, poddenerwowana, jakby zamknięta w małej klatce, chociaż moje studio jest wysokie na cztery i pół metra, a okna sięgają od podłogi aż do samego sufitu. Wychodzę na spacer. To zazwyczaj pomaga, ale dziś głowa wiruje mi od myśli o Belle i Degasie, ich relacjach i motywach potencjalnych oszustw. Macham ręką optykowi zza rogu, właścicielowi małego butiku z drugiego końca mojej ulicy i ucinam sobie pogawędkę ze sprzedawcą kwiatów. Jednak nadal nie potrafię się uspokoić.

Czuję, że muszę wrócić do studia, muszę poczuć zapach farb, porozmawiać z płótnami, rozgrzać palce, przygotować się do pracy. Wracam, ale nie mogę zabrać się do żadnej z tych rzeczy. Mogę tylko chodzić tam i z powrotem. Zmuszam się, by usiąść, ale moje ręce za nic nie przestają drżeć. Siadam więc do komputera i szukam informacji o Edgarze Degasie i Isabelli Stewart Gardner.

Wyskakuje ponad pięćdziesiąt tysięcy wyników. Większość z nich dotyczy kradzieży z 1990 roku obrazów i druków Degasa z kolekcji Gardner Museum. Próbuję wyszukiwania zaawansowanego, usuwając wszystkie linki zawierające słowa „muzeum”, „kradzież” i „rabunek”. Dostaję ponad siedemdziesiąt pięć tysięcy wyników. Sprawdzam znów i okazuje się, że zapomniałam dodać cudzysłów po „Isabella Stewart Gardner”. To dlatego wyszukiwarka znalazła wszystkie witryny, które w dowolnym miejscu wymieniają nazwisko Degas lub wzmiankę o wszystkich, którzy nazywają się Isabella, Stewart lub Gardner.

Dodaję cudzysłów i wychodzi mi tylko jeden link. To strona po rosyjsku, która wygląda jak dane biograficzne. Wyrzucam ją z mojego wyszukiwania i po raz kolejny wciskam „szukaj”. „Nie znaleziono żadnych wyników. Upewnij się, że wszystkie słowa napisane są poprawnie”.

Wiem, że Degas żył pomiędzy 1834 a 1917 rokiem głównie w Paryżu, gdzie był aktywnym uczestnikiem sceny artystycznej. Wikipedia podpowiada, że Belle żyła pomiędzy 1840 a 1924, a pomiędzy 1867 a 1906

odbyła co najmniej dziesięć podróży do Europy, głównie do Paryża i Wenecji. Celem jej wycieczek był zakup dwóch tysięcy pięciuset dzieł sztuki, które teraz wypełniają jej muzeum. Bardzo prawdopodobne, że w czasie którejś ze swoich podróży spotkała się z Degasem.

Przełądam wszystkie moje książki o Degasie (mam ich co najmniej kilkanaście) i przeszukuję dokładnie ich skorowidze. Ani słowa o Belle. Wchodzę na Amazona i sprawdzam książki o Degasie i o Belle, ale ich streszczenia i opinie o nich są zbyt ogólne, a nie mam przecież zamiaru wydać setek dolarów na wszystkie te publikacje.

Wracam więc do Google'a i znów czytam o Belle. Rik miał rację – miała niezły charakter. Inspiruje mnie jej odwaga i to, jak celowo prowokowała purytański Boston swoimi odważnymi paryskimi sukienkami lub gdy organizowała literackie i muzyczne wieczorki, na które zapraszała tylko mężczyzn. Znajduję też informacje o lwiątkach oraz bejsbolówce Red Sox. Była ubóstwiana przez młodych artystów, których prace kolekcjonowała, a pogardzana przez starą gwardię. Była uwielbiana przez mężczyzn, a piętnowana przez kobiety. Miasto kipiało wręcz od skandalicznych plotek o jej romansie z Frankiem Crawfordem (znacznie od niej młodszym pisarzem) oraz ze starszym Johnem Signerem Sargentem. Ale ani słowa o Degasie.

– Myślałem, że twoja książka miała mówić o europejskich powiązaniach Degasa – mówi Rik następnego dnia. Siedzimy ściśnięci w jego biurze na czwartym piętrze muzeum. Jego stopy opierają się na biurku, ja przysiadam na jego krawędzi. Pierwsze trzy piętra Gardner Museum to przestrzeń wystawiennicza, czwarte piętro zaś to biura administracji muzeum. Gdy żyła Belle, to właśnie tu mieszkała. Dzisiaj w niczym już nie przypomina to domu.

– Belle odbyła tyle podróży do Europy w czasie, gdy Degas był aktywny, i spędziła tyle czasu z różnymi artystami i handlarzami, że pomyślałam, że może to być warte opisanie – wyjaśniam.

Rik opuszcza stopy na podłogę i odwraca się do komputera.

– Faktycznie, kupiła co najmniej kilka jego prac. Niestety, większość z nich została ukradziona – Rik patrzy w dal, gdzieś za moim ramieniem. – W zeszłym tygodniu mówiono, że część skradzionych obrazów została ukryta w jakimś domu w Maine.

– I?

– I nic – wzrusza ramionami. – Czyli jak każda informacja na temat tej kradzieży.

– A wracając do Belle i Degasa? – ponaglę go.

Wystukuje coś na klawiaturze i marszczy brwi.

– Czy wiedziałaś, że pięć z trzynastu skradzionych prac było autorstwa Degasa?

Nie wiedziałam, że było ich aż tyle.

– Ha, może tu znajdę coś dla siebie.

– *Trzech Dżokejów*, czarny tusz na papierze. *La Sortie du Pelage*, ołówek i akwarela na papierze. *Cortège aux Environs de Florence*, ołówek i akwarela na papierze – palce Rika przesuwają się po klawiszach. – *Wieczór artystyczny*, węgiel na papierze. I, oczywiście, *Po kąpieli*.

Nie chcę, żeby choć przez chwilę pomyślał, że interesuje mnie właśnie *Po kąpieli*.

– A masz tam coś na temat Berensona albo jakiegoś innego handlarza? To tego typu relacje najbardziej mnie interesują.

– Berenson był stuprocentowo jej człowiekiem – Rik odwraca się w krześle. – Widziałaś się ostatnio z Markelem?

– Z Markelem?

Na jego ustach pojawia się uśmiešek.

– No wiesz, Markel G, facet, który przyszedł do twojego studia parę tygodni temu?

– A jaki ma związek Degas z Markelem?

– Żaden. Wybacz. Skojarzenia. Rozmawiamy przecież o handlarzach. Widziałem go, jak wchodził do twojego budynku parę dni temu i myślałem, że może coś się szykuje?

Wzruszyłam ramionami tak nonszalancko, jak tylko potrafiłam.

– Cóż, mnie raczej nie odwiedził.

– Myślisz, że ma tam jakiś klientów?

Udaję, że poważnie się nad tym zastanawiam.

– Nic mi o tym nie wiadomo. Ale Roberta Paul i Beth Weinhaus mają studia na drugim piętrze. Może był na wizycie studyjnej. Beth pracowała ostatnio nad fantastycznymi instalacjami ze staromodnymi gorsetami.

Rik marszczy nos.

– A od kiedy tak podobają ci się te konceptualne bzdury? Albo Markelowi, skoro już o nim mówimy?

– Więc może przyszedł do Roberty.

Rik znów odwraca się do komputera.

– Miałem nadzieję, że przyszedł do ciebie, kotku.

Jest piękne popołudnie (przynajmniej dla tych, którym niestraszna odrobina upału, tak jak mnie), więc postanawiam wrócić do domu spacerkiem. Skręcam w stronę MFA i idę dalej Huntington Avenue.

Dziwne, jak niewiele udało nam się znaleźć na temat znajomości Belle i Degasa. Natknęliśmy się na setki stron poświęconych jego pracom i samej kradzieży, na masę krytyki i opinii, tak na temat malarza, jak i jego *Kąpieli*. Ale nic na temat jakiegokolwiek spotkania Belle i Degasa. Kiedy zapytałam Rika o listy Belle, odpowiedział, że przed śmiercią spaliła całą swoją korespondencję i poprosiła, by ci, do których pisała, zrobili to samo. Niestety, większość z nich uszanowała jej wolę.

– Zastanawiam się, co takiego mogła mieć do ukrycia – powiedziałam.

– Jeśli chodzi o Belle, mogło to być każde najdrobniejsze głupstwo – odpowiedział Rik.

Ten zaskakujący brak informacji tylko pogłębia moją ciekawość. Rika także. Obiecał, że przeszuka jeszcze raz dokumentację w muzeum i że będzie starał się zdobyć jakieś informacje, kiedy pojedzie do Paryża. W zupełności mi to wystarczy. Teraz całą moją energię muszę skupić na ukończeniu *Kąpieli II* i na tym, by wreszcie usunąć ją z mojego studia. W końcu mam naprawdę dużo *Okien* do namalowania!

Rozmyślając o pracy, kieruję się do Al. Podmalówka powinna być już sucha, potrzebuję więc farb i pędzli do kolejnego etapu malowania. Do *Kąpieli II* muszę użyć materiałów, które były dostępne w XIX wieku. Na szczęście dość dużo wiadomo na temat pędzli, jakimi pracował Degas. Poza tym tworzył pod koniec stulecia, kiedy farby zaczęły być już dostępne w gotowych tubkach. Wcześniej artyści przygotowywali swoje pigmenty bazując tylko na naturalnych składnikach, takich jak surowa umbra, *terre verte* czy trójsiarczek arsenu. Mimo tego każdy materiał, jakiego użyję, musi być czysty i pozbawiony jakichkolwiek środków chemicznych odkrytych w XX wieku. Mam dużo szczęścia, że znam Al. Jest naprawdę bardzo uważna i zawsze dokładnie sprawdza, co i od kogo kupuje.

Dzwoni telefon.

– Hej – mówi Rik. – Znalazłem coś dla ciebie. Nie wiem, jak mogłem o niej zapomnieć, jest tak upierdliwa. Sandra Stoneham. Jedyna żyjąca krewna Belle. I nie jest nawet jej prawdziwą krewną – pociąga nosem. – To wnuczka siostrzenicy Jacka Gardnera. Mieszka na Brooklynie.

– Myślisz, że może coś wiedzieć o Belle i Degasie?

– Jeśli jest cokolwiek, co można na ten temat wiedzieć, ona będzie to wiedziała.

– A będzie chciała ze mną rozmawiać?

– Jeśli dobrze ją podejdziesz i będziesz się zachwycać Belle, powie ci wszystko, co wie. Tylko nie mów, że masz cokolwiek wspólnego z muzeum. A najlepiej zmieszaj muzeum z błotem. Będzie ci jeść z ręki.

# Napisane piórem Isabelli Stewart Gardner

1 września 1890,  
Paryż, Francja

Moja najdroższa Amelio,

Nie odzywałaś się od czasu mojego ostatniego pobytu w Palazzo Barbaro. Mam nadzieję, że w domu wszystko w porządku. Ach, Wenecja. Potrzeba by prawdziwego geniusza słowa, by opisać wpływ tego miasta na moją duszę! A teraz jesteśmy już w Paryżu. We wrześniu jest tu najpiękniej – paryskie ulice skąpane są w ciepłym, różowawym świetle. Chociaż wcale nie chciałam wyjeżdżać z Włoch, nie mogę powiedzieć, by zmiana scenerii źle mi zrobiła.

Zaledwie parę lat minęło, odkąd ostatni raz spacerowałam szerokimi bulwarami Paryża, a ja nie mogę się nadziwić, jak bardzo zmieniłaś się w tym czasie: z promieniejącej panny młodej w prawdziwą matkę! Gratuluję tak Tobie, jak i Sumnerowi, a także całej rodzinie. Jestem już naprawdę stara, skoro stałam się babką cioteczną. Doprawdy, tytuł ten zupełnie nie pasuje mi do tego, co sama o sobie myślę.

Jak się miewa mój kochany mały Jackie? Wzruszam się każdego dnia, gdy o nim myślę i każdego dnia dziękuję Ci w duchu za nazwanie go Jack na cześć mojego ukochanego zmarłego synka. Przyciśnij jego pulchne ciało do swej piersi i zanurz nos w fałdki jego słodko pachnącego karczku, bo nie ma na świecie nic piękniejszego niż trzymanie w objęciach własnego dziecka, ciepłutkiego i oddychającego.

Przykro mi, że nie piszę do Ciebie tak często, jak bym tego chciała, ale ta podróż to istna trąba powietrzna, wypełniona wspaniałymi zakupami i jeszcze większymi rozczarowaniami. Ceny dzieł sztuki są tu wprost zatrważające. Moim głównym zmartwieniem jest to, że nie mogę mieć wszystkich obrazów, jakich bym pragnęła. Muszę więc wybrać tylko



niektóre z nich, by potem móc poszerzyć moją kolekcję w czasie kolejnej podróży. Twój wuj Jack zawsze próbuje mnie powstrzymać przed dużymi wydatkami, mówiąc, że puszczą nas kiedyś z torbami. Ale, jak to mówią, ja chciałabym i mieć ciastko, i je zjeść!

Przejdźmy teraz do Twoich pytań dotyczących pana Edgara Degasa. Jak wiesz, moja droga Amelio, jesteś moją najbliższą krewną, a do tego moją najlepszą przyjaciółką. Jako że jesteś do tego młoda i bardzo postępową (co niespotykane wśród pań mieszkających w Bostonie), jesteś jedyną osobą, której mogę się w tej sprawie zwierzyć.

Nawet gdybyś o to nie spytała, i tak musiałabym Ci to powiedzieć, bo nie dałabym rady utrzymać tej niesamowitej historii w sekrecie. Oczywiście mam nadzieję, że tak to, co Ci tu napiszę, jak i wszystkie inne nasze rozmowy na ten temat pozostaną tylko i wyłącznie między nami.

Gdzież mam więc zacząć? Skrócę nieco moją opowieść, ale pozostanę tak wierna rzeczywistym wydarzeniom, jak to tylko możliwe, żebyś mogła w pełni zrozumieć, do czego właściwie doszło.

Edgar znów zaprosił nas do swojego studia, ale Twój wuj nie mógł pójść ze mną, bo miał wówczas spotkanie w swoim banku. Przyznam szczerze, że przygotowałam się bardzo starannie i przybyłam do Edgara o wyznaczonej godzinie, ubrana w błękitną tiulową sukienkę, idealną na tę okazję, choć jej dekolt był może trochę odważniejszy niż to, co zakładają bostońskie kobiety popołudniami. Edgar nalał nam po kieliszku cudownego wina, które zakupił podczas swej niedawnej podróży po Burgundii. Potem opowiedział mi parę zabawnych przygód z tej eskapady, włączając tę, kiedy wypił zbyt dużo tego właśnie wina w winnicy w Aignay-le-Duc.

Śmiałyśmy się, a następnie przyniósł obraz, który namalował, bazując na swoich burgundzkich szkicach. Przyznaję, że był przyjemny dla oka, ale niestety namalowany pastelami, do tego w stylu impresjonistycznym. Edgar wiedział dobrze, że nie będę nim zachwycona. Śmiem wręcz twierdzić, że pokazał mi go, by mnie trochę podpuścić. Potem pokazał mi swój nowy obraz z cyklu *Kąpiących się*, nad którym pracował w czasie mojej ostatniej wizyty – *Kobietę wychodzącą z kąpieli*. Ku memu przerażeniu

okazało się, że farba nałożona została przy pomocy szpachli malarskiej, a sam obraz wydawał się nieostry.

Wówczas byłam już pewna, że próbował mnie sprowokować, więc udałam, że zupełnie się tym nie przejmuję i skomplementowałam żywe kolory pracy. Podziękował mi, ale jego oczy zabłyszczały tak jak zawsze, gdy robi wstęp do swoich żartów.

– Mam dla pani propozycję, moja droga pani Gardner – powiedział. – Myślę, że wyda się pani niezwykle interesująca, choć może trochę nietaktowna.

Zakładając, że każda propozycja ze strony Edgara będzie dotyczyć jego obrazu, nie chciałam wydać się zbyt chętna i kontynuowałam rozmowę w tym samym lekkim tonie, co przed chwilą.

– Jeśli ma mi pan złożyć nietaktowną propozycję, nie uważa pan, że powinien nazywać mnie Isabellą?

Wybuchnął serdecznym śmiechem.

– Masz rację, Isabella – zawahał się przez chwilę. – Czy nazywają cię czasem Belle?

– Czasem – odpowiedziałam. – Ci, którzy są mi naprawdę bliscy.

Jego oczy spotkały się z moimi i przez chwilę miałam wrażenie, jakby z pokoju uszło całe powietrze.

– Czy mogłabyś zaliczyć mnie do tej grupy? – zapytał.

Trudno było mi opanować emocje, więc szybko przytaknęłam.

– Czego więc dotyczy twoja propozycja?

– To proste. Namaluję obraz olejami, używając techniki warstwowania, którą tak cenisz. Ale tylko wówczas, jeśli zgodzisz się być moją modelką.

Moja droga Amelio, nie potrafię opisać, jak bardzo załomotało mi serce. Mój własny portret pędzla Edgara Degasa, w jego klasycznym stylu! Czy mogłabym życzyć sobie czegoś więcej? I może do tego zgodziłby się mi go sprzedać po dobrej cenie?

– To prawdziwa propozycja? – spytałam.

– Chciałbym, abyś pozowała nago – odpowiedział, jakby była to najbardziej naturalna sprawa pod słońcem. – Chcę dodać ten obraz do mojego cyklu kąpiących się. Zadziwię wszystkich tym powrotem do stylu

mojej młodości. Krytycy będą zachodzić w głowę by zrozumieć, dlaczego to zrobiłem. A prawdę będziemy znać tylko my Belle, ty i ja.

– Ależ to szaleństwo. Jestem zdecydowanie za stara na takie przedsięwzięcie.

– Czy to jedyny powód? – zapytał z szelmowskim uśmiechem.

Byłam tak przytłoczona jego propozycją, że nie rozumiałam do końca znaczenia jego słów i uśmiechu. Brnęłam więc dalej.

– Nie jestem już młoda, a nawet gdy byłam, nie należałam do szczególnych piękności. Więc taka propozycja zupełnie nie wchodzi w grę.

Roześmiał się głośno, i wreszcie dotarło do mnie, że nie wspomniałam nic o niestosowności jego propozycji. Zaczęłam zbierać moje rzeczy, a żar palił mi całą twarz.

– A do tego twoja propozycja jest zupełnie niewłaściwa.

– Moja droga Belle – powiedział Edgar, gdy wreszcie złapał oddech. – Z twoim wdziękiem i figurą, doskonałą cerą i tymi pięknymi ramionami i rękoma, promieniejesz pięknem, które unicestwia wiek.

Dokładnie okryłam szalem dekolt mojej sukienki.

– Nie mogę tego zrobić.

– Nie będzie tak, jak to sobie wyobrażasz, obiecuję. Nie będziesz czuła wstydu. Oferuję ci pracę, która tak naprawdę jest nudna i żmudna.

– Nie potrzebuję pracy – odpowiedziałam, podążając w stronę drzwi. – Jestem kobietą zamężną.

Znów szelmowski uśmiech.

– Więc nie pracę. Obraz będzie moim prezentem dla ciebie. Będzie wyrazem wdzięczności za zaszczyt, jakiego dostąpię.

Prezent. Stałam w bezruchu, patrząc na drzwi. Myśli wirowały mi w głowie. Edgar Degas proponował mi jeden ze swoich obrazów jako prezent. Klejnot do mojej kolekcji, może wręcz korona. Za nic. Lub za cenę, jaką, mówiąc między nami, byłabym chętna i zaszczycona zapłacić.. Skandal byłby wręcz cudowny, ale niestety Twój biedny wuj umarłby pewnie ze wstydu.

– To niemożliwe – powiedziałam i zamknęłam za sobą drzwi.

Ucałuj, proszę, małego Jacka tysiąc razy ode mnie i przekaz  
pозdrowienia Sumnerowi. Już wkrótce będziemy znów razem i będziemy  
mogły rozmawiać tyle, ile dusza zapragnie. Z niecierpliwością czekam na  
nasze rodzinne i huczne Boże Narodzenie w Green Hill, oraz na nowe,  
cudowne dziecko, które będę mogła rozpieszczać.

Twoja kochająca,  
Ciocia Belle

Zadzwoiłam do Sandry Stoneham i powiedziałam jej, że pracuję nad konspektem książki o relacjach Isabelli Stewart Gardner ze współczesnymi jej artystami. Taka tematyka wydała mi się najlepsza, biorąc pod uwagę sensację wokół skradzionego arcydzieła, które cały czas miałam w studiu. Wydała się zaciekawiona, ale stwierdziła, że nie będzie w stanie powiedzieć mi niczego ciekawego, bo muzeum kontroluje wszystko, co dotyczy jej ciotki. Kiedy zaczęłam narzekać, że Gardner Museum nie było dla mnie w ogóle pomocne, natychmiast zaprosiła mnie do siebie.

– Oni naprawdę potrafią wszystko utrudnić – powiedziała. – Wszystko musi być tak, jak oni sobie zażyczą.

Po drodze kupuję hortensje na Copley Station. Wydaje mi się, że starsze panie lubią hortensje, chociaż zupełnie nie mam pojęcia, dlaczego tak myślę. Podziwiam ich bujne, niebieskie kule w świetle późnoletniego zmierzchu. Wskazówki jak dojść, których udzieliła mi Sandra, okazują się doskonałe i bez problemu znajduję jej dom. Ostatni odcinek do pokonania jest dość stromy. Przez telefon wyjaśniła mi, że posiadłość ta należała to jej pra-pradziadka Sumnera T. Prescottta, ale w 2000 roku sprzedała „cały ten kram” deweloperowi, który stworzył dla niej „piękne mieszkanie” na pierwszym piętrze, a resztę rozbił na apartamentowce, a następnie wybudował tu dwadzieścia cztery wolnostojące domki, tanie i zupełnie niepasujące do otoczenia.

Kiedy wspinam się po schodach, widzę basen i korty tenisowe. Zgaduję, że pani Stoneham musi być pomiędzy osiemdziesiątką a dziewięćdziesiątką, ale kiedy otwiera mi drzwi rozumiem, że nie miałam racji. Wygląda przystojnie, ma na sobie strój do tenisa, a na głowie modną fryzurę. Nie może mieć więcej niż siedemdziesiąt lat. Może nawet mniej.

– Wybacz – mówi, chwytając torbę do tenisa i wprowadzając mnie w rozległe wnętrza, wysokie na trzy i pół metra, z mnóstwem wielkich

okien. To jej salon, kuchnia i jadalnia w jednym. – Mój trening lekko się przeciągnął i nie miałam czasu, żeby się przebrać.

– Nie ma problemu, pani Stoneham. Ale oczywiście z chęcią zaczekam, jeśli chce się pani przebrać teraz. Naprawdę doceniam, że zechciała mi pani poświęcić swój czas.

– Nie, porozmawiajmy teraz. I mów do mnie Sandra – wskazuje na krzesło stojące w salonie. – Byłam mężatką przez ponad sześćdziesiąt lat i nadal myślę, że pani Stoneham to moja teściowa. Tak kazała mi do siebie mówić.

– W porządku – mówię, siadając. Czyli jest jednak starsza niż myślałam.

Dzieła sztuki, które wypełniają jej mieszkanie, to kolejna niespodzianka. Większość z nich to wysokiej klasy kubistyczne litografie Picassa, Le Fauconniera i Grisa, wymieszane z pracami abstrakcyjnych ekspresjonistów, takich jak Pollock, Rothko i de Kooning. Łypię okien na Grisa. Wygląda na oryginał. Jest tu także dużo instalacji multimedialnych oraz parę niezwykłych rzeźb z metalu i ceramiki. Wszystko jest zaskakująco współczesne: kuchnia z granitowym blatem, wysokiej jakości nowoczesne sprzęty, sztuka, meble. Sama Sandra. Muszę najwyraźniej zrewidować to, co myślę o osiemdziesięciolatkach. Chociaż uśmiechnęła się, gdy zobaczyła hortensje.

Sandra przykłada szklanekę do dystrybutora wody w lodówce.

– Czy mogę ci coś zaoferować? Woda? Herbata? Kawa? Soda?

Wybieram wodę, a ona wręcza mi szklanekę, którą właśnie napełniła. Dla siebie bierze kolejną. Wypija wodę jednym łykiem, znów napełnia szklanekę i siada naprzeciw mnie.

– Masz tutaj naprawdę fantastyczne prace – mówię. – Gris jest po prostu doskonały.

Jej oczy się uśmiechają.

– Nie tego spodziewałaś się po starszej pani?

– Nie, skąd, zupełnie nie o to mi chodziło. Jestem po prostu, hmm, pod wrażeniem kolekcji.

Śmieje się, a ja myślę, czy Rik naprawdę powinien był ją nazwać upierdliwą.

– Mam też parę bardziej klasycznych prac – wzdycha. – Ale nic od mojej ciotki Belle. Każdą pracę, jaką kiedykolwiek posiadała, zabrało muzeum.

– Była twoją babką cioteczną?

– Dokładniej pra-prababką. Moja babka, Amelia Prescott, była jej siostrzenicą. Jej ulubioną siostrzenicą, jeśli mogę dodać. Moja mama Fanny była jedynym żyjącym dzieckiem Amelii, a ja jestem jedyną żyjącą krewną Belle – Sandra zagryza wargi. – Mogłoby się wydawać, że Isabella Stewart Gardner Museum powinno to docenić. Ale nie, oni nie mają żadnego interesu w dbaniu o dziedzictwo ciotki Belle, w utrzymywaniu jej miejsca w historii. Oni dbają tylko o swoje rezydencje artystyczne i o wykłady wygłaszane przez ludzi, którzy nie mają bladego pojęcia ani o ciotce ani o jej pracy. Nie wspominając nawet o tych, którzy uwielbiają paprać się w brudach. Opowiadać o jej romansach lub przyjaźniach z osobami homoseksualnymi. A jakie to ma w ogóle znaczenie? To, co się liczy, to jej osiągnięcia. Jej muzeum, jej kolekcja.

Więc wreszcie dotarłam do upierdliwej strony Sandry. Staram się znaleźć temat, który przywróci jej dobry humor.

– Więc to jest twoja kolekcja nowoczesna? A starsze obrazy? Masz je w innych pokojach?

Surowy wyraz twarzy znika.

– Dokładnie. Jako że ta część została wyremontowana i unowocześniona, pomyślałam, że takie ustawienie będzie najlepsze. W klasycznych częściach apartamentu trzymam te bardziej tradycyjne prace. My, kolekcjonerzy, potrafimy być dość fanatyczni, nawet jeśli chodzi o typ wnętrza, w którym umieścimy nasze zdobycze. Ale to tylko początek. Gdy jakaś praca zdobędzie twoje serce, nigdy nie będziesz potrafiła się z nią rozstać – wstaje. – Chodź, pokażę ci cudowne dziewiętnastowieczne obrazy mojej babci.

Podążam za nią z powrotem do wejścia. Bezpośrednio naprzeciw drzwi wisi portret pięknej młodej kobiety. Jej skóra jest świetlista w sposób, jaki potrafią osiągnąć tylko najzdolniejsi malarze. Byłam tak

zaskoczona młodym wyglądem Sandry, że przeoczyłam ten obraz jak wchodziłam.

– To babka Amelia. Piękna, prawda?

Nachylam się bliżej i staram się odczytać sygnaturę.

– Rudell? Nigdy o nim nie słyszałam.

– Rendell – poprawia mnie Sandra – Virgil Rendell. Nie jest zbyt znany.

– Na pewno był dobry – mówię. – Naprawdę dobry. I zgadza się, twoja babka była prawdziwą piękną.

Ale to nie tylko uroda Amelii sprawia, że obraz jest tak przejmujący. To światło widoczne w jej oczach, ciepło, które tak dobrze oddał Rendell, jej wewnątrz radość, która wypływa na zewnątrz, przenikając przez przeszłość i muskając teraźniejszość.

– Wygląda na taką szczęśliwą – mówię. – I taką niewinną.

– To dlatego, że portret powstał, zanim jeszcze poślubiła dziadka.

Odwracam się w głąb mieszkania, do części, w której zachowały się oryginalne gzymsy i boazeria.

– Więc to jest ta bardziej klasyczna część kolekcji? – Wskazuję na parę pięknych mahoniowych drzwi suwanych, zamkniętych finezyjnym mosiężnym kluczem i najwyraźniej skrywających oryginalny salon. – Mogę zerknąć?

– Jasne, jak tylko będę miała więcej czasu – Sandra patrzy na zegarek i wprowadza mnie do salonu. Obie siadamy. – Porozmawiajmy teraz o twojej książce.

– Jak wspomniałam przez telefon, pracuję nad konspektem książki na temat relacji Isabelli Gardner z różnymi artystami, ale nie mogę znaleźć dostatecznej ilości informacji. Twoja ciotka wywarła tak duży wpływ na współczesnych sobie artystów – dodaję, pomna rady Rika, by zachwalać Belle. – Mogę sobie tylko wyobrazić, ilu było malarzy, których zainspirowała, a o których nie mam nawet pojęcia.

– Pewnie wielu – odpowiada z uśmiechem. – Jesteś naukowczynią?

– Niedawno skończyłam studia na MFA, ale od zawsze fascynuje mnie postać Belle Gardner. Pomyślałam więc, że mogłabym spróbować swoich sił. Sama sztuka niestety nie wystarcza na życie.



– Znasz Bena Zimmerna?

– Oczywiście – odpowiadam z udawanym entuzjazmem. – Ale ja specjalizowałam się w malarstwie studyjnym, więc nie miałam z nim żadnych zajęć.

– Jestem w zarządzie MFA i pracowałam z Benem nad wieloma projektami związanymi z rzeźbą.

– Jesteś też w zarządzie Gardner Museum? – pytam z nadzieją, że odwróć jej uwagę od innych departamentów mojej szkoły, które też może znać. Boston to naprawdę zwodniczo małe miasto.

Sandra marszczy brwi.

– Byłam, dopóki nie przestałam być. Nie mogę znieść tych ich nowoczesnych dodatków. A teraz jeszcze wyskoczyli z nową, większą kawiarnią. I z większą księgarnią. Oszklonym przejściem. Na litość boską, to był przecież jej dom i jej dziedzictwo! Ciotka Belle z pewnością przewraca się w grobie.

Nie znajduję na to dobrej odpowiedzi, więc znów wracam do książki.

– Szukam...

– Jaką techniką malujesz? – przerywa mi.

– Olejami.

– A kiedy zrobiłaś dyplom?

Waham się. Intensywność jej pytań sprawia, że przestaję się czuć komfortowo.

– Trzy lata temu.

– Ha! Musiałaś zatem być studentką Isaaca Culliona! – potrząsa głową. – To takie smutne. Taki młody człowiek. I taki talent!

Kompletnie zaskoczona, waham się o nanosekundę zbyt długo.

– Tak. Tak, zdecydowanie. Wielki talent.

Patrzy na mnie uważnie.

– Twoje imię wydawało mi się znajome od samego początku.

Opuszczam wzrok. Co za spektakularny pech. Sandra nachyla się i poklepuje mnie po kolanie.

– Nie usłyszysz ode mnie złego słowa, Claire. Mam przyjaciół w MoMA i wiem, że często rzeczy nie są aż tak proste, jak się mogą wydawać.

– Naprawdę? – Moje oczy napotyka ją na jej i wiem, że naprawdę tak myśli. – Dziękuję.

Puszczaj to mimo uszu.

– Co mogę ci zatem powiedzieć na temat ciotki Belle i jej słynnych przyjaciół?

Z plecaka wyciągam notatnik i długopis.

– Wiem, że często przebywała ze znanymi ludźmi, nie zawsze artystami, jak Henry James czy Julia Ward Howe. Ale pomyślałam, że najciekawiej byłoby się skupić na samych artystach – przeglądam moje notatki. – Mam dużo na temat jej kontaktów z Whistlerem, Sargentem i Ralphem Curtisem, ale potrzebuję jeszcze paru nazwisk, a skończyły mi się pomysły.

Sandra uśmiecha się do mnie.

– Cóż, była wspaniałą patronką sztuki. I to sztuki bardzo szeroko pojętej: muzyki, literatury, architektury. Dla wielu była muzą, sama też miała swoich ulubieńców – stuka palcami o oparcie fotela. – Pomyślmy.... Artyści, artyści... Był Joseph Smith, Ralph Adams Cram, Martin Mower i, no tak, oczywiście, Dennis Miller Bunker.

Zapisuję nazwiska uśmiechając się do niej i wsłuchując się w każde słowo.

– A jeśli chodzi o artystów trochę bardziej znanych – pytam. – Chciałabym, żeby książka była skierowana tak do świata naukowego, jak i do zwykłego czytelnika. Może Manet? Cassatt? Pissaro?

Sandra potrząsa głową.

– Ciotka Belle nie przepadała za impresjonistami. Myślę, że nie miała z nimi zbyt wiele do czynienia.

– Ale miała parę prac Degasa.

– Jeśli się zastanowisz, na pewno zauważysz, że w jej muzeum nie ma ani jednej jego pracy pochodzącej z okresu impresjonistycznego. Praktycznie wszystkie dzieła Degasa, jakie kupiła, powstały znacznie wcześniej niż którakolwiek z jej europejskich podróży. A *Po kąpieli*, która jest przecież pracą późną, została namalowana w jego tradycyjnym, przedimpresjonistycznym stylu.

– Faktycznie. Nie pomyślałam o tym wcześniej – mówię z zachwytem głosem. – A wiesz, że to może być ciekawy aspekt do poruszenia. Jej przyjaźnie w kontekście jej osobistych odczuć względem stylów, jakimi posługiwali się artyści – zaczynam znów notować. – Cudownie byłoby, gdyby się okazało, że Belle i Degas byli przyjaciółmi. Przecież istnieje taka możliwość, prawda? Poruszali się w tych samych kręgach, mieli podobne zainteresowania.

– Przyznam, że nie słyszałam ani nie czytałam niczego na temat ich znajomości – mówi. – I niestety powiedziano mi już wielokrotnie, że wiem na temat Belle Gardner więcej niż ktokolwiek inny na świecie. Włączając jej biografów i tych, którzy pracują w jej muzeum.

Ciężko mi ukryć rozczarowanie.

– Przykro mi – Sandra nachyla się w moim kierunku. – Widzę, jak wiele znaczy dla ciebie ta książka.

Wzruszam ramionami.

– Po prostu próbuję zrobić coś nowego.

– Więc już nie malujesz?

– O nie, maluję nadal. – Unosi do góry brew. – Pracuję właśnie nad paroma nowymi obrazami na wystawę, która ma się odbyć na zimę.

– To cudowne, Claire! – Sandra wydaje się naprawdę ucieszona. – Cieszę się! W jakiej galerii?

– W Markel G.

Zmarszczka na jej czole pogłębia się

– Aiden Markel zamierza uwzględnić twoje prace na jednej ze swoich wystaw?

Kiwam głową.

– No, no, no – mówi Sandra, opanowując zdziwienie. – Bardzo się cieszę! Sama jestem zdania, że nie ma sensu chować starych obrazów. Zupełnie nie ma sensu. – Patrzy na mnie przenikliwie. – Ale czy w takim razie nie jest to dość dziwny moment, żeby pisać konspekt książki?

– Nie chcę zamykać przed sobą żadnych drzwi. Wystawa to w końcu tylko wystawa. – Kiwa głową z aprobatą i wstaje. Rozmowa zakończona. Chowam notatnik do plecaka i też się podnoszę. Ona nic nie wie, a ja mam

duzo obrazów do namalowania. – Dziękuję, że zgodziłaś się ze mną spotkać. I że poświęciłaś mi czas.

– Przykro mi, że nie powiedziałam ci tego, co chciałaś usłyszeć – mówi Sandra. – Mam parę kartonów ze starymi pamiątkami rodzinnymi i mogę na nie spojrzeć, jeśli chcesz. Muzeum zabrało wszystko, co znajdowało się w budynku w momencie śmierci ciotki. Ale może w tych kartonach jest coś, co mojej babce udało się zatrzymać i nie oddać w ich chciwe ręce.

– Byłoby świetnie, dziękuję – mówię, zbliżając się do drzwi. W głębi duszy myślę, że to chyba najwyższy czas, żeby zaprzestać poszukiwań relacji Belle-Degas i zabrać się za robotę.

Zaszyłam się w pracowni już prawie tydzień temu. Nie rozmawiam z nikim, pracuję po czternaście godzin dziennie, żywiąc się tajskim jedzeniem na wynos i sokiem pomarańczowym. Nie chodzę do Jake'a, nie odwiedziłam Al, nie byłam nawet w żadnym spożywczym. Dzwonili do mnie Rik, Markel i moja mama, ale spławiłam ich wszystkich obietnicami, że zobaczymy się „wkrótce”. Było to prostsze niż myślałam. Gorączkowo pracujący artysta, który stroni od przyziemnych obowiązków, to romantyczna wizja, jaką ludzie zwyczajnie kupują. „Jestem w szale pracy” mówię, a oni znikają. Prawda jest taka, że nie ma w tym nic romantycznego. To ciężka i wyczerpująca harówka, ale daje satysfakcję. Dzięki własnym poszukiwaniom, studiom, Hanowi van Meegerenowi i najwyższej klasy piecowi Markela robię całkiem niezłe postępy. Bez pieca cały projekt zajęłby mi około dwóch lat, a nawet wówczas produkt końcowy mógłby nie przejść wszystkich testów autentyczności.

Van Meegeren, holenderski malarz, który tworzył w pierwszej połowie dwudziestego wieku, uważany jest za najbardziej pomysłowego fałszerza sztuki swoich czasów. A może nawet wszech czasów. Jego własne prace zostały rażąco źle osądzone przez krytyków. Obmyślił więc genialny plan, dzięki któremu miał zrobić z krytyków głupców. Zakładał on wyprodukowanie fałszerstw tak wysokiej jakości, aby ci, którzy oczernili jego własne obrazy, uwierzyli, że mają do czynienia z bezcennymi

arcydziełami mistrzów takich jak de Hooch, ter Borch i Vermeer. Po sześciu latach eksperymentów plan udało się zrealizować. Wymyślił proces zdejmowania starych farby aż do warstwy gruntu i malowania nowego obrazu tak, by zachować jego pęknięcia. Wpadł na to, by użyć fenolu formaldehydowego w celu utwardzenia farby oraz by wypiekać każdą jej warstwę tak, by osiągnęła stan, w jakim normalnie znalazłaby się dopiero wieki po jej nałożeniu. Na końcu dodatkowo postarzał płótna nakładając na nie ostatnią warstwę – mieszaninę tuszu indyjskiego i barwionego werniksu.

Jednak najbardziej intrygująca część historii van Meegerena to ta o jego uwięzieniu. Za bycie fałszerzem doskonałym został aresztowany jako zbrodniarz wojenny. Podczas nazistowskiej okupacji Holandii, Han, który był także handlarzem obrazów, sprzedał jedną ze swoich podróbek Vermeera, *Chrystusa z cudzołożnicą*, pewnemu niemieckiemu bankierowi. Ten odsprzedał go Hermannowi Goeringowi, numerowi dwa w hitlerowskich Niemczech.

Kiedy po wojnie odnaleziono ukryty w austriackiej kopalni soli obraz, natychmiast powiązano go z osobą Hana. Ktoś domyślił się, że w czasie wojny sprzedał on wrogowi holenderski skarb narodowy. Van Meegeren został oskarżony o kolaborację z nazistami i wtrącony do więzienia. Stanął wówczas przed wyborem: wyznać, że sfalszował obraz, albo spędzić resztę życia za kratkami.

Po tygodniu spędzonym w odosobnieniu powiedział strażnikom, że odnaleziony obraz nie jest wcale arcydziełem Vermeera, tylko fałszerstwem van Meegerena. Ku jego przerażeniu, a także ogromnej satysfakcji, nie uwierzono mu. Pod czujnym okiem strażników i sędziów-swiadków, namalował więc ten obraz raz jeszcze, tym razem jako więzień w Kwaterze Głównej Dowództwa Wojskowego. Obie jego prace zostały „uwierzytelnione” jako fałszerstwa, a oskarżenia o zbrodnie wojenne wycofane.

Pędzel, paleta, fenol formaldehydowy, płótno. Pędzel, paleta, fenol formaldehydowy, płótno. To mój nowy rytm. Przyzwyczajam się do niego

już po paru warstwach. I całe szczęście, bo mam zamiar zakończyć kolejny etap jutro, a zostały mi jeszcze dwie lub trzy warstwy do zrobienia.

W czasie tych pierwszych etapów muszę trzymać się bardzo ograniczonej palety barwnej, żeby stworzyć bazę warstw o średniej tonacji. Żadnych zieleni, żółcieni ani czerwieni, od których reszta obrazu będzie się świecić. Aby zbudować głębię i świetlistość tak, jak robił to Degas, a więc w bogaty, a jednocześnie subtelny sposób, muszę zacząć od stonowanych kolorów, by uzyskać potem najciemniejsze barwy ciemne i najjaśniejsze barwy jasne.

W malarstwie olejnym światło przebija się przez przezroczyste warstwy farby, odbija od płótna, a następnie wraca do widza, w którego oczach mieszają się półprzezroczyste pigmenty. Dzięki temu widzi on ostateczne kolory w doskonałej intensywności, niemożliwej do osiągnięcia innymi metodami. To również powód, dla którego warstw musi być aż tyle i muszą być aż tak cienkie. A także dlatego każda z nich musi być kompletnie wysuszona (stąd nazwa mokre na suchym), zanim nałoży się kolejną. Jakakolwiek zmiana w technice zaciemniłaby tonację.

Podchodzę do lśniącego pieca stojącego w południowo-wschodnim rogu studia i ustawiam go na wstępne podgrzewanie. Proces schnięcia farby olejnej trwa około siedemdziesięciu pięciu lat. Dlatego właśnie współczesne fałszerstwo można łatwo wykryć dzięki testowi alkoholowemu, którego użyłam zarówno w przypadku *Po kąpieli* jak i przy Meissonierze. Ale przepis van Meegerena uwzględniający fenol formaldehydowy i pieczenie przez dziewięćdziesiąt pięć minut w stu dwudziestu stopniach pozwala wyschnąć wszystkim warstwom tak dokładnie, że farba jest twarda, jakby nałożył ją sam Degas w 1897 roku.

Gdy piec jest już nagrany, kładę płótno na środek kratki umiejscowionej w samym środku piekarnika, ustawiam czas pieczenia i zamykam drzwiczki. Cały proces musi być ściśle monitorowany, bo dużo rzeczy może pójść nie tak: farba może się wybrzuszyć, roztopić, płótno może się przypalić. Może wybuchnąć pożar. Pomimo mojej wcześniejszej decyzji, żeby dać sobie spokój ze sprawą relacji Belle i Degasa, przynoszę

parę książek o malarzu, zapalam światełko w piekarniku i siadam na krześle naprzeciw, by patrzeć, czytać i czekać.

Jedynym obowiązkiem, jakiego dopełniam podczas mojego dobrowolnego odosobnienia, są zajęcia w więzieniu. Wiem, że jeśli się tam nie pokażę, chłopcy spędzą ten czas w celi, a nie chcę stać się powodem ich dodatkowej kary. Do tego dzisiaj będziemy nakładać ostatnią warstwę werniksu, a potem, jeśli Kimberly udało się to klepnąć, będziemy świętować. Nie będzie to wielka impreza – chłopaki nie powinni się dobrze bawić – ale Kimberly wymyśliła, że mogłaby zorganizować jakieś ciasteczka czy brownie i może butelkę lub dwie soku jabłkowego. To niesamowite, jak szczęśliwi i dziecięcy mogą być ci twardzi przestępcy, gdy mają w perspektywie coś miłego.

Mural wyszedł naprawdę nieźle. Lepiej nawet niż się spodziewałam. Chłopcy są dumni ze swojej pracy, dowcipkują i dowodzą jak mogą pod surowym spojrzeniem strażników. Wydają się niezrażeni małymi pędzelkami, których zmuszeni są używać (im większy pędzel, tym łatwiej może służyć jako broń). Każdy stoi na miejscu, które mu wyznaczyłam, i wygląda na zadowolonego z procesu kładzenia werniksu. Kimberly przyniosła kilka pudełek pączków z Dunkin' Donuts, a chłopcy raz po raz łypią na nie okiem.

Nawet Manuel i Xavier się nie kłócą, chociaż na wszelki wypadek kazałam im stanąć po przeciwległych stronach muralu. Ostry zapach werniksu wypełnia pomieszczenie i zastanawiam się, czy przypadkiem nie przypomina im kleju albo jakiegoś innego narkotyku, i czy dlatego nie są tacy mili.

Kłękam i przyglądam się puszkom Xaviera.

– Joł, pani Roth – woła Reggie. – Powiedz temu skur.... chłopakowi – wskazuje na Xaviera – że moje igły są zdecydowanie lepsze, niż jego pieprz.... niż jego głupie puszki po piwie. Że moje są najlepsze z całego muralu. Nie mają sobie równych. Więc może przestaniesz stać przy tym głupku i przyjdiesz pomóc temu, który ma prawdziwy talent.

Xavier i Reggie są kumplami. Słyszałam, że byli w tym samym gangu.

– Zaczekaj, Michale Aniele. Będziesz następny – mówię.

Michał Anioł to z niego nie jest. Jego praca jest tak kiepska, że zaczynam wątpić w moje założenie, że każdy z chłopców ma ukrytego w sobie artystę. Ale mechanizmem obronnym Reggiego jest jego dowcip – a może bardziej to, co sam uważa za dowcip – co jest dość rzadkim atutem wśród panujących tu gniewu i beznadziei. Naprawdę się cieszę, że jest tu z nami.

– Ale musisz przyznać, że moja praca jest znacznie lepsza od jego – nalega Reggie.

– Nie wciągniesz mnie w to – podnoszę ręce do góry i silę się na ton pełen przejęcia. – Ale muszę przyznać, panie Martinez, że zestawienie igły z fiolką białego proszku sprawia, że twoja praca jest naprawdę mocna. Mięsiasta. Mięsiasta i prawdziwa.

Reggie śmieje się głośno, a Xavier wygląda na zdumionego.

– Nie martw się, X – mówię mu. – Twoja część też jest świetna!

Uśmiecha się nieśmiało.

– Dzięki za srebrny.

– Nie ma za co – mówię, bardzo ucieszona. Chłopakom ciężko jest wyrazić wdzięczność. Rozumieją ją jako słabość. Jestem więc dumna, że udało mi się złamać nawet tę blokadę.

Kimberly spogląda na mnie i mruga porozumiewawczo.

Staję za Christianem, którego koszykarz i *pizzaiolo* są zdecydowanie najlepsimi. Nie wspominając, że są o wiele bardziej odpowiednimi obiektami pożądania niż igły i puszki po piwie.

– To naprawdę dobre – mówię mu. – Rysowałeś kiedyś, malowałeś? – Wzrusza ramionami i dalej werniksuje. – Pytam poważnie, Christian, twoje prace są naprawdę dobre. – Chłopcy są tak samo kiepscy w przyjmowaniu komplementów jak w wyrażaniu wdzięczności. – Masz wrodzony talent.

Maluje powoli i nie patrzy na mnie, ale z napięcia w jego ramionach wnioskuję, że mnie słucha. I wydaje mi się, że dostrzegam delikatny cień uśmiechu w kącikach jego ust.



– Może przy następnym projekcie moglibyśmy popracować trochę razem, żeby zobaczyć, co z tego.....

Kątem oka dostrzegam ruch i milknę. Kiedy się odwracam, Xavier i Reggie są już przyciśnięci do podłogi, ich ręce w kajdankach za plecami, a strażnicy przytrzymują każdego z nich kolanem. Trzeci strażnik trzyma w ręku fiolkę z białym proszkiem. Kimberly krzyczy do swojego walkietalkie.

– Ręce do góry – nakazuje pozostałym chłopcom czwarty strażnik. – Do ściany. Ręce nad głowami. Nogi rozstawione. Już!

– Skąd to masz? – warczy strażnik na Xaviera, szarpiąc kajdanki i przyciskając je do podłogi. Xavier próbuje utrzymać równowagę. Wpatruje się w strażnika. Nie odpowiada.

Strażnik Reggie’go robi dokładnie to samo.

– Powiedz, skąd to masz albo będziesz siedział w Walpole do końca następnego stulecia – szarpie go za kajdanki, a Reggie krzyczy z bólu. – Jeśli nie powiesz, skąd to skombinowałeś, pożałujesz tego bardziej niż czegokolwiek w życiu.

– Mówisz czy nie, gówniarzu? – dopytuje strażnik Xaviera – Skąd to masz?

Cofam się, ale wcześniej dostrzegam panikę i strach w oczach obu chłopców. Gdybym miała się założyć, obstawiłabym, że ten, od kogo to mają, jest straszniejszy niż wszyscy strażnicy i lata spędzone w Walpole razem wzięte. Głupie, głupie, głupie dzieciaki.

– Od niej – mówi głośno Reggie, wskazując mnie łokciem. – To ona nam przyniosła. Robi to co tydzień.

– Ja? – dopytuję. – Mówisz, że przynoszę ci narkotyki? – patrzę na Xaviera.

Xavier odwraca się do strażnika.

– Zgadza się, co tydzień.

Patrzę na niego z niedowierzaniem. Dwóch dodatkowych strażników wchodzi do sali. Strażnik Reggiego mówi coś do tego starszego, a ci nowi podchodzą do mnie z kamiennymi twarzami. Wyglądają groźnie.

Kimberly staje naprzeciw mnie.

– Pani Roth jest wolontariuszką, która przychodzi tu od lat. To nieporozumienie. Fałszywe oskarżenie, które musi być tak traktowane, dopóki nie zostanie udowodnione, że jest inaczej.

Nie mogę w to uwierzyć. Udowodnione, że jest inaczej? Odwracam się do Kimberly.

– Chyba nie myślisz, że...

– Proszę iść ze strażnikami, pani Roth – mówi Kimberly, jakby zwracała się do kogoś, kogo poznała zaledwie chwilę temu. – Jestem pewna, że wszystko się szybko wyjaśni. – Kiedy sięgam po moją torebkę, dodaje – Proszę ją zostawić. Zostanie zwrócona po tym, jak ją przeszukamy.

*Trzy lata wcześniej*

O świcie, dzień po obejrzeniu opublikowanego w „Globe” zdjęcia Isaaca siedzącego w barze hotelu Intercontinental z wyjątkowo atrakcyjną i skąpo ubraną kobietą opisaną jako „niezidentyfikowana studentka sztuki” (tyle z powrotu do Marthy), po raz kolejny wsiadłam do autobusu w Chinatown i udałam się do MoMA. Zdjęcie przepęłniło moją czarę goryczy. Karen Sinsheimer usłyszy prawdę. Miarka się przebrała.

Pamiętając moje ostatnie przejścia z asystentką Karen (słowo „strażnik” pasowałoby do niej znacznie lepiej), nie traciłam czasu na pójście do jej biura. Zamiast tego usiadłam naprzeciw windy i schodów. Na szczęście i winda, i schody były blisko siebie i na szczęście była tam ławka. Rozsiadłam się z książką, którą zakupiłam jako rekwizyt. Czekałam.

Gdy wskazówki zegarka niebezpiecznie zbliżyły się do pierwszej trzydzieści, zaczęłam się trochę denerwować. Zadzwoiłam do niej wczoraj, przedstawiając się jako asystentka Issaca. Wyjaśniłam, że wybiera się on do Nowego Jorku i chce się spotkać z Karen na lunch. Późnym popołudniem zadzwoniłam i odwołałam spotkanie, zadowolona, że znalazłam tak prosty sposób na upewnienie się, by Karen była dziś w biurze. Ale teraz wyglądało na to, że nie byłam aż tak przebiegła, jak mi się wydawało. Może zachorowała albo miała jakieś niespodziewane spotkanie poza muzeum. Niech to szlag.

Wtedy właśnie Karen wyszła zza rogu. Nie zauważyła mnie, nawet się nie rozejrzała, tylko przycisnęła guzik windy gestem osoby, która nie ma czasu do stracenia. Podskoczyłam.

– Karen! – zawołałam jak ktoś, kto niespodziewanie dostrzegł dawno niewidzianego przyjaciela. Odwróciła się do mnie z uśmiechem przyklejonym do twarzy, ale kiedy mnie zobaczyła, zmarszczyła się. Nie miała pojęcia, kim jestem. Wyciągnęłam do niej rękę – Claire Roth – powiedziałam. – Spotkałyśmy się w studiu Isaaca Culliona. W dniu, kiedy przyjechałaś 4D na swoją wystawę.

Uprzejmie uścisnęła moją dłoń.

– Oczywiście, Claire. Świetnie cię znów zobaczyć. Jak się miewasz?

– Muszę z tobą porozmawiać. Na osobności.

– Przykro mi, że nie miałam czasu przyjrzeć się twoim pracom.

Obiecuję, że....

– Nie chodzi mi o moje prace. Chodzi o Isaaca – potrząsnęłam głową. –

Może nie do końca. Wycofuję to. Chodzi mi o moją pracę.

– Nie rozumiem.

– I właśnie dlatego musimy porozmawiać.

Karen zmarszczyła brwi.

– Wszystko w porządku? Z Isaakiem?

– W jak najlepszym. Choć sytuacja może się zmienić po naszej rozmowie.

Karen patrzyła, jak drzwi do windy się otworzyły, a potem zamknęły. Westchnęła.

– Chodźmy do mojego biura. Ale ostrzegam, mam niedużo czasu, a jeszcze mniej cierpliwości na dowcipy artystów.

– To nie jest dowcip – powiedziałam i poszłam za jej postukującymi obcasami w głąb korytarza.

Kiedy usiadłyśmy w jej biurze, od razu spojrzałam jej prosto w oczy.

– Isaac Cullion nie namalował 4D.

– Oczywiście, że je namalował. Mylisz się.

– Niestety nie.

– Znam jego prace. Widziałam wiele poprzednich obrazów, jakie zrobił.

– Ale 4D nie jest jego – powtórzyłam spokojnie.

Jej oczy zatrzymały się gdzieś ponad moimi ramionami, jakby próbowała zwizualizować obrazy Isaaca.

– Więc kto go namalował?

– Ja.

Jej oczy spoczęły znów na moich.

– To nie ma sensu. Dlaczego niby miałabyś go namalować?

– Miał zastój, był zablokowany. Musiał namalować obraz w przeciągu paru tygodni, więc chciałam mu pomóc, zacząć dla niego, żeby nie stracił

takiej szansy. – Kiedy Karen nie odpowiadała, ciągnęłam. – Nie mógł się zabrać do pracy. Miał depresję, nie potrafił się za nic wziąć. Więc malowałam dalej. Nie planowaliśmy tego w ten sposób. Był ze mną przez ten cały czas. W jego studiu. Dawał mi rady i sugestie.

– Sugestie?

– Na przykład, jak użyć całego ciała do procesu malowania. Jak zeszkrobywać mokre z mokrego. Mój styl jest bardziej klasyczny, mokre na suchym. Tego typu sugestie.

– A on to podpisał?

– Tak. Na dzień przed terminem oddania – powiedziałam. – Nie miał innego wyjścia.

– Dlaczego nie powiedziałaś mi o tym od razu?

Postanowiłam być szczerą

– Byłam w nim zakochana po uszy.

Jej oczy zwęziły się.

– A teraz nie jesteś?

– Nie.

– Rozumiem, że masz na to wszystko jakiś dowód.

– Realistyczno-abstrakcyjne klepsydry są namalowane w moim stylu. Isaac pracuje tylko w technice mokre na mokrym.

– Jestem pewna, że człowiek tak utalentowany jak Isaac jest w stanie malować mokro na suchym, jeśli tego chce.

– Więc zapytaj go.

– Chcesz, żebym zadzwoniła do Isaaca Culliona i spytała, czy to on namalował 4D? Ot tak, po prostu?

Potaknęłam i przez dłuższą chwilę patrzyłyśmy na siebie. Wiedziałam, że Isaac powie, jak było, jeśli Karen spyta go o to bezpośrednio. Chodziło w końcu o prawdę, o bycie w porządku, a także, pomimo jego dziwnych wybryków, o jego miłość i szacunek dla mnie.

Karen jako pierwsza odwróciła wzrok.

– Dobrze. Zróbmy tak.

Rozprężyłam się. Poczulałam się zmęczona, a jednocześnie kamień spadł mi z serca. Zrobiłam to, co powinnam była zrobić. Patrzyłam, jak Karen

podnosi telefon i wybiera klawisz skrótu. MoMA ma numer Isaaca zapisany jako skrót! Przez chwilę poczułam coś na kształt współczucia dla Isaaca. Spadnie z dużej wysokości.

– Isaac? Tu Karen Sinsheimer. Cieszę się, że cię złapałam – słuchała, a potem odpowiedziała – teraz wrzucę cię na gośnomówiący. Jestem tu z twoją przyjaciółką Claire Roth. – Wcisnęła kolejny przycisk.

Głos Isaaca rozległ się w całym pokoju.

– Jesteście w Nowym Jorku?

– Tak, w moim biurze. Claire twierdzi, że to ona namalowała *4D*, a nie ty. Powiedziała, żebym do ciebie zadzwoniła po wyjaśnienia.

Po stronie Isaaca zapadła cisza, w której słyszałam, jak boksował się z własnym sumieniem, jak próbował radzić sobie ze złością spowodowaną moją bezczelnością, ze smutkiem z powodu tego, co miał do stracenia, a jednocześnie z ulgą, że całe to kłamstwo nareszcie się skończy.

Na twarzy Karen pojawił się niepokój.

– Isaac?

– Saac – powiedziałam. – Powiedz prawdę. Tak będzie lepiej dla wszystkich. W szczególności dla ciebie.

Znów cisza.

– Isaac – odezwała się stanowczym tonem Karen. – Czy to prawda?

Isaac westchnął ciężko.

– Karen – powiedział miękko. – Proszę, nie potraktuj Claire źle. Jest zraniona, zagubiona i bardzo, bardzo zła. Jak dziecko. Utalentowana, bardzo utalentowana, ale...

– To stek bzdur i dobrze o tym wiesz – przerwałam mu. – Powiedz jej prawdę. Namalowałeś *4D* tak samo, jak namalowałeś *Mona Lisę*. Już po wszystkim, Isaac. To koniec.

– Naprawdę strasznie mi przykro Karen, że Claire wciąga cię w nasze sprawy – ciągnął Isaac tym samym spokojnym, wyważonym i miękkim tonem. – To nasze prywatne rozgrywki i ty nie powinnaś być w nie zaangażowana. Zdecydowałem, że dam drugą szansę mojemu małżeństwu, a Claire nie może się z tym pogodzić. To zazdrość. Wiesz, jak

to jest. Zrób mi proszę przysługę i pozwól jej po prostu odejść. Zapomnijmy o tym, co się wydarzyło.

– Zapomnijmy o tym, co się wydarzyło? – aż podskoczyłam i wrzasnęłam do telefonu. – Co za idealne rozwiązanie dla ciebie! Ale nie będziesz mógł o tym zapomnieć, zupełnie tak samo, jak ja.

Karen pokazała mi, że mam z powrotem usiąść.

– Zadzwoń do ciebie później – powiedziała do Isaaca. – Pozwól mi to załatwić.

Usiadłam, kompletnie zmiażdżona. Zaryzykowałam i przegrałam. Isaac był kłamliwym tchórzem, a ja zwykłą idiotką. Idiotką, która właśnie zrujnowała swoją raczkującą karierę.

Karen skończyła rozmowę i odwróciła się do mnie z wyrazem twarzy, na którym malowało się zmieszanie i smutek.

– On kłamie – powiedziałam bez większego entuzjazmu.

Karen oczywiście uwierzy Isaacowi Wielkiemu, a nie skromnej studentce. Kiedy nic nie odpowiedziała, usiadłam na krześle.

– Klepsydry – szepnęła do siebie.

Nie poruszyłam się, przestałam nawet oddychać. W końcu spytała:

– Słyszałaś kiedyś o Hanie van Meegerenie?

– O kim? – nie miałam pojęcia, kim był Han van Meegeren.

– Nieważne – powiedziała. – To nie ma znaczenia. Ważne jest, że zaryzykuję. Udowodnij, że masz rację.

– Udowodnij?

– Chcę, żebyś namalowała kolejne 4D.

Dwóch strażników wyprowadza mnie z sali. Ich ręce zaciskają się wokół mojego łokcia. Patrzę na Kimberly, a ona porusza ustami, jakby chciała powiedzieć „spokojnie”. Ale daleko mi od bycia spokojną. Jestem prowadzona przez dwóch uzbrojonych strażników, przechodzimy przez labirynty korytarzy i zamkniętych drzwi, za którymi znajduje się Bóg wie co.

Dopytuję ich, co się teraz wydarzy, gdzie mnie zabierają oraz czy potrzebuję prawnika. Ale nie dostaję żadnych odpowiedzi.

– Nie możecie zamknąć mnie w celi – oznajmiam pewnym siebie głosem. – Jestem niewinna. Niewinna, dopóki nie udowodnicie, że jest inaczej. I nic złego nie zrobiłam. Nic. Te dzieciaki po prostu próbują osłonić własne tyłki.

Cisza, przerywana tylko stukaniem butów o posadzkę.

– Mam ważne spotkanie – mówię, jakby miało to ich przekonać do wypuszczenia mnie. Jestem umówiona z Markelem, który ma wpaść, by sprawdzić postęp prac nad *Kąpielą*. – Mam spotkanie biznesowe, którego nie mogę przegapić. Jest bardzo ważne. Poza tym nie możecie mnie zamknąć w celi. Mam klaustrofobię. Mogłabym poważnie zachorować albo...

Młodszy z nich wreszcie się nade mną lituje.

– Nie zamkniemy cię w celi.

Zamiast tego wprowadzają mnie do słabo oświetlonego, wąskiego pokoju z biurkiem i dwoma krzesłami. To musi być miejsce rozmów z prawnikami. Albo sala przesłuchań. Szukam dwukierunkowego lustra, ale go nie znajduję. Jedyne okno to to w drzwiach i jest poprzecinane drucianą siatką. Puste ściany są w typowym kolorze gnijących warzyw. Patrzę na strażników, mając nadzieję, że nie zostawią mnie tu zupełnie samej.



– Za chwilę ktoś przyjdzie, żeby z tobą porozmawiać – mówi młodszy z nich.

Szybko wychodzą, z trzaskiem zamykając za sobą drzwi. Natychmiast naciskam na klamkę – drzwi są zamknięte. Patrzę przez zasiatkowane okienko, ale widzę tylko betonową ścianę po drugiej stronie korytarza. Czy naprawdę zaledwie parę minut temu pomagałam chłopakom zrobić ich mural?

Pokój pachnie tanią wodą kolońską zmieszaną z zatęchłym potem. Zapach przyprawia mnie o mdłości. Źle opłacani prawnicy. Przestraszeni, głupi chłopcy. A teraz ja. Zamknięta. Jest tu zbyt ciepło, a ściany są wyjątkowo szczelne. Zaczynam się pocić.

Chodzę tam i z powrotem. Przecież nie mam powodu do paniki. Reggie i Xavier w oczywisty sposób kłamią, co na pewno zostanie za chwilę zrozumiane. Osiem kroków w poprzek. Cztery wzdłuż. To tylko standardowa procedura. W końcu chodzi o narkotyki. I nie ma to ze mną nic wspólnego i nikt na pewno mnie o nic nie podejrzewa. To tylko procedura, nic więcej. Standardowa procedura operacyjna. Osiem kroków w poprzek. Cztery wzdłuż. Musieli mnie oddzielić od chłopców. Podjąć środki ostrożności. Przeszukać moją torebkę, aby się upewnić, że nie ma tam żadnych narkotyków. Czuję, jak nachodzą mnie dreszcze. Będą mnie przeszukiwać? „Wewnętrzne przeszukanie” to myśl, która pojawia się w mojej głowie i nie chce odejść.

O nie. Nie będę w to brnąć. Nie mogę dopuszczać do siebie takich opcji. Zerkam na żarówkę tłącą się nad moją głową. Zdaje mi się, że sufit zaczyna się kurczyć i zapadać. Myśl o czymś innym! Markel będzie w studiu o piątej. Zainteresował się procesem wypiekania i obiecałam mu, że zademonstruję, jak się to robi. Co oznacza, że muszę coś namalować, żeby mieć co piec. Muszę się stąd wydostać. Co pomyśli Markel, jeśli zastanie zamknięte drzwi? Że go oszukałam?

W to też nie mogę brnąć. Osiem kroków w poprzek. Cztery wzdłuż. Spaceruj i licz. Ktoś przyjdzie tu lada moment.

Mija prawie godzina, kiedy rozlega się pukanie do drzwi. Jestem już kompletnie spocona i na skraju wymiotów. I pomimo tego, że w pokoju

panuje zaduch, trzęsę się z zimna. Obejmuję się, patrząc, jak otwierają się drzwi. Wstrzymuję oddech.

Kiedy widzę, że to Kimberly, która trzyma moją torebkę i uśmiecha się, zaskakuję samą siebie i zaczynam płakać.

Jadę autobusem do domu i jestem przerażona moją przesadzoną reakcją. Kimberly wyjaśniła, że każdy wiedział doskonale, iż Reggie i Xavier kłamali i że nikt mnie o nic nie podejrzewał.

Było to oczywiste dla każdego, tylko nie dla mnie. Zrobią dochodzenie i prawdopodobnie nie będę mogła wrócić do Beverly Arms dopóki się nie zakończy, ale to tylko dlatego, że taki jest system i tak musi to zostać zrobione. Powiedziała, że powinnam o tym myśleć jak o procesie niezbędnym do oczyszczenia mojego imienia. Ciekawe, dlaczego trzeba oficjalnie oczyszczać imię niewinnej osoby. Ale nie spytałam ją o to.

Była naprawdę w porządku. Podawała mi chusteczki i mówiła, że jej przykro i że na moim miejscu zareagowałaby tak samo. Ale mi nadal jest głupio. Mam trzydzieści trzy lata, a w sytuacji, która okazała się być niczym ważnym, zachowałam się jak dziecko. Od samego początku powinnam była na to spojrzeć inaczej.

W domu wskakuję pod prysznic. Markel ma się pojawić za mniej niż dwie godziny. Prysznic splukuje mój pot i smród strachu, ale nie daje rady zmyć emocji tłących się w mojej głowie. Uczucia znikają, gdy zaczynam malować. Wysłałam już ze średnich tonów. Teraz łatwiej mi wejść w trans pracy: maluję szeroko pomarańczami, które dominują prawy dolny róg obrazu, a następnie wplatają się dyskretnie w całe płótno, spinając je od prawego dolnego do lewego górnego rogu tak, jak zielenie ciągną się od prawego górnego do lewego dolnego.

Im dłużej pracuję nad *Kapielą II* tym bardziej jestem pewna, że kopia, którą przyniósł mi Markel, musiała powstać bezpośrednio z oryginalnego obrazu Degasa. Poza Françoise i przestrzenią wokół niej, zakres kolorów, subtelność cieni, przejścia tonalne i światło musiały być oparte na pracy mistrza. Nie wierzę, że jakikolwiek fałszerz byłby w stanie stworzyć coś

takiego sam z siebie, bez oglądania oryginalnego dzieła. W pewnym więc sensie jest to dzieło Edgara Degasa. Co jeśli się nie mylę, oznacza, że oryginał też musi gdzieś istnieć. Degas był dość znany, gdy powstawał obraz, mało więc prawdopodobne, że praca takiej wartości mogłaby zostać zniszczona. Ale oczywiście nigdy nic nie wiadomo.

Płótno jest już w piecu prawie godzinę, kiedy pojawia się Markel. Ja eksperymentuję z zieleniami z kolejnej warstwy. Kciukiem ściera farbę z mojego policzka i obejmuje mnie.

– Trochę zbyt pomarańczowe jak na twoją karnację – mówi. – Powinnaś dodać odrobinę więcej czerwieni.

Jego poufalość wcale mnie nie zraża. Nigdy się wcześniej nie obejmowaliśmy. Gdy to robimy, Markel wydaje mi się znacznie lepiej zbudowany, niż myślałam. Do tego pachnie naprawdę ładnie, zupełnie jak lato. Też go obejmuję, przedłużając mój uścisk o krótką chwilę dłużej niż wypadałoby to zrobić względem kolegi. Odsuwam się.

– Nie przychodź jutro – wskazuję na paletę, na której mieszałam kolory. – W zieleniach wyglądam jeszcze gorzej.

Odwraca się do pieca.

– Jest w środku?

– Do końca pierwszego testu zostało około piętnastu minut.

Siada na moim krześle i wpatruje się w piec.

– Dziwaczny widok. Piekący się obraz.

– Dla mnie to już codzienność.

Światelko w piecu jest zapalone, więc nachyla się bliżej.

– Doszłaś już do głębokich tonacji? – pyta – Jak ci się udało zrobić to tak szybko?

– Dzięki twojemu fenomenalnemu piecowi.

– Możemy już go wyjąć?

Potrząsam głową.

– Nie, malutki Aidenie, przykro mi, ale Święty Mikołaj przychodzi dopiero jutro rano.

– Ciepłowość nie jest moją mocną stroną – podchodzi do stołu, na którym piętrzy się stos moich farb, pędzli i innych przyborów, które

tworzą płataninę, jaką tylko ja mogę rozsypać. Pociąga nosem – Trzymasz tu jakieś martwe zwierzę?

– Cholera. Mam nadzieję, że nie – podchodzę do części kuchennej i kucam, żeby sprawdzić, co się dzieje pod szafkami. Otwieram drzwiczki pod zlewem i ostrożnie wkładam głowę do środka. – Ale wcale bym się nie zdziwiła.

– Nie to mam na myśli. Pachnie formaldehydem. Jak jakieś laboratorium czy coś.

Wstaję z ulgą.

– Fenol formaldehydowy. Kolejny wynalazek van Meegerena. Mówiłam ci o tym. To składnik, który utwardza farbę i sprawia, że szybciej schnie.

Markel marszczy brwi.

– Ale jeśli Degas go nie używał, to czy nie będzie go łatwo wykryć?

– Proces pieczenia rozkłada go tak, że kompletnie zanika. Farba jest twarda, ale cała chemia uchodzi w powietrze.

– A ty się zastanawiałaś, dlaczego wybrałem właśnie ciebie.

– Każdy, kto potrafi przeszukać źródła i powtórzyć wyuczony proces, mógłby do tego dojść. – Jak widać chłopcy z więzienia nie są jedynymi osobami, które nie potrafią przyjmować komplementów.

Kiedy dzwoni minutnik, łapię dwa uchwyty na garnki, przysiadam i otwieram drzwiczki. Ostrożnie przesuwam płótno w moją stronę, popychając je po kratce, na której leży. Potem je podnoszę i kładę na blacie.

Markel milczy, a ja moczę kawałek wacika w alkoholu i przykładam około dwóch centymetrów od miejsca, gdzie świeżo nałożona warstwa tonów pomarańczowych jest najgrubsza. Obraz pozostaje niewzruszony. Nie mięknie, nie paruje. Przyciskam wacik do miejsca na brzegu płótna, gdzie celowo nałożyłam trochę więcej farby i liczę do dziesięciu. Kiedy odpuszczam, wacik jest zupełnie biały. Delikatnie naciskam farbę palcem. Twarda jak kamień.

– Gotowe – mówię, przenosząc płótno na sztalugę.

Oczy Markela krążą pomiędzy oryginałem a moją kopią.

– To fenomenalne, Claire – szepcze. – Zupełnie fenomenalne.

– A teraz werniks.

Odkręcam puszkę werniksu i wlewam trochę do małej miski. Kiedy zapach substancji dochodzi do mojego nosa, znów jestem w więzieniu, spocona i przestraszona. Szybko podnoszę pędzel i zaczynam mówić o van Meegerenie.

– Obmyślił, że jeśli nałożysz warstwę werniksu, kiedy farba jest jeszcze ciepła, pęknięcia z oryginalnego gruntu zaczną wychodzić w czasie studzenia każdej z warstw.

– Mądry facet.

– Wiedziałam trochę na temat pęknięć już wcześniej, ale szczegóły poznałam dopiero w czasie kursu dla Repro, a także kiedy zaczęłam pracować nad tym projektem. Nigdy wcześniej nie słyszałam o van Meegerenie. Nie uczą o nim w szkole. Mało kto zdaje sobie sprawę z tego, co naprawdę osiągnął.

– Domyślałam się, że naukowcy nie są zbyt chętni, by rozślawiać dokonania fałszerza – odpowiada sucho Markel.

– I chociaż nie widać tego od razu, bo farba jest nadal gorąca – ciągnę – za parę godzin na płótnie pojawią się malutkie wzgórza i dolinki. Jak za dotknięciem magicznej różdżki.

– Artystka i poetka w jednym – patrzy na mnie, rozpromieniony niczym dumny ojciec. Ale miękkość, którą dostrzegam w jego oczach, nie ma wiele wspólnego z ojcowskimi uczuciami. To czyste pożądanie. Podchodzi bliżej. – Claire – mówi, a ja doskonale wiem, o co chce zapytać. Pragnę go, i to już od dłuższego czasu. Miałam ciężki dzień i nic nie zrobiłoby mi lepiej niż skrycie się w jego ramionach, pozwolenie mu na unicestwienie mojego strachu i zastąpienie go chwilą przyjemności. Ale podjęłam już zbyt wiele kiepskich decyzji, jeśli chodzi o mężczyzn, a do tego jest między nami zbyt dużo sekretów. Potrząsam przecząco głową.

Cofa się.

– Jasne. W porządku. Naprawdę. To nie ma żadnego wpływu na nasz projekt. Ani na nic innego.

Pożądanie, które ma wypisane na twarzy, doskonale odzwierciedla to, co sama czuję.

– Może później – mówię, a w głębi duszy pragnę, by później nadeszło już teraz. – Może kiedy już to wszystko skończymy.

– Tak pewnie będzie lepiej – odpowiada tonem, z którego rozumiem, że wcale tak nie myśli.

Jest wrzesień. Gdy chłodne mgły unoszą się nad wodą, a światło słoneczne pada pod większym kątem, czuję, jakbym znów miała wrócić do szkoły, podekscytowana myślami, co też przyniesie ten nowy rok. W Repro powiedziałam, że przez parę miesięcy muszę się skupić na moich własnych pracach. W oczekiwaniu na dalsze dochodzenie, Beverly Arms udzieliło mi „przerwy w świadczeniu pracy”. Rik jest w Paryżu. W Jake’u wszyscy wiedzą, że jestem pochłonięta malowaniem. Markel wpadł do mnie parę razy, ale jego odwiedziny zawsze były krótkie i nieco krępujące. Za każdym razem, gdy wychodził, pragnęłam, by został.

Ale koniec już niedaleko. Czuję jego smak i zapach. Herkulesowym wysiłkiem, który sprawia, że moja praca z ostatnich tygodni wygląda jak zabawa, zbliżam się do mety. Nic nie może mnie powstrzymać. Może jedynie zabraknąć czasu, którego potrzebuję do malowania i pieczenia. I muszę przyznać, jeśli nie zabrzmi to zbyt dumnie, że *Kąpiel II* wygląda dobrze.

Cudowne połączenie fenolu aldehydowego i wypiekania sprawiają, że kolory mają głębię i jasność jak najlepiej wyszlifowany diament. Błyszczą w świetle, prawie migocą. Chociaż będę je musiała stonować przy użyciu tuszu indyjskiego, by oddać efekt upływającego czasu, dochodzę do wniosku, że taki zabieg będzie zupełnie niepotrzebny, gdy będę już pracować nad moimi *Oknami*. Kiedy przyjmowałam propozycję Markela zakładałam, że kopiując, będę uczyć się od jednego z największych mistrzów malarstwa. Zamiast tego uczę się od jednego z najlepszych mistrzów fałszerstwa. Markel zgodził się, żebym zatrzymała piec aż do otwarcia mojej wystawy. Gdy tak rozmyślałam nad własnymi obrazami, pracuję jeszcze szybciej.

Sypiam po parę godzin, czasem w dzień, czasem w nocy. Zaburzyłam przez to mój naturalny rytm i jeszcze bardziej odcięłam się od reszty

świata. Robię dwa, może trzy cykle malowania i pieczenia pod rząd, potem zwalam się na materac, by chwilę odpocząć. Kiedy wstaję, jem zimne pad thai, wypijam szklanekę soku pomarańczowego i wracam do pracy. Coraz częściej mam wrażenie, że obserwuję samą siebie z daleka. Jednocześnie pozostaję w transie malowania znacznie dłużej, niż sama się o to podejrzewałam.

Niezaprzeczalnym minusem są ciągle powracające sny. O Isaacu, Belle i Degasie. O Markelu. Zazwyczaj śnię, że jestem zakładniczką Isaaca, ścigam Belle i Degasa, a sama jestem ścigana przez Markela. Ale czasami jest zupełnie odwrotnie albo wszystko się miesza. Parę razy pokazał się w nich Xavier. A w więcej niż kilku kochałam się z Markelem. Kiedy się budzę, sny wydają mi się nudne i przewidywalne, ale kiedy śnię, są przerażająco lub wyjątkowo przyjemnie prawdziwe.

Zmuszam się, by pracować więcej, by malować jeszcze szybciej w nadziei, że gdy skończę, skończą się też moje koszmary. Że wydostanę się z tego wiru i wrócę do normalnego życia. I nagle jednego dnia kończę. Pędzlem piszę nazwisko Degasa, pamiętając o pozostawieniu nieco zbyt dużej przestrzeni między „a” i „s”. Gdy cofam się i patrzę na ukończone dzieło, czuję nagły przypływ adrenaliny.

Porównuję oba obrazy. Poza blaskiem kolorów *Kąpielii II*, wyglądają zupełnie identycznie. Podchodzę bliżej i sprawdzam je centymetr po centymetrze, pociągnięcie za pociągnięciem. Doskonale. Sprawdzam, czy nadal widać maleńką zieloną plamkę, którą zrobiłam z tyłu płótna, w prawym górnym rogu, żeby zawsze móc rozpoznać moje dzieło. Potem znów uważnie przyglądam się obu. Zamykam oczy, otwieram je, chłonę to, co widzę. I tak w kółko.

Otwieram drzwi od szafy, by widzieć całe lustro i ustawiam obrazy tak, by jednocześnie widzieć ich odbicia. Odwracam jeden z nich do góry nogami, potem drugi, układam je bokiem na kanapie.

Czuję ucisk w żołądku. Coś jest nie tak z *Kąpielą II*. Coś jest nie tak, jak zrobiłby to Degas. Staram się zrozumieć, co wywołało moją reakcją, przypatruję się obrazowi. Cienie po lewej stronie Françoise nie mają dość głębi. Odwracam się do *Kąpeli*, przyglądam się Françoise, porównuję ją



z moją. Tak ona, jak i jej cienie są identyczne na obu obrazach. *Kąpiel II* może i nie jest dziełem Degasa, ale na pewno jest dokładną kopią kopii.

Zostaje mi tylko jedna rzecz do zrobienia. Nakładam cienką warstwę werniksu na całe płótno. Kiedy jest sucha i pojawiają się charakterystyczne pęknięcia, kładę obraz płasko na moim stole do pracy, chwytam za szeroki pędzel i buteleczkę tuszu indyjskiego. Waham się. Wiem, że muszę to zrobić. Muszę. Ale wzdrygam się na samą myśl o przygaszaniu żywych tonów, nad którymi tak ciężko pracowałam. W końcu zmuszam się do pokrycia całego obrazu niebiesko-czarnym atramentem. Zmuszam się do patrzenia, jak świetliste płótno staje się całkowicie ciemne, jak zanika każda linia i każde pociągnięcie pędzla. Kiedy atrament wysycha, ścieram go szmatką zamoczoną w mydle, potem ostrożnie zdejmuję nowy werniks mieszaniną alkoholu i terpentyny.

Po raz nie wiem już który jestem pod wrażeniem geniuszu Hana. Cząstki atramentu przyczepiły się do krawędzi spękań, tworząc sieć cieniutkich linii, identycznych jak te w oryginalnej kopii. Nakładam ostatnią warstwę werniksu podbarwionego odrobiną brązu, by uzyskać efekt postarzenia. Moje fałszywe arcydzieło jest gotowe.

Markel stoi przed dwoma obrazami, jego oczy wędrują od jednego do drugiego i z powrotem. Nie odzywa się, wyraz twarzy nie zdradza jego myśli. Przez chwilę czuję się tak, jakbym znów była w studiu Isaaca, czekając na decyzję Karen i Markela dotyczącą *4D*. Mdlące uczucie oczekiwania jest identycznie, tak samo jak ulga, którą odczuwam, gdy Markel odwraca się do mnie z uśmiechem.

– Brawo – klaszcze w dłonie w uznaniu, a ja widzę, że ma ochotę mnie przytulić.

Cofam się i wyciągam z lodówki butelkę szampana.

– Ty przyniosłeś butelkę, żeby uczcić początek projektu, więc ja mam kolejną, by uczcić jego koniec.

Markel jest tak zafascynowany obrazami, że nie zauważa dziwnego tonu mojego głosu.

– Naprawdę nie wiem, co powiedzieć. Naprawdę nie wiem – odwraca się do mnie, a w jego oczach widzę podziw. – Który jest który?

Przynoszę dwa kieliszki i podchodzę do niego.

– Zgadnij.

Zbliża się do płócien, przygląda się im uważnie, potem obchodzi je i przygląda się tyłom.

– Zakładałem, że jakoś będę w stanie to odgadnąć.

– To dobry znak.

Znów staje naprzeciw obrazów i patrzy.

– Nie potrafię ich rozróżnić. Naprawdę.

– Zgaduj.

Stuka w obraz po prawej.

– To ten.

Wybucham śmiechem, a on pokazuje teraz na obraz po lewej.

– Więc ten.

Milczę, żeby się z nim chwilę podroczyć.

– Claire...

– Powinieneś być trzymać się pierwszego wyboru.

– Zrobiłaś kawał dobrej roboty – wyjmuję mi z ręki szampana i otwiera go. – Za ciebie – mówi, wznosząc butelkę i pozwalając, by wylały się z niej bąbelki. – Za najcudowniejszą kobietę świata.

Trzymam kieliszki i patrzę na nie, unikając jego wzroku. Część mnie ma ochotę rzucić się od razu w jego ramiona, a część jest zbyt świadoma kłamstwa, które mu powiedziałam, albo przynajmniej w które pozwoliłam mu uwierzyć. Do tego nie mam pojęcia, czy sam powiedział mi prawdę. Trudno to wszystko ogarnąć, szczególnie że serce bije mi jak szalone i czuję falę ciepła rozplywającą się między udami. Ale nie jestem pewna, czy mogę mu ufać. Jak pokazuje moje trudna historia, nigdy nie byłam szczególnie ostrożna, jeśli chodzi o związki. Jestem jednak na tyle ostrożna, żeby wiedzieć, że nie mamy tu wystarczająco dobrej podstawy do związku.

Siadamy na kanapie, stukamy się kieliszkami i wznosimy toast za nasz sukces. Wtulam się w sam róg, krzyżuję nogi i uśmiecham się, mając

nadzieję, że nie wyglądam, jakbym za wszelką cenę chciała uniknąć kontaktu fizycznego.

– Więc jaki jest następny krok?

– Autentyfikacja.

Biorę łyka szampana, który bąbelkuje nerwowo w moim gardle.

– Myślisz, że się uda?

– A co cię najbardziej niepokoi?

Ciekawe pytanie.

– Wydaje mi się, że jesteśmy dość bezpieczni, jeśli chodzi o standardowe testy. Ale te zupełnie nowe, takie jak absorbcja atomowa czy spektrometria mas mogą wykazać coś, czego nie byłam w stanie skontrolować. Jak powiedziałaś, wszystko zależy od wyrefinowania kupującego.

– Mam plan użyć tego samego eksperta, którego użyłem za pierwszym razem.

– Myślisz, że to dobry pomysł?

– Wydajesz się zaniepokojona – mówi Markel.

– Nie. A przynajmniej nie bardziej niż w przypadku jakiegokolwiek eksperta, który będzie oglądać obraz. Ale co dokładnie mu powiesz? Jak wyjaśnisz, że potrzebujesz kolejnej autentyfikacji?

Markel dopija swojego szampana i dolewa.

– Powiem mu, że mam pewne wątpliwości. Że chcę, żeby spojrzał na to po raz drugi.

– I on w to uwierzy?

– Dlaczego nie? W sytuacji takiej jak ta, każdy może chcieć sprawdzić po raz drugi.

– Pewnie. Jasne. Przynajmniej tak mi się wydaje – przeczesuję włosy palcami. – Przepraszam, to był długi projekt, a ja jestem kompletnie wykończona. Właściwie wyczerpana. Nie pamiętam nawet, o czym właśnie rozmawialiśmy.

Odstawia kieliszek na stół i wstaje, uśmiechając się do mnie pobłaźliwie.

– Oczywiście – podaje mi rękę, żeby pomóc mi wstać. – Potrzebujesz snu, a nie rozmów.

Pozwalam mu się podnieść. Patrzymy na siebie długo, potem obejmuje mnie ramieniem i odwraca w kierunku wejścia. Kładę rękę na jego talii. Kiedy dochodzimy do drzwi, zdejmuje ze mnie rękę i palcem unosi mój podbródek.

– Mogę wpaść jutro po południu, żeby spakować oba obrazy? Chciałbym zanieść twoją wersję do autentyfikacji, a oryginał w jakieś bezpiecznie miejsce tak szybko, jak to tylko możliwie. I przyniosę twoje pieniądze.

Kiwam głową, szczęśliwa. I to nie z powodu pieniędzy, chociaż oczywiście też się na nie cieszę. Jednak bardziej się cieszę, że nareszcie pozbędę się tych dwóch płócien. Że odzyskam moje studio, nareszcie wyjdę z cienia, w którym trwałam zbyt długo. Że zrobię porządki, by przygotować miejsce na powstanie moich własnych prac.

Bez dwóch wielkich płócien moje studio wydaje się otwarte, żywe i prawdziwe. I ja też się tak czuję. Odzyskałam mój dom i samą siebie. Nie wspomnę nawet o kolejnych siedemnastu tysiącach dolarów i o następnych szesnastu, które otrzymam, gdy *Kąpiel II* przejdzie autentyfikację. Ciekawe, co zrobi Markel, jeśli obraz nie przejdzie wszystkich testów? Czy da sobie spokój z pomysłem oddania płótna do Gardner Museum i powie właścicielowi, że nie może znaleźć kupca? Czy zabierze pieniądze, które już mi zapłacił? Odwoła moją wystawę? Prawda jest taka, że nie mam najmniejszego pojęcia, co może zrobić. Staram się odepchnąć od siebie te myśli, tak samo, jak staram się odepchnąć wspomnienia o malowaniu *Kąpeli II*.

Nie zawsze mi się to udaje. Czasami przeszłość wraca do mnie w przebłyskach, których nie potrafię kontrolować. Wspomnienia przeplatają się z koszmarami o tym, że kogoś gonię lub jestem ścigana. Czasem wydaje mi się, że to wszystko tak naprawdę wcale się nie zdarzyło, a czasem mam wrażenie, że wryła się we mnie plama, która nigdy już nie

zniknie. Jeśli kiedykolwiek przyłapię się na tym, że po raz dwudziesty myję ręce, będę wiedziała, że przekroczyłam granicę szaleństwa.

Ale są też plusy mojego przejścia na złą stronę mocy: piec i fenol formaldehydowy. Zawsze byłam bardzo zadowolona z mojego cyklu *Okien*, zawsze postrzegałam go jako moje najlepsze prace, zwieńczenie wszystkiego, czego nauczyłam się do tej pory. Ale użycie fenolu formaldehydowego do uzyskania efektu nieziemskich, diamentowych odcieni jeszcze bardziej podnosi moje nadzieje z nim związane.

Nadzieja to niebezpieczna rzecz. Wiem o tym dobrze. Ale jest też doskonałym motywatorem do działania. Podczas gdy moja droga do ukończenia *Kąpieli* była szalona i momentami halucynogenna, wstępne prace na moim *Oknami* idą zaskakująco harmonijnie. Jak nurkowanie w rafie koralowej, powolne zanurzanie się w egzotykę, w coś obcego, fascynującego i zapierającego dech w piersiach, wzmocnione delikatną nutą ryzyka.

Podarunek, jaki dostałam od van Meegerena to nie tylko kolory, ale także czas zyskany dzięki wypiekaniu. Na wystawę potrzebuję dwudziestu obrazów, wszystkich realistycznych i świetlistych, pokrytych wieloma warstwami prześwitujących farb. Patrząc na dwanaście obrazów *Okien*, którą wiszą na ścianach studia od czasu pierwszej wizyty Markela. Mój plan zakładał użycie sześciu czy siedmiu z nich na wystawie, ale teraz, kiedy już przekonałam się, jakie kolory mogę osiągnąć używając techniki Hana, obawiam się, że wypadną blado na tle nowych. Z drugiej strony wiem, że są dobre – to na ich podstawie Markel zaoferował mi pokaz. Więc jeśli nie chcę czekać aż do wiosny, będę musiała je wystawić. Co oznacza, że potrzebuję trzynastu nowych obrazów.

Mam dostatecznie dużo wstępnych szkiców, żeby zrobić co najmniej trzydzieści prac. Do tego masę nowych pomysłów, jak ten, który nazwałam *Różowe medium*. Przygotuję płótna, zagruntuję je i zrobię podmalówkę jak na linii produkcyjnej, dzięki czemu zaoszczędzę na czasie. Rozglądam się po studiu. Ciasno będzie pracować nad trzynastoma płótnami jednocześnie, ale powinnam się zmieścić. Zacznę od zrobienia szkiców do każdego z nich, potem będę przechodzić od jednego płótna do drugiego, by

szkicować już bezpośrednio. A kiedy zacznę malować, potraktuję piekarnik jak dodatkową powierzchnię do pracy. Co za przytłaczający projekt! Co za niesamowita szansa!

Z niepokojem wchodzę po granitowych schodach domu Markela. Nie powinnam była tu przychodzić. A jednak stoję właśnie przed XIX-wiecznym budynkiem naprzeciw szerokiej, zadrzewionej promenady, która wyróżnia Commonwealth Avenue na tle innych ekskluzywnych ulic Back Bay. Do tego jestem w przecznicy Arlington/Berkeley, która z kolei wyróżnia się na tle innych przecznic Commonwealth Avenue. Ta część Bostonu nigdy nie musiała walczyć o wyższy status. Od zawsze był wysoki.

Markel zadzwonił na początku tygodnia i zaprosił mnie na kolację.

– Czy wiedziałaś, że jestem całkiem dobrym kucharzem? – zapytał, gdy odebrałam telefon.

– A jesteś?

– Przypuszczalnie lepszym niż ty.

– To by znaczyło, że potrafisz zrobić coś lepszego niż macaroni and cheese.

– Czy to danie, które chciałabyś zjeść w czasie kolacji z niespodzianką?

– Z niespodzianką?

– Właściwie to z dwiema.

– Powiesz mi coś więcej?

– Nie.

– Dobrze. Ale jeśli już masz zamiar zawracać sobie głowę gotowaniem – powiedziałam – zjadłabym coś bardziej wyrafinowanego niż macaroni and cheese.

– Umowa stoi – odpowiedział. – Sobota o siódmej?

Waham się.

– Chyba będzie okej.

– Do zobaczenia w sobotę – i wyłączył telefon.

Nie miałam nawet szansy, żeby powiedzieć nie. I przypuszczalnie nie powiedziałabym nawet, gdybym mogła. Uwielbiam niespodzianki. Czy

obraz przeszedł autentyfikację? A może chodzi o moją wystawę? A może ma zamiar otruć mnie swoim sufletem, bo już skończyłam fałszować jego obraz? Mniej odważna kobieta na moim miejscu dawno by uciekła. Ale nie ja. Chcę zobaczyć jego słynną kolekcję.

Naciskam na dzwonek z jego imieniem, a kiedy mi otwiera, wchodzę do wyłożonego boazerią, marmurowego holu, który oddziela ulicę od budynku. Przechodzę przez drzwi z trawionego szkła prosto do strzelistego, eleganckiego wnętrza. Pod koniec XIX wieku bywali tu pięknie ubrani panowie i panie. Całkiem prawdopodobne, że jedną z odwiedzających była sama Belle Gardner.

We foyer dominują szerokie mahoniowe schody, które dwukrotnie skręcają, zanim osiągną drugie piętro. Zatrzymuję się, bo nie jestem pewna, w którą stronę iść. Na szczęście widzę Markela schodzącego w moją stronę.

– Witaj – odzywa się. – Zapraszam tutaj.

Światło podkreśla jego wysokie kości policzkowe i kwadratowy podbródek. Wygląda na zrelaksowanego, zupełnie jak chłopiec, który dobrze czuje się we własnej skórze. Jest zadowolony, że mnie widzi. To zestaw, któremu naprawdę ciężko się oprzeć.

Wchodzę po schodach w jego kierunku, dygam i wyciągam do niego rękę.

– *Enchantée.*

Bierze moją dłoń, odwraca ją i całuje.

– Cóż za piękna dama.

Kiedy wchodzimy do jego mieszkania, nie mogę zdecydować na co patrzeć: na znakomicie zachowane elementy architektoniczne, eklektyczne meble czy na obficie, ale gustownie umiejscowione dzieła sztuki. Oprowadza mnie. Jest pajak Johna Baldessariego, rzeźba czterech słoików z czerwonymi wieczkami Tony'ego Fehera, zdjęcie ciasta kokosowego Sharon Core. Jest też obraz z cyklu *Masek* Zeng Fanzhiego i mój ulubiony David Park, *Cztery akty*. Jest też Koons, Cottingham, Warhol, Lichtenstein i, oczywiście, Cullion.

– Cudowne – nie przestaję szeptać. – Wow. Świetne.



Nie wiem, co innego mogę powiedzieć. Jego kolekcja spokojnie mogłaby stanąć w szranki z kolekcjami mniejszych muzeów. Potem pokazuje mi swój „zakamarek impresjonistów”: Maneta, Cézanne’a i malutkiego, niesamowitego Matisse’a.

– A Degas? – pytam.

– Niestety brak. – Macha rękoma, jakby chciał objąć całą kolekcję. – To plus posiadania własnej galerii. Udaje mi się kupić to, co naprawdę mi się podoba. I to po znacznie niższej cenie, niżbym sam za to zażądał.

Jego mieszkanie obejmuje trzy kondygnacje. Salon, jadalnia i kuchnia znajdują się na pierwszym piętrze. Wnętrza są wysokie na ponad pięć metrów, są tu trzy kominki i oryginalne gzymsy. Drugie piętro to ogromny apartament z oddzielnym biurem, urządzonym schludnie i po męsku, ale nie przesadnie. Wszystko jest wyremontowane, ale nadal świetnie pasuje do swojej XIX-wiecznej obudowy. Wspinamy się na trzecie piętro, gdzie znajdują się trzy sypialnie, jeden doskonale wyposażony pokój gościnny i dwa pokoje dla dzieci.

– Dzieci?

– Robin ma sześć lat, a Scott cztery. Zazwyczaj mieszkają ze swoją matką w Weston, ale widzimy się często.

– Och – tylko tyle udaje mi się wykrztusić. Wiedziałam, że ożenił się w stosunkowo młodym wieku i że od kilku lat jest rozwiedziony, ale jak mogłam przeoczyć fakt istnienia dzieci? Jakim cudem Isaac nigdy o tym nie wspomniał? I dlaczego Markel mi o tym nie powiedział?

Wracamy na dół i dostrzegam prace, których nie zauważyłam, gdy wchodziliśmy do góry: rzeźba Louise Bourgeois we wnęce koło schodów, rysunek Williama Kentridge’a, mobil Caldera. Bierze mnie za rękę i prowadzi do salonu. Siadamy na kanapie, naprzeciw niskiego stolika, na którym chłodzi się butelka szampana.

– Ostatnio pijemy dużo szampana – jestem pod takim wrażeniem jego kolekcji, że właściwie nie mogę wykrztusić z siebie słów. Napełnia kieliszki i podaje mi jeden z nich.

– Mieliśmy dużo okazji do świętowania. – Dramatyczna pauza. – A teraz mamy jeszcze więcej.

Wstrzymuję oddech.

– Twoja *Kąpiel II* przeszła wszystkie testy. Więc dla każdego poza nami będzie uchodzić na oryginał.

Zalewa mnie fala ulgi.

– Wow – wypijam mojego szampana jednym łykiem i wyciągam kieliszek po dolewkę. – Nie wierzę.

Ale tak naprawdę dobrze wiem, że ekspertów można oszukać.

– Tak bardzo cię to martwiło?

– Oczywiście. Mówiłam ci.

– Ja byłbym zaskoczony, gdyby stało się inaczej.

– Znaczący, że jesteś twardszy niż ja.

Z szuflady stolika wyciąga kopertę i podaje mi ją.

– Dorzuciłem premię.

– Dzięki – szybko chowam kopertę do mojej torebki. Wydaje się grubsza niż pozostałe.

– Ale to nie jest ta prawdziwa niespodzianka – mówi.

– Nie? – *Kąpiel II* przeszła autentyfikację, więc może teraz chodzi mu o moją wystawę?

– Właściwie to jest, chociaż może bardziej przed-niespodzianka, albo pierwsza jej część. Jest jeszcze druga, na którą musimy poczekać.

Więc raczej nie chodzi o moją wystawę.

– Zrobiłeś macaroni and cheese na kolację?

Śmieje się głośno.

– Skąd wiedziałaś?

– Poważnie?

– Z trzema rodzajami grzybów, pomidorami i ziołami z mojego ogrodu. Czy to dostatecznie wyrafinowane?

Staram się ukryć rozczarowanie. Chociaż uwielbiam to danie jak mało co, to nigdy nie zakwalifikowałabym go do kategorii niespodzianek.

– Dzięki. Brzmi smakowicie.

Podaje mi tackę z czarnymi oliwkami. Tacka jest długa i wąska i wygląda, jakby była zrobiona specjalnie na oliwki. Nigdy nie widziałam

niczego podobnego. Wkładam jedną do ust. Jest idealna: ostrawa i ciemna, słona i oleista.

– Je też sam wyhodowałaś?

– Mam coś jeszcze – mówi.

Zjadam kolejną oliwkę i czekam.

– Sprzedałem go.

Prawie połykam pestkę oliwki.

– *Kąpiel II?*

– Już kiedyś pracowałem z tym kolekcjonerem, znałem go. Stworzyłem kilka poziomów między nami, zarzuciłem przynętę. On ją złapał.

– I myśli, że to oryginał? Ten skradziony z muzeum?

Markel delikatnie stuka swoim kieliszkiem w mój.

– A co innego miałby myśleć?

Mam trudności z normalnym oddychaniem. Nie mam pojęcia, dlaczego tak reaguję. Co właściwie myślałam, że się wydarzy? Sprzedaż obrazu jako oryginał była przecież naszym planem od samego początku.

– Wydaje się dziwne, kiedy już się zdarzyło, prawda? – mówi.

Po raz kolejny mam wrażenie, że czyta w moich myślach. Nie mogę się oprzeć wrażeniu, że wydarzenia ostatnich miesięcy połączyły nas w dość intymny sposób. Czuję dreszcze w kręgosłupie.

– Jesteś pewien, że się nie domyśli, że to ty mu go sprzedałeś? Że nie będzie w stanie do nas dotrzeć?

– Maczało w tym palce zbyt wielu pośredników. I każdy z nich zna tylko tego, z którym się kontaktował, i który skontaktował się z nim – mówi pewnie Markel, ale zauważam, że nie odpowiada bezpośrednio na moje pytanie.

– I co ma zamiar z nim zrobić?

– To kolekcjoner, Claire. Kolekcjonerzy to szaleńcy. A ten facet jest bardziej szalony niż większość z nich, kompletny fanatyk. Całkowicie ślepy na wszystko, co nie jest sztuką, jaką może posiadać. Dlatego był pierwszą osobą, do której poszedłem w sprawie Degasa.

– Ale jeśli nie może tego sprzedać, ani komukolwiek pokazać, jeśli obraz nie będzie potwierdzeniem jego statutu społecznego i jeśli nie

będzie go używał na czarnym rynku, to po co mu on?

Markel opiera się na kanapie i bierze łyka szampana.

– Tu chodzi o ekscytację faktem, że wiesz, że coś masz, co jest tylko twoje i że nikt nigdy poza tobą tego nie zobaczy – jego oczy podążają w kierunku Warhola, Lichtensteina. – To działa jak uzależnienie. To jest uzależnienie, którego poważni kolekcjonerzy nie potrafią i prawdopodobnie wcale nie chcą kontrolować. Nie mówimy tutaj o normalnych ludziach.

Przypominam sobie, jak Sandra Stoneham powiedziała mi coś podobnego. Myślę też o tym, jak się czułam, patrząc na pustą ramę w Małej Galerii. O mojej ekscytacji faktem, że byłam jedyną osobą, która wiedziała, gdzie znajdował się zaginiony obraz. O dumie, jaką odczuwałam na myśl, że *Po kąpieli* Degasa stało w moim studiu, że mogłam go dotknąć i patrzeć na niego zawsze wtedy, kiedy tego chciałam. I że nikt inny nie mógł tego zrobić. Nagle okazuje się, że nikt z nas nie jest normalnym człowiekiem.

– A co z autentyfikacją? – pytam – Co jeśli dojdzie to do kogoś, kto się zorientuje, że to tylko kopia?

– Facet jest z Indii, ale będzie sprawdzał obraz tu, na miejscu.

– Powiedziałeś przecież, że to powód, dla którego zagraniczni kupujący są bezpieczniejsi. Bo nie mają dostępu do tych wszystkich supereksperatów i całego nowoczesnego sprzętu.

Obejmuje mnie i lekko przyciąga do siebie. Pozwalam mu na to, zbyt przytłoczona, by stawiać jakikolwiek opór.

– Bo tak właśnie jest – mówi, bawiąc się kosmykiem włosów, który opadł mi na czoło. – Ale w tym przypadku wybór ekspertów jest naprawdę ograniczony. Głównie ze względu na historię dzieła.

– Więc sprawdzi go u tego samego gościa, którego użyłeś ty?

– Nie ma nikogo innego.

– I co się stanie potem?

– Jak tylko dostanie potwierdzenie autentyczności, wyjmie płótno z blejtramu i wywiezie je z kraju samolotem lub statkiem. Postawiłem warunek, że musi je mieć cały czas z sobą.

– A co z ochroną? Przecież teraz sprawdzają dosłownie wszystko.

- Obrazy nie aktywują wykrywaczy metalu.
- Ale jeśli zostanie złapany, to czy będą mogli....

Markel nachyla się do mnie i całuje. Cudowny, wilgotny i ciepły pocałunek trwa wieki i rozplywa się między moimi udami, a potem wraca i podąża do każdego zakończenia nerwowego w moim ciele. Nigdy wcześniej nie miałam orgazmu od samego pocałunku, a teraz czuję, że zdarzy się to za chwilę.

Markel odsuwa się i pyta:

- Mówiłaś, że może jak projekt już się zakończy...?
- Gdzie do licha nauczyłeś się tak całować?
- Czy to znaczy tak?

Teraz, gdy pocałunek już się skończył, powracają do mnie resztki inteligencji i pojawiają się pytania. Przeczesałem palcami włosy i siadam.

- Dlaczego nigdy nie powiedziałeś mi, że masz dzieci?
- Czy to ma jakieś znaczenie?
- Nie. Skąd. Samo w sobie nie. Tylko wydaje się, że to coś, o czym powinieneś być napomknąć.

– A wiesz, ilu mam braci i ile siostr? Czy moi rodzice nadal żyją? Gdzie dorastałem? – wzrusza ramionami – Ja też nie wiem o tobie tych wszystkich rzeczy. Nie doszliśmy jeszcze do tego poziomu intymności.

– Trudno się z tym nie zgodzić – mówię, ale myślę, że rana, którą zadał mi Isaac trzy lata temu, jest nadal świeża. Odsuwam się od niego i wstaję. –

No i gdzie jest to wyrafinowane macaroni and cheese, którym się tak chwaliłeś? Jestem głodna jak wilk.

Też wstaje i całuje mnie w koniuszek nosa.

– Mamy wiele do przedyskutowania w czasie kolacji i chcę się ciebie w pewnej sprawie poradzić.

Kolacja jest przepyszna. Markel dostaje kolejnego plusa w kolumnie zalet. Do tego jest świetnym gospodarzem, czarującym i dość skromnym, uważnym, ale nie przesadnie troskliwym.

Dużo się śmiejemy, wypijamy butelkę wina, rozmawiamy o mojej wystawie.

- Planuję namalować trzynaście nowych obrazów – mówię.

– Dobry plan – odpowiada. – Kiedy chcesz je skończyć?

– Zakładałam, że będę robić jeden obraz na tydzień. To trzynaście tygodni, czyli wypada na wczesny styczeń.

– Wystawa może być w grudniu albo w marcu – mówi. – Styczeń i luty są już zajęte, ale właśnie ktoś odwołał datę w grudniu. Myślisz, że dałabyś radę? To świetny termin.

– Początek czy koniec?

– Środek miesiąca.

– Kiedy musiałbyś wiedzieć?

– Potrzebuję co najmniej dwóch miesięcy na promocję.

Czy dam radę do grudnia? Dwa miesiące przed wystawą to znaczy w połowie października. Co oznacza, że musiałabym potwierdzić za miesiąc. Mało czasu. Bardzo mało czasu.

– Może mogłabyś namalować ich mniej? – proponuje.

Ale mniej to nie to. Nie chcę, żeby w tym samym czasie, co moja, była w galerii inna wystawa. Chcę mieć całe Markel G dla siebie.

– Daj mi miesiąc – mówię. – Zepnę się i zobaczę, ile dam radę skończyć. Wtedy będę potrafiła ocenić. Jeśli dam radę zrobić wszystko do grudnia, wolę grudzień. Jeśli nie, będziemy musieli poczekać do marca.

– Jeśli chodzi o Markel G, to w porządku. Mam co najmniej paru artystów, którzy w razie czego klepną ten termin w mgnieniu oka.

– Ale? – pytam czując, że żołądek wędruje mi do przetyku.

– Ale nie mogę powiedzieć, że takie rozwiązanie pasuje mi osobiście.

Z początku nie wiem, o co mu chodzi, zupełnie zagubiona we własnych planach. A potem nagle pojmuję. Mówi o nas, o tym, że chciałby więcej mojego czasu tylko dla siebie.

– Ach tak. No tak. Jest jeszcze to.

– Więc jest jakieś to? – pyta.

Nie wiem, jak mu odpowiedzieć. Potrzebuję więcej czasu na przemyślenia. Ale nie chcę wszystkiego spieprzyć. Widzę, że potencjał na coś dobrego jest spory. Do tego naprawdę go lubię.

– Tak – odpowiadam wreszcie. – Ale może nie dzisiaj.

Uśmiecha się i wyraźnie się rozluźnia.

– Więc może jutro ty ugotujesz coś dla mnie?

– Jeśli to zrobię, nie będzie żadnego „tego”. Prędzej umrzemy z zatrucia pokarmowego. – Zmieniam temat, zanim zdąży mi odpowiedzieć. – Czy nie wspomniałeś, że chciałeś się mnie w czymś poradzić?

Natychmiast poważnieje.

– Chodzi o oryginał. O oddanie go do muzeum.

– A gdzie jest teraz? – pytam ostrożnie.

– Zamknięty w miejscu, do którego tylko ja mam dostęp. W dobrze zabezpieczonym schowku.

Wiem, że stara się mnie chronić, albo przynajmniej tak twierdzi. Ale takie wymijające odpowiedzi sprawiają, że czuję się nieswojo. Zbyt dużo tajemnic.

– Nie ma znaczenia gdzie – ciągnie. – Chcę tylko przemyśleć opcje.

Decyduję, że mu zaufam.

– Oczywiście nie możesz tam po prostu pójść i im go wręczyć. Więc musisz go raczej gdzieś zostawić.

– W jakimś bezpiecznym, pewnym miejscu – mówi. – Nie na zewnątrz. W miejscu, które nie ma ze mną nic wspólnego.

– Nie w Bostonie.

– Ale też nie za daleko. Im mniej będzie podróżował, tym lepiej.

– Kiedy chcesz to zrobić?

– Jak twoja kopia będzie już za granicą.

– I jak sprzedający dostanie swoje pieniądze. A ty swoje.

Tyle jeśli chodzi o zaufanie.

– Tak. Kiedy ja dostanę moje pieniądze.

Wstaje i sprząta ze stołu talerze po deserze. Gdy kładzie brudne naczynia na blacie, jego ruchy są bardzo szybkie.

– Przepraszam. Nie powinnam była tego powiedzieć. Nie mam prawa cię osądzać. Sama nie jestem bez winy – obserwuję jego poważną twarz i chcę wierzyć, że robi to wszystko właśnie po to, by oddać obraz jego prawowitemu właścicielowi. – Dla mnie wybór był prosty. Ale dla ciebie? – patrzę na prace znajdujące się tuż za nim: Calder i Koons.

– Nawet ja muszę zarabiać, Claire. Nie wszystko jest takie, na jakie wygląda.

– A twoja kolekcja? Warhol, Calder, Matisse?

Siada na krześle obok mnie.

– Pamiętasz, co mówiłem o kolekcjonerach? Że potrafią być fanatyczni? Irracjonalni? Cóż, jestem jednym z nich.

– Chcesz zatrzymać *Kąpiel* dla siebie?

– Nie, skąd – mówi. – Oczywiście, że nie. Próbuję ci wyjaśnić, co czuję, gdy myślę o sztuce. Dla ludzi, którzy sami nie mają talentu, kolekcjonowanie to sposób na wyrażanie siebie. Na odkrycie piękna, na tworzenie go. Kolekcja to coś znacznie potężniejszego niż my sami – potrząsa głową. – Nie są na sprzedaż. Żaden z nich.

– Nigdy żadnego nie sprzedałeś?

– Tylko dodaję. Prawie nigdy nie odejmuję. To jak uzależnienie: nazywam się Aiden Markel i jestem kolekcjonerem sztuki – uśmiecha się zażenowany. – Może nie szalony jak gość, który kupił *Kąpiel II*, ale nadal dość szalony.

– A dom? – pytam, bo nie chcę, by pomyślał, że w tak uroczy sposób wykręci się od moich pytań – Galeria?

– Na kredyt. Nigdy nie zakładaj, że ktoś, kto ma dużo drogiej rzeczy nie ma kredytów – bierze moją dłoń. – Tak, dostanę za to pieniądze. I to dużo. Ale to rzecz drugorzędna. Tak naprawdę chodzi o ponowne wstawienie *Po kąpeli* w ramy w Małej Galerii. Czy to nielegalne? Przyznam, że tak. Czy jest tego warte? Myślę, że tak.

Patrzę na moje dłonie zamknięte w jego. Wszystko zlepia się w całość, ale nie mogę znieść myśli, że być może znów ktoś próbuje mnie oszukać.

Pomaga mi wstać i w ciszy idziemy do drzwi wejściowych, obejmując się.

– Nadal jestem chętny na jutro – mówi. – Możemy zamówić pizzę. – Potem nachyla się i mnie całuje.

Znów gubię się w jego aksamitnym pocałunku. W jego ustach, jego piersiach, jego ciele, które przywiera do mojego. Lgnę do niego, a on lgnie do mnie. Udaje mi się wydostać. Muszę to przemyśleć. Przemyśleć



i przetrwać. Przytulam go i zbiegam ze schodów prosto w chłodną, jesienną noc.

Na chodniku zatrzymuję się, by złapać oddech. Spoglądam w jego okno. Stoi w nim, patrzy na mnie, a na jego twarzy malują się smutek i tęsknota. Przykłada dłoń do okna w sposób tak zmysłowy i wymowny, że czuję, jak coś się we mnie kruszy.

Znów naciskam dzwonek przy drzwiach, a kiedy otwiera, biegnę po schodach jeszcze szybciej, niż zbiegałam w dół.

*Trzy lata wcześniej*

Kiedy przyjechałam do Nowego Jorku, by malować drugą wersję 4D, udałam się prosto do biura Karen. Ta przedstawiła mnie Beatrice Cormier, starszej kobiecie obwieszanej biżuterią, o mądrych, lodowato błękitnych oczach.

– Beatrice to jedna z najważniejszych kolekcjonerek sztuki – wyjaśniła Karen. – Skończyła wiele studiów z dziedziny historii sztuki, a o malarstwie wie więcej niż większość profesorów. – Podala Beatrice klucz. – Będzie cię obserwowała przy pracy.

Przez moment poczułam zniechęcenie. Nie lubiłam, gdy ktoś patrzył, jak maluję. Ale potem zrozumiałam, że MoMA musi jakoś się upewnić, że praca będzie naprawdę moja.

– Materiały, o które prosiłaś, są już w studiu – Karen wskazała na kartonową tubę, którą trzymałam pod ramieniem. – Czy to obrazy, które chciałam zobaczyć?

Podalam je jej dość niechętnie. Chciała na nie spojrzeć i porównać do 4D. Teoretycznie mogło mi to pomóc, ale sprawiło, że poczułam się ślisko, jakbym to ja sama była temu wszystkiemu winna.

– Oddam ci je tak szybko, jak tylko je przeanalizujemy – powiedziała, odwracając się do komputera i odprowadzając mnie. – Beatrice zabierze cię teraz do studia.

Kierowca Beatrice zawiózł nas do budynku usytuowanego w części Brooklynu, która była zdecydowanie wschodząca, ale która jeszcze nie dotarła na szczyt. Przypominała mi trochę SoWa. Artyści zawsze odnajdują takie miejsca jako pierwsi, są pionierami, którzy zaczynają robotę, a potem zostają wypchnięci przez bogaczy, którzy podnoszą ceny wynajmu.

Wjechaliśmy windą do małego studia, którego właściciel był gdzieś zagranicą. Nie kojarzyłam jego prac (musiał być mężczyzną) więc nie miałam pojęcia, czyją przestrzeń właśnie sobie przywłaszczałam. Co, jak się domyślałam, było częścią planu Karen. Cała akcja owiana była aurą

tajemnicy. Nikt nie mógł o niej wiedzieć, dopóki nie udowodniłam tego, co chciałam. A może nawet wtedy miała pozostać tajemnicą.

Duże, puste płótno tych samych rozmiarów co 4D, stało na sztaludze zwrócone w kierunku południowym tak, by światło północne miało za plecami. Moje materiały leżały na stojącym obok stole poplamionym olejami. Sprawdziłam farby, pędzle, terpentynę.

– Masz wszystko, czego ci potrzeba? – zapytała Beatrice.

– Wygląda na to, że tak – odpowiedziałam. – Martwię się tylko, że będziesz się okropnie nudzić.

– Musimy rozpisać plan tak, żeby uwzględnić wszystkie moje zobowiązania – odpowiedziała.

– Mam tylko jedno zajęcia w Bostonie. We wtorki. Już prawie skończyłam studia, teraz koncentruję się tylko na moim ostatnim, końcowym projekcie. Mam nadzieję, że obronię się na koniec następnego semestru.

– Ach tak? – była uprzejma, ale nie miałam wątpliwości, że wcale nie jest zainteresowana szczegółami mojego życia.

– Więc jakikolwiek dzień poza wtorkiem będzie dla mnie dobry.

Beatrice wystukała parę poleceń na swoim telefonie.

– Najlepiej byłoby to skończyć tak szybko, jak to możliwe. Jak myślisz, ile dni potrzebujesz?

Namalowanie oryginalnego 4D nie zajęło mi zbyt dużo czasu, co kompletnie mnie wtedy zaskoczyło. Mokre na mokrym idzie o wiele szybciej niż mokre na suchym. Ale nie miałam gwarancji, że i tym razem pójdzie mi tak sprawnie. Isaac nie był jednym malarzem, który blokował się pod naciskiem presji.

– Trzy, cztery?

Niestety, Beatrice była bardzo zajęta kobietą i nie miała zbyt dużo czasu wolnego. Nie mogła wygospodarować dla mnie nawet dwóch dni pod rząd. Ale udało nam się znaleźć parę terminów, kiedy obie mogłyśmy się spotkać w studiu. Wyjaśniła, że nie powinnam już kontaktować się z Karen i że to ona, Beatrice, miała klucze i będzie odpowiedzialna za wpuszczanie mnie do środka i wypuszczanie na zewnątrz.

I tak zaczęłyśmy. Przyjeżdżałam do Nowego Jorku trzykrotnie i zostawałam po dwa dni za każdym razem. Potrzebowałam więcej czasu niż założyłam, bo Beatrice nigdy nie miała całego dnia wolnego. Malowałam, kiedy miała czas, spałam w centrum kulturalnym Y. Beatrice nie naprzykrzała mi się, głównie czytała albo rozmawiała po cichu przez komórkę. Ale cały czas była czujna. Można by przypuszczać, że sownie jej zapłacili za dopełnienie takiego żmudnego obowiązku, ale było jasne, że jest zbyt bogata, by to pieniądze były dla niej kartą przetargową. Nigdy nie dowiedziałam się, dlaczego właściwie to zrobiła.

Cały proces był nawet dość przyjemny, jeśli nie liczyć tego, co naprawdę za nim stało. Byłam poza Bostonem, z dala od presji studiów i konkurencji, które były znakami rozpoznawczymi cenionych kursów w MFA. A Beatrice okazała się doskonałą towarzyszką: była czujna i pełna szacunku, mówiła niewiele, ale wyraźnie dawała znać, że jest pod dużym wrażeniem mojej pracy. Karen powiedziała mi wcześniej, że nie muszę robić dokładnej kopii 4D, tylko namalować coś podobnego, kolejny obraz z cyklu. I dokładnie to zrobiłam.

Kiedy skończyłam, Beatrice zamknęła obraz w studio i powiedziała mi, że ktoś się do mnie odezwie. Podziękowała za moją uprzejmość, a ja za jej. Uśmiechnęła się do mnie ciepło po raz pierwszy, odkąd zaczął się projekt i poklepała mnie po ramieniu.

– Oby tak dalej, dziewczyno – powiedziała i puściła mi oko. Potem weszła do czekającego na nią samochodu i odjechała.

Uplęło sześć długich tygodni zanim usłyszałam oficjalny werdykt.

Kupuję wielki materac, podkładkę, podnózek i zagłówek. Nie miałam niczego tak oficjalnego do spania, odkąd byłam małą dziewczynką, wtulającą się w moje pseudofrancuskie podwójne łóżko. Po raz pierwszy w życiu mam jakieś pieniądze – pięć tysięcy dolarów premii to naprawdę miły dodatek do moich nieuczciwie zdobytych funduszy. Poza tym nie wydaje mi się fair, by Aiden spał na materacu położonym na podłodze.

Ciemne chmury zniknęły. Nie mam już koszmarów o byciu tłamszoną, ściganą lub zamykaną. Nie ma w nich Isaaca, Belle, i nie ma Degasa. Jest za to dużo Aideny.

Chociaż skracające się promienie jesiennego słońca i coraz mniej światła dziennego zazwyczaj sprawiają, że jestem trochę roztrzęsiona, w tym roku, pomimo wszystko, świat wydaje mi się znacznie jaśniejszy niż był latem. Miałam nadzieję, że ukończenie *Kąpielii II* wygna moje demony i tak właśnie się stało.

W szaleńczym tempie pracuję nad moimi *Oknami*, prawie tak samo, jak pracowałam nad *Kąpielą II*, ale tym razem mam do wykonania trzynaście obrazów i muszę się uwijać. Jeżeli ograniczanie czasu malowania do nie więcej niż czternastu godzin dziennie można uznać za uwijanie się. Nie mam oczywiście czasu na odwiedziny w Back Bay, więc jeśli Aiden chce, żebyśmy byli razem, musimy spotykać się u mnie. Twierdzi, że nie ma nic przeciwko przychodzeniu do mojego studia i że lubi tak spacer, jak i zapach terpentyny. Ale ja myślę, że chodzi mu o seks. I nie mam z tym najmniejszego problemu.

Facet kocha się nawet lepiej niż całuje. Sztuczki, które potrafi zrobić językiem, sprawiają, że prawie wychodzę z siebie. Miałam parę jednorazowych przygód od czasu historii z Isaakiem, ale od trzech lat nie uprawiałam seksu tak regularnie. Cóż mogę powiedzieć: wciąga. Do

pewnego stopnia jestem nawet zadowolona, że mam aż tyle pracy. W przeciwnym razie nie opuszczalibyśmy chyba mojego nowego łóżka.

– Muszę wracać do malowania – mówię, gdy leżymy obok siebie w miłosnym błogostanie. To tak naprawdę drugi seks tego popołudnia, a ja z każdą chwilą coraz bardziej zatapiam się w nasz związek.

– Myślę, że marzec byłby wymarzonym czasem na twoją wystawę – język Aiden'a obrysowuje moje uszy. – I dałoby to nam więcej czasu na igraszki. Wiosna i odrodzenie. Pasuje.

Przebiega mnie dreszcz. Przez chwilę naprawdę to rozważam, chociaż dobrze wiem, że nie ma opcji, bym mogła czekać aż tak długo. Wysuwam się z łóżka zanim zdąży mnie przekonać, bym została.

– Jesteś handlarzem moich prac. Powinieneś dbać o moją karierę.

– Jestem też twoim kochankiem – Aiden siada, zaplata ręce za głowę i patrzy, jak się ubieram. – Więc powinienem też dbać o twoje ciało.

– I nie myśl, że tego nie doceniam – wsuwam robocze džinsy, które są tak sztywne od farby, że właściwie same stoją. – A wiesz, co dzieje się z dziewczynami, którym zależy tylko na zabawie, a nie na pracy?

– Nie stają się nudziarami? – pyta.

– Nie osiągają sukcesu.

Aiden unosi ręce w udawanej rozpacz.

– Ludzkości! Strzeż się zbyt ambitnych kobiet! Zostawią cię samotnych i zziębniętych, a twoje klejnoty obolałe z pożądania.

Pokazuję mu język.

– Strzeż się też zbyt melodramatycznych mężczyzn!

Podnosi z podłogi pilota i wycelowuje go w mały telewizor, ustawiony na stosie starych książek kucharskich, których nigdy nie używam.

– Sprawdź wiadomości z giełdy i wracam do galerii – mówi.

Nie interesuje mnie żadna giełda, bo nigdy nie posiadałam choćby jednej akcji. Biorę więc pędzel i patrzę na obraz, który właśnie maluję. To *Różowe medium*, o którym myślałam od miesięcy, a które wychodzi lepiej, niż zakładałam. Jestem zachwycona świetlistością, jaką fenol aldehydowy i pieczenie dały różnym odcieniom różu. Szybko chwytam za paletę.

– O kurwa – krzyczy Aiden. – Claire! Kurwa, kurwa.

Odwracam się do niego.

– *Po kąpeli!* Nasze *Po kąpeli!* – Wskakuje z łóżka i staje nagi naprzeciw telewizora. – Tak mi się przynajmniej wydaje.

Nagle rozumiem, co oznacza powiedzenie „serce stanęło mi w gardle”. Mam wrażenie, jakby każdy większy organ w moim wnętrzu skurczył się i wcisnął dokładnie za krtań. Podchodzę, ciągle ściskając pędzel.

– Przypuszcza się, że jest to jeden z nieodzyskanych obrazów, skradzionych z Isabella Stewart Gardner Museum w czasie zuchwałego napadu w Bostonie w 1990, który do tej pory nie daje spać najbardziej znanym śledczym na całym świecie – intonuje prezenter CNN.

I nagle jest. Wypełnia cały ekran. Jeśli to nie moja *Kąpiel II*, to znaczy, że ktoś zrobił cholernie dobrą podróbkę. Chociaż na tak małym ekranie nie widać wszystkich szczegółów, obraz wygląda jak idealna replika tego, który znajduje się w skrytce Aideny. Mój pędzel opada na podłogę. Chwytam Aidenę za rękę.

– Obraz został znaleziony w zeszłym tygodniu podczas rutynowej kontroli w San Francisco, na pokładzie statku płynącego do New Delhi w Indiach – ciągnie prezenter. – Jeśli okaże się, że to faktycznie *Po kąpeli* Edgara Degasa, będzie to pierwszy obiekt odzyskany z napadu z 1990 roku, w czasie którego skradziono bezcenne arcydzieła m.in. Vermeera, Rembrandta, Maneta i Degasa. Obraz jest obecnie w drodze do Bostonu i będzie poddany autentyfikacji. Nie wiadomo nic o jakichkolwiek aresztowaniach związanych ze sprawą, ale FBI wszczęło dogłębne śledztwo. Jak tylko będziemy wiedzieli więcej, będziemy państwa o tym informować.

Aiden i ja patrzymy na siebie bez słowa. Szok malujący się w naszych oczach mówi sam za siebie.

– Myślałam, że mówiłeś, że facet ma go mieć zawsze pod ręką – udaje mi się w końcu wykrztusić.

Aiden zakłada spodnie.

– Nie wiemy, czy tak nie było. Powiedzieli tylko, że obraz został zatrzymany podczas rutynowej kontroli. I nie wiemy nawet, czy chodzi o tę samą osobę.

*Po kąpieli.* Statek. Wyplywający z San Francisco. Udający się do Indii. Któż inny miałby to być?

– Najważniejsze to zachować spokój – mówi. – Nie panikuj. Z nikim nie rozmawiaj. Spróbuję dowiedzieć się czegoś więcej. Wrócę tak szybko, jak to możliwe.

– Dokąd idziesz? – pytam, kiedy podnosi swoją kurtkę.

Aiden patrzy na mnie i mruga oczami, jakby zaskoczony moim widokiem. Potem jego wzrok mięknie i mocno mnie obejmuje. – Wszystko będzie dobrze. Obiecuję. Nie pozwolę, by stało ci się cokolwiek złego. Ani mnie.

Pozwalam mu się objąć i chce uwierzyć w to, co mówi. Ale wiem zbyt dobrze, że nie będzie miał jak dotrzymać takiej obietnicy. I że nie powinien jej w ogóle składać.

Kiedy czekam na jego powrót próbuję pracować, ale nie potrafię się na niczym skupić. Obawiam się, że zrobię jakiś głupi błąd, przez który tylko opóźnię całość prac albo spalę budynek. Więc nie robię nic. Patrzę w telewizor, ale tam wciąż powtarzają tę samą informację. Nawet ujęcie obrazu jest ciągle takie samo. Szukam w internecie, ale jedyną rzeczą, jakiej się dowiaduję, jest to, że obraz został odkryty prawie tydzień temu, a informacja została podana do wiadomości publicznej dopiero dziś. Co oznacza, że prawdopodobnie wiedzą znacznie więcej niż mówią.

Nakładam dodatkową parę skarpet i sweter, ale ciągle mi zimno. Dokładam jeszcze kamizelkę puchową i wełniane rękawice bez płaców. Zimno zdaje się wychodzić z samego szpiku moich kości. Chciałabym dogrzezać pokój, ale gorące powietrze ma nieobliczalny wpływ na nie do końca suchą farbę. Więc chodzę w kółko, mając nadzieję, że ruch mnie rozgrzeje.

Kiedy wraca Aiden, jest już ciemno. Rzucam się w jego ramiona, szukając ciepła i schronienia. Ale on wszedł tu prosto z zimnej nocy i nie posiada magicznych mocy. Jestem rozczarowana.

Siada na kanapie i przykłada palce do końcówki nosa.



– Aresztowali Patela.

– Kogo?

– Ashoka Patela. Klienta.

– Więc to jednak był mój obraz?

Patrzy na mnie, jakbym była niespełna rozumu.

– Tak, oczywiście – mówię, próbując ogarnąć, jakie to może mieć implikacje. – Mówiłeś, że pracowałeś z nim wcześniej. Więc cię zna. Zna twoje imię, wie, jak wyglądasz.

– Tak i nie.

– Jak to?

– Zna mnie jako właściciela Markel G. Był moim klientem od lat. Ale nie ma pojęcia, że byłem zaangażowany w tę transakcję. Mówiłem ci, że posługiwałem się wieloma pośrednikami.

– Więc to oni wiedzą, kim jesteś.

– Tu znów chodzi o warstwy. Jestem bezpieczny, a ponieważ nigdy wcześniej niczego takiego nie zrobiłem, jest mało prawdopodobne, by ktokolwiek domyślił się, że za tym stoję.

Nie brzmi to tak przekonująco, jak pewnie by sobie życzył. Ale mam teraz ważniejsze sprawy na głowie.

– Jak go znaleźli?

– Nie wiem tego na pewno, ale moi pośrednicy dali mu wyraźne instrukcje, by wyjąć obraz z ram i mieć go zawsze przy sobie. Założyłem, że zrobi, jak mu powiedziano.

– Ale nie zrobił.

Aiden wyciąga się i mnie obejmuje.

– Patel nie wie, skąd pochodzi obraz, z kim dobił targu, ani że obraz jest kopią. Nawet gdyby chciał, nie odgadłby, że mam z tym jakikolwiek związek.

– FBI i policja mają sposoby, by wyciągnąć z niego zeznania. Przekopać się przez twoje warstwy.

– Takie rzeczy zawsze działają lepiej na filmach.

– Będą znów analizować kradzież. Gdzie są obrazy, kto je ma. Mogliby to połączyć z tobą.

– Jestem chroniony moją własną niewiedzą i niewiedzą innych o mnie. – Ujmuje mój podbródek. – Najważniejsze, że nikt nie może tego połączyć z tobą. Jestem jedyną osobą, która wie o twojej roli i będę milczał jak grób – delikatnie mnie całuje.

– A ty?

– Przyniosłem ci wysokiej jakości kopię i zapłaciłem osiem tysięcy dolarów, żebyś ją skopiowała. To wszystko, co wiesz. I nie martw się o mnie. Jestem dużym chłopcem. Potrafię o siebie zadbać.

– Czy to naprawdę takie proste?

Grymas uśmiechu przelatuje przez jego twarz.

– Mam taką nadzieję.

Jego uśmiech wytrąca mnie z równowagi. Po raz kolejny zastanawiam się, jak mało o nim wiem.

– Dobra wiadomość jest taka, że nie muszę się już martwić, jak dostarczyć oryginał do Gardner Museum – mówi. – Przynajmniej przez jakiś czas.

Zagryzam wargi. Nie ma żadnego oryginału, a przynajmniej nie takiego, który można by zwrócić. Aiden też mało o mnie wie.

– A co, jeśli zorientują się, że to fałszerstwo? – pytam. – Albo jeśli, co gorsza, wcale się nie zorientują?

Aiden chwyta mnie za rękę.

– Claire, zwariujemy od tych twoich pytań. Nie ma sensu wyprzedzać biegu zdarzeń. Wszystko po kolei. Jak mawiała moja babcia: „zawsze zakładaj najlepsze, dopóki nie dowiesz się najgorszego”.

– Jasne – mówię, chociaż wiem, że nie potrafię się zdobyć na tego rodzaju myślenie. – Trzeba robić tak, jak mówiła babcia Markel.

Aiden klepie się po udach i wstaje.

– Zamówić pizzę?

Kiedy ją dowożą, żadne z nas nie ma ochoty jeść. Bawimy się naszymi kawałkami i udajemy, że wciąga nas powtórka Seinfelda, która właśnie leci w telewizji. Nawet udaje nam się czasem zaśmiać.

– Zaklinamy rzeczywistość? – pytam Aidena po jednym z napadów wesołości.

Wzrusza ramionami.

– Jeśli ma to coś działać...

Kładziemy się spać wcześnie. Nie uprawiamy seksu po raz pierwszy od czasu, gdy Aiden zrobił dla mnie macaroni and cheese.

Wyciągnięta z archiwów Gardner Museum fotografia *Po kąpieli*, obrazu, który wisiał w Małej Galerii przez prawie sto lat i został skradziony, widnieje na pierwszej stronie Boston Globe. Tylko Aiden i ja wiemy, że nie jest to obraz znaleziony w doku w San Francisco. Tylko ja wiem, że nie namalował go Edgar Degas.

„Skradzione arcydzieło odnalezione?” pyta wielkimi literami nagłówek. To główny news na praktycznie każdej stronie internetowej. Także w programie Today. Aiden i ja przeczesujemy wszystkie informacje, jakie możemy znaleźć, czytając głośno fragmenty. Ale nie znajdujemy niczego nowego. Nic o aresztowaniu Patela. FBI i policja trzymają w tajemnicy to, co naprawdę wiedzą.

– Myślisz, że chodzi im o to, żeby nie upublicznić dowodów, które może znać tylko zabójca? – pytam Aidenę.

Aiden przewraca oczami.

– Claire, tu nie ma zabójcy. I najprawdopodobniej nie ma też żadnych dowodów. I pewnie to jest powód, dla którego o nich nie mówią.

– Wiesz, co mam na myśli.

Wstaje i masuje mi szyję. To kolejna rzecz, w której jest naprawdę dobry.

– Niestety, wiem dokładnie, co masz na myśli.

Oddaję się jego doświadczonej rękom i wzdycham. Jestem ubrana w moje ciuchy do malowania, a *Różowe medium* siedzi w piecu już od ponad godziny. Pochylam głowę do przodu, żeby mógł dotrzeć do bolących mięśni tuż nad łopatkami.

– Boisz się? – pytam. Jego palce dalej pracują, on milczy. Jego milczenie zaskakuje mnie, więc odwracam się, by na niego spojrzeć. – Myślisz, że pójdziemy do więzienia?

– Nie bądź dziecinna, Claire – prychna. Odsuwam się od niego. Nigdy wcześniej nie podniósł na mnie głosu. – Wybacz – mówi, przyciągając mnie do siebie. – Przepraszam. Jak się pewnie domyślasz, jestem lekko zestresowany. – Próbuję go przeświecić oczami. Wzdycha. – Wszystko jest możliwe, a to nie jest zwykle przestępstwo. Ale nie, nie myślę, że pójdziemy do więzienia. A przynajmniej nie myślę, że ty pójdziesz.

Przytulam się do niego. Chyba nie zniosłabym straty kolejnego mężczyzny spowodowanej sytuacją, w której sama maczałam palce.

– Nie myśl o tym – mówi. – Sprawdzam różne opcje. Żebyśmy byli bezpieczni.

Chociaż brzmi to obiecująco, w jego głosie jest coś wymijającego. Coś, co sprawia, że czuję się mocno nieswojo.

– Jakie opcje?

Aiden delikatnie wyplątuje się z moich objęć.

– Muszę już iść – mówi. – Powinienem siedzieć w galerii przez większość dnia. Zadzwoń, jeśli się czegokolwiek dowiem.

Kiedy wychodzi, wracam do pracy. To jedyna rzecz, jaka sprawia, że czuję się bezpiecznie.

Dwa dni później wypływa informacja, że mężczyzna o imieniu Ashok Patel, obywatel Indii pochodzący z Bangalore, został aresztowany ze transport skradzionych dzieł sztuki. Wiadomo także, że obraz był naciągnięty na blejtram, a nie zwinięty zgodnie z instrukcją Markela. Patel nie miał go też przy sobie. Zamiast tego ukrył go w dużym kontenerze pełnym dzinsów, które jechały do sklepu odzieżowego w New Delhi.

Przez następne parę dni dużo mówi się o ekstradycji Patela do Massachusetts, o oskarżeniu go o udział w słynnym skoku, o potencjalnych śladach innych ukradzionych obrazów w Indiach. Ale upływa tydzień i nie wiadomo nic więcej na temat Patela czy autentyfikacji *Kąpielii II*. Są tylko spekulacje dziennikarzy, którzy nie mają pojęcia, o czym mówią. Gdyby nie moje *Okna*, dawno bym już zwariowała.

Ucieczka w malowanie ma swoje dobre strony: nie tylko wyprzedziłam własny grafik, ale jestem albo zbyt pochłonięta pracą albo zbyt wykończona, żeby myśleć o Patelu. Tylko część tego jest zasługą mojego pracoholizmu. Druga część to po prostu wynik godzin, jakie włożyłam w projekt *Okien* w ciągu ostatnich dwóch lat. Zrobiłam setki rysunków i tysiące fotografii, więc teraz główna trudność nie polegała na decyzji co namalować, ale które pomysły wybrać.

Przygotowałam już wszystkie trzynaście płócien, zagruntowałam je, zrobiłam wstępne szkice i pokryłam je warstwą podmalówki. *Różowe medium* będzie gotowe za chwilę, a *Tremont* dziś w nocy. Jutro zacznę nanosić kolor na *Korytarze* i *Zatoki*. Aiden jest pod wrażeniem jakości moich prac. A ja jestem bardzo zadowolona z siebie.

Sprawdzam kalendarz. Pracuję ponad dwukrotnie szybciej niż zakładałam. W tydzień kończę dwa obrazy zamiast jednego. W takim tempie, z dziesięcioma tygodniami i jedenastoma obrazami do zrobienia, powinnam być w stanie przygotować wszystko akurat na grudniową wystawę. I mieć parę tygodni zapasu. Liczę raz jeszcze, żeby się upewnić. Ale wychodzi tak samo. Mogę to zrobić.

Od paru dni miałam wrażenie, że tak właśnie jest, ale dopiero teraz jestem gotowa, by podjąć ostateczną decyzję. Zamiast od razu dzwonić do Aideny, biorę długi prysznic i spędzam więcej czasu na suszeniu włosów niż zazwyczaj. Delikatnie się maluję – tego też nie robiłam od wieków. I nakładam koronkową bieliznę. Niestety, mam mocno ograniczony wybór ubrań, ale jest nadal dość ciepło, więc zakładam seksowny podkoszulek i uroczą małą kurteczkę, którą kupiłam w Filene's Basement wieki temu. Powinno być okej.

Wchodzę do Markel G. Staję w drzwiach i patrzę na Aidenę siedzącego przy biurku na końcu galerii. Obecna wystawa jest na temat linii i jest naprawdę dobrze zrobiona, szczególnie pod względem kuratorskim. Są tu antropomorficzne rzeźby wykonane przy pomocy cieniutkich nitek. Są rysunki, które w pierwszej chwili wydają się papierem milimetrym, a po przyjrzeniu się okazują się delikatną siecią namalowaną tuszem. Jest sześciometrowa spirala zrobiona z kilometrów druta. Są białe koła na

kołach, wydrukowane na czarnym płótnie. I, co najbardziej imponujące, jest rysunek długości około siedmiu i pół metra, pokazujący życie w kenijskiej wiosce, namalowany jedną linią i pokrywający dwie ściany galerii. Bardzo wysublimowane.

Aiden nie wie, że tu jestem. Rozmawia przez telefon z ciepłym uśmiechem na twarzy. Nikt by się nie domyślił, że może martwić się czymkolwiek innym, niż swoją kolejną wystawą. Uderza mnie, że jest taki spokojny. Może ja też powinnam taka być?

Kiedy mnie widzi, uśmiecha się szeroko. Odkłada telefon i podchodzi do mnie, ale powstrzymuje się przez przytuleniem. Obawiałam się, że jeśli nasz związek wyjdzie na jaw, ludzie będą myśleć, że to w ten sposób udało mi się tu dostać. Co z drugiej strony nie jest tak złe jak prawdziwy powód, dla którego zaproponował mi wystawę.

Aiden uważa, że to głupie, trochę się ze mnie śmiał, ale w końcu zgodził się na dyskrecję.

– Wyglądasz świetnie. Jakaś okazja, o której nie wiem?

Mrugam rzęsami z bezpiecznej odległości.

– Wizyta u mojego handlarza, żeby przedyskutować moją zbliżającą się grudniową wystawę.

– Jesteś pewna?

– Pewna.

Ustalamy datę otwarcia na drugi tydzień miesiąca. Wystawa ma potrwać aż do nowego roku.

– To dobry okres – przekonuje mnie Aiden. – Naprawdę dobry. Otwarcie zrobimy szóstego, na długo przed świętami, a wystawa będzie wisieć przez cały sezon świąteczny, kiedy ulice wypchane są ludźmi. Będziesz zdziwiona, jak dużo się sprzedaje w tydzień po świętach.

Słucham go, patrzę, jak właściciel Markel G zapisuje moje imię w swoim kalendarzu. Spoglądam na ściany i w myślach zawieszam na nich moje obrazy. Czy to może być prawda? Ja, Claire Roth, parias bostońskiego świata sztuki. Wielka Symulantka. Nie, to nie może być prawda. To nie dzieje się naprawdę. A może właśnie się dzieje? Aiden, nieświadomy, że go nie słucham, że nie jestem w stanie go słuchać, opowiada o marketingu,

o zabiegających o jego względy kuratorach i kolekcjonerach, dywaguje o cenach.

– Ach – wykrztuszam z siebie, kiedy fala szczęścia rozlewa się po całym moim ciele. Klaszczę w dłonie, pełna radości. A więc jednak to się naprawdę dzieje!

Aiden wybucha śmiechem i przedstawia mnie swoim dwóm asystentkom, Chantal i Kristi, które razem muszą mieć co najmniej dwadzieścia kolczyków i mniej niż metr materiału zawieszzonego poniżej ich talii. A do tego bardzo wysokie kozaki.

Mówi im o mojej grudniowej wystawie i wchodzi na moją stronę internetową. Na widok obrazów obie reagują zgodnym „och” i „ach”, podczas gdy Aiden opowiada im o unikalnej kombinacji klasycznej techniki i nowoczesnego tematu. Przez moment czuję, jakbym wcale nie uczestniczyła w tej rozmowie, jakbym była kimś obcym, kto wpadł tu tylko na chwilę. Intruzem. Muszę sama siebie przekonywać, że tak nie jest. Teraz, właśnie teraz, marzenie, o którym nigdy nie sądziłam, że się spełni, spełnia się. Całe moje ciało drży na myśl o tym, jak to wszystko wydaje się nieprawdopodobne.

Dwie kobiety w średnim wieku o bardzo modnych fryzurach i designerskich džinsach wchodzi do galerii. Kristi podchodzi natychmiast, by je powitać. Pokazuję Chantal moje wczesne *Okna*, te, które mają się znaleźć na wystawie, i opowiadam jej trochę o tych nowych. Wydaje się szczerze podekscytowana. Staram się być niewzruszona, jakbym robiła coś takiego codziennie, ale po gorącu, jakie czuję na twarzy, i po drzeniu moich rąk widać od razu, że zupełnie mi to nie wychodzi.

– Więc jak chcesz to uczcić? – mówi Aiden, gdy Chantal idzie do kolejnego klienta.

Przykładam palec wskazujący do kącika ust.

– Słyszałam, że zaledwie parę przecznic stąd jest miejsce, gdzie mają cudowną kolekcję druków...

Gdy wchodzimy do domu Aidena, kierujemy się prosto do jego sypialni. Ale jestem tak podekscytowana, że nie potrafię się uspokoić. Wciąż mówię o *Różowym medium*, zastanawiam się, czy wziąć na wystawę *Wieżę*, czy



raczej namalować coś nowego. W końcu mam więcej czasu. Zastanawiam się też, gdzie kupić sukienkę na otwarcie. Po prostu nie mogę się na niczym skupić.

Ale umiejętności Aiden'a i jego cierpliwość wreszcie mnie zatrzymują. Mój orgazm jest tak głęboki, wszechogarniający i intensywny, że jęczę „najlepszy” kiedy trzymam go jeszcze w sobie i popycham, by wszedł głębiej.

Jego śmiech brzmi jak mruczenie. Robi to, o co proszę.

Już po wszystkim, nasyceni i spoceni, leżymy zwinięci jak poplątane znaki zapytania. Serce Aiden'a bije prosto w moje plecy.

Tego wieczora kończę *Tremont*, a większość następnego dnia spędzam pracując nad średnimi tonami w *Korytarzach* i *Zatokach*. Trzy warstwy nałożone i wypieczone na każdym z nich oznaczają, że idę zgodnie z planem. Zastanawiam się, czy nie zrobić kolejnej warstwy, ale decyduję, że czas odpocząć. Aiden zacznie swoje działania marketingowe już za parę tygodni, a ja muszę powiedzieć załodze z Jake'a, co się ze mną działo i co planuję, zanim dowiedzą się o wystawie od kogoś innego.

Tańczącym krokiem wkraczam do Jake'a, jakbym robiła to codziennie. A tymczasem nie było mnie tu od dobrych paru miesięcy. To najdłuższa przerwa, odkąd zaczęłam tu spędzać czas po przygodzie z Isaakiem.

Pierwsza dostrzega mnie Maureen.

– Patrzcie, kto powstał z martwych – mówi. – Czy może z płótna?

Mike, Mała i Danielle dopadają mnie w sekundę.

– Wszystko w porządku?

– Jak ci idzie malowanie?

– Gdzie byłaś? Tęskniliśmy!

– Jesteś już zbyt ważna i kreatywna, by się z nami zadawać?

– Też za wami tęskniłam – mówię i naprawdę tak myślę. – Ale przypuszczalnie nie będę mogła się tu pojawiać zbyt często przez najbliższe sześć tygodni.

Mała chwyta mnie za dłoń.

– Coś się wydarzyło? Coś dobrego dla twojej kariery?

Moje gardło się zaciska, a oczy wypełniają łzami. Nie mogę wydusić z siebie słowa. Mała podchodzi bliżej.

– Coś złego?

Potrząsam głową.

– Och, kochana – mówi. – Cokolwiek się stało, zawsze jesteśmy z tobą.

Staram się powstrzymać łzy, ale jedna toczy się po moim policzku.

Wszyscy patrzą na mnie z mieszaniną współczucia i zaniepokojenia.

– Nie, nie – udaje mi się w końcu powiedzieć. – Wszystko dobrze.

Odprężają się, a Maureen podtyka mi pod nos butelkę Sama.

– Pij – mówi.

Wypijam od razu pół butelki.

– Nie uwierzycie – patrzę na ich wyczekujące twarze, ale nie potrafię znaleźć odpowiednich słów.

Danielle krzyżuje ręce na piersiach

– Gdyby był tu Rik, powiedziałaby: „hej, ja się tu starzeję”.

Równie dobrze mogę im po prostu powiedzieć.

– Będę miała wystawę w Markel G.

Przez moment zalega absolutna cisza, a potem następuje eksplozja.

– To cudowne!

– Niesamowite!

– Markel G! Co za news!

– Jak ci się to udało?

Mike chwyta mnie za ramię.

– Zasłużyłaś. Naprawdę zasłużyłaś.

Świętujemy. Otwieramy butelki, Mała wznosi swoją ku górze.

– Za sukces jednej z naszych!

Wszyscy podnosimy butelki, pijemy, a potem odstawiamy je na barze z głośnym stuknięciem.

– Amen – odpowiada chór.

*Trzy lata wcześniej*

Sześć tygodni to dużo czasu. Wystarczająco dużo, żeby nabawić się migreny, bezsenności, problemów żołądkowych, strachu przed sukcesem, strachu przed porażką, strachu przed samym strachem i wachlarza innych problemów psychologicznych. Kiedy tak czekałam na werdykt od Karen Sinsheimer, udało mi się zaliczyć każdy z nich i jeszcze parę dodatkowych. Wszystkie oczywiście zdiagnozowałam samodzielnie.

Kiedy zadzwoniła, byłam już wrakiem człowieka.

– Przykro mi – powiedziała Karen po tym, jak się przedstawiła.

Zagryzłam wargi.

– Dlaczego?

– Komisja zdecydowała, że 4D to praca Isaaca Culliona.

– Nabrałaś najlepszych z najlepszych – mówi Aiden.

Galeria już zamknięta, a my siedzimy w małej wnęce w Markel G, gdzie zawierane są transakcje.

– Jedna rzecz, żeby osoba robiąca autentyfikację uznała ten obraz za oryginał, ale to.... Wiem, że był dobrze zrobiony i tak dalej... Nie chcę być zbyt skromna, ale... – jąkam się.

Właśnie mi powiedział, że zespół ekspertów wynajętych przez Gardner Museum, żeby dokonał autentyfikacji *Kąpieli II* orzekł, że to prawdziwe dzieło Degasa, dokładnie to samo *Po kąpieli*, które zostało skradzione w 1990 roku. Po przygodzie z 4D nie powinnam być zaskoczona. A jednak jestem.

Muszę aż potrząsnąć głową, żeby oczyścić ją z myśli.

– Jeden z moich nauczycieli z Repro powiedział, że tylko złe fałszerstwa zostały do tej pory odnalezione, bo dobre nadal wiszą na ścianach muzeów. Aiden chichocze.

– Znaczy jesteś w doborowym towarzystwie.

Jasne. I to nie po raz pierwszy.

– Czy to lepiej czy gorzej dla nas?

Aiden odwraca się w kierunku głównej sali galerii.

– Chcesz powiesić obrazy w jednej linii wokół galerii? A może każdy osobno, we własnej przestrzeni? A może powinniśmy wprowadzić przenośne ściany, aby ludzie mogli czuć się wizualnie i emocjonalnie otoczeni?

Wcale nie chcę rozmawiać teraz o mojej wystawie.

– To dobra czy zła wiadomość dla nas?

Wzdycha.

– Nie będę cię okłamywał. Teraz na pewno dobiorą się do Patela. Będą szukali dowodów. Śladów, poszlak, czegokolwiek, co może wskazać na

miejsce ukrycia pozostałych obrazów. Będą się próbowali dogadać, przekonać go, żeby sypnął – milknie. – Czy kiedyś pobierali ci odciski palców?

Potrząsam przecząco głową.

– To dobrze.

– A tobie?

Też potrząsa głową.

– Będzie dobrze, Claire. Jest szansa, że będzie dobrze.

Nic nie odpowiadam. Ale myślę, że zaprzeczanie rzeczywistości to piękna umiejętność. Dopóki nie staje się brzydka.

Wyobraźnia społeczeństwa została pobudzona, a pragnienie zdobycia informacji na temat *Po kąpeli* Edgara Degasa, kradzieży i wszystkiego, co ma jakikolwiek związek z Gardner Museum, jest nieskończone. Prasa, jak zawsze, jest chętna, by wypełnić wszystkie te luki.

Byłam tylko dzieckiem, kiedy dokonano tej kradzieży. I chociaż dorastałam blisko Bostonu i tu chodziłam do szkoły, to tak naprawdę niewiele o niej wiedziałam. Słyszałam, że w samym środku nocy dwóch przebranych za policjantów mężczyzn obezwładniło i związało dwóch niedoświadczonych strażników i ukradło trzynaście prac, między innymi *Burzę na Morzu Galilejskim* Rembrandta, *Koncert* Vermeera i, oczywiście, *Po kąpeli* Degasa. I że aż do dziś, mimo tysięcy godzin przepracowanych przez policję i ponad pięciu milionów dolarów obiecanej nagrody, żadne z arcydzieł nie zostało odnalezione.

W ciągu ostatnich paru dni dowiedziałam się natomiast, że jeden ze strażników był pod wpływem narkotyków, że jego bardziej doświadczony kolega zachorował w ostatnim momencie, że złodzieje podjechali zardzewiałym hatchbackiem, spędzili w muzeum około godziny, potem załadowali zdobycze na tył samochodu i odjechali. Dowiedziałam się także, że muzeum nie było ubezpieczone, że strażnicy byli tak naprawdę tylko stróżami nocnymi, bardziej zainteresowanymi ochroną budynku przed pożarem czy cieknącą rurą niż przed złodziejami. Że kiedy jeden ze

złodziei powiedział strażnikowi, że jeśli ten nie będzie robił problemów to nie zostanie zraniony, strażnik odpowiedział „spokojnie, nie płacą mi dostatecznie dużo, żeby warto było zostać zranionym”. Prawdopodobnie był to ten naćpany.

Podjezanych było wielu: mafia bostońska i IRA, znani międzynarodowi złodzieje sztuki, lokalni bandyci, nieuczciwi gliniarze, byli pracownicy muzeum a nawet Kościół katolicki. A teraz wszyscy jak jeden mąż, nawet ci zamknięci w więzieniu, ci, co uciekli i ci, co są już w grobach, wrócili na tapetę. Na moje i Aideny nieszczęście, pojawili się też nowi. Na każdego dziennikarza, gliniarza lub agenta FBI, któremu uda się rozwikłać sprawę, czeka sława i chwała. Prawdziwa gratka. I boję się tego jak cholera.

Siedzę naprzeciw pieca, patrząc na wypiekające się *Drzwi*, choć dawno już powinnam malować średnie tony *Dawnej północy*. Zmuszam się, żeby wstać i podejść do płótna. Biorę do ręki pędzel i paletę, ale moje oczy podążają ku łóżku i zastanawiam się, czy nie lepiej byłoby dla mnie się zdrzemnąć.

Aiden przyznał, że wynik autentyfikacji oznacza dla nas większe niebezpieczeństwo. Zaraz potem powrócił do spokojnego przypominania mi, że powinniśmy zakładać najlepsze, dopóki nie dowiemy się najgorszego. W chwili obecnej moje najgorsze obawy wyparte są przez myśli, że jeśli nasz związek wyjdzie na światło dzienne, staniemy się automatycznie podejrzani o wspólne działanie. Więc wymyślam wymówki, dla których nie powinniśmy pojawiać się razem w miejscach publicznych, a nawet uważać, gdy wchodzimy lub wychodzimy z mieszkania tego drugiego. Moje wyjaśnienia wydają się być przekonujące, biorąc pod uwagę nadchodzącą wystawę i ilość prac, jaką mam jeszcze do zrobienia. A jednak Aiden zauważa, że coś jest nie tak.

– Rozumiem, że jesteś zajęta i że czujesz presję – mówi, kiedy dzwoni wieczorem, by powiedzieć mi dobranoc. – Wiem to lepiej niż ktokolwiek inny, ale nie możesz tkwić zamknięta w studiu. To nie jest dobre ani dla ciebie, ani dla twojej kariery. Pomyśl o tym jak o pracy: musisz nawiązywać

nowe kontakty, wyjść do ludzi. Otwarcie jest już za miesiąc. Notka prasowa wychodzi jutro. Musisz zacząć promować wystawę i swoje płótna.

– Myślałam, że to twoja robota.

– Twoja też. W ten weekend w hotelu Mandarin Oriental organizują przyjęcie charytatywne. To byłby idealny moment, żebyś zaczęła się pokazywać. Dzień po notce prasowej i ...

– Nie chcę zaczynać od czegoś tak dużego. Ci wszyscy ludzie, którzy znają moją historię, nigdy nie....

– To nie jest oficjalna impreza dla świata sztuki. To przyjęcie z okazji Halloween wspierające narodową inicjatywę gejowskich małżeństw. Więc będzie dużo różnych ludzi, solidna mieszanka. Idealne miejsce, żeby zacząć.

– Przebieranki?

Śmieje się.

– Szkoda będzie zakrywać twoją śliczną buzię, ale tak, wszyscy będą przebrani. – To zawsze jakiś plus. – Ten cały dramat wokół nas razem w miejscach publicznych to stek bzdur – ciągnie. – Poza tym, mamy wspólny interes zawodowy, więc możemy się spokojnie razem pokazać: handlarz i artysta.

– Nie możemy poczekać do otwarcia?

Cisza.

– Okej, okej, w porządku – mówię w końcu. – Pójdę tam. W porządku.

– A do weekendu wyjdź trochę na powietrze, odpocznij od farb i terpentyny. Nie wspominając o formaldehydzie.

– Formaldehyd jest konserwantem. Sprawia, że wyglądam młodo.

– Wątpię – odpowiada sucho.

– Kiedyś myślałeś, że jestem zabawna.

– Bo kiedyś byłaś.

Znalezienie przyzwoitego stroju na dzień przed Halloween to nie lada wyzwanie. Oczywiście drogerie pełne są plastikowych spidermanów, kopciuszków i harrych potterów, ale nie wydaje mi się, żeby cokolwiek

z tego nadawało się na galę, na którą bilet kosztuje pięćset dolarów od osoby.

W pobliżu nie ma żadnego sklepu z przebraniami. Nie znajduję niczego nawet w *second-handach*. Wracam więc do drogerii, żeby kupić wielką białą perukę i mocno upierzoną maskę na patyku, a po drodze do domu kupuję jeszcze cieniutką używaną sukienkę.

Kiedy podchodzę do hotelu Mandarin Oriental w mojej niby-nowej sukience, peruce i z maską w dłoni, zastanawiam się, dlaczego nie pomyślałam o stroju robota albo dinozaura. Wymagałoby to co prawda trochę pracy z mojej strony, ale wynik byłby na pewno lepszy. Nikt by mnie nie rozpoznał, nie mógłby mnie więc zlekceważyć. I dlaczego właściwie nie pozwoliłam Aidenowi, żeby mnie tu podwiózł, kiedy mi to zaproponował? Wtedy wydało mi się właściwe, by odrzucić jego propozycję, bo mieszka tylko parę przecznic od hotelu (ja aż dwadzieścia), ale teraz wizja wejścia tam zupełnie samej wcale mnie nie pociąga. Sprawdzam torebkę, żeby się upewnić, że maska nadal tam jest.

Nigdy wcześniej nie byłam w Mandarin Oriental i jestem totalnie oszołomiona jego lobby. Jest pełne subtelnych, ale mocnych wpływów azjatyckich: jedwabne tkaniny na ścianach z jerozolimskiego wapienia, wykwiłtne meble inkrustowane drewnem, lakierowany bambus, szkło i masa perłowa. Do tego dzieła sztuki. Niesamowite. Dwubarwne, ręcznie kolorowane litografie Franka Stelli ozdabiają wejście, a tryptyk Terry'ego Rose'a wisi nad recepcją. Po prawej stronie widać dość nietypową pracę Davida Hockneya, *Deux*, w której użył stonowanych kolorów, by stworzyć figury à la Picasso. Po mojej lewej, nad kominkiem, wisi *The Given* Davida Manna, władcza, niemal trójwymiarowa, czarno-czerwona abstrakcja, która przywodzi na myśl wielki wybuch.

Na podziwianiu sztuki spędzam więcej czasu niż powinnam, potem zatrzymuję się w łazience, żeby nałożyć halloweenowe akcesoria. Zgodnie z planem spóźniłam się o godzinę. Kiedy już jestem zrobiona i zamaskowana, przeczesuję budynek w poszukiwaniu sali balowej. Ten hotel spokojnie mógłby nazywać się muzeum: napotykam na dziesięć wizerunków radiogramów Terry'ego Wintersa, oprawionych w ramy



stylizowane na bambusowe, wiszących w parach po obu stronach wysokich schodów. Na półpiętrze wisi *Life Line#3* Judith Brust.

Odgłosy imprezy dochodzą mnie zanim ją dostrzegam. Zatrzymuję się, żeby zebrać się w sobie. Moje dłonie są wilgotne i boję się, że ręka, w której trzymam maskę, będzie drżeć. Pocieszam się myślą, że mam za sobą trudniejsze doświadczenia, jak na przykład powiedzenie Karen Sinsheimer, że to ja namalowałam 4D. Chociaż to może nie najlepszy przykład, bo nie uważam, żeby była to najmądrzejsza decyzja, jaką podjęłam. Unoszę do góry maskę i wchodzę do sali balowej.

Impreza jest szalona. Seksowni gliniarze i niegrzeczne pielęgniarki. Piraci, ludzie pierwotni i greckie boginie. Homer Simpson, Harry Potter, Indiana Jones, Tygryś Lilia, Shrek i Joker. Neferetiti i Kleopatra. Oczywiście, biorąc pod uwagę powód przyjęcia, Kleopatra jest mężczyzną, a Indiana Jones kobietą. Inni *cross-dresserzy* wystrojeni są jak Miss America. Wielu mężczyzn jest nazbyt wypielegnowanych, naoliwionych i zbyt skąpo ubranych. To samo tyczy się kobiet. Założę się o moją własną wystawę, że nawet jeden z tych strojów nie pochodzi z drogerii.

Koktajl powoli przechodzi w kolację, a ja rozglądam się za Aidenem. Przebrał się za profesora Henry'ego Higginsa, więc wśród otaczającej mnie nagości powinnam szybko znaleźć jego smoking. Ale zanim udaje mi się go namierzyć, podchodzi do mnie George Kelly, profesor rysunku z mojej szkoły. Jest przebrany w mundur wojskowy, co najmniej dwa rozmiary na niego za mały. Kto wie, może to nawet jego własny, z czasów, gdy był młodzieńcem.

– Claire Roth! – wykrzykuje George. – Wyglądasz cudownie! Słyszałem o twojej wystawie w Markel G: tak bardzo się cieszę!

Zdumiona opuszczam maskę.

Zaraz za nim, przebrany za gangstera z lat dwudziestych, stoi profesor Zimmern, przyjaciel Sandry Stoneham, dyrektor Departamentu Rzeźby. Chwyta mnie za rękę.

– Jesteśmy z ciebie tacy dumni, Claire. Nie ma nic lepszego niż gdy jeden z nas wychodzi na swoje.

Nigdy nie uczyłam się rzeźby i znałam Zimmerna tylko z widzenia, a George był jednym z pierwszych, którzy wystąpili przeciw mnie, gdy rozeszła się wiadomość o 4D. Szybko przypominam sobie, że jestem tu po to, by nawiązywać kontakty, a także przyjmować gratulacje z odpowiednią dozą skromności.

Podchodzi do nas profesor Henry Higgins o płasko zaczesanych włosach, w smokingu z wysokim kołnierzem. Przypomina trochę Rexa Harrisona. Aiden ujmuje moją dłoń i całuje ją.

– Wyglądasz dziś zachwycająco, moja droga – mówi z nienagannym brytyjskim akcentem.

Przedstawiam wszystkich. George i Zimmern lekko się podlizują, a potem odchodzą.

– Do zobaczenia na otwarciu wystawy Claire – woła za nimi Aiden.

George niezgrabnie salutuje.

– Na pewno go nie przegapię.

– Widzisz – mówi Aiden, prowadząc mnie do naszego stolika. – Masz wrodzony talent do promowania się.

– Sami do mnie podeszli i pogratulowali.

– I nie będą jedynymi, którzy to zrobią.

Ma rację. Czuję się tak, jakbym właśnie dziś, tu, na tej sali balowej, wyrwała się z kokonu, w którym się zaszylałam, gdy świat mnie znienawidził, i wkroczyła prosto w inny, w którym jestem uwielbiana. Na początku byłam mocno stremowana i nie wiedziałam do końca, jak sobie z tym poradzić, ale w połowie kolacji stałam się pewna siebie i gadatliwa. Wielka Symulantka zniknęła. I nikt nie dostrzega, że Aiden i ja jesteśmy kimś więcej niż tylko znajomymi. Kiedy podają mi siedmiowarstwowy tort z czarno-białym musem czekoladowym, bawię się lepiej niż kiedykolwiek.

Dwie dłonie zasłaniają mi oczy.

– Zgadnij kto?

Od razu rozpoznaję ten głos. Podskakuję z krzesła i rzucam się w ramiona Rika, ubranego jak francuski artysta: z beretem i takimi tam.

– Miałaś być w Paryżu jeszcze tydzień! – krzyczę i całuję go.

– Przyleciałem dosłownie godzinę temu. I przybyłem prosto tutaj – patrzy na Aiden. – Ale nie spodziewałem się, że spotkam tu ciebie... – znak zapytania wisi w powietrzu.

– Więc pomyliłam się? – pytam szybko. – Miałeś wrócić właśnie dziś?

– Kiedy rozpętała się ta cała burza wokół Gardner Museum – wyjaśnia – zakasałem rękawki i wziąłem się do roboty, żeby nie stracić już niczego więcej!

Daje mi wielkiego buziaka w usta.

– *Po kąpieli*, kotku. Nie mogę w to uwierzyć!

Aiden wstaje i podaje Rikowi rękę.

– Aiden Markel – mówi. – A ty musisz być słynnym Rikiem.

Rik patrzy na Aiden. I na mnie, a jego oczy stają się coraz szersze.

– Niestety nie aż tak słynnym.

– Słynnym dla Claire – mówi Aiden. – Bierz krzesło i dosiądź się do nas.

Kiedy Rik stawia za nami swoje krzesło, oboje rozpychamy się na boki, by zrobić mu miejsce przy stole.

– A sytuacja w Gardner Museum tylko się zagęszcza – mówi Rik.

– Jak się zagęszcza? – pytam, a dokładnie w tym samym czasie Aiden mówi spokojnie:

– Jak to?

Rik znów spogląda na mnie, na Aiden. A potem znów na mnie. Inni mogli dać się nabrać, ale on zawsze wszystko zauważy.

Mam wrażenie, że jedzenie, które właśnie zjadłam, siadło mi na żołądku jak kupa gruzu.

– Masz jakieś informacje z wewnątrz? – mrugam do niego. – Zdradź mi!

Rik nachyla się.

– Prasa jeszcze o tym nie wie, ale wieść gminna niesie, że ten cały Patel nie ma zamiaru przyznać się do winy i że zgodzi się na ekstradycję do Bostonu na proces.

Nie potrafię na szybko ocenić, czy to dobrze, czy źle. Wkładam dużo wysiłku w to, by nie spojrzeć od razu na Aiden.

– Ale czy to aż takie dziwne? – pyta Aiden głosem tak niewzruszonym, jakby rozmawiał o siedmiowarstwowym torcie. – Tego typu rzeczy właśnie tak się odbywają.

– To nie jest ta dziwna część – mówi Rik.

Staram się wyglądać zwyczajnie: zainteresowana, ale nie za bardzo.

– Dziwny jest powód nieprzyznania się do winy. Według prawników Patela, nigdy nie przyszło mu do głowy, że obraz jest prawdziwy i nigdy nie chciał kupić oryginalnego płótna. Patel utrzymuje, że zakupił online kopię zrobioną przez firmę, która zajmuje się robieniem wysokiej jakości reprodukcji dziewiętnastowiecznych arcydzieł sztuki europejskiej – Rik uśmiecha się do mnie. – Czy to nie byłaby prawdziwa bomba, gdyby się okazało, że kupił go od Repro i że powiedziano mu, że to ty, znany ekspert od Degasa, byłaś tą, która go namalowała?

Następnego ranka wszystko, co powiedział nam Rik, zostaje potwierdzone w prasie. Co sprawia, że jeszcze bardziej się stresuję. Możliwy proces. Możliwy układ z prokuratorami. Możliwa zdrada w warstwach pomiędzy Patelem a Aidenem. Możliwy związek z Repro. Pospiesznie staram się wrócić do myślenia o szczęśliwych chwilach z wczorajszego wieczora. Ogólna akceptacja, gratulacje, obietnice wsparcia. Tylko Crystal Mack była mniej niż łaskawa.

– Czy to prawda? – zapytała, jakby żądała wyjaśnień.

– Czy co jest prawdą?

– Nie bądź taka skromna, Clare. Jak ci się to udało?

– Cóż, najpierw przygotowałam płótno, potem zrobiłam podmalówkę, potem użyłam węgla, żeby narysować....

– I to wszystko? – zadrwiła, w oczywisty sposób odnosząc się do Aidena.

– Oczywiście, że nie – odpowiedziałam, mój głos był słodki niczym miód. – Wymieszałam medium z pigmentami, a potem nakładałam warstwę za warstwą...

Pstryknęła palcami w moim kierunku.

– Jasne.

– Upewnię się, że dostaniesz zaproszenie na otwarcie – zawołałam do jej oddalających się pleców.

– Myślę, że będę wtedy zajęta – odpowiedziała, zanim zniknęła w tłumie.

Wszyscy inni zdawali się naprawdę zadowoleni, że powróciłam z mojego wygnania. A to oznacza, że przyjdą: krytycy, kolekcjonerzy, kuratorzy. Jeśli obrazy są tak dobre, jak myśli Aiden, może to być dla mnie naprawdę dobry start.

Sprawdzam *Charliego*, które piecze się w piecu i wracam do nakładania jasnych pomarańczy do ostatnich warstw *Nighttime T*. To jeden z moich ulubionych, jeśli nie ulubiony obraz z całego cyklu. Patrzące tępo przez okna jadącego pociągu, zagubione we wszechobecnej nocy tunelu twarze mają w sobie coś z Hoppera. Ale ze względu na jasność farby i autentyczność, którą odcieniowi ich skóry nadał proces pieczenia, wydają się niemal trójwymiarowe, odrobinę bardziej hiperrealistyczne niż po prostu realistyczne.

Uśmiecham się na dźwięk minutnika. Oznacza on nie tylko, że *Charlie* jest już gotowy na ostatnią warstwę werniksu, ale także, że już czas pojechać do Beverly Arms. Moja „przerwa w świadczeniu pracy” została zawieszona i mogę powrócić do więzienia już bez łatki kryminalistki. I chociaż czuję presję nadchodzącej wystawy, to jednak potrzebuję spędzić trochę czasu poza studium, z dala od obrazów, z dala od siebie samej. Te dzieciaki są w znacznie gorszej sytuacji niż ja, do tego miło będzie pomyśleć o problemach kogoś innego. Wychodzę z dużym zapasem czasu, żeby się nie spóźnić.

Gdy wchodzę do budynku i widzę kolor zgniłych warzyw na ścianach i zakratowane siatką okna, serce zaczyna mi walić. Powoli podchodzę do wykrywacza metalu.

– Nazwisko – warczy strażnik, patrząc raz na moje zdjęcie, a raz na moją twarz, chociaż doskonale wie, kim jestem. Zaciskam ręce w pięści.

– Claire. – Do mojego nosa dochodzi zapach taniej wody kolońskiej i stęchłego potu. Znowu jestem w ciasnym pokoiku w samym środku

budynku. Złapana i zamknięta. – Yyy, Claire. Claire Roth.

Przygląda mi się uważnie i ostrożnie.

– Cel wizyty?

Pokój jest przegrzany, mały i klaustrofobiczny. Czuję się słabo. Wyciągam rękę i chwytam za krawędź jego biurka. Twarz strażnika rozmywa się.

– Cel wizyty? – powtarza, a w jego głosie słychać irytację.

Próbuję mówić, ale słowa grzęzną mi w gardle. Patel puścił farbę. To koniec. Aiden i ja zostaniemy uwięzieni na zawsze.

– Wszystko w porządku, pani Roth? – pyta podejrzliwie.

Wyobrażam sobie chłopców siedzących w celach: znudzonych, złych, sfrustrowanych, klnących na mnie i na Kimberly. Dających jej popalić. A przecież i bez tego ma już jedną z najtrudniejszych prac świata. Naprawdę nie potrzebuje bezużytecznej wolontariuszki, która sprawi, że będzie ona jeszcze trudniejsza.

– Wszystko w porządku – odpowiadam. – Wszystko w porządku.

Gdy otwieram drzwi do sali GE107, Kimberly aż podskakuje. W sali nie ma nikogo innego.

– Dzwonię do ciebie prawie od godziny – mówi.

Dotykam zewnętrzną kieszeń mojego plecaka. Jest pusta. Znów zostawiłam cholerny telefon w domu.

– Gdzie są wszyscy?

– Przykro mi, Claire. Dlatego dzwoniłam. Właśnie dostałam rozkaz z góry: nie ma więcej zajęć z malarstwa.

– Nie ma?

– Przykro mi, że kazałam ci tu przyjechać po nic.

– Masz na myśli, że już nigdy nie ma?

– „Aż do odwołania”, tak to ujęli – mówi.

– A chłopcy?

Kimberly potrząsa głową.

– Czy to przez to, co się wydarzyło?

– Możliwe. Albo przez budżet – wzrusza ramionami. – Dostaję tylko rozkazy, nie powody.

– Ale ja przecież nic nie kosztuję – opadam na krzesło. – A co z Xavierem?

Kimberly siada obok mnie.

– Nie najlepiej.

Myślę o tym, jaki był zaskoczony, gdy podeszłam do niego ze srebrną farbą. Jak bardzo nie był przyzwyczajony dostawać tego, o co poprosił. Nieśmiałe kiwnięcie głową i króciutki kontakt wzrokowy: to jedyny znany mu sposób wyrażania wdzięczności bez utraty twarzy.

– Więzienie?

– Ostatni raz, gdy o nich słyszałam, Xavier i Reggie mieli być przeniesieni do Walpole.

– Ale przecież są na to za młodzi! – Walpole to więzienie o zaostrowym rygorze.

– Jak to mówią: nie popełniaj przestępstwa, jeśli nie jesteś gotów odbyć za nie kary.

# Napisane piórem Isabelli Stewart Gardner

17 czerwca 1895,  
Paryż, Francja

Moja najdroższa Amelio,

*Grazie mille* za Twoją depeszę. Od razu poprawiła mi humor! I jeszcze bardziej zdałam sobie sprawę z tego, jak bardzo chciałabym być teraz z Tobą. Masz córeczkę! Czy na tym świecie może być cokolwiek słodsze? I tak bardzo podoba mi się imię, jakie wybrałaś: Frances Isabella. Jestem dumna i wzruszona Twoją życzliwością. Zgadam się też, że „Fanny” będzie bardziej odpowiednie dla małej dziewczynki i tak właśnie będę o niej od teraz myślała. Musisz napisać mi więcej o tym, jak się miewa. I oczywiście o Tobie i o Twoich mężczyznach. Co mój drogi Jackie myśli o swojej nowej malutkiej siostrzyczce? Pewnie niewiele. Mam nadzieję, że Twoja rekonwalescencja przebiega spokojnie.

Chociaż Paryż wygląda teraz zniewalająco, a marmurowe budynki skrzą się w blasku letniego słońca, moja podróż jak na razie jest co najmniej frustrująca. Już ostatnim razem zauważyłam, że ceny są tu skandaliczne, ale teraz, moja droga, jest znacznie, znacznie gorzej. Po prostu ciężko. Nawet handlarze, między nimi Bernard Berenson, są zaniepokojeni taką sytuacją. Chociaż domyślałam się, że to, co ich niepokoi, to mała ilość transakcji, a nie ich wysokie gąże.

Twój wuj mówi, że pieniądze mojego ojca już dawno się skończyły i że muszę ograniczać wydatki, bo inaczej utoniemy w morzu długów. Jednak ciężko mi uwierzyć, że majątek Stewartów już zupełnie przepadł oraz że pieniądze Gardnerów nie wystarczą, by pokryć moje drobne wydatki.

Pamiętasz, jak wiele lat temu wspominałam, że Edgar Degas zaprosił nas do swej prywatnej loży na otwarcie sezonu w Longchamp? Wcześniej ani Twój wuj ani ja nie mogliśmy się tam wybrać, ale w zeszłym miesiącu



w końcu się udało! Edgar ma tam willę. Typowo męski dom, ani śladu kobiecej ręki. Pomimo wielu służących jedzenie dalekie było od ideału, a dekoracje pozostawiały wiele do życzenia. Edgar utrzymuje, że nie znosi wyjeżdżać na wieś, ale nie daje tego poznać swoim zachowaniem. Bawiliśmy się doskonale.

Zatrzymaliśmy się tam na trzy dni. Dom pełen był innych ludzi, więc od świtu do zmierzchu rozmawialiśmy o koniach. Twój wuj Jack i ja byliśmy naprawdę podekscytowani, gdy wreszcie wyruszyliśmy na wyścigi!

To był naprawdę wspaniały dzień, acz dość ciepły, więc przydał mi się biały kapelusz z szerokim rondem, jaki zrobił dla mnie na ten sezon Charles Frederick Worth. Wydaje mi się, że wyglądałabyś w nim cudownie, więc przywiozę go ze sobą, byś mogła go przymierzyć. Do naszej łoży dołączyli Henry i John Sargent, podobnie jak sam gospodarz. Co za dzień! Co za inteligentni ludzie! Co za cudowny pokaz koni! To było naprawdę niezapomniane popołudnie.

A teraz przejdę do sprawy, którą proszę, byś utrzymała w absolutnym sekrecie. Jestem pewna, że pamiętasz naszą rozmowę zeszłej zimy w Green Hill. Chodziło o Edgara i jego propozycję, którą następnie powtórzył w liście wysłanym do mnie w marcu. Znów się do niej odniosę. Gdy wróciliśmy do jego willi, Edgar zaprosił nas do swojego studia w mieście, by pokazać nam olej, nad którym pracował, a który planował zatytułować albo *Na wyścigach na wsi* albo *Popołudnie na wyścigach*. Scena działa się w Longchamps. Musiałam go zobaczyć.

Chociaż przez cały czas, jaki spędziliśmy razem, Edgar zachowywał się jak prawdziwy gentleman, byłam trochę nieufna, gdy dowiedziałam się, że Twój wuj Jack nie dotrzyma mi towarzystwa w czasie tej wizyty. Ale pomyślałam, że jeśli Edgar jeszcze raz zaproponuje mi pozowanie nago do jego obrazu, może uda mi się go przekonać, że równie dobrze mogę mu pozować ubrana.

Kiedy dotarłam na miejsce, najpierw pokazał mi obraz, nad którym pracował, a który był doprawdy wyśmienity. Edgar ma swoje niepowtarzalne sposoby na uchwycenie ruchu – intymnego, a jednak widocznego dla wszystkich. Płótno pokazuje matkę i niańkę siedzące

w powozie, całkowicie pochłonięte obecnością malucha na kolanach tej drugiej. Dumny tata stoi obok z głową lekko przechyloną w stronę dziecka. Obraz jest zachwycający, szczerzy, a kompozycja co najmniej niespotykana: więcej niż połowa płótna zajęta jest przez niebo, a wszystkie kłusujące konie oraz karetą znajdują się w jego prawej dolnej części. To naprawdę fenomenalna praca.

Znów postaram się być tak dokładna w opisanii tego, co się wydarzyło później, jak to tylko możliwe. Pokojówka przyniosła herbatę i usiedliśmy. Edgar poczęstował mnie tartą cytrynową, która była przepyszna. Jego miejska pomoc domowa jest zdecydowanie lepsza niż ta na wsi.

– Myślałaś może o mojej propozycji? – zapytał, jak tylko wzięłam pierwszy łyk herbaty.

Nie jestem już młodą kobietą i nie tak łatwo mnie zawstydzić, ale, podobnie jak poprzednim razem poczułam, jak ciepło napływa mi do twarzy.

– Jak powiedziałam wcześniej, nie jest to możliwe.

– Ach – powiedział z uśmiechem w oczach. – Myślałem, że może teraz, gdy przyszedł bez pana Gardnera, zmieniłaś zdanie.

– Zdecydowanie nie – starałam się być stanowcza, by pokazać, że nie chcę już o tym rozmawiać. Ale najwyraźniej nie tak to zabrzmiało w uszach pana Degasa.

– Mam dla ciebie prezent – powiedział i wstał.

Muszę przyznać, Amelio, że serce zaczęło mi walić jak dzwon. Prezent? Obraz? Czyżby jednak coś dla mnie namalował? Klasnęłam w dłonie, a on podszedł do swoich regałów, kucnął i zaczął przeszukiwać sterty bałaganu. Powrócił z pięknie opakowanym pudełkiem, zdecydowanie zbyt wąskim, by mogło zawierać obraz.

Udało mi się zapanować nad moją miną – nie chciałam wyjść na niewdzięczną. I naprawdę byłam ciekawa.

– Co to?

– Zobacz sama.

Moje ręce zabrały się za rozwiązywanie kokardy i dość szybko pozbyłam się zamknięcia. W środku ujrzałam wiele warstw bibuły.

Podeksycytowana odsłaniałam warstwę za warstwą, aż odkryłam długi kawałek materiału. Wyglądał, jak bardzo elegancka zasłona. Musiałam wyglądać na zaskoczoną, bo Edgar zaśmiał się i sam wyciągnął go z pudełka.

– To podomka – powiedział, podnosząc ją do góry. I faktycznie była to podomka, blado błękitna i zwiewna, grecka w formie, zrobiona z najdelikatniejszego jedwabiu. Tak lekkiego, że niemal unosił się w powietrzu.

Tak bardzo chciałam jej dotknąć, poczuć ją na mojej skórze. Ale oczywiście, to też nie było możliwe.

– Nie mogę jej przyjąć.

Nachylił się, położył palec na moich ustach i przełożył podomkę przez moje ramię. Pachniała lawendą i spadła do moich stóp z cichym szelestem. Nie potrafiłam się powstrzymać, tak bardzo chciałam jej dotknąć i przycisnąć do piersi.

– Och – powiedziałam. Była to jedna z najpiękniejszych rzeczy, jakie kiedykolwiek widziałam.

Edgar patrzył na mnie z półuśmiechem, ale jego oczy wpatrywały się gdzieś w dal. Zrozumiałam, że właśnie wyobrażał sobie, jak będzie na mnie wyglądała i jak namalowałby jej leżące się zgięcia.

– Ale, ja... Nie rozumiem.

– To nasz kompromis – powiedział Edgar.

Patrzyłam na niego tępo.

Wziął ode mnie podomkę, a ja poczułam żal, że musiałam ją oddać. Potem oddalił ją od siebie, żebym mogła zobaczyć, jak wygląda oświetlona od tyłu. I nagle zrozumiałam. Bo chociaż sama podomka nie była przezroczysta, nie była także zupełnie kryjąca.

– Zgodzisz się, Belle?

Nie poruszyłam się. Podomka świeciła się w słońcu wszystkimi kolorami tęczy.

– Dla mnie? – naciskał Edgar.

Stałam nieruchomo, jakby pod wpływem zaklęcia, i wyciągnęłam moje ręce do przodu. Położył na nich podomkę i wskazał stojący obok parawan,

którego wcześniej nie widziałam. Jak w transie zrobiłam to, o co mnie prosił. Kiedy się przebierałam, on puścił muzykę. I chociaż znałam dobrze to, co wybrał, nie potrafię Ci powiedzieć, co to było. Teraz, kiedy próbuję przypomnieć sobie dokładnie to, co się zdarzyło, cała ta sytuacja wydaje się tylko cudownym snem, z którego potrafię wyciągnąć drobne fragmenty, bo całość ucieka w świetle dnia.

Kiedy się przebrałam, poprawił materiał na moim ramieniu. Podomka w cudowny wręcz sposób dotykała moich ud. Nie wiem, czy kiedykolwiek wcześniej czułam się tak piękna – jak wszyscy dobrze wiemy, wcale taka nie jestem. Kazał mi się położyć na sofie, wygiąć ciało, następnie poprawił ustawienie mojej głowy tak, by widzieć tylko skrawek mojego profilu. Przez cały ten czas miękkość jedwabiu pieściła każdy milimetr mojego ciała, powodując mrowienie, które czułam bardzo głęboko w sobie.

Trudno było mi utrzymać pozycję, w jakiej mnie ustawił, ale kiedy zaczęłam narzekać, w ogóle nie zwrócił na to uwagi. Węgiel, który trzymał w ręku, tańczył po jego szkicowniku, a jego oczy skupiały się na każdym najdrobniejszym szczególe mojej osoby, nie dostrzegając jednak „mnie”.

W końcu pozwolił mi się rozciągnąć. Było to tak cudowne i ciepłe uczucie, że zaczęłam sama tworzyć własne pozycje, nie wiedząc nawet, że to robię. Edgar dalej rysował, a potem pochwalił mnie za wrodzony talent.

Muszę Cię w tym miejscu zapewnić, że wszystko to było niewinne i czyste, od samego początku do samego końca. Byliśmy artystą i jego modelką, a nie mężczyzną i kobietą. Chociaż przyznaję, że nie wiem, czy kiedykolwiek wcześniej czułam się aż tak kobieco.

Na tym, moja droga Amelio, będę kończyć, bo muszę ubrać się na kolację. Jeszcze tylko dwa miesiące, osiem krótkich tygodni i znów będziemy razem. Nie potrafię opisać, jak bardzo nie mogę doczekać się chwili, gdy wreszcie będę mogła wziąć moją słodką Fanny w objęcia i uśmiechnąć się do jej pięknej, malutkiej buzi (tak, wiem już, że jest przepiękna!) oraz spojrzeć na Ciebie, Jackiego i Twojego przystojnego Sumnera. Będziemy też mogły wreszcie porozmawiać w zaufaniu i podzielić się uwagami, których nie śmiem tu napisać.

Twoja kochająca,

Ciocia Belle

Następnego dnia dostaję sms-a od Rika. Chce się spotkać na drinka. Gdziekolwiek, tylko nie w Jake'u. Ustalamy, że pójdziemy do Clary. Tam będziemy mogli porozmawiać na osobności, bo wszystko i tak zagłuszy entuzjastyczny tłum młodych, dorabiających się profesjonalistów, hałasujących ponad miarę tylko po to, by udowodnić sobie nawzajem, jak dobrze się bawią.

To wyjątkowo ciepły wieczór. Kiedy przychodzę, dostrzegam, że Rik znalazł dla nas dwa krzesła przy samej ścianie otwartej na ulicę. Jest tu niesamowicie głośno. Wciskam się blisko niego, tak by móc krzyczeć mu do ucha.

– Dobrze, że jesteśmy tylko my. Gdyby była tu jeszcze jedna osoba, nie mielibyśmy jak rozmawiać.

– Dlaczego nie powiedziałaś mi o Markel G? Dowiedziałem się dopiero po twoim wyjściu! – odkrzykuje. – Chcę znać każdy, najdrobniejszy i najsmaczniejszy szczegół.

– Nie było czasu – krzyczę i opowiadam o wystawie.

Wygląda na naprawdę szczęśliwego.

– Och, kotku – wrzeszczy i obejmuje mnie. – To najlepsza wiadomość, jaką słyszałem! – Kiedy przestaje mnie przytulać, jego oczy są wilgotne od łez.

Patrzę na stolik i sama próbuję wymrużyć własne łzy.

– Długo wyczekane i bardzo zasłużone – mówi, poklepując mnie po ramieniu. – To twój czas. Płacz, jeśli chcesz!

Wycieram oczy chusteczką i uśmiecham się.

– A Markel? – krzyczy mi do ucha.

Błagam, by przysiągł, że zatrzyma to tylko dla siebie, i przyznaję się do romansu.

– Nikt o tym nie wie.

Krzyżuje ramiona i patrzy na mnie wyczekująco.

– I to wszystko zaczęło się w czasie tej pierwszej wizyty studyjnej, o której mi powiedziałaś, że nic się wtedy nie wydarzyło?

– Niezupełnie – biorę łyk piwa. – Ale jak patrzę na to przez pryzmat czasu, to już wtedy coś musiało się zatlić.

– I wtedy też Markel po raz pierwszy pokazał swoją najlepszą kartę?

Boksuję go w ramię.

– Daj spokój. Jesteś...

– Czerwienisz się! – krzyczy – Ty niegrzeczna, niegrzeczna dziewczynko!

– Nie, nie – mówię, zupełnie speszona. – Nie wtedy, to było znacznie...

Rik wybucha śmiechem i podnosi rękę.

– Bez szczegółów proszę.

– Ta część zaczęła się już po tym, jak mi zaproponował wystawę.

Rik uśmiecha się.

– Naprawdę nie poszłam z nim do łóżka, żeby mi zorganizował wystawę w Markel G – przekonuję go. Ale sfalszowałam dla niego obraz.

Poważnieje.

– Podoba ci się?

Przytakuję.

– Ty jemu?

– Tak myślę.

Rik pogwizduje.

– No cóż, rewelacja! – Podnosi kufel z piwem. – Że tak powiem, rychło w czas!

Przystawiam mój kufel do jego.

– Jezu – mówi Rik. – Wyjeżdżam na parę tygodni i zmienia się cały świat.

– Opowiadaj o twojej podróży.

Kończymy piwa i zamawiamy kolejne. Rik opowiada, jak podróżował po Paryżu, rozmawiał z kuratorami, archiwistami, bibliotekarzami, historykami sztuki i dyrektorami muzeów.

– Wziąłbyś mnie z sobą następnym razem?

– Musiałabyś tylko zapłacić za bilet i ... – nagle milknie, a jego oczy rozszerzają się. – Będziesz mogła podróżować! Robić cokolwiek tylko chcesz! Do jasnej cholery, dziewczyno, po tej wystawie będziesz bogata. I sławna.

Podnoszę ręce do góry.

– Bogata może i tak, ale obejdę się bez sławy.

Przygląda mi się, potem nachyla się i bierze moją dłoń.

– Bycie sławną jako Wielka Pozorantka jest zupełnie inne niż bycie sławną jako świetna malarka.

Patrzę na moje wyszczerbione paznokcie. A co z byciem sławną jako wielka malarka, ponieważ jesteś Wielką Symulantką?

– Claire, spójrz na mnie – nakazuje.

Podnoszę oczy do góry.

– Tym razem staniesz się sławna jako zasłużona artystka. Doceniona za to, co zrobiłaś dzięki własnemu talentowi. Cała ta sprawa z Isaakiem to było coś zupełnie innego. Chodziło o niego – celebrytę. Została stworzona przez prasę dla ich własnych potrzeb. Cały ten wizerunek, pogłos – to naprawdę nie miało z tobą nic wspólnego.

– Jesteś najlepszy – mówię i naprawdę tak myślę.

– Cóż, dobrze, że tak myślisz, bo nie mam dla ciebie nic z Paryża.

– Nic o Belle i Degasie?

– Zupełnie nic.

– Czy nie wydaje ci się to dziwne?

– Żyli w tym samym świecie. Znali tych samych ludzi. Mieli nawet wspólnych bliskich znajomych. Kupiła parę jego prac... Totalnie dziwne.

Wzruszam ramionami.

– Inne czasy, inne sposób komunikacji, dwa inne kraje.

– Pamiętasz, jak ci mówiłem, że przed śmiercią Belle spaliła wszystkie swoje listy i poprosiła przyjaciół i rodzinę, by zrobili to samo? Może tam znajdowały się wszystkie jej sekrety?

– Czy buntownicy przypadkiem nie lubią, żeby ludzie wiedzieli o ich wyczynach?

– Belle zawsze uciekała wszelkim definicjom.



– Rozmawiałam z Sandrą Stoneham.  
– Powiedziała ci coś ciekawego?  
– Nie za wiele – mówię. – I nie uważam też, żeby była aż taka straszna. Była dla mnie bardzo miła, pokazała mi swoją kolekcję. Chociaż faktycznie nie wydawała się zakochana w Gardner Muzeum.  
– Ładnie powiedziane – odburkuje Rik, a potem rozpogadza się. – Zgadnij, co dla ciebie mam.  
– Prezent z Paryża?  
– Nie. To znaczy tak, kupiłem ci prezent w Paryżu, ale chodzi mi o coś znacznie lepszego – załamuje głos, by zbudować napięcie. – Zdobyłem dodatkowy bilet na galę odsłonięcia i jest twój.  
– Galę odsłonięcia? – powtarzam, grając na czas.  
– *Po kąpieli*. To będzie impreza roku. Oczywiście poza twoim otwarciem. W muzeum mówi się tylko o tym. Boston Pops Orchestra, dziennikarze z całego świata, gwiazdy literatury, artyści, kucharze celebryci. Bardzo ekstrawagancko.  
– Aiden idzie. Chciał zdobyć dla mnie bilet, ale mu się nie udało. – Poczułam wtedy wielką ulgę, bo nie byłam pewna, czy potrafiłabym stanąć oko z oko z kolejnym moim obrazem wiszącym we wspaniałym muzeum, ale przypisanym komu innemu.  
– Czy musisz nazywać go Aiden? – pyta Rik z udawanym prychnięciem. Znów boksuję go w ramię  
– To sobota w weekend Święta Dziękczynienia – mówi.  
– Tylko dwa tygodnie przed moim otwarciem.  
– To tylko jeden wieczór, Claire.  
– Będę wrakiem.  
– To idealny moment, żeby poznać się z wpływowymi miłośnikami sztuki – próbuje mnie przekonać. – Nie mogłabyś wymyślić lepszej okazji do PR-u.  
– Mówisz jak Aiden.  
– Odmowa nie wchodzi w grę. Po części oficjalnej będzie megaelegancka kolacja – uśmiecha się. – Będiesz potrzebowała nowej, cudownej sukienki, żeby zmieszać się z bogatymi i sławnymi. A jeśli

będziesz zbyt zmęczona pracą, Aiden i ja będziemy twoimi agentami i będziemy reklamować wszystkim twoją nadchodzącą wystawę.

Uświadamiam sobie, że tym razem nie będzie jak w MoMA. *Po kąpieli* nie jest moje w takim sensie, w jakim było 4D. To w końcu Degas. On to wymyślił i namalował. Przynajmniej częściowo.

– Będzie naprawdę super...

– Okej – mówię. – Zróbmy to. Dzięki!

Będę z Aidenem, więc w razie czego mi pomoże, będzie przy mnie stać i mnie wspierać. Nie będę jedyną, która zna prawdę.

Rik nachyla się bardzo blisko.

– Możliwe, że do tego czasu będziemy już wiedzieli więcej.

– O czym?

– Halo, Claire! *Po kąpieli*, obraz, o którym mówimy od ostatnich dziesięciu minut?

– Ach tak, przepraszam.

Rik wzdycha głośno.

– Do czasu odsłonięcia powinniśmy mieć więcej informacji o tym, co się naprawdę zdarzyło. Może nawet znajdą się niektóre z pozostałych obrazów.

Wstrzymuję oddech.

– Mówią, że Patel rozważa ofertę FBI. Ochrona świadków.

– Będzie sypał? – pytam.

Rik śmieje się.

– Cóż, nie ująłbym tego w taki sposób, ale tak. A kto wie, jak dużo będzie mógł powiedzieć?

Na Aidenie moje wiadomości nie robią wrażenia.

– Patel nie ma nic, na co FBI mogłoby się połasić.

– Rik twierdzi co innego.

– Rik ma informacje z drugiej, a może i z trzeciej ręki.

– Do tej pory jego źródła były dość wiarygodne.

– Ale nie tym razem.

Zadzwoiłam do Aideny od razu, jak wyszłam z Clary, i poszłam wprost do niego, chociaż powinnam była wrócić do moich *Okien*. Jesteśmy w jego kuchni, przygotowuje kanapki z grillowanym serem i pomidorami. Myślę, że będą miały tyle wspólnego z moim plastrem sera pomiędzy dwoma kawałkami białego tosta, ile jego macaroni and cheese miało z moim kraft special.

Kładzie swoje dzieło na mój talerz: różne rodzaje sera z pomidorkami cherry i świeżą bazylią, sączące się z domowej roboty pełnoziarnistego chleba. Wygląda i pachnie doskonale. Wyjmuje też widelce i noże, bo kanapki są zbyt grube i zbyt lejące się, żeby je jeść rękoma. Popycham moją widelcem. Niestety, mój żołądek jest zbyt ściśnięty, żeby przyjąć cokolwiek.

Siada naprzeciw mnie i bierze gryza swojej.

– Jeśli nie będziesz jadła, nie będziesz miała siły, żeby skończyć *Okna*.

– Patel nie jest idiotą – mówię. – Musi wiedzieć, co go czeka.

– Dał się złapać. Nie może być aż tak mądry.

– No nie wiem.

– Powiedz, co myślisz o bazylii – Aiden wskazuje nożem moją kanapkę. – To nowa odmiana. Nie jestem pewien, czy mi smakuje. – Bierze kolejnego kęsa. – Odrobinę zbyt gorzka.

– Musimy mieć jakiś plan.

– W porządku – mówi zgodnie. – Zaplanujmy.

– To ty znasz się na tych rzeczach.

Wstaje.

– Chcesz wino?

– Piwo.

Otwiera butelkę sama i podaje mi ją. Sobie nalewa kieliszek cabernet z otwartej butelki. Siada i wraca do jedzenia kanapki.

– Co mam zrobić, jeśli cię aresztują?

– Chantal i Kristi poradzą sobie z wystawą.

– Nie mówię o wystawie i dobrze o tym wiesz. Jak możesz być aż tak wyluzowany?

Odkłada kanapkę i patrzy na mnie cierpliwie.

– Po prostu im powiesz, że nie masz o niczym pojęcia – mówi z irytującym spokojem. – Artyści nie są odpowiedzialni za to, co robią ich handlarze.

– Jak myślisz, jak dużo czasu będą potrzebować, zanim się zorientują, że jestem profesjonalną kopistką Degasa?

– Rozmawialiśmy już o tym. Przyniosłem ci wysokiej jakości kopię i zapłaciłem ci, żebyś namalowała wysokiej jakości kopię z kopii. Powiedziałem ci, że sprzedam to jako reprodukcję – podnosi tryumfalnie nóż i widelec. – To nawet niezłe! Nasza historia pokrywa się z historią Patela.

– Ale ty nie przyniosłeś mi wysokiej jakości kopii, prawda? – Patrzę na niego uważnie.

– Nikt nie udowodni ci tego, co tak naprawdę myślałaś – mówi. – Albo że powiedziałem ci coś innego.

Zauważam, że nie odpowiedział na moje pytanie.

– Nie aresztuj mnie – bierze moją rękę. – Obiecuję.

Patrzę na niego.

Puszczam moją dłoń i wyciąga się w krzesło.

– Claire, wiem, że czujesz dużą presję związaną z wystawą i tak dalej...

– Tu nie chodzi o wystawę. Tu chodzi o ciebie. I o to, że możesz pójść do więzienia.

– Nie pomagasz.

– A ignorowanie pomaga?

– Panikowanie wcale nie jest lepsze.

– Na pewno lepsze niż chowanie głowy w piasek! – Chcę zburzyć jego spokój ducha. Wstrząsnąć nim tak, by przyznał, że jesteśmy w niebezpieczeństwie.

– Nawet jeśli Patel próbował zeznawać, to nie ma pojęcia o moim udziale. Jedyłą osobą, którą może sypnąć, jest zwykły pionek. A ten wie jeszcze mniej niż Patel. Ich zeznania nie będą miały dla FBI żadnej wartości. Nie ma żadnej oferty, którą mogliby mu złożyć. – Ton Aideny jest stanowczy, a jego spokój aż nazbyt logiczny. Myślę, że wie coś, o czym nie wiem ja. Albo myśli, że wie coś, czego ja nie wiem.

Zakrywam twarz rękoma. Kłamię. Ja też kłamię. Nasze losy są nierozzerwalnie związane. A to, że jesteśmy razem, tylko podwaja naszą bezbronność i słabość.

– Sama nie wiem – szepczę, patrząc przez palce na niezjedzoną kanapkę, która pływa we własnym sosie.

Zmarszczki na twarzy Aideny pogłębiają się, kiedy unoszę wzrok, by na niego spojrzeć.

– Czego nie wiesz? – pyta.

Znów patrzę na moją ociekającą sosem kanapkę. Kawałek liścia bazylii wystaje z tosta jak język węża.

## *Trzy lata wcześniej*

Karen Sinsheimer powiedziała „do widzenia” i rozłączyła się. Ja dalej patrzyłam na telefon w mojej dłoni. Ściągną utrzymujące moje kolana razem zamieniły się w papkę i osunęłam się na podłogę. Poczułam się tak, jakby ktoś powiedział mi właśnie, że niespodziewanie umarł mój najlepszy przyjaciel. Połowa mojego umysłu pędziła przed siebie, przetwarzając to, co usłyszałam i analizując tego konsekwencje, druga zaś tkwiła niewzruszona i próbowała zaprzeczać temu, co się wydarzyło. Od tygodni obawiałam się takiego właśnie obrotu spraw. Jednak gdy moje obawy okazały się rzeczywistością, nie mogłam w to uwierzyć.

Bo jak w ogóle mogło do tego dojść? Namalowałam 4D, namalowałam drugi obraz i dałam Karen trzy moje płótna do wglądu. Muzeum ma dostęp do wielu prac Isaaca – eksperci musieli się im przyjrzeć i porównać je do moich. Jak więc mogli się aż tak pomylić? Przecież mają do dyspozycji te wszystkie niesamowite, nowoczesne cuda techniki... Przecież mają doktoraty i wieloletnie doświadczenie? Mój wzrok przebiegał po całym studiu szukając czegoś, czegokolwiek, czym mogłabym cisnąć w dal.

Gówno prawda. To po prostu jedna wielka niesprawiedliwość. Względem mnie, oczywiście, ale także względem Isaaca oraz, chociaż nie chcę wydać się zbyt górnolotna, względem wszystkich artystów i miłośników sztuki. Jakie mogą być implikacje tego, że jedno z najważniejszych muzeów na świecie uznało, że obraz został namalowany przez innego artystę niż w rzeczywistości? Jak to w ogóle świadczy o muzeach? Co to mówi o samych dziełach sztuki? Isaac musiał widzieć, jak fatalnie to wszystko wygląda. W końcu sam był artystą.

Pisałam do niego maile, sms-y i dzwoniłam, zostawiając wiadomość za wiadomością i prosząc, by się ze mną skontaktował. Mówiąc, że to ważne. Zero odpowiedzi. Zmieniłam taktykę i zaczęłam odnosić się do jego honoru i poczucia winy: „jak możesz to robić wszystkim tym, którzy kochają i doceniają twoją sztukę?”, „jak to jest wiedzieć, że moja praca

stanowi część twojego dziedzictwa?”. Brak odpowiedzi. „Jak możesz w ogóle patrzeć na siebie w lustrze?”. Zmienił adres mailowy i numer telefonu.

„Oby tak dalej, dziewczyno” powiedziała Beatrice Cormier, zaskakując mnie tym młodzieżowym wyrażeniem oraz tym, że wyraźnie widziałam, iż uwierzyła, że to ja namalowałam 4D. Oczywiście nigdy nie powiedziała tego głośno. Karen poinformowała mnie wcześniej, że Beatrice była historyczką sztuki i jedną z głównych kolekcjonerek. Zaczęłam się więc zastanawiać, jakie było jej zdanie na temat zaistniałej sytuacji.

Udało mi się ją znaleźć w John and Beatrice Cormier Foundation. Od razu odebrała ode mnie telefon.

– Claire – powiedziała. – Właśnie o tobie myślałam.

Ręka, którą trzymałam telefon, zadrżała.

– Z powodu tego, co się zdarzyło?

Długa pauza.

– Z powodu tego, co się nie zdarzyło.

– Zgadzasz się z tą decyzją?

Znów długa pauza.

– Możemy się spotkać?

– Mogę przyjechać do Nowego Jorku każdego dnia oprócz wtorku.

W następny poniedziałek siedziałyśmy razem przy malutkim stoliku w zatłoczonej kawiarence w bocznej uliczce Lower East Side. Dość dziwny wybór, pomyślałam, kiedy zasugerowała to miejsce. Ale nie aż tak dziwny, jeśli nie chciała, by ktokolwiek zobaczył nas razem.

– Nie mogę powiedzieć ci niczego konkretnego – oznajmiła Beatrice po tym, jak zamówiliśmy po zupie z kulkami z macy i sałatce. – Nie miałam prawa głosu w tej sprawie. Miałam tylko wręczyć komisji mój raport.

Czekałam.

– Powiedziałam im, że namalowałam drugi obraz, że obserwowałam każdy twój ruch i każde pociągnięcie pędzlem. I chociaż nie zostałam zatrudniona, by się na ten temat wypowiedzieć dodałam, że po spędzeniu z tobą takiej ilości czasu i po dogłębnej analizie 4D według mojej opinii to ty byłaś autorką obu.

- Dziękuję – wyszeptałam. – Ale nikt się z tobą nie zgodził?
- Spojrzała na mnie ze współczuciem i smutkiem.
- Nie było mnie, gdy podejmowano decyzję, ale usłyszałam później, że niektórzy jednak się ze mną zgodzili.
- Ale w takim razie... Jak to?
- Decyzja nie musiała być jednogłośna.
- Szturchnęłam moją kulkę macy łyżką.
- Próbowałam dodzwonić się do Isaaca, żeby zmusić go do wyznania prawdy, ale nie dałam rady.
- MoMA też raczej jej nie wyzna.
- Co to oznacza?
- Isaac nie jest tu jedynym, który ryzykuje swoją reputację – powiedziała Beatrice. – Albo naprawdę dużo pieniędzy.
- Odłożyłam łyżkę.
- Więc zrobili to po to, żeby chronić własne tyłki? – Natychmiast pożałowałam ostrych słów, ale Beatrice zdawała się ich nie słyszeć, a nawet jeśli słyszała, nie zrobiły na niej wrażenia.
- Słyszałaś kiedyś o czymś takim jak dysonans poznawczy? – spytała.
- Nie.
- W dużym skrócie to teoria, według której ludzie podświadomie reinterpreterują swoje własne motywacje i działania w sposób, który sprawia, że po fakcie czują się lepiej z tym, co wcześniej zrobili. I że zaczynają wierzyć, że mieli prawdziwą podstawę do takiej reinterpretacji swych zachowań.
- Brzmiało to zupełnie jak to, co zrobił Isaac.
- Więc – powiedziałam powoli – mówisz, że chociaż wszyscy wiedzą, że to ja namalowałam 4D, przekonali samych siebie, że w to nie wierzą, bo to leży w interesie muzeum?
- Myślę, że niektórzy z nich mogli tak właśnie zrobić.
- Więc muszę ich zmusić, żeby znów zobaczyli prawdę. Żeby powiedzieli, jak jest. Pójdę do dyrekcji muzeum. Do prasy.
- Beatrice położyła delikatną jak papier dłoń na mojej.
- Nie wydaje mi się, żeby to był dobry pomysł. Masz wielki talent, a przed tobą wielka przyszłość. To nie moment, by patrzeć w przeszłość. Po



prostu to zostaw, Claire. Idź do przodu.

Wróciłam więc do domu i próbowałam zrobić to, co mi poradziła.

Wbiegam do mojego budynku jak karaluch uciekający przed światłem. Nie powinnam była iść do Aideny. Powinnam była od razu pójść do domu, wrócić do moich *Okien*, ukryć się przed własnymi obawami i pocieszającymi odpowiedziami Aideny. Myślę o faustowskim pakcie, o którym Aiden wspomniał, gdy pierwszy raz rozmawialiśmy o zrobieniu fałszerstwa. Potem szybko zmienił taktykę i uznał, że lepszą analogią były pionki na szachownicy. Teraz myślę, że jednak powinien być zostać przy pierwszej wersji. Pakt z diabłem to najlepsze określenie na to, co zrobiliśmy.

Teraz, gdy znów jestem w studiu, z dala od milionów ludzi, których nie obchodzi moja obecność lub jej brak, czuję się troszkę lepiej. Robię sobie kawę i stawiam na sztalugach *Bay Village* i *Jabłko*. Płótna patrzą na mnie cierpliwie, przypominając mi podejrzanie zrelaksowany wyraz twarzy Aideny, jego niezmałowany niczym spokój i pragmatyzm w obliczu potencjalnej zdrady dokonanej przez Patela. Biorę do ręki paletę i pędzel. Nie znoszę tego typu myśli, ale boję się też je ignorować. Nie mogę pozwolić, by moje uczucia względem Aideny przyćmiły mój zdrowy rozsądek.

Mieszam trochę farb średnich tonacji i zaczynam malowanie. Jeśli mam stracić duszę za tę wystawę, przynajmniej niech skończą to wszystko na czas. Praca dobrze mi robi. W parę godzin *Bay Village* jest już w piecu, a ja mieszam blade błękity potrzebne do refleksów.

Kiedy dzwoni minutnik, wyjmuję *Bay Village*, a na jego miejsce wkładam *Jabłko*. Jestem wykończona, więcej niż gotowa na pierwszą tej nocy drzemkę, ale nie mogę spać, dopóki piecze się *Jabłko*. Robię więc kolejną kawę, tym razem mocniejszą i zjadam miskę płatków

śniadaniowych. Sprawdzam też internet w poszukiwaniu newsów o Patelu. Nic nie znajduję, ale wcale mnie to nie uspakaja. Jeśli Patel wie więcej niż Aiden myśli, wówczas aresztowanie Aideny wydaje się coraz bardziej prawdopodobne. I chociaż kopiowanie obrazów nie jest niezgodne z prawem, udział w planowaniu przestępstwa już jest. Tak samo, jak świadomość, że kopia jest robiona po to, by zostać sprzedana jako oryginał. Co oznacza, że sama też mogę skończyć za kratkami. Karane jest też posiadanie kradzionych dóbr. Nie wspominając już o całej otoczce wokół zaginionego arcydzieła...

Podgryzam skórki wokół paznokci. A gdyby tak udało mi się znaleźć oryginalny obraz, czy to by coś pomogło? Rozglądam się po studiu, jakbym spodziewała się zobaczyć ukryte w nim wskazówki. Moje oczy spoczywają na szkicownikach Degasa i nagle myślę, że może mogłabym spróbować ugryźć to z drugiej strony. Może gdybym znalazła fałszerza, odkryłabym i oryginał?

To strzał w ciemno, wiem, ale desperat nie ma luksusu wyboru środków. Zaczynam notować na kawałku papieru. Wszystko, czego się dowiedziałam, wskazuje na to, że *Kąpiel*, którą przyniósł mi Aiden (czyli pierwsza kopia), wisiała w Gardner Museum od czasu jego otwarcia w 1903 roku. Zakładając, że Degas namalował oryginał *Po kąpeli* w 1897, kopia ta musiała zostać stworzona w ciągu tych sześciu lat pomiędzy. Biorąc pod uwagę, jak trudno się wtedy podróżowało, musiała zostać namalowana przez kogoś, kto żył albo w Paryżu, albo w Bostonie. Co oznacza, że fałszerz musiał mieszkać we Francji lub w Stanach Zjednoczonych i, biorąc pod uwagę, że był pewnie aktywny pomiędzy dwudziestką a osiemdziesiątką, musiał urodzić się pomiędzy 1820 a 1880 rokiem.

Wystukuję w Google „fałszerstwa pomiędzy 1880 a 1903”, ale to zbyt precyzyjne zapytanie. Jedyne, które daje jakieś rezultaty, to „znani fałszerze obrazów”. Znajduję około pięćdziesięciu nazwisk. Wszyscy to mężczyźni. Kto wie, może jestem pierwszą kobietą, która dołączyła do tego szacownego grona. Rewelacja. Zawsze chciałam pokonywać bariery płci i być przykładem dla innych.

Mozolnie wykluczam kolejnych artystów. Większość z nich nie mieści się w moich ramach czasowych: Giovanni Bastianini zmarł w 1868, a Tony Tetro i mój kumpel Han urodzili się zbyt późno. Wielu nie pasuje pod względem miejsca zamieszkania: William Blundell żył w Australii, Zhang Daqian w Chinach, a Elmyr de Hory na Węgrzech. Inni specjalizowali się w rzeźbach lub średniowiecznych miniaturach. W końcu zostaję z czterema nazwiskami i paroma historiami, które w rzucają światło na moją własną sytuację.

Pierwsza z nich dotyczy Alceo Dosseny, włoskiego kamieniarza, który kopiował klasyczne rzeźby greckie i rzymskie. Jego agent, bez wiedzy artysty, sprzedawał te prace kolekcjonerom i muzeom, w tym także bostońskiemu MFA. Kiedy Dossena natknął się na jedną ze swoich rzeźb w muzealnej kolekcji sztuki starożytnej zrozumiał, że agent musiał zarabiać znacznie więcej niż dwieście dolarów, które płacił artyście za sztukę. Pozwał go, utrzymując, że nie miał pojęcia, iż jego prace były sprzedawane jako oryginały. Wygrał i dostał tysiące dolarów odszkodowania. To dobry omen dla mnie, choć jestem rozczarowana faktem, że gdy sam miał indywidualną wystawę w Met, zorganizowaną już po jego uniewinnieniu, okazała się ona kompletnym fiaskiem.

Był także David Stein, francuski malarz, który tworzył pastisze prac swoich ulubionych artystów i zarobił miliony dolarów na sprzedaży fałszywych obrazów Chagalla, Klee, Miró i Picassa. Kiedy zdemaskowano jedno z jego fałszerstw w galerii w Nowym Jorku, został aresztowany. Ale proces okazał się bardzo trudny: handlarze nie zgodzili się zeznawać, bo bali się, że zostaną uznani za niekompetentnych, a kolekcjonerzy nie chcieli oddać prac Steina utrzymując, że wypełniają one istotne luki w ich kolekcjach. Niestety (tak dla Steina, jak i dla mnie), fałszerz został uznany za winnego i wsadzony do więzienia za fałszowanie sztuki i przywłaszczenie.

Ambicja, talent, chęć zemsty przeciwko *establishmentowi*, chciwość i pycha przebijają się przez wszystkie pięćdziesiąt historii. A w każdej z nich widzę samą siebie. Do tego wszystkie mają to samo zakończenie:

ostateczne zdemaskowanie fałszerza i przedstawienie go jako szarlatana, którym był.

– Dlaczego to w ogóle robisz? – pyta Aiden, gdy opowiadam mu o moim śledztwie. Wpadł około dziewiątej, żeby upewnić się, że wszystko ze mną w porządku po tym, jak wyszłam z jego apartamentu po wczorajszej kolacji.

– Z ciekawości? – odpowiadam.

– Chyba z masochizmu.

– Wszyscy fałszerze mieli bardzo podobne doświadczenia. I większość z nich podobną motywację do mojej.

Unosi ramiona w górę.

– A wszyscy studenci medycyny chcą pomagać ludziom.

– Prawie każdy z nich chciał się zemścić. Zazwyczaj na świecie sztuki. Za niedocenienie ich talentu.

Oczy Aiden a miękną.

– Ale ty masz prawdziwy talent, Claire – wskazuje na ukończone *Okna*, ustawione obok siebie przy ścianie. – A twoje rozczarowanie wzięło się z czegoś kompletnie innego – przysiada naprzeciw *Nighttime T*, patrzy, a potem odwraca się do mnie. – To jest świetne. Bardzo przejmujące. Ta głębia kolorów... – zbliża palec do płótna, potem zatrzymuje się. – To chyba twoje najlepsze płótno. Na okno wystawowe. Z dużą ramą.

– Po prostu chcesz, żebym poczuła się lepiej.

– Daj spokój – znów siada ze mną na kanapie. – Widzę po twojej minie, że sama uważasz, że jest naprawdę dobre.

– Czy przywłaszczenie to to samo co kradzież?

– Niczego nie ukradłaś.

– Ale trzymałam kradzione dobra.

– Już nie trzymasz. Nie miałaś pojęcia, że obraz był skradziony, kiedy go u siebie miałaś.

Uderza mnie to, jak łatwo wierzy w swoje własne kłamstwa.

– A co jeśli...?

– Wiesz, gdzie nas to wszystko zaprowadzi? To całe rozpamiętywanie, przeszukiwanie internetu, doprowadzanie siebie do szaleństwa tym całym „a co jeśli”? Tak właśnie przyłapuje się ludzi. Bo robią coś głupiego, idą w złe miejsce, wyglądają nerwowo i bum. Ktoś nabiera podejrzeń i po wszystkim.

– Jak...

– Musisz mi obiecać, że z tym skończysz – mówi. – Musisz się skupić na swoich obrazach i na wystawie. I na trzymaniu emocji w ryzach.

Wiem, że ma rację, więc obiecuję, że tak właśnie zrobię. Ale, oczywiście, Aiden nie ma pełnego, że tak powiem, wglądu w sytuację. I chociaż część mnie bardzo chciałaby podzielić się z nim moim sekretem, to jednak łatwość, z jaką wierzy w swoje własne kłamstwa i jego opanowanie w obliczu prawdziwego niebezpieczeństwa nie pozwalają mi na zrobienie tego.

Gdy wychodzi, wracam do komputera i szukam więcej informacji na temat moich czterech podejrzanych. To trzech Francuzi i jeden Amerykanin: Yves Chaudron, Jean-Pierre Schecroun, Émile Schuffenecker i Virgil Rendell. Wszyscy malujący i fałszujący w czasach i miejscach pobytu Belle i Degasa.

Yves Chaudron, niedoceniony malarz, żył w Paryżu na Montmartrze na przełomie XIX i XX wieku, zupełnie jak Degas. Zyskał sławę jako fałszerz *Mony Lisy*, ukradzonej przez jego partnera, Vincenzo Peruggię. Do tej pory wielu zastanawia się, czy *Mona Lisa*, która wisi w Luwrze, to oryginał czy jedna z wielu wysokiej jakości podróbek Chaudrona, które Peruggia sprzedał zagranicznym kolekcjonerom. Teraz już wiem, skąd zaczerpnął swoją inspirację Ely Sakhai, podwójny handlarz z Nowego Jorku.

Okazuje się, że Jean-Pierre Schecroun urodził się w 1940, a nie w 1861 – Wikipedia nie jest jednak najbardziej wiarygodnym źródłem wiedzy. Émile Schuffenecker to natomiast drugi mocny kandydat. Był bliskim przyjacielem Gauguina i van Gogha, którzy z kolei byli przyjaciółmi Degasa. Podejrzewano, choć nigdy tego nie udowodniono, że fałszował dzieła impresjonistów, w szczególności Cézanne’a. On sam utrzymywał, że

nic nie fałszował, tylko obnażał głupotę tych, którzy podważali wybitność jego własnych obrazów.

Virgil Rendell ulepiony był dokładnie z tej samej gliny. Zaczął fałszować, gdy jego prace zostały zlekceważone przez ważnych handlarzy tamtych czasów. W 1928 roku popełnił samobójstwo po tym, jak został przyłapany na próbie sprzedaży fałszywego Sargenta. Zaraz. Już gdzieś słyszałam to nazwisko, tylko nie mogę sobie przypomnieć gdzie. I nagle pamiętam. To Rendell namalował portret prababki Sandry Stoneham, Amelii Prescott. Amelia była siostrzenicą Belle Gardner. Jej ulubioną siostrzenicą, jak nie omieszkała wspomnieć Sandra.

Zamykam oczy i próbuję przypomnieć sobie Amelię. Widzę doskonałą technikę Rendella, świetlistą skórę modelki, szczęście bijące z głębi płótna. To naprawdę mocny obraz, pełen emocji i charakteru, namalowany w klasycznym stylu dawnych mistrzów przez artystę o dużym talencie. Otwieram oczy. Przez artystę, który, z dużym prawdopodobieństwem, osobiście znał Belle Gardner.

# Napisane piórem Isabelli Stewart Gardner

Styczeń 1897,  
Paryż, Francja

Moja najdroższa Amelio,

Czuję się dziś zupełnie roztrzęsiona i przypuszczalnie nie powinnam pisać, kiedy jestem w takim stanie. Ale w ostatnim miesiącu nasz dom kipiał wręcz od hałasu i zamieszania, więc teraz, kiedy jestem nareszcie sama, muszę wykorzystać ten moment. Pogoda jest paskudna: zimna i wietrzna. Padał nawet śnieg, więc przez większość czasu siedzimy w zamknięci w środku. Jestem tak nakręcona tymi wszystkimi ludźmi, wiecznymi rozmowami i pytaniami, że właściwie to całkiem pasuje mi, że zachorowałam i muszę leżeć w łóżku.

Ale proszę, nie martw się. To tylko przeziębienie. Choć dość przykre. Boli mnie gardło i nie mogę utrzymać głowy w pionie. Ale nie mam gorączki. Doktor nastraszył mnie, że każe mi jechać na wieś, jeśli mi się nie poprawi. Oczywiście wyjazd na wieś zupełnie nie wchodzi w grę, bo pozostał mi tylko miesiąc na dokończenie wszystkich zakupów. Potem wracamy.

Jak dobrze wiesz, to była bardzo długa podróż: Anglia, Francja, Holandia, Niemcy, Palazzo Barbaro latem, potem znów Paryż. Ale udało mi się osiągnąć coś, dzięki czemu moja tułaczka okazała się warta zachodu! Zakupiłam *Tragedię Lukrecji* Botticellego, *Portret Thomasa Howarda*, *Drugiego Erla Arundel* Rubensa oraz mój ulubiony najnowszy obraz, małą Madonnę: kwadrat o boku trzydziestu centymetrów, który leży teraz przede mną na krześle.

*Madonna z Dzieciątkiem w różanej altanie* to dzieło Martina Schongauera, niemieckiego artysty współczesnego Holbeinowi i Dürerowi. Moim zdaniem był o wiele lepszym malarzem niż oni. Rama jest upiorna,



zdecydowanie zbyt śmiała i krzykliwa jak na moje małe cudo, więc zamówię nową tak szybko, jak tylko wydobędę się z łóżka. Najlepsze jednak jest to, że obraz jest tak mały, iż bez problemu zmieści się do mojej walizki, co pozwoli mi uniknąć nikczemnych urzędników i ich strasznych ceł.

Teraz, kiedy Twój wuj Jack zgodził się na otwarcie mojego muzeum, jestem nieustannie podekscytowana! Nadal narzeka, że wydajemy za dużo pieniędzy, ale śmiem twierdzić, że sam nie może się już doczekać planowania i budowania, które nas czeka. To naprawdę ekscytujące i bardzo wciągające. Tak bardzo chcę już wrócić do domu i zacząć pracować z architektami. I, oczywiście, ujrzeć Ciebie i dwójkę moich ukochanych dzieci: drogiego Jackiego i precudną Fanny. Słodka Fanny tyle już mówiła, kiedy wyjeżdżałam siedem miesięcy temu, że teraz buzia musi się jej nie zamykać!

Wczoraj jedliśmy kolację z Henrym Jamesem i Edgarem Degasem. Kiedy powiedziałam im o naszych planach względem nowego muzeum, obaj zapalili się do tego pomysłu i bardzo długo rozmawialiśmy o tym, jakie prace powinnam jeszcze zakupić. Kiedy Edgar przyznał, że byłby dumny, gdyby jego płótna zostały uwzględnione w moich zamierzeniach, odpowiedziałam, że tak pan Gardner, jak i ja bylibyśmy zachwyceni, gdybyśmy mogli porozumieć się względem ich ceny. Wyobraź sobie, że miał czelność zauważyć, że przecież już znam jego cenę! Na szczęście ani Henry, ani Twój wuj nie słuchali nas zbyt uważnie.

Kiedy wuj Jack powiedział, że będzie musiał pracować w siedzibie banku przez resztę tygodnia, Edgar zaprosił mnie do swojego studia na środę. Po jego wcześniejszym komentarzu czuję się lekko poddenerwowana, ale nic nie zatrzyma mnie w domu! Wiem, że jesteś żywo zainteresowana moimi przygodami, więc napiszę Ci więcej, kiedy tylko wrócę z Montmartru.

Środa wieczór

Wróciłam. Jak zawsze wszystkie moje historie o Edgarze przekazuję ci w najściślejszym sekrecie. Ze względu na szacunek dla Twojego wuja

proszę Cię, byś spaliła ten list jak tylko go przeczytasz. Byłoby strasznie, gdyby wpadł w niewłaściwe ręce.

Jak tylko przybyłam do studia, Edgar zaproponował, że namaluje obraz dla mojego muzeum, jeśli zgodzę się pozować mu nago. Spodziewałam się tego. Nie wydał się zaskoczony moją odmową i zapytał, czy w takim razie założyłabym znów moją jedwabną podomkę. Zgodziłam się. Zauważyłam, że gdy raz zrobisz coś ryzykownego, łatwo jest zrobić to po raz drugi.

I znów było tak cudownie jak ostatnim razem! Rozpalił ogień w kominku, atmosfera była więc jeszcze bardziej zmysłowa niż wtedy, w samym środku upalnego lata. Oczywiście trudno było mi utrzymać odpowiednią pozę, ale kiedy już pozwolił mi się przeciągać w sposób, jaki mi odpowiadał, mogę tylko powiedzieć, że jeszcze nigdy nie czułam się tak figlarnie. Zamknęłam oczy i wydawało mi się, że tańczę z anielską pajęczyną.

Ale zamiast dalej rysować, jak zrobił to ostatnim razem, Edgar przykląkł i dotknął ramięczka mojej podomki.

– Proszę, Belle – wyszeptał. – Pozwól mi to z Ciebie zdjąć. Pozwól mi zobaczyć Cię taką, jaka naprawdę jesteś.

Cały czas leżałam na sofie. Gdy otworzyłam oczy, spojrzałam prosto w jego. Były tak wyraziste i błagalne, tak pozbawione jakiegokolwiek winy, że zanim zorientowałam się, co robię, podniosłam ramiona, a on zdjął ze mnie lejący się jedwab. Och, Amelio, nie potrafię opisać tej błogości i tego radosnego wyzwolenia. Czułam się wolna, zuchwała i bardziej otwarta na doświadczenie życia niż kiedykolwiek wcześniej. Zupełnie, jakbym wróciła do czasów niemowlęctwa.

– Nie pokażesz tych szkiców nikomu, prawda? – zamruczałam, kiedy układał moje ramiona, nogę, gdy rozwiązywał moje włosy. Jego dotyk był uprzejmy i pełen szacunku.

Uśmiechnął się i podniósł szkicownik.

– Jesteś przepięknym stworzeniem.

– Zdecydowanie nie – powiedziałam, ale muszę Ci wyznać, że nie byłam tego aż taka pewna.

A potem było tylko piękniej. Kiedy Edgar znów pozwolił mi na zmianę pozycji i mogłam dowolnie ułożyć ciało, poczułam ciepło i mrowienie rozchodzące się po całym moim wnętrzu. Narastało i narastało, aż wybuchło i rozlało się po całej mnie. Jego siła i piękno były zaskakujące.

Przyszło mi do głowy, że oto wychodzę z kokonu, który więził mnie przez te wszystkie lata. Że po raz pierwszy jestem wyzwolona, naprawdę złączona ze światem fizycznym, z samą sobą. I, oczywiście, z Edgarem.

Wiem, że żadna przyzwoita kobieta nigdy by czegoś takiego nie zrobiła. Szczególnie żadna kobieta z rodziny Stewartów ani Gardnerów. I wiem dobrze, że plotki i zamieszanie, jakie wywołałam, kiedy przybyłam do Massachusetts, byłyby niczym w porównaniu do tego, co by się stało, gdyby ktokolwiek dowiedział się o tym zdarzeniu. Ale przysięgam: bez względu na konsekwencje, nigdy nie będę tego żałować. Ale ani mru-mru.

Twoja kochająca,  
Ciotka Belle

Aiden jest w szale promowania mojego pokazu. O moje portfolio poproszono w Bombaju i Paryżu. Im bliżej otwarcia, tym częściej odczuwam syndrom oszusta i martwię się, czy jestem dostatecznie dobra dla tego typu odbiorców, czy też może krytycy będą zachodzili w głowę, po co w ogóle Markel G zaproponowało mi wystawę. Po długich latach bycia niedocenioną boję się, że sięgam teraz po coś, co do mnie nie należy. Jak mawiała Jan, moja przyjaciółka ze szkoły, „własnej niepewności nigdy nie oszukasz”.

Jedyną nową wiadomością na temat Patela jest to, że został oskarżony, nie przyznał się do winy i przebywa obecnie w więzieniu przy Nashua Street. Żadnej wzmianki o możliwym układzie z FBI. Czuję się trochę lepiej, chociaż moje poszukiwania możliwych powiązań pomiędzy Virgilem Rendellem i Belle Gardner musiałam odłożyć na później. Kiedy zadzwoniłam do Sandry, ona właśnie śpieszyła się, by złapać samolot do Aten. Jechała na dziesięciodniową wycieczkę, ale poprosiła, bym się z nią skontaktowała, gdy wróci. Co z pewnością zrobię.

Jest piękny dzień, ostatnie nuty jesieni, idę więc piechotą na Newbury Street, żeby znaleźć sukienkę. Rik nęka mnie od dawna, że powinnam kupić coś nowego na galę odsłonięcia. Przechadzam się tam i z powrotem, zaglądam do sklepów droższych (dziesięć tysięcy dolarów za „elegancką wieczorową marynarkę?”), do tych bardziej przystępnych (tysiąc dolarów za sukienkę w rozmiarze bluzeczki?) i do moich rezerwowych *second-handów*, gdzie wszystko jest upchnięte na zbyt wielu wieszakach i nie ma nawet miejsca, żeby wygodnie stanąć. Nie przymierzam niczego. Zamiast tego idę do Markel G. Aiden jest sam, więc swobodnie się do niego przytulam.

– Cudownie pachniesz – mówi, wtulając nos w moją szyję. – Ani grama fenolu aldehydowego. – Potem podnosi głowę i marszczy brwi. – Dlaczego

nie pracujesz? – Wskazuje na zegarek. – Czas to pieniądz.

Marszczę nos.

– Już wracam. Właśnie szłam do studia. Chciałam ci tylko powiedzieć, że jestem praktycznie pewna, iż skończę je wszystkie w ciągu tygodnia.

– Tylko praktycznie pewna?

– Okej, okej, zupełnie pewna. Pewna.

Rozpromienia się.

– Wiedziałem, że dasz radę.

– Ale mimo tego poczułeś ulgę? – droczę się.

– Templeton zaczął już pracować nad pierwszymi ramami. Jeszcze ich nie widziałem. Powiedział, że potrzebuje kolejnego tygodnia, by oprawić to, co już ma, i dodatkowego, by skończyć ostatnią partię. – Templeton to ramiarz Aiden. Początkowo planowaliśmy wystawić płótna bez ram, ale parę tygodni temu Aiden zmienił zdanie, co skróciło mój termin na oddanie o parę tygodni. I znacząco podniosło koszty Aiden.

Otulam się ramionami.

– Już prawie koniec.

– A potem będziesz miała mnóstwo czasu, żeby zająć się marketingiem. Tym, który udajesz, że wcale nie istnieje.

– Przecież za parę dni udzielam wywiadów w radiu!

– Nie byłaś zbyt chętna, by to robić. – Patrzy na mnie krytycznym wzrokiem. – Potrzebujesz też nowych ubrań.

Śmieję się.

– Ubrań na wywiady w radiu?

Aiden jest zupełnie poważny.

– Nie oszukujmy się, Claire. W tym świecie twój wygląd ma ogromne znaczenie. Poza tym to nie tylko radio. – Grzebie w szufladzie i wyciąga kopertę. – Chciałem ci to wręczyć, gdy na dobre się ze wszystkim uporasz, ale przecież jesteś już naprawdę blisko. To prezent.

Biorę kopertę, potrząsam nią, odwracam do góry nogami, znów na nią patrzę.

– Za kawał dobrze zrobionej pracy.

– Co to jest?

– Otwórz.

Kiedy otwieram, nie mam pojęcia, na co właściwie patrzę. To jakiś rachunek. Z Canyon Ranch. Trzy dni i dwie noce. I zamówienie na transport. Patrzę na niego, nie rozumiejąc.

– To dla mnie?

– Kiedy już skończysz, chcę, żebyś wyjechała na parę dni. Rozpieściła samą siebie. Odpoczęła, zrelaksowała się. Bo potem mogą zacząć się schody.

– A co z tym całym marketingiem, którym miałam się zająć?

– To tylko niecałe trzy dni. Możesz się tym zająć po powrocie.

– Nie mogę tego przyjąć. To miejsce kosztuje jakieś pięćset dolarów za noc.

– Pozwól, że to ja będę się martwić o cenę.

– O nie. Nie pojedę tam. Nie mogę. Nie powinnam.

Aiden chwyta mnie za rękę.

– Dobrze, oddasz mi te pieniądze po wystawie. Kiedy będziesz opływać w kasę.

– Ale co z otwarciem? Musimy przecież powiesić obrazy. Chcę być obecna przy każdym etapie instalacji. A potem...

– Nie zabierzemy się za wieszanie, dopóki nie wrócisz. Templeton i tak wcześniej nie wyrobi się z ramami.

– Ale...

– Jeśli nie pojedziesz, odwołam wystawę.

– Nie zrobisz tego.

Wzrusza ramionami.

– Pewnie nie, ale to daje ci obraz, jak bardzo jestem przekonany, że taki wyjazd jest dla ciebie ważny.

– Bo zaczynam wariować?

– Nie w sposób, którego nie uleczy luksusowe spa i parę masaży.

Prawda jest taka, że zawsze chciałam pojechać do Canyon Ranch. Nawet o tym śniłam. Nigdy nie zakładałam, że te sny się ziszczą, ale wyjazd tam zawsze był na liście moich wymarzonych rzeczy do zrobienia. Czysta rozpusta. Pochyliłam się, by go pocałować.

– Jesteś bardzo kochany, wiesz?

– Skądże znowu – mówi. – Po prostu dużo w ciebie zainwestowałam. Dbam o własny tyłek.

Po tygodniu jest już po wszystkim. Skończyłam. Jest trzecia nad ranem. Podchodzę do mojego ulubionego miejsca przy oknie, masuję dolny odcinek kręgosłupa i patrzę na opustoszałą ulicę. Pogoda jest naprawdę okropna. Zimowa mieszanina deszczu, deszczu ze śniegiem i gradu, z odrobiną śniegu, który ostrzega przed tym, co dopiero nadchodzi. Późny listopad to nie najlepszy czas dla Bostonu.

Jestem dumna i szczęśliwa. W euforii. Jestem też wykończona, boli mnie głowa i czuję się, jakbym straciła coś bardzo ważnego. Wszystkie obrazy są już gotowe. Zaczynają swoją własną drogę. Stworzyłam je, pracowałam nad nimi, zrobiłam z nich to, czym są, ale to, co zdarzy się z nimi teraz, nie zależy już ode mnie. Czy tak właśnie czują się matki, gdy posyłają swoje dzieci do szkoły?

Opadam na kanapę, wyciągam nogi, a pod głowę wkładam poduszkę. Wciskam ręce z tyłu szyi i myślę o otwarciu. Zamykam oczy. Jestem tam. Markel G jest co prawda trochę większa, z wyższymi sufitami i szerszymi oknami. Na ścianach wisi co najmniej pięćdziesiąt obrazów. Niemożliwe, żeby wszystkie były moje. A jednak obok każdego z nich przyczepiony jest kartonik z napisem „Claire Roth”. Musiałam namalować ich więcej niż myślałam.

Czuję się, jakbym była zamknięta w kalejdoskopie: otaczają mnie kolory, obrazy oraz pokój. Mężczyźni i kobiety ubrani są w stroje o odcieniach klejnotów: soczystych i bogatych, głęboko wypolerowanych, prawie jadalnych. Ja mam na sobie najpiękniejszą suknię ze wszystkich: jedwabną, z jednym ramiączkiem, w kolorze najbardziej magicznego ametystu, błyszczącą i lejącą, sięgającą aż do stóp, szeleszczącą z każdym moim krokiem.

Kiedy tak płynę przez salę, przyjmując gratulacje, dochodzi do mnie, że każdy kolor ma swój własny zapach, niekoniecznie związany ze swoją

barwą. Kolor mojej sukni pachnie na przykład jak las o poranku, a nie jak lawenda, ale zapach ten jest cudowny, dokładnie tak jak sam kolor. Orientuję się, że wszystkie te barwy pochodzą z mojego pieca, że to jedyny sposób, w jaki mogły się narodzić: zostały zaprojektowane i wymodelowane, wypieczone i pozostawione do studzenia. Moje obrazy weszły w trzeci wymiar i stworzyły kompletnie nowy zmysł: kombinację wzroku, smaku i zapachu, ale mocniejszy i bardziej wyrazisty niż wszystkie inne.

Otwieram oczy. Promienie poranka prześwitują przez okna. Znowu je zamykam i zapadam w głęboki, spokojny sen.

O dziewiątej budzi mnie telefon.

– No i...? – pyta Aiden.

Pocieram policzki lekko zdezorientowana i z trudem podnoszę się z kanapy. Ciągle jestem w brudnych ciuchach do malowania, a usta mam wyschnięte, jakby ktoś wypełnił je suchym pigmentem.

– Cześć.

– Mogę wysłać już Chantal z ciężarówką?

Patrzę na skończone obrazy i pochłaniam je jednym łapczywym spojrzeniem.

– Pewnie.

– Skończone?

– Skończone.

– Nigdy w to nie wątpiłem – mówi.

Podnoszę się i sprawdzam, czy zostało coś z mojej nocnej kawy.

– Więc po co pytasz?

Chichocze.

– Kiedy wyjeżdżasz?

Puszczam zimną wodę i mieszam łyżką w ziarnach kawy.

– Muszę jeszcze potwierdzić transport, ale pewnie późnym popołudniem.

– Będziesz miała czas, żeby wpaść do galerii i pożegnać się? Kristi ma wolne, a Chantal przez cały dzień jest totalnie zabiegana, więc sam nie mogę do ciebie przyjść.



Patrzę na bałagan panujący w moim studiu. Chociaż nie jestem pedantką, mam szczególne wymagania, jeśli chodzi o moje materiały i nie mogę zostawić ich w takim stanie na całe trzy dni. I, biorąc pod uwagę zagrożenie myszami, muszę uporządkować też kuchnię.

– Zadzwoń do ciebie później, ale mogę nie dać rady – mówię. – Moje studio wygląda strasznie. Ja zresztą też.

Sprzątanie zajmuje mi więcej, niż się spodziewałam. Minęło sporo czasu, odkąd ostatni raz miałam w ręku gąbkę, a kombinacja mocnej kawy i konieczności zrobienia wszystkiego szybko popchnęła mnie w szaleństwo porządków. Kiedy dzwonię do Aideny, by powiedzieć, że nie dam rady wpaść, telefon w galerii nie odpowiada. Podobnie jak jego komórka. Wysłałam mu sms-a, obiecując, że odezwę się od razu po powrocie i dziękując mu znów za Canyon Ranch.

Nigdy wcześniej nie doświadczyłam profesjonalnego masażu, ale bez trudu wyobrażam sobie, jak silne palce wciskają się w moje spięte mięśnie ramion, usuwając napięcie i inne stresy, o których Mała zawsze mówi, że powinnam się ich pozbyć. Joga, dobre jedzenie i dużo snu. Raj.

Kiedy wreszcie kończę, a Chantal zabiera obrazy, biorę prysznic, przebieram się i pakuję. Samochód ma mnie odebrać o czwartej, co znaczy, że dotrę na miejsce o jakiejś siódmej. Czyli idealnie na kolację, jak zapewniła mnie recepcjonistka. Kiedy dzwoni do mnie kierowca, ostrzegając, że ma piętnastominutowe spóźnienie, włączam CNN. Relaksuję się na kanapie, dopóki nie słyszę nazwy Markel G, wypowiedzianej przez jednego z dziennikarzy. Natychmiast się prostuję. Czy to możliwe, żeby CNN mówiło o mojej wystawie? Serce bije mi jak szalone. Czy marketing Aideny sięga aż tak daleko?

Zajmuje mi dobrych parę minut, żeby zrozumieć, o co właściwie chodzi. Nie mówią o moim pokazie. Wspominają galerię, bo Aiden jest jej właścicielem. I dlatego, że właśnie tam został aresztowany. I właśnie na to miejsce skierowane są teraz kamery. Pokazują Aidenę prowadzonego na Newbury Steet. W kajdankach.

*Trzy lata wcześniej*

Mniej więcej miesiąc po moim spotkaniu z Beatrice Cormier pojawiły się pierwsze plotki, że jakaś kobieta poszła do MoMA utrzymując, iż Isaac Cullion wcale nie namalował 4D i że to ona była artystką, która go stworzyła.

Początkowo były to tylko pogłoski, które łatwo dawało się stłumić. Jednak wkrótce niektóre blogi o sztuce i kolumny z ploteczkami prasowymi zaczęły napomykać, że uznanie 4D za dzieło Culliona było błędem i że to, co mówiła owa artystka, było prawdą. Po tym, jak wyszło na jaw, że Isaac miał wcześniej romans z „dużo od siebie młodszą studentką”, nikomu nie zajęło wiele czasu, by domyślić się, że owa „ona” występująca w obu historiach to właśnie ja. Isaac zaprzeczył oczywiście wszystkiemu, podobnie jak MoMA. Początkowo ja też zaprzeczałam. Ciągłe nie wydobyłam się jeszcze z szoku spowodowanego decyzją muzeum i nie wiedziałam, co tak naprawdę powinnam robić.

Ale wiele osób i tak znało prawdę. Gapili się na mnie, szeptali. Coraz częściej zupełnie obcy ludzie (a także przyjaciele), zadawali mi dość natrętne pytania. Czasem wręcz okrutne.

„Zrobiłaś to, bo z tobą zerwał?”. Jakby to w ogóle była twoja sprawa.

„Jak myślisz, o ile spadła teraz wartość 4D?”. Jakbym mogła to wiedzieć.

„Nadal go kochasz?”. Jakby takie pytanie było w ogóle właściwe.

„Dlaczego próbujesz zniszczyć tak utalentowanego mężczyznę?”. Jakby o to właśnie mi w tym wszystkim chodziło.

Chociaż tabloidy nazwały mnie Wielką Pozorantką, a większość ludzi uważała, że poszukuję nie do końca należącej mi się reklamy, to jednak opcja, że mam rację, także wzbudziła spore zainteresowanie.

Pojawiły się artykuły na temat ekspertów pracujących dla muzeów, którzy widzieli tylko to, co chcieli wiedzieć, i o kolekcjonerach gotowych zapłacić setki tysięcy dolarów za samo nazwisko. Dziennikarze i spece

spekulowali na temat dobrych i złych stron całej sytuacji. I kogo one tak naprawdę dotyczą.

„Gdzie właściwie leży wartość sztuki?” pytano w ArtWorld.

„Jeśli 4D zostało namalowane przez studentkę, to czy nadal jest arcydziełem?”

To były dobre pytania. Pytania, które sama sobie zadawałam. I chociaż większość argumentów skłaniała się ku temu, że wartość sztuki leży w samym obrazie, i że marki i celebryci są niczym innym, jak „odbiciem naszego egocentrycznego konsumpcjonizmu”, to wystarczyło dostrzec kosmiczny skok w cenach obrazów Isaaca po namalowaniu 4D, żeby poznać prawdę.

Spałam tak głęboko, że dobrą chwilę zajęło mi nim zorientowałam się, że ktoś dzwoni. Zegar wskazywał 3:24 w nocy. Sięgnęłam po telefon.

– Morderczyni! – krzyknął głos kobiecy.

– Co?

– Zabiłaś go. Zabiłaś. Gdyby nie ty, nadal by żył! – A potem zaczęła łkać. Potrząsnęłam głową, żeby się otrzeźwić.

– To chyba pomyłka.

Znów szloch, teraz jeszcze głębszy, bardziej bolesny.

– Proszę posłuchać – powiedziałam. – Bardzo mi przykro, ale nikogo nie zabiłam, więc proszę się rozłączyć i wybrać numer po raz drugi. Albo najlepiej zadzwonić do kogoś, kto może pani pomóc. Jest pani sama? Czy mogę do kogoś zadzwonić, by pani pomóc?

– Ty i twoje przekłete ego – udało się jej wykrztusić pomiędzy falami płaczu. – Gdybyś nie... Gdybyś tam nie poszła, nie nagadała, gdybyś zostawiła wszystko tak, jak było, wtedy on... on...

Wyprostowałam się.

– Z kim rozmawiam?

Szloch. Zawodzenie, które zmroziło mnie do szpiku kości.

– Martha? – zapytałam, mając nadzieję, że się mylę, ale wiedząc, że tak nie jest. Żona Isaaca.

Długi oddech, szloch, czkawka.

– On odszedł, Claire.

– Isaac? – szepnęłam.

Znów zaczęła łkać.

– Nie... – powiedziałam, ale zabrzmiało to jak jęk. – Błagam, nie.

– Zastrzelił się – głos Marthy zabrzmiał nagle twardo i przejrzyście. – Ale to nie było samobójstwo. Ani trochę. I teraz do końca twych dni będziesz musiała zmagać się z tym, że zakończyłaś jego życie.

– Że zakończyłaś jego życie... – powtórzyłam, poruszona, a jednocześnie zniesmaczona tymi słowami. – Nie... Nie... Ja... Ja niczego nie zrobiłam. Nigdy nie zrobiłabym nic....

– Możesz zaprzeczać, ile chcesz, ale to nie zmieni faktów – wykrztusiła z siebie i rozłączyła się.

Rzuciłam telefon na łóżko. Byłam odrętwiała, zmarznięta, trzęsłam się, jakbym miała gorączkę. Otuliłam się w koc, próbowałam chodzić po studiu, ale moje kolana nie potrafiły utrzymać ciężaru ciała. Padłam na podłogę, zwinęłam się w kłębek i zaczęłam się bujać. Isaac odszedł. A wraz z nim jego wielki talent. Gdybym tylko, gdybym nie... Ale było już za późno.

Pogrzeb odbył się w kościele św. Trójcy na Copley Square i był imprezą publiczną. Roilo się tam od samochodów stacji telewizyjnych i dziennikarzy. Była też masa gapiów. Byłam z Rikiem. Gdy w odpowiedzi na moje kondolencje Martha Cullion odwróciła się do mnie plecami, Rik był obok, by mnie wesprzeć. Kiedy żaden z moich profesorów nawet na mnie nie spojrział, był tam, by trzymać mnie za rękę. A kiedy okazało się, że nie potrafię znieść widoku trumny Isaaca, zabrał mnie do domu.

Martha powiedziała prasie, że obwinia mnie za jego śmierć. Że moje „niedorzeczne twierdzenia” były próbą ukarania go za powrót do niej. Wiedziałam, że nie ja byłam powodem jego śmierci, ale to, co wiedziałam, nie potrafiło wyprzeć tego, co czułam. I poczucia winy, które wypełniało mnie od stóp do głów.

Ignorowałam telefony od dziennikarzy. Chociaż przyjaciele błagali, bym opowiedziała im moją wersję historii, czułam się zbyt odpowiedzialna, by nawet próbować się bronić. Nie spałam, nie jadłam, nie pracowałam i nie wychodziłam ze studia. Rik próbował przekonać mnie, bym zapakowała płótna i farby i wyjechała do stodoły do jego rodziców, do Connecticut, żeby skończyć mój projekt dyplomowy. Ale ja nie chciałam nigdzie jechać. Uzależniłam się od seriali i programów telewizyjnych. W końcu wszechogarniające pragnienie, by zakończyć moją przygodę ze szkołą, kazało mi znów zabrać się do pracy i jednak wyjechać.

Gdy wróciłam do Bostonu z dwoma ukończonymi obrazami, żaden z moich profesorów nie wydawał się nimi zachwycony.

– Wtórne – powiedziała Maya Myers, przewodnicząca komisji, a ja zauważyłam, że George Kelly i Dan Martin wymienili się znaczącymi uśmiezkami.

– Wtórne względem czego? – zapytałam.

– Zastanów się jeszcze nad nimi Claire, popracuj – odpowiedziała Maya. – Przejrzyj prace wczesnych ekspresjonistów. Jestem pewna, że zrozumiesz, co mamy na myśli.

Ekspresjoniści? Wpatrywałam się w moje płótna. Marc Chagall? Edvard Munch? Zniekształcenie rzeczywistości dla osiągnięcia efektu emocjonalnego? Ależ to nie miało nic wspólnego z moimi pracami! Przedstawiały portrety ludzi bezdomnych: jeden mężczyzny, a drugi dwóch kobiet. Oba były bardzo figuratywne. Były naładowane emocjami, oczywiście – o to w nich chodziło. Ale nie było tam żadnego naginania rzeczywistości. Była rzeczywistość patrząca ci prosto w twarz.

Spojrzałam na Georga i Dana mając nadzieje, że zaprzeczą temu, co powiedziała Maya.

– Zgadzam się z Mayą – powiedział Dan.

– Ja również – powiedział George.

Zabrałam obrazy i pomaszerowałam prosto do mieszkania Rika. Postawiłam je przy ścianie, za jego stołem kuchenny.

– Czy nazwałbyś je ekspresjonistycznymi?

Przyjrzał się im dokładnie.

– Cóż, na pewno wywołują emocje. Potężny niepokój. Więc z tego punktu widzenia myślę, że są pełne ekspresji.

– Zniekształcają rzeczywistość?

– Tego bym nie powiedział.

– A czy są wtórne?

– Względem czego?

– Tak uważa Myers. Ona i jej dwa lizusy.

Rik spojrzał na mnie uważnie.

– A ty myślisz, że to przez Isaaca?

– Cóżby innego?

– Może cię zwyczajnie sprawdza, pcha, byś osiągnęła nowe poziomy kreatywności.

– Jasne, dlaczego zatem tak bardzo podobał się jej mój pomysł, gdy go przedstawiałam? Dlaczego powiedziała mi wtedy, żebym się zabrała do pracy, jak tylko zobaczyła moje szkice?

– Musisz sobie odpuścić, kotku. Nie wszystko, co ci się przytrafia, ma związek z Isaakiem.

Ale wyglądało na to, że wszystko jednak miało związek z Isaakiem. Pomimo huraganów i fal upałów, międzynarodowych zamieszek i wyborów prezydenckich, prasa nie odpuszczała historii, cytując przyjaciół i współpracowników Isaaca, którzy piali nad jego niezwykłym talentem i nad tym, co wraz z nim utracił nasz świat. W końcu zgodziłam się na wywiad z „Globe”. Wyjaśniłam, co dokładnie się wydarzyło i dlaczego 4D jest moim dziełem. Opowiedziałam, jak poszłam do MoMA, żeby to wyjaśnić. Ale wyglądało na to, że nikt, poza rodziną i paroma przyjaciółmi, nie chciał mi wierzyć. Historia Marthy wydawała się znacznie bardziej interesująca.

Więc kiedy w końcu wyszłam z mojej stodoły w Connecticut, przerobiłam „nieekspresjonistyczne” obrazy i otrzymałam dyplom MFA, wcale nie byłam zaskoczona, że wkroczyłam do świata, który udawał, że nie widzi Wielkiej Pozorantki. A kiedy wszystkie zgłoszenia, które wysyłałam na różne konkursy i do galerii spotykały się z upartym milczeniem, zrozumiałam, że Rik nie miał racji. Wszystko miało związek

z Isaakiem. I wbrew temu, co mówią, odkryłam, że jednak istnieje coś takiego jak zła reklama.

Więzienie przy Nashua Street wygląda bardziej jak luksusowy hotel albo szykowny biurowiec niż jak miejsce dla złoczyńców. Wznosi się tuż obok rozległego rozlewiska Charles River, a jego ukośne okna i imponująca fasada śmiało mogłyby rywalizować z pięknymi gmachami sądowymi. W środku natomiast brak szacunku, jakiego doświadczam ze strony krnąbrnych strażników, mieszający się z zapachem potu, lizolu i beznadziei, aż za bardzo przypomina Beverly Arms.

Już w Beverly Arms procedura wejścia była mocna upokarzająca. Ale na Nashua Street osiąga absolutne wyżyny. I nie tylko dlatego, że Beverly Arms to ośrodek dla nieletnich, a Nashua Street to więzienie o zaostrowym rygorze. Chodzi bardziej o to, że teraz jestem odwiedzającą, a nie nauczycielką, petentką, a nie wolontariuszką. Ale nadal fakt, że moja skóra jest biała, że jestem anglojęzyczna, nienastawiona ani wrogo, ani służalczo i mniej więcej odpowiednio ubrana, działa na moją korzyść.

Strażnicy odsyłają z kwitkiem chłopca, który ma na sobie zbyt luźne spodnie do biegania, dziewczynę w koszulce, którą uznali za zbyt opiętą, i mężczyznę, który jako jedyny dowód tożsamości miał fotokopię aktu urodzenia. Starszej kobiecie, która łamanym angielskim próbowała wyjaśnić, że spędziła ponad dwie godziny, próbując się tu dostać, mówią, że nie może zobaczyć swojego wnuka, bo miał już trzech gości w tym tygodniu. Błaganie, łzy, propozycje różnych przysług, dzieci płaczące za tatą – nic nie robi tu na nikim wrażenia. Wrzaski i przekleństwa, nie mówiąc nawet o waleniu w ścianę, działają jeszcze gorzej. Kiedy przychodzi moja kolej na pytania, przeszukanie, podbijanie wejściówki i rozkaz wejścia do pokoju o rozmiarze kabiny prysznicowej, nie wiem już, czy powinnam czuć ulgę, czy raczej stres.

Malutkie pomieszczenie jest przegrzane i klaustrofobiczne. W środku metalowy taboret przyczepiony do ściany. Siadam na nim, na wprost



ścianki ze szkła, na dole której znajduje się kółko zrobione z niewielkich dziurek.

Podobny taboret i zamknięte drzwi widzę po drugiej stronie szyby. Czuję smród brudnych skarpetek, a kwas żółciowy zalewa mi gardło. Staram się pamiętać, że robię to wszystko dla Aideny. Sama myśl o tym, że siedzi tu zamknięty, przygniata mnie z całą mocą. Nie rozmawiałam z nim od czasu aresztowania.

Patel musiał jednak wiedzieć więcej niż przypuszczał Aiden, albo FBI było lepsze w przedzieraniu się przez warstwy, które, jak wierzył, miały go chronić. Według doniesień prasowych został oskarżony o handel skradzionymi dobrami, ich transport, a także współudział w planowaniu przestępstwa. Rzeczniczka FBI powiedziała, że zarzut kradzieży wisi w powietrzu.

Wsluchuję się w dochodzące mnie głosy, chociaż nie potrafię zrozumieć z ich ani słowa. Strażnicy wykrzykują nazwiska i numery. Nasłuchuję jego imienia, zamykam oczy, staram się oddychać normalnie. Wydaje mi się, że czekam tu od paru godzin, ale nie mam pojęcia, ile czasu minęło naprawdę. Zegar na ścianie pokazuje 6:15, ale wskazówki nie drgnęły, odkąd tu weszłam. Mój zegarek jest w skrytce. W środku dopuszczone są tylko obrączki ślubne i bransoletki medyczne.

W końcu drzwi w pokoju naprzeciwko się otwierają i wchodzi Aiden. Na pierwszy rzut oka nie wygląda aż tak źle: ubrany w za duży, wyblakły kombinezom, trochę zmęczony, ale gładko ogolony i z głową podniesioną do góry. Ale kiedy siada naprzeciw mnie, widzę, że jego twarz jest trupio blada. Zmarszczki obrysowują jego przekrwione oczy i czarno-fioletowe cienie pod nimi.

Staram się uśmiechnąć.

– Hej – mówię, ale mój głos jest wysoki i piskliwy.

Nachyla się do dziurek.

– Musisz stąd odjechać. Teraz.

Przyciskam rękę do szkła.

– Jak z tobą? Powiedzieli ci coś? Jak myślisz, kiedy wyjdiesz?

– Mówię poważnie – odpowiada. – Musisz uciekać z miasta. Gdziekolwiek. I nigdy już nie przychodź mnie odwiedzić. To zbyt niebezpiecznie.

– Aiden, chcę, żebyś wiedział, że możesz na mnie liczyć. Że tkwimy w tym razem. Jak tylko stąd wyjdiesz, będziemy razem walczyć...

– Nie wyjdę stąd. Tyle mi powiedzieli. Ryzyko ucieczki. – Jego usta układają się w grymas. – Kradzież w Gardner Museum.

– Ale to się może zmienić, tak? Co powiedział prawnik? Składa wnioski czy cokolwiek, co się tam robi? Mogę sprawdzić innego prawnika, jeśli byś chciał.

– Masz się trzymać od tego z daleka. Nie zrobiłaś nic złego i to jest dla ciebie najważniejsze. Im mniej masz do czynienia ze mną i z tym całym zamieszaniem, tym lepiej.

– Ale jeśli nie zrobiłam niczego złego, to nie mogę być w niebezpieczeństwie. Więc mogę robić wszystko, co w mojej mocy, żeby cię stąd uwolnić. Jak najszybciej się da.

– Nie słuchasz mnie: ja stąd nie wyjdę. Nie mam szansy na wyjście za kaucją.

– Ale...

Podnosi rękę, jakby miało to zatrzymać moje słowa.

– Ale nic. Oni myślą...

– Co ci się stało? – pytam. Widzę, że jego prawy palec wskazujący znajduje się w metalowej ortezie obwiniętej taśmą samoprzylepną.

– Nic – opuszcza rękę.

– Nie wygląda jak nic.

– Claire, proszę. Uwierz mi, niektóre rzeczy lepiej zostawić.

– Ktoś cię zranił – mówię.

– To nic – powtarza.

– Powiedz mi.

– Ostrzegałem cię – waha się, wzdycha, w końcu mówi – Nie miałem jeszcze okazji, żeby zapłacić sprzedawcy.

– Jakiemu sprzedawcy? Co zapłacić? – Jak tylko wypowiadam te pytania, znam już na nie odpowiedzi. – Pieniądze Patela? Ludziom, którzy

dali ci *Kąpiel*?

- Cisną mnie o nie.
- Ale co ma z tym wspólnego twój palec?
- To ostrzeżenie.
- Jakie ostrzeżenie?

Sińce pod jego oczami stają się jeszcze ciemniejsze.

- To jest to, co stanie się z moim palcem, jeśli nie oddam im pieniędzy.
- Złamię go?
- Już jest złamany.
- Nie rozumiem.

Podnosi prawy palec wskazujący i robi gest, jakby ucinął go swoją lewą ręką.

- Odetną mi go.

Żołądek mi się skręca i przez moment boję się, że zwymiotuję.

- To chore – protestuję. – Nikt by czegoś takiego nie zrobił.

Patrzy na mnie. Jego oczy są jak stal, szczęki zaciśnięte.

– Przecież jesteś w więzieniu. Jak ktokolwiek mógłby się do ciebie dostać, żeby, żeby...?

– W taki sam sposób, w jaki udało im się zrobić to. – Znowu pokazuje mi palec.

- Gdzie są te pieniądze? – pytam – Powiedz mi, zaniosę im je.

- Nie.

– Nie jestem dzieckiem, które trzeba chronić. Potrzebujesz pomocy, a ja chcę ci jej udzielić. Czy ty naprawdę mówisz, że chcesz stracić swój, swój... – Nie mogę słowa.

- Już go straciłem.

Patrzę na obie jego ręce leżące na małej półce, a moja kabinka zaczyna wirować.

– O czym ty mówisz? – mój głos podnosi się z każdym wypowiedzianym słowem.

- Claire – odpowiada ostro. – Daj spokój.

Łzy napływają mi do oczu.

- Boję się o ciebie.

Jego wzrok mięknie.

– Wyjaśnię ci, jeśli obiecasz, że odjedziesz zaraz po tym, jak to powiem i że nie będziesz panikować.

Zamykam oczy i biorę głęboki oddech. Nie jestem pewna, czy chcę usłyszeć to, co ma mi do powiedzenia.

– W porządku.

– Skrytkę w Markel G można otworzyć tylko za pomocą odcisku mojego palca wskazującego.

Zajmuje mi chwilę, żeby zrozumieć to, co mówi. Kiedy mi się udaje, jestem pewna, że zaraz zwymiotuję. Krztuszę się gulą, która rośnie mi w gardle.

– Obiecałaś – mówi Aiden. – Żadnego panikowania. Teraz idź.

– Ale, ale... – jąkam się, nie chcąc zostawić go z tym wszystkim samego.

– A co z twoimi bogatymi przyjaciółmi? Klientami? Ktoś na pewno może pożyczyć ci pieniądze!

– Próbowałam – mówi. – Ale jestem teraz *persona non grata*.

– Twoje obrazy. Mógłbyś je sprzedać...

Potrząsa głową a ja rozumiem, że wolałby stracić palec niż któryś ze swoich obrazów.

– Więc zostaje wyjście za kaucją – mówię. – Gdybyś mógł wyjść, choćby na dzień, na godzinę, wtedy, wtedy...

Mój mózg szuka jakiegokolwiek rozwiązania, ale widzę tylko białe plamy.

– Proszę – mówi ze smutkiem, który chwyta mnie za gardło. – Idź już.

I wtedy rozumiem, co mogę zrobić. Znajdę oryginalny obraz. Udowodnię, że *Kąpiel* Aidena była fałszerstwem. I wtedy, przynajmniej na krótki czas, żadne z oskarżeń przeciwko niemu nie będzie miało racji bytu: ani transport skradzionych dóbr, ani handel skradzionymi rzeczami, ani planowanie przestępstwa, ani związek z wielką kradzieżą. Jego prawnik pomógłby mu wtedy wyjść za kaucją. Te parę godzin pomogłoby mu ocalić palec.

– Aiden, Aiden... – łamie mi się głos. – Tak mi przykro. Nie powiedziałam ci tego wcześniej. Powinnam była, ale nie zrobiłam tego.

Obraz, który mi przyniosłeś nie jest tym, czym myślisz. Wiedziałam...

– Nawet matce, nawet przyjacielowi, komukolwiek! – Przerzywa, zbyt zatroskany o moje bezpieczeństwo, by mnie słuchać. – Nie chcę, żebyś też się tu znalazła.

Przyciska lewą rękę do szyby zupełnie tak samo, jak zrobił to tej nocy, gdy kochaliśmy się po raz pierwszy. – Kocham cię.

Z moich ust wydobywa się szloch.

– Też cię kocham – udaje mi się wyszeptać, a kiedy to mówię, wiem, że tak właśnie jest.

– Kristi i Chantal zajmą się twoją wystawą.

– Tu nie chodzi o wystawę. Wiesz o tym. Chodzi o ciebie. Tu i teraz. Chodzi o to, co mogą ci zrobić...

– Moja kochana, piękna Claire – Aiden wstaje, otwiera drzwi, potem odwraca się i uśmiecha się do mnie krzywo. – Naprawdę nie rozumiesz, że będę potrzebował wszystkich pieniędzy ze sprzedaży twoich cudownych obrazów, żeby spłacić mojego adwokata?

Gdy Sandra Stoneham wpuszcza mnie do domu, przez parę chwil przyglądam się portretowi Amelii. Nie ulega wątpliwości, że Virgil Rendell miał dość talentu, żeby stworzyć wysokiej jakości kopię *Po kąpieli* Degasa. Tylko po co miałby to robić? Czyżby ukradł oryginał i zastąpił go swoim obrazem? A może szantażował Belle i zmusił ją do oddania prawdziwego dzieła i zastąpienia go kopią swojego autorstwa? A może oryginał został zgubiony lub zniszczony i Belle zatrudniła go, by namalował go po raz drugi? Niestety, wszystkie te pytania wydają się mało istotne w obliczu obecnej sytuacji Aideny.

– Czy twoja ciotka знаła Virgila Rendella? – pytam, próbując dojrzeć, czy był prawo-, czy leworęczny.

Marszczy brwi.

– Myślałam, że jesteś zainteresowana słynnymi malarzami?

– Bo jestem. Oczywiście, że jestem. Ale ten Rendell wydaje mi się bardzo dobry. Jestem po prostu zaintrygowana, bo spodobał mi się jego

obraz. Nie rozważam go do książki.

Sandra patrzy na mnie dziwnie.

– Nie wiem, czy ją znał.

Rzucam okiem na zamknięte mahoniowe drzwi w nadziei, że pozwoli mi spojrzeć na swoje klasyczne dzieła. Ale nawet, jeśli zauważyła moją ciekawość, ignoruje ją. Zaprasza, bym podążała za nią korytarzem.

– Znalazłam parę kartonów na strychu – mówi, kiedy dochodzimy do pokoju dziennego. – Dopiero zaczęłam je przeglądać, ale naprawdę dobrze się przy tym bawiłam. Jest tam tyle pięknych rzeczy, o których istnieniu zapomniałam. Zdecydowałam, że, póki jeszcze mam na to siłę, sporządzę ich katalog. – Wskazuje na przedmioty rozłożone na stoliku: pojemniczek na leki z malutką baletnicą wyrzeźbioną na złamanym wieczku, porcelanowa lalka, garść starych monet, pliki zdjęć, pożółkłe wycinki z gazet. – To ważne świadectwa historii.

– Wygląda na ciekawy projekt – mówię, chociaż na pierwszy rzut oka nie widzę tu niczego, co mogłoby pretendować do kategorii „ważne świadectwo historii”. A już na pewno niczego ważnego dla mnie.

– Ale niestety – ciągnie – nie znalazłam tu niczego, co należałoby do ciotki Belle. – Zaciska usta. – Muzeum ma kontrolę nad wszystkim, co kiedykolwiek posiadała. Nad każdym obrazem, każdym dziełem sztuki, nawet nad jej ubraniami i paroma listami, które się zachowały.

– Z powodu jej testamentu? – pytam.

– Z powodu ich interpretacji jej testamentu – poprawia mnie Sandra.

– To nie fair w stosunku do rodziny – mówię współczująco.

Nagradza mnie uśmiechem.

–Właśnie.

Patrzę na stolik i na sześć kartonów stojących na podłodze. Nie wiem nawet, czego właściwie szukam, ale wiem, że na pewno nie złamanego pudełka na leki.

– Nie przejrzałam jeszcze wszystkiego, ale to raczej same papiery. Dokumenty, wspomnienia i tak dalej. Tak jak powiedziałam ci przez telefon, wszystko, co znalazłam, pochodzi z XX wieku. I w większości należało do mojej matki. Kobiety w naszej rodzinie zawsze były

zbieraczkami, próbującymi uchronić naszą spuściznę. Czyli to, co powinna robić rodzina, a nie instytucja...

– Dokładnie – uśmiecham się. – Wczesny XX wiek też jest okej.

– Jak dobrze wiesz, ciotka Belle umarła w 1924, więc przy odrobinie szczęścia może natkniesz się na coś, co mi umknęło – mówi Sandra, choć jej ton wyraźnie sugeruje, że ma co do tego wątpliwości. – W każdym razie wszystko jest twoje. Będę po drugiej stronie mieszkania, bo muszę opłacić rachunki. Jakbyś czegoś potrzebowała, daj znać.

Kiedy odchodzi, siadam na podłodze i zabieram się za pierwszy karton. Podnoszę plik wycinków z gazet. Gdy ich dotkam, pękają jak delikatne arkusze kryształu i wpadają znów do pudełka: zostaje po nich nieczytelny srebrny kurz.

Odkąd aresztowali Aideną, nie spałam więcej niż godzinę z rzędu. Ciągłe widzę jego złamany palec. Przesuwam skrawki gazet po dnie kartonu, żeby zobaczyć, co jeszcze jest w środku. Mam tylko parę godzin, bo potem muszę iść do Markel G. Wszystkie moje obrazy zostały już oprawione i dostarczone, a Kristi chce, bym na nie spojrzała, zanim zaczniemy je wieszać. Szukam dalej. Listy miłosne pisane w czasie pierwszej wojny światowej, zdjęcia dzieci, które pewnie już dawno nie żyją, połamane kwiaty, pożółkłe świadectwa szkolne wypisane idealnym, okrągłym charakterem pisma, menu z popularnych w latach trzydziestych restauracji. Delikatna mantyla, nadgryziona przez mole i może nawet myszy, która, gdy była biała i piękna, musiała być prawdziwym skarbem jej właścicielki. Dotykam zszarzałego, wytartego materiału, czerpiąc dziwną pociechę z małości i ulotności ludzkiej egzystencji.

Przechodzę do kolejnego kartonu. Ten wypełniony jest ubrankami dzieci i kolejnymi sztywnymi lalkami, które wcale nie wyglądają wygląda, żeby można się było nimi fajnie bawić. Malowana twarz jednej z nich przypomina mi Złą Czarownicę z Zachodu. Trzeci karton wygląda bardziej obiecująco, a jego zawartość zdaje się dużo starsza. Są tu rachunki z lat 1894-1898 i zdjęcia rodziny, strasznie skrepowanej w dziewiętnastowiecznych strojach. Każda kolejna osoba wygląda bardziej sztywno niż poprzednia. Ale nie znajduję Belle.

Wyjmuję notatnik z inicjałami „VR” w prawym górnym rogu. Pełen jest trudnych do przeczytania zapisków. Niektóre są datowane, inne nie. To dziennik. Pierwszy wpis, jaki mogę odczytać, pochodzi z 1884 albo 1885, a ostatni z 1889. Szybko przerzucam strony, w nadziei, że odnajdę interesujące mnie nazwiska. Autorem jest najwyraźniej młody mężczyzna, szaleńczo zakochany w dziewczynie o imieniu Amelia, która pozuje mu właśnie do obrazu. Dziennik musiał należeć do Virgila Rendella. Serce zaczyna mi walić. Czas się zgadza, podobnie jak to, że autorem jest malarz. Ale skąd rodzina Gardnerów miałaby jego dziennik? Zatrzymuję się na jednej stronie, bo dostrzegam wzmiankę o Belle, albo o pani Jack, jak się do niej odnosi. Z tego, co mogę odczytać, nie pisze o niej zbyt pochlebnie. Wręcz przeciwnie: „Pani Jack to najbardziej uparta osoba, jaką kiedykolwiek znałem.” „Amelia nie pozwoli sobie na takie traktowanie; ja zresztą też nie”. „Jest tylko jej ciotką, nie matką”. „Tylko dlatego, że jest bogata i zna wszystkich wysoko postawionych ludzi, nie musimy padać przed nią na kolana i robić, co nam nakazuje”. Podobnych gryzmołów jest dużo więcej, ale trudno je odczytać. Widać, nie były przeznaczone dla nikogo poza piszącym. Na szczęście regularnie natykam się na jakieś czytelne zdanie. „Sumner Prescott to snob. Amelia nigdy się nie zgodzi, by go poślubić”. I w końcu: „Belle Gardner to hipokrytka. Udaje odstępczynię bostońskiego społeczeństwa, jednocześnie wierząc, że wyższość jej własnej «klasy» jest ważniejsza niż szczęście jej siostrzenicy. Moja stopa nigdy więcej nie postanie w Green Hill ani w jej okropnym, przytłaczającym domu przy Beacon Street. Nie chcę mieć już nic do czynienia z panią Jack!”

Więc tyle z mojej teorii, że Belle wynajęła Rendella, by namalował dla niej kopię. Patrzę na zegarek. Już po trzeciej. Kristi zamyka teraz galerię wcześniej, żeby unikać dziennikarzy. I naprawdę była nieugięta, gdy mówiła, żebym dziś sprawdziła wszystkie obrazy. Waham się, potem wkładam dziennik Virgila z powrotem do kartonu i wołam do Sandry, że muszę się zbierać.

– Niestety jeszcze nie skończyłam. Został mi jeden karton – mówię, gdy do mnie podchodzi. – Ale jestem spóźniona na spotkanie w mieście...

Nie kończę w nadziei, że pozwoli mi go ze sobą zabrać.



– Jutro popołudniu jestem w domu. Będę gotować zupę na Święto Dziękczynienia – mówi. – Jeśli chciałabyś wpaść i skończyć, to zapraszam.

Szybko potwierdzam i wybiegam. Gdy czekam w zimnie na trolejbus, analizuję słowa Rendella. „Nie chcę mieć już nic do czynienia z panią Jack!”. Amelia poślubiła Prescottta, a nie Rendella, przypuszczalnie namówiona przez swoją bogatą i wpływową ciotkę, która uważała, że rodzina Virgila nie jest dostatecznie dobra. Czyżby Rendell próbował się za to zemścić? Dałoby to całej historii iście szekspirowskie zabarwienie. Bo czy istniał lepszy sposób na zniszczenie Isabelli Stewart Gardner niż poprzez kradzież jednego z jej najcenniejszych obrazów i zastąpienie go kopią?

# Napisane piórem Isabelli Stewart Gardner

Styczeń 1898,  
Paryż, Francja

Moja najdroższa Amelio,

Jak tylko otworzysz ten list, zabierz go w ustronne miejsce i przeczytaj dopiero, gdy się upewnisz, że jesteś tam zupełnie sama. A kiedy już skończysz, spal go i wyrzuć wszystkie popioły. Może wydaje Ci się to lekko histeryczne, ale kiedy przeczytasz całość, zrozumiesz, dlaczego Cię o to proszę. W ogóle nie powinnam o tym pisać, ale desperacko wręcz potrzebuję usłyszeć Twoją opinię na ten temat.

Znalazłam się w prawdziwej kropce. Och, Amelio, jakże byłam głupia i nierozważna! Czy pamiętasz, jak latem w Green Hill rozmawialiśmy o moich spotkaniach z panem Edgarem Degasem w jego pracowni i jak powiedziałam Ci, że oddałabym wszystko, by je znów powtórzyć? Cóż, myliłam się. Bardzo się myliłam. Gdybym tylko mogła cofnąć swoje słowa!

Na krótko przed naszym październikowym wyjazdem do Londynu otrzymałam depeszę od Edgara. Słyszał, iż będziemy w Europie na zimę i prosił, bym go koniecznie wówczas odwiedziła, bo ma dla mnie niespodziankę. Pozmieniałam więc trochę nasze plany i udało mi się zrobić tak, byśmy dotarli do Paryża na Gwiazdkę. Jak tylko przybyliśmy, wysłałam Edgarowi wiadomość.

Następnego popołudnia pojawił się zupełnie niezapowiedziany w naszym hotelu. Twój wuj Jack był we Free Masons z nikim innym, jak Twoim teściem – domyślałam się, że wiesz, iż był w Paryżu na święta. Jest bardzo eleganckim mężczyzną, a ja jestem taka wdzięczna i dumna, że Ty i Twoje dzieci nosicie nazwisko Prescott! Wzdrygam się na samą myśl o tym, dokąd mógł Cię zaprowadzić inny wybór. Ale to tylko dygresja.

Powóz Edgara zaparkowany był przed hotelem. Razem pojechaliśmy do jego studia.

– Jak myślisz, jaka to niespodzianka, moja droga pani Gardner? – zapytał, gdy jechaliśmy wzdłuż szerokich bulwarów.

Oczywiście miałam nadzieję, że był to obraz, ale nie chciałam się rozczarować lub obrazić go w przypadku, gdyby było to coś zupełnie innego.

– Kolejna podomka?

Edgar zachichotał i poprosił kierowcę, by przyspieszył.

– Być może – powiedział. – Obawiałem się, że możesz zgadnąć. – Ale jego oczy błyszczały tak, że wiedziałam, iż wcale nie zgadłam.

Nie potrafię opisać tego, jak bardzo byłam podekscytowana. Wiedziałam, że niespodzianką musi być obraz do mojego nowego muzeum, ale nie wiedziałam, w jakim stylu go namalował ani czy będzie on prezentem czy też będę musiała za niego zapłacić. Jestem pewna, że dobrze wiesz, na co w głębi duszy liczyłam.

Kiedy weszliśmy do studia, ujrzałam duże płótno stojące na sztalugach w samym środku pomieszczenia. Było przykryte materiałem. Przycisnęłam rękę do piersi, żeby skontrolować bicie mojego serca. Mówię ci, Amelio, obawiałam się, że wyskoczy mi z piersi, tak mocno biło. Edgar cały czas mnie obserwował, a na twarzy malował mu się wyraz zadowolenia.

– Pokaż – poprosiłam, jak dziecko przed świętami. – Proszę.

– Usiądź wygodnie, moja droga – powiedział, wskazując na sofę. – Czy zawołać służącą po herbatę?

– Nie – powiedziałam, nie przejmując się tym, że mogłam zabrzmieć nieuprzejmie. – Chcę zobaczyć mój... twój... obraz.

Natychmiast się roześmiał.

– Gdybyś tylko była mężczyzną! Z takim charakterem mogłabyś osiągnąć niesamowite rzeczy!

Skrzyżowałam ramiona na piersi i spojrzałam na niego.

– Pragnę ci przypomnieć, że ja cały czas osiągam niesamowite rzeczy. O większości z nich mężczyźni nawet nie śnią.

– Masz rację, moja droga Belle – powiedział. – Przepraszam ciebie i *toutes les femmes*.

Skłonił się w moim kierunku, a potem ściągnął materiał z płótna.

Z początku jedyne, co widziałam, to kolory. Błękit, zieleń i czerwienie iskrzyły się z płótna, jakby były żywymi istotami. Głębia ich wartości, ich nasycenie! Te pociągnięcia pędzlem! Prawdziwe arcydzieło! Degas jest geniuszem i pogratulowałam sobie w duchu, że udało mi się go przekonać, by powrócił do klasycznego stylu.

– To moja piąta i ostatnia wersja *Po kąpieli* – powiedział z dumą. – Podoba ci się?

Zamrugłam oczami i skupiłam się na kompozycji. To przedstawienie trzech nagich kobiet, które wycierają się ręcznikami. Temat dość typowy dla Edgara. Ale płótno jest naprawdę dużo lepsze od jego ostatnich prac. Półprzezroczyste warstwy intensywnego koloru położone są jedna na drugiej, przekazując to, czego nie da się przekazać, ze świetlistością, którą mogła osiągnąć tylko ręka boska. Tak bardzo chciałam go dotknąć, że musiałam zacisnąć pięści, by utrzymać ręce przy sobie.

– Więc? – powtórzył.

Oderwałam oczy od obrazu i spojrzałam wprost na niego.

– Czy mi się podoba? – odetchnęłam. – To arcydzieło!

– Więc przyjmiesz go? Jako dar dla twojego muzeum?

I chociaż to dokładnie to, czego pragnęłam i o co się modliłam, zabrakło mi słów.

Na twarzy Edgara pojawił się cień niepokoju. Czyżby naprawdę myślał, że mogłabym odmówić?

– Oczywiście – wykrzyknęłam. – Oczywiście, że go przyjmę. Będę się nim opiekować. Powieszę go w jednym z najważniejszych miejsc w moim muzeum!

– W jednym z najważniejszych? – spytał przekornie.

– W najważniejszym. Na pewno – obiecałam.

Rozpromienił się.

– Więc szampan zamiast herbaty? Wznieśmy toast za twoją nową zdobycz.

Usiedliśmy na sofie, a służąca przyniosła nam szampana i cudowne, małe ciasteczka. Byłam szalenie szczęśliwa, a szampan uderzył mi do głowy. Wcale nie patrzyłam na moje nowe arcydzieło. Edgar i ja popijaliśmy i gawędziliśmy wesoło o moich planach na Fenway Court i dzieliliśmy się plotkami z Paryża.

Kiedy skończyliśmy butelkę, spojrzałam na obraz raz jeszcze. Amelio! Okazało się, że wcześniej widziałam w nim tylko to, co chciałam zobaczyć, a nie to, co cały czas było przed moimi oczami. Ciężko mi nawet o tym pisać! Jedną z trzech nagich kobiet byłam ja!

Nie ma co do tego wątpliwości i wszyscy się zorientują. Czy pamiętasz, jak Twój wuj Jack zareagował na mój portret pędzla Johna Sargenta, na którym mam dekolt w kształcie serca? Był tak zły na to, jak dużo „odśloniłam”, że zabronił, abym go komukolwiek pokazywała do czasu, gdy umrze. A przecież byłam na nim zupełnie ubrana!

Cóż powinnam zrobić? Edgar namalował go specjalnie dla mojego muzeum i nie mogę obrazić go, nie pokazując takiego podarunku. Ale jednocześnie nie mogę go pokazać! I nie mogę go nie przyjąć! *Po kąpieli* to prawdziwe arcydzieło, do tego dał mi je w prezencie. Jest moje i moje musi pozostać. Do tego dostałam je całkowicie za darmo! Nigdy się go nie pozbędę. Nigdy.

Tak więc, moja droga Amelio, rozumiesz już, dlaczego musisz spalić ten list. Proszę, zrób to od razu i wyślij mi depezę pisząc, co o tym wszystkim myślisz. Jestem zdesperowana i potrzebuję Twojej rady. Musimy obmyślić jakiś plan.

Twoja zdesperowana i niemądra,  
Ciocia Belle

Trzy sterty płócien owiniętych w folię bąbelkową leżą na stole na zapleczu Markel G. Wszystkie dwadzieścia prac. Świeżutko dostarczone od ramiarza. Chociaż zaczniemy je wieszać dopiero za dwa dni, bo wtedy kończy się obecna wystawa, Kristi zależy, żeby wszystko było przygotowane dużo wcześniej.

Dotykam folii i przypominam sobie popołudnie, kiedy Aiden i ja odpakowywaliśmy *Kąpiel*. To takie straszne, że nie ma go tu z nami. Smutek wypełnia moje wnętrze. Intensywne kolory namalowanych przeze mnie obrazów przebijają się przez półprzezroczystą folię dokładnie tak samo, jak przebijały się kolory z płótna Degasa. Ale brakuje tamtego dreszczyku emocji. To, że jestem tu bez Aideną naprawdę boli. Tak samo jak to, że pracuję nad moją wystawą, jak gdyby nigdy nic się nie wydarzyło. I jakby wcale nie mogło być gorzej.

Chantal rozmawia z klientem. Od czasu aresztowania przychodzi ich tu coraz więcej. Kristi ma mi pomóc odpakować obrazy. Ale trudno jej znaleźć czas pomiędzy wieloma telefonami, jakie odbiera. Wszystkie udajemy, że Aiden wyszedł na spotkanie albo na lunch, że zniknął tylko na chwilę. Na wszelki wypadek nie wypowiadamy jego imienia.

W normalnych warunkach już dawno sama odpakowałabym wszystkie obrazy, oparła je o ściany, zaniósłabym parę do galerii żeby zobaczyć, gdzie będą najlepiej wyglądać. Zamiast tego siedzę na niestabilnym krześle z jednym podłokietnikiem myśląc o Virgilu Rendellu, który być może szantażował Belle. Jeśli mam rację, jego rodzina może być w posiadaniu *Po kąpieli*. I wcale niekoniecznie muszą wiedzieć, że praca jest autorstwa Degasa. Jeśli w ogóle Rendell miał jakąś rodzinę.

Dzwoni telefon.

– Jak się trzymasz, kotku? – pyta Rik.

– W porządku – mówię, ale mój głos brzmi dość marnie.

– Jestem z tobą. Wiesz o tym, prawda?

Gardło mi się zaciska i przez chwilę nie mogę nawet mówić.

– Wiem – szepczę w końcu. Czy byłby ze mną, gdyby wiedział, że miałam swój udział w całej sprawie?

Przez chwilę panuje głucha cisza, potem Rik pyta z udawanym entuzjazmem:

– Kupiłaś już sukienkę?

Wiem, że stara się być miły, że chce oderwać moje myśli od Aideny, ale sukienka to ostatnia rzecz, o jakiej chcę teraz rozmawiać.

– Wybrałam się na Newbury Street.

– I?

– Nic nie znalazłam.

– Przymierzyłaś coś?

Tak się boję pójść na galę odsłonięcia bez Aideny. Zamiast niego będzie mi towarzyszyć wielka pustka.

– Mam jeszcze czas.

– Jakies cztery dni. Włącznie ze Świętem Dziękczynienia.

– Kupię coś jeszcze dziś, jak tylko skończę to, co robię.

– Jeśli poczekaś do ósmej, pójdę z tobą.

Nie chcę, żeby szedł ze mną. Będzie opowiadać o tych wszystkich bogatych i sławnych gościach, o kucharzach-celebrytach, o Yo-Yo Ma z wiolonczelą, o holenderskich tulipanach. Czyli dokładnie o tym samym, o czym trąbią wszystkie media od jakiegoś tygodnia. Nie ma opcji, żeby ktokolwiek mówił o gali bez wspomnienia imienia Aideny. A ja i tak za dużo o nim myślę. I o tym, jak głupi oboje byliśmy.

– Nie, dzięki – mówię. – Jestem teraz w Markel G, więc po prostu zrobię to od razu, jak tylko stąd wyjdę.

– Widziałaś się z Aidenem?

Ściszam głos.

– Porozmawiamy później.

Rik waha się.

– A co powiesz na nową seksowną fryzurę, pasującą do nowej sukienki? – pyta tym samym nie do końca udanie entuzjastycznym tonem,

który ma na celu podniesienie mnie na duchu. – Nie pojechałaś w końcu do Canyon Ranch, więc może zafunduję ci fryzurę w Salon Arnaud? Jeśli chcesz robić PR wokół wystawy, nie ma nic lepszego niż świetna fryzura!

Łzy napływają mi do oczu. Zdarza mi się to ostatnio coraz częściej. To tylko wystawa. Jak powiedział kiedyś Isaac „to nie klinika dla chorych na raka”.

– Rik, mam teraz naprawdę dużo na głowie i... – wchodzi Kristi, więc natychmiast używam tego jako wymówki. – Muszę kończyć – mówię Rikowi. – Mam spotkanie.

– Limuzyna pojedzie po ciebie w sobotę około siódmej – mówi Rik i rozłączam się.

Kristi bierze dwie pary nożyczek, jedną przesuwając po stole w moim kierunku.

– Zobaczmy, co też zdołał Templeton w sprawie naszych cudeniek.

Nie mogę uwierzyć, że to ja namalowałam tak niesamowite obrazy. Podobnie jak świetna fryzura, dobre ramy potrafią dużo zmienić. Przez chwilę znikają moje troski, a mnie przepelnia radość. To ja je stworzyłam! Wszystkie. Moje dzieciątka wyglądają dumnie, mają w sobie tyle życia i piękna. A teraz wychodzą w świat. Ich przyszłość to wielka niewiadoma, ale zapowiada się dobrze!

Siedzę na podłodze w pokoju dziennym Sandry, tuż obok ostatniego kartonu. Przeglądam go od godziny i nic. W dzienniku Rendella nie ma nic więcej na temat Belle czy Amelii, nie znajduję też nic innego, co by do niego należało. Jest za to parę zdjęć Sandry z dzieciństwa. To jedna z tych niewielu kobiet, które pięknieją z wiekiem.

Wczorajszy wieczór spędziłam na przeglądaniu internetu w poszukiwaniu informacji o Rendellu. Niestety, poza tym, co już znalazłam, nie było tam dużo więcej. Nic na temat tego, czy się ożenił, czy miał dzieci, nic na temat jego kariery malarskiej. Tylko wzmianka, że był fałszerzem, który popełnił samobójstwo.



Wiem, że szansa znalezienia czegokolwiek, co do niego należało, jest już właściwie równa zeru, ale to wszystko, co mam. I wszystko, co mogę dać Aidenowi.

– Znalazłaś coś? – woła Sandra z kuchni, gdzie sieka warzywa na zupę na Święto Dziękczynienia.

Potrząsam głową.

– Żeby napisać porządny konspekt, potrzebuję konkretnych informacji o co najmniej pięciu artystach, a mam tylko trzech, może czterech. Naprawdę miałam nadzieję, że coś tu znajdę.

Uśmiech Sandry jest ciepły i pełen zrozumienia.

– A kogo już masz? – pyta.

– Tych samych, o których rozmawialiśmy ostatnio: Whistlera, Singera Sargenta i Ralpa Curtisa. Znalazłam też coś o Dennisie Millerze Bunkerze, ale to za mało. Nie mam nic na temat osobistych relacji Belle ze Smithem, Cramem czy Martinem Mowerem.

– Mogłabyś uzupełnić konspekt materiałami marketingowymi – proponuje Sandra. – Jeśli będą wyglądały jak coś, co się może sprzedać, wydawcy wystarczy spis treści z adnotacjami i trzy porządne rozdziały.

– Mówisz jak człowiek, który napisał już niejeden konspekt książki.

– Kiedy będziesz w moim wieku – mówi Sandra – okaże się, że zrobiłaś już praktycznie wszystko, co można, i to przynajmniej raz.

Przyciągam do siebie ostatnie pudełko. W środku każda rzecz, każda ulotka, każdy plik związanych kokardką listów pochodzi z lat trzydziestych i czterdziestych XX wieku. Z początku byłam ciekawa zawartości każdego kartonu, ale teraz nie obchodzą mnie już zasuszone kwiatki, które jakaś panna dostała od ukochanego, którego prawdopodobnie poślubiła, by następnie spędzić z nim ponad pięćdziesiąt lat. Wyciągam rzeczy z kartonu i rzucam na dywan, ale zatrzymuje mnie poczucie winy. Nie chciałabym, żeby Sandra pomyślała, że nie mam szacunku dla historii jej rodziny. Zaczynam więc odkładać wszystko delikatniej. Ale Sandra jest tak zajęta siekaniem warzyw, że wydaje się w ogóle nie zwracać na mnie uwagi.

Nagle widzę coś, co wygląda jak szkicownik. Przypominam sobie, że do tej pory wszystko, co znalazłam w kartonie, jest datowane na długo po śmierci Rendella i że nie mam powodu, aby przypuszczać, że znajdę tu cokolwiek innego, co mogło do niego należeć. Wyciągam zeszyt, przecieram kurz z okładki. W górnym rogu widnieje małe „VR”, zupełnie takie samo, jak w dzienniku, który odnalazłam wcześniej. Trzymam go mocno, patrzę na Sandrę, która sieka cebulę z dynamiką godną Julii Child, i otwieram go.

Pierwsza część skoroszytu pełna jest krajobrazów, kolejne strony zawierają szkice do portretów starszej kobiety i czterech młodszych dziewczyn, prawdopodobnie jej córek. Potem są akty. Te wcześniejsze są delikatne, zmysłowe i piękne. Ale kiedy przewracam strony, ciała stają się coraz mocniej zbudowane i bardziej szorstkie.

Dochodzę do dwóch szkiców kompozycyjnych, usytuowanych naprzeciw siebie na sąsiadujących stronach. We włosach czuję pot, a fala ciepła rozplywa mi się po całym ciele. Mrugam oczami, pewna, że to, co widzę, to wynik desperacji połączonej z głupią nadzieją. Znow mrugam. Nadal tam są.

Na rysunku po prawej, po dwóch stronach stojącej Jacqueline siedzą Simone i masywna Françoise. Dokładnie tak samo, jak w *Po kąpieli* Aideny i w mojej *Kąpieli II*. Ale po stronie przeciwnej, delikatna nie-Françoise stoi naprzeciw Jacqueline, a Simone kuca skulona u jej stóp, zupełnie jak w szkicowniku Degasa. W głowie mam pustkę, a pokój wokół mnie zdaje się rozmywać.

Jak przez sen słyszę skwierczenie cebuli wrzuconej na gorący olej. Wdycham jej ostry, słodkawy zapach, ale nie mogę nabrać tchu. Patrzę na otwarty szkicownik leżący na moich kolanach z niedowierzaniem, niepewna, co teraz robić. Stuk stuk stuk – słyszę nóż Sandry. Znow skwierczenie. Może to seler. Powolutku wkładam porozkładane przedmioty z powrotem do kartonu, ale zatrzymuję szkicownik. Chociaż rysunki wydają się potwierdzać moją teorię, że oryginał *Po kąpieli* naprawdę istniał i że to Virgil Rendell namalował kopię, którą przyniósł mi

Aiden, nie mogę być tego w stu procentach pewna, dopóki nie porównam szkiców Rendella ze szkicami kompozycyjnymi Degasa.

W panice próbuję wymyślić sposób, w jaki mogłabym zabrać szkicownik Rendella do domu. Sandra na pewno nie zorientowałaby się, gdybym go po prostu włożyła do plecaka, więc taka opcja jest dość kusząca. Ale pomimo moich szalonych przygód po złej stronie mocy, nie mogę się na coś takiego zdobyć. Wstaję i mówię drżącym głosem:

– Niestety, nic nie znalazłam.

– Och, Claire – Sandra nadal sieka, ale patrzy na mnie ze smutkiem. – Przykro mi.

– Trudno. Tak to jest z poszukiwaniami materiałów historycznych. Może po prostu cała ta książka to nie najlepszy pomysł.

Ożywia się.

– Jeśli wystawa w Markel G odniesie sukces, pisanie książki będzie ostatnim, o czym będziesz myśleć. – Teraz marszczy brwi. – Och, taka szkoda Markela. Taki przystojny młody człowiek. Czy jego aresztowanie będzie miało jakiś wpływ na twoją wystawę?

– Póki co wszystko idzie zgodnie z pierwotnym planem. Ma bardzo utalentowane asystentki, które robią kawał dobrej roboty. Możesz wierzyć lub nie, ale od czasu, gdy to wszystko się wydarzyło, ruch w galerii wzrósł dwukrotnie. Może nawet trzykrotnie. Podobnie sprzedaż. – Próbuję brzmieć entuzjastycznie, ale Sandry nie nabiorę. Jej oczy pełne są współczucia.

– Uwierz starej kobiecie: nawet, jeśli to ci nie wyjdzie, wyjdzie ci coś innego. Tak to już jest.

Podnoszę szkicownik Rendella.

– Znalazłam ciekawe szkice – mówię. – Brak podpisu albo czegokolwiek, ale są naprawdę fajne...

Dorzuca oregano do zupy, próbuje, dorzuca więcej.

– Czy mogłabym je zabrać ze sobą? Na dzień lub dwa? Chciałabym porządnie się im przyjrzeć.

Patrzy na szkicownik.

– Sama nie wiem...

– Będzie w dobrych rękach, obiecuję – proszę, mając nadzieję, że jej współczucie przełoży się na „tak”.

Waha się. Potem wzrusza ramionami.

– Jasne. Pewnie. Może pomoże ci to trochę uporać się z rozczarowaniem.

– Dzięki! – wkładam szkicownik do plecaka i wychodzę, zanim zmieni zdanie.

Kiedy jadę na Copley Square, nawet nie otwieram plecaka. Trzymam go przy piersi. Chcę poczekać, aż wrócę do studia, aż znajdę szkice kompozycyjne Degasa. Szkice nie-Françoise. Szkice jej zmienionej pozycji względem tego, co widnieje na obrazie. Patrzą przez okno na korek na Huntington Avenue i staram się nie myśleć o tym, co mam, albo czego może nie mam. I o tym, czy pomoże mi to uratować Aidenę.

W domu przeszukuję stopy książek, żeby znaleźć „Edgar Degas: szkice i rysunki, 1875 – 1900”. Szybko natrafiam na to, o co mi chodzi. Otwieram szkicownik Rendella. Kładę książki obok siebie na podłodze i wznoszę wzrok do sufitu. Nie wiem, czy zniosę, jeśli okaże się, że wszystko to sobie tylko wymyśliłam. Opuszczam wzrok, żeby spojrzeć na szkice kompozycyjne Degasa. Są prawie identyczne jak te z lewej strony szkicownika Rendella: Jacqueline, Simone i nie-Françoise. Nie-Françoise jest malutka, delikatna, jej talia bardzo szczupła. Stoi, a nie siedzi, czym diametralnie zmienia kompozycję *Po kąpieli* z symetrycznej na niesymetryczną, tak lubianą przez Degasa.

Patrzą znów. I znów. Nie mam wątpliwości.

Oto mój prywatny kamień z Rosetty. Mój i Aideny. Przynajmniej mam nadzieję, że tym właśnie się okaże.

– Prosiłem, żebyś tu nie wracała – mówi Aiden, ale nie może powstrzymać uśmiechu.

Ośmielam się spojrzeć na jego ręce i widzę, że nadal ma dziesięć palców, z których jeden ciągle jest w opatrunku.

– Ile mamy jeszcze czasu?

Patrzy mi w oczy, a jego uśmiech znika.

– Tydzień, może dwa – mówi głosem bez wyrazu. – Dlatego właśnie musisz już iść.

„Tydzień”.

– Muszę ci coś powiedzieć.

Znów siedzę w pokoiku wielkości kabiny prysznicowej, ale w innym niż poprzednim razem. Wiem, że to inny, bo zamiast numeru 35A nad drzwiami widnieje 22A. Wszystko pozostałe jest dokładnie takie samo: przegrzanie, niedziałający zegar, klaustrofobiczna bliskość ścian.

– To coś pozytywnego, nawet bardzo – mówię. – Mam dowód na to, że obraz, który przyniosłeś do mojego studia, był fałszerstwem.

– Nie, nie był – powiedział. – Wiem, skąd pochodził. Został poddany autentyfikacji.

– Podobnie jak *Kąpiel II*.

Zaciska żuchwę.

– To niemożliwe.

– Szkice kompozycyjne Degasa do *Po kąpeli* nie zgadzają się z kompozycją obrazu, który mi przyniosłeś.

– I co z tego? Jak wiele skończonych obrazów zgadza się z początkowymi szkicami? Artyści lubią zmieniać zdanie. Sztuka zmienia się w momencie, gdy jest tworzona. Dobrze o tym wiesz.

Ostrożnie dobieram słowa.

– Posiadam szkice zrobione przez znanego fałszerza. Niektóre z nich są identyczne jak rysunki kompozycyjne Degasa, a niektóre dokładnie takie, jak skończony obraz.

– Co to za fałszerz?

– Virgil Rendell.

– Nigdy o nim nie słyszałem.

– Znał Isabelle Gardner, chociaż nie należał do jej kręgu. Wygląda na to, że w którymś momencie się pokłócili.

– Claire, za dużo szczegółów.

– Myślę, że Rendell ukradł oryginalny obraz albo zemścił się na Belle zmuszając ją, by powiesiła jego kopię jako obraz Degasa. Jeśli tak naprawdę było, rodzina Rendella najprawdopodobniej wciąż posiada oryginał. Więc jeśli go odnajdę, udowodnię, że twój obraz był tylko kopią, a ten, który znaleziono przy Patelu, był kopią kopii. Dokładnie tak, jak sam twierdzi.

– Obraz, który ci przyniosłem, nie był kopią – Aiden zaciska palce na małej półeczce, a jego knykcie robią się białe. – Wisiał w Gardner Museum przez prawie sto lat.

Staram się mówić w sposób bardzo wyważony.

– Jeśli odnajdę obraz, udowodnię, że *Kąpiel* jest fałszerstwem.

– Nie jest.

Ciągnę, jakby wcale tego nie powiedział.

– A jeśli to prawda, wtedy zarzuty wobec ciebie mogą zostać podważone. Jeśli obraz Patela okaże się potwierdzoną kopią, a FBI założy, że złodzieje ukradli prawdziwego Degasa, wówczas nie będzie żadnego przewożenia ani sprzedaży skradzionych dóbr. Nie będzie też przestępstwa. Nie będzie związku z wielką kradzieżą. A twój prawnik...

Bierze głęboki oddech i widzę, że stara się uspokoić.

– Nawet, gdyby to wszystko było prawdą, którą nie jest, to jeśli ten obraz został skradziony z muzeum, to niczego to nie zmienia.

– Aiden, nie słuchasz mnie. Wcale nie musisz mieć racji. Wystarczy przecież luka prawna. Argument, którego może użyć twój prawnik, żebyś mógł wyjść za kaucją. Chociaż na chwilę.

Oboje patrzymy na jego prawą rękę, którą trzyma na kolanach.

– Dlaczego jesteś taka pewna, że *Po kąpieli* to nie praca Degasa. Że to nie jest oryginał?

Nareszcie mnie słucha.

– Od początku podejrzewałam, że to kopia.

– Podejrzewałaś i nic mi nie powiedziałaś? Dlaczego trzymałabyś taką rzecz w tajemnicy?

– Teraz musimy się skupić na odnalezieniu obrazu. Resztę opowiem ci później. Po prostu mi zaufaj. Teraz, gdy mam szkice...

– To chore. To szaleństwo. Nie wiemy, czy ten cholerny obraz w ogóle istnieje. I czy istniał kiedykolwiek. A nawet jeśli istnieje, nie mamy pojęcia, gdzie może być.

Widzę, że mimo wszystko przeszedł na liczbę mnogą. To znaczy, że powoli dojrzewa do mojego pomysłu.

– Mam pewne podejrzenia – mówię. – Na temat Rendella. Jego życia, rodziny. Jego związku z Belle i jej siostrzenicą.

– To gra niewarta świeczki.

– A co mamy do stracenia? – Wstaję i przyciskam dłoń do szkła. – A jak wiele do zyskania.

Aiden przykłada wszystkie palce swojej prawej ręki do mojej. Desperacja spotyka się z desperacją.

Opuszczam więzienie, łapię taksówkę i dzwonię do Rika, żeby spytać, czy możemy się spotkać na drinka, jak już skończy pracę.

– Nie dam rady – mówi. – Jestem zawałony robotą związaną z galą. Może uda mi się wpaść do Jake'a około dziewiątej. Albo dziesiątej.

– A jeśli przyjdę do ciebie z kawą? Mam szybkie pytanie związane z pracą. Zajmie mi to dosłownie parę minut.

– Podwójne cappuccino grande z odtłuszczonym mlekiem. Podwójny cukier.

Taksówka wyrzuca mnie pod Starbucksem naprzeciw Gardner Museum. Kupuję kawę dla Rika i wchodzę do środka. Wnętrze pełne jest

kontenerów i kartonów: są tu kucharze, firmy konstruktorskie, elektrycy, hydraulicy, nawet projektanci szaf. Po budynku kręcą się robotnicy, niektórzy uzbrojeni w sprzęt *high-tech*, inni przenoszący kable, drewniane bele albo krzesła poustawiane jedno na drugim. Wysłałam sms-a do Rika, a on schodzi do mnie na dół.

Stajemy blisko wejścia. Rik nachyla się do mnie przez blat recepcji.

– To szaleństwo. Ten pośpiech jest naprawdę bez sensu – mamrocze. – Takie wielkie przedstawienie wymaga lat przygotowań, a nie miesięcy.

Podaję mu kawę.

– Ale przecież jesteś tym zachwycony.

– Nie zaprzeczam – Rik wsypuje cukier do kubka i bierze dużego łyka. – Ale jestem też totalnie przysypany robotą. Powiedz, jakie masz pytanie?

– Słyszałeś kiedyś o fałszerzu o nazwisku Virgil Rendell?

Horda elektryków próbuje przejść przez wąskie przejście, więc wciskamy się w ścianę, żeby zrobić dla nich miejsce.

– Brzmi znajomo – mówi Rik. – Kim jest?

– Raczej kim był. To malarz działający pod koniec XIX wieku. Był zakochany w siostrzenicy Belle, Amelii. Namalował jej piękny portret, który widziałam w domu Sandry Stoneham. Wygląda na to, że w którymś momencie mocno pokłócił się z Belle. Wydaje mi się, że poszło o to, iż ta zmusiła Amelię, by poślubiła kogoś innego.

– I mówisz mi to wszystko, bo...?

– Jego styl malowania jest bardzo podobny do stylu Degasa i zastanawiam się, czy przypadkiem nie pracowali oni razem przez jakiś czas. – Muszę przerwać, bo właśnie wwożą dwa gigantycznie głośniki. – Miałam nadzieję, że będziesz w stanie zdobyć dla mnie taką informację.

– Pracujesz na książkę? Nie masz przypadkiem za dużo roboty?

– Nic już nie maluję. Jestem mocno poddenerwowana wystawą i potrzebuję czegoś, żeby się oderwać. A jeszcze do tego ta sprawa Aideny...

– Jak sobie radzi?

– Nie za dobrze.

– Przykro mi, kotku – Rik dotyka mojego policzka. – Kiedy to wszystko się skończy, będziemy mieli więcej czasu dla siebie.



– Po prostu potrzebuję czegoś, żeby zająć moje myśli.

– Przepraszam państwa – mówi poważnym głosem mężczyzna w poważnym kombinezonie. – Musimy zabezpieczyć tę przestrzeń. Czy mogę zobaczyć wasze identyfikatory?

Rik pokazuje mu swoją przepustkę, ale kiedy ja zaczynam przeszukiwać plecak, zatrzymuje mnie.

– Niestety, proszę pani, ale tylko pracownicy muzeum i akredytowani dostawcy mogą przebywać w tym budynku.

– Przykro mi – mówi Rik, kiedy wyprowadza mnie na zewnątrz. – Ale nie mam czasu, żeby ci teraz pomóc. Może po gali. Teraz wszystko oszalało. Łącznie ze mną. – Mruży oczy. – I myślę, że z tobą też.

Musimy zejść z chodnika, żeby zrobić miejsce dla czterech krzepkich mężczyzn ze słuchawkami w uszach.

– Ci ochroniarze są chyba najgorsi ze wszystkich – narzeka Rik. – Rozchodzą się po całym budynku i włożą każdemu w drogę. Sprawdzają każdą szafę i skrytkę. Boją się motłochu, który przyjdzie na galę. Takiego jak ty i ja. Słyszałem, że okablowali miejsca, o których istnieniu nikt nie wiedział. – Daje mi szybkiego buziaka i pośpiesznie wraca do biura.

Rozczarowana, choć raczej nie zaskoczona, patrzę, jak znika. Chociaż jest już ciemno, a temperatura waha się w okolicach pięciu stopni, mijam przystanek tramwajowy i ruszam przez tętniący życiem kampus Northeastern, z którego właśnie ewakuują się studenci na czas Święta Dziękczynienia.

Zatrzymuję się przy przystanku Ruggles T, tuż przy kampusie. Rozważam, czy nie wsiąść w Orange Line. Będzie szybciej, cieplej i łatwiej, ale jednak muszę jakoś zużyć pokłady wypełniającej mnie energii. Mijam przystanek i wchodzę po schodach prowadzących na parking, które służą też jako przejście do Columbus Avenue. Omijam piszczące samochody spieszące się na wakacje i kieruję się w stronę South End.

„Tydzień. Może dwa” powiedział Aiden. Idę Massachusetts Avenue, mijając głośnie autobusy i ogłuszające ciężarówki, rozważając różne scenariusze. Jeśli Rendell to ślepa uliczka (przynajmniej na razie), to może powinnam spojrzeć na sprawę oczami Belle. Jeśli moja teoria na temat

szantazu jest prawdziwa, może część ugody między nimi zawierała w sobie obietnicę, że Belle ukryje gdzieś oryginał.

„Sprawdzają każdą szafę i skrytkę”, powiedział Rik. „Słyszałem, że okablowali miejsca, o których nikt nie wiedział, że istnieją”. A Sandra Stoneham narzekała, że wszystko, co kiedykolwiek należało do Belle, znajduje się teraz w muzeum.

Kiedy wchodzę do domu, natychmiast dzwonię do Rika.

– Wiem, wiem, jesteś bardzo zajęty i nie powinnam ci przeszkadzać, ale naprawdę potrzebuję tej jednej, jedynej rzeczy. Będę ci wdzięczna do końca życia. Zrobię cokolwiek chcesz. Będę to robić do końca twoich dni.

Westchnięcie Rika jest długie i teatralne

– O co chodzi?

– Wiesz, że studiowałam kiedyś architekturę?

– Claire, błagam...

– Nieważne. Chodzi o to, że chcę zrobić nowy cykl płócien poświęcony architekturze muzeów.

– Obrazy muzeów? Nie brzmi jak coś, co mogłoby cię zainteresować.

– Nie mówię o takich zwykłych muzealnych wnętrzach, ale o najmniej znanych zakątkach i zakamarkach, które je definiują. O szczegółach, które zostały starannie zaplanowane przez architektów. Których większość ludzi nawet nie dostrzega, a które sprawiają, że dany budynek jest inny niż wszystkie. Bo nadają mu unikalne znaczenie i osobowość. – To wcale nie taki zły pomysł. – Wiesz, chodzi znów o to, co widzialne i niewidzialne, ale z nowym tematem przewodnim. Budynek zamiast ludzi. Ale nie byle jakie budynki, tylko takie, które są często odwiedzane.

– A co z książką o Degasie?

– Ach, tak, jeszcze to. Będę robić obie rzeczy naraz.

– Claire, zaczynam się o ciebie trochę martwić.

– Wszystko jest ok, naprawdę. Ale zastanawiałam się, czy masz może dostęp do oryginalnych, skopiowanych oczywiście, planów muzeum. Bo

które muzeum jest bardziej interesujące z punktu widzenia architektonicznego niż właśnie Gardner? Które ma więcej osobowości?

Zdesperowany Rik mówi, że prześle mi coś mailem, jeśli przysięgnę, że nie usłyszy już ode mnie słowa aż do czasu gali.

Mail przychodzi dopiero dwa dni później. Włożyłam gigantyczny wysiłek w to, by do niego nie dzwonić i nie pospieszać. Widzę, że wysłał go o 3:42 w nocy.

*Sorki, że tak dużo tu załączników, ale okazuje się, że Belle nieustannie zmieniała specyfikację, co generowało kolejne rysunki i plany. Niektóre z nich są przedawnione, inne nie. Trudno powiedzieć, które to te ostateczne. Myślę, że musiała doprowadzić architektów i budowniczych do wariactwa. Typowe. Przypomina mi trochę Ciebie. Xooox*

Otwieram pierwszy załącznik. Każdy rysunek jest trudniejszy do zrozumienia niż poprzedni. Praktycznie wszystkie są źle zeskanowane. Wiele ozdobionych jest zawijasami tak, że stały się nieczytelne. A niektóre, te nabazgrane ołówkiem, wyglądają jak plamy. Drukuję je wszystkie, podnosząc kontrast na drukarce. Trochę to pomaga, ale niewiele.

Dobrze, że w czasie studiów spędziłam tyle czasu pochylona nad stołem kreślarskim. Nie ma mowy, żeby jakieś niewprawne oko cokolwiek z tego zrozumiało.

Używam szkła powiększającego i przyglądam się pierwszej stronie. To rysunek dziedzińca, ale skupia się bardziej na dekoracjach niż na architekturze. Są tu szkice stylobatów z lwami, mozaik i różnych kolumn na marginesach. Odkładam szkło powiększające i patrzę przez okno. Ukryte miejsce, które niełatwo odnaleźć. Wystarczająco duże, żeby pomieścić obraz o wymiarach metr dwadzieścia na półtora, ale wystarczająco małe, żeby mogło zostać niezauważone. Żeby wyglądało, jak coś zupełnie innego.

Znów biorę szkło powiększające i podejmuję moje poszukiwania. Dwie godziny później nie mam nic nowego, prócz pulsującej od bólu głowy. Wstaję, rozciągam się, biorę parę pastylek paracetamolu. Zastanawiam się, czy nie pójść do Jake'a. Nie byłam tam od wieków. Jednak nie. Zbyt dużo

mówi się tam o Aidenie, zbyt dużo o mojej wystawie. Zbyt dużo tam bezmyślnie niewrażliwych komentarzy Danielle.

Wpatruję się w plan Fenway Court. Podobnie jak Back Bay i South End, Fenway wzniesione zostało na ziemi naniesionej przez człowieka. W efekcie muzeum wznosi się na wielkich palach przechodzących przez trzydziestometrowe wypełnienie aż do skały poniżej. Niesamowite osiągnięcie architektoniczne. Chociaż proces budowy prawdopodobnie nie różnił się aż tak bardzo od tego, jak zostało wybudowane weneckie *palazzo*, które było dla niego wzorem. Z tą różnicą, że w Wenecji takie pale musiały przebijać się przez wodę.

Trzydzieści metrów usypanej ziemi. Czy może być lepsze miejsce na tajemną komnatę? Znow przeoglądam wszystkie plany, szukam rysunków podziemia. Kiedy je znajduję, śledzę każdą linię przesuając po niej palcem. Nadal nic.

Nagle zauważam mały rysunek w rogu jednego z planów. „Dolna piwnica” mówi podpis pod szkicem wnętrza, które zajmuje ułamek powierzchni podziemia. Wygląda na to, że pod wschodnią ścianą dolnej piwnicy jest malutka wnęka, zamknięta drzwiami prawie tak dużymi, jak całe jej wnętrze. Wystarczająco dużymi, by pomieścić duże płótno. Dostatecznie odizolowanymi, żeby ukryć tajemnicę.

Mam wrażenie, że pada od początku świata. Stoję w oknie ubrana w moją nową sukienkę i z modną fryzurą na głowie. Patrzę na przemoknięte ulice i czekam na Rika i jego limuzynę z Gardner Museum. Szukam jakiejś wiarygodnej wymówki, dla której mogłabym poprosić o dostęp do tajemnego schowka Belle. Najbardziej chciałabym przegadać to z Rikiem, ale nie chcę stawiać go w trudnej sytuacji. Może w czasie gali wpadnie mi do głowy jakiś dobry pomysł.

Pod mój budynek elegancko zajeżdża długa, biała limuzyna. Wychodzi z niej wytwornie ubrany kierowca z parasolem. Czeką na mnie, żebym nie zmokła. Kiedy schodzę powoli po schodach w zdecydowanie za wysokich szpilkach, myślę o słynnym popołudniu w MoMA, kiedy to stałam naprzeciw 4D, patrząc na mały biały kartonik z nazwiskiem Isaaca. Pocieszam się, że tym razem będzie inaczej. Nikt nie robi tu ze mnie głupka. A nazwisko Degasa przypisane do mojego obrazu jest nawet, w jakimś stopniu, osiągnięciem.

– Cudowna fryzura – wykrzykuje Rik, jak tylko wsadzam głowę do limuzyny. Jest mocno wycieniowana, z refleksami, do tego pełna i lekko podkreślona grzywka. – Pozwól mi jeszcze spojrzeć na sukienkę – domaga się.

Siadam na długim siedzeniu naprzeciw niego i rozpinam płaszcz, żeby pokazać sukienkę w kolorze lapis lazuli, którą znalazłam w pobliskim *second-handzie* dziś rano. Niektóre z jej poszarpanych brzegów sięgają mi do ud, inne do kostek. Była w komplecie z „oszałamiającą wieczorową marynarką” w kolorach lapis lazuli, fioletowym i głęboko czerwonym. Jest większa niż bluzeczka i kosztowała całe pięćdziesiąt dolarów.

– Wygląda lepiej, gdy stoję.

– Wygląda też zupełnie rewelacyjnie, gdy siedzisz – starszy mężczyzna obok Rika patrzy na moje nogi.

Zapinam kurtkę.

Rik nalewa mi kieliszek szampana i przedstawia współpodróżnikom. Nie wspominając nazwy galerii, opowiada im o mojej wystawie, a ja staram się być tak czarująca, jak chciałby tego Aiden. Ale nie mogę zebrać się na entuzjazm. Patrząc przez okno, jak mkniemy cicho przez zalane deszczem ulice i myślę o Aidenie w więziennym uniformie. A przecież powinien być teraz w smokingu.

Przed muzeum stoi rząd limuzyn otoczony reporterami i fotografami trzymającymi parasole oraz kamery i mikrofony. Do wejścia prowadzi czerwony dywan. Każdy gość wzbudza zainteresowanie mediów. Rik nie żartował. Gardner Museum poszło na całość.

Większość popołudnia spędziłam na analizowaniu planów muzeum, więc gdy tylko wchodzę do środka, rozglądam się, żeby zrozumieć, jak dokładnie położony jest budynek. Dolna piwnica znajduje się dwa piętra poniżej, po lewej stronie, wejście do podziemi zaś w połowie budynku, po prawej.

Goście rozchodzą się po krużgankach północnych, wschodnich i zachodnich, których weneckie łuki otaczają dziedziniec. Znajdujący się w samym środku ogród jest teraz w pełnym rozkwicie: tak zielony i bujny w porównaniu do panującej na zewnątrz okropnej szarości, że od patrzenia aż bołą oczy. Kelnerzy w smokingu roznoszą szampana, a kwartet smyczkowy gra gdzieś w rogu. Jest cudownie, ale zdecydowanie za dużo tu ludzi, by każdy mógł obejrzeć obraz powieszony w malutkim pomieszczeniu. Schody prowadzące do Małej Galerii są odgrodzone sznurem, a goście stojący we wschodnich krużgankach już ustawiają się w kolejce, żeby tam wejść.

– Jak to będzie w ogóle wyglądało z takim tłumem ludzi? – pytam Rika.

Wskazuje na zakryty obraz, stojący na postumencie na samym środku dziedzińca. Staram się ukryć westchnięcie. Jest nie dalej jak parę metrów ode mnie, ale jakoś nie zauważyłam go wcześniej. Albo nie chciałam zauważyć.

Rik patrzy na zegarek.

– Za parę minut dyrektorka odsłoni *Po kąpieli*. Powie parę słów, a potem wniesie obraz do Małej Galerii.

– A my pójdziemy za nią jak owce?

– Nie. My będziemy czekać – marszczy nos. – Jak tylko obraz będzie powieszony, nie wcześniej, bo galeria jest za ciasna, pójdziemy na górę w ustawionych wcześniej grupach, żeby zobaczyć to cudo w miejscu, do którego należy. A film z wieszania będzie można obejrzeć w czasie kolacji.

Zagryzam wargi. Będę musiała udawać, że nie widziałam płótna od ponad dwudziestu lat.

– Nie wyglądasz na zbyt podekscytowaną. Myślałem, że *Po kąpieli* to jeden z twoich ulubionych obrazów. Że Degas to twój idol. Że będziesz szczęśliwa... – marszczy się jeszcze bardziej. – Oj, zamknij się, Rik – upomina samego siebie. – Jesteś idiotą. Wybacz, kotku, nie pomyślałem. Aiden. Oczywiście. Miał tu przecież...

– Wszystko w porządku. Naprawdę się cieszę, że tu jestem – biorę kilka głębokich, oczyszczających oddechów.

Obejmuje mnie.

– Przykro mi, że musisz przez to wszystko przechodzić. Naprawdę.

– Jest okej – przekonuję go i rozglądam się w poszukiwaniu czegoś, co odwróci naszą uwagę. Ale zanim cokolwiek znajduję, błyskają światła, kwartet przestaje grać, a w pokoju zapada cisza.

Alana Ward, dyrektorka muzeum, kroczy wzdłuż alejek dziedzińca, a więc w miejscu, gdzie żaden śmiertelnik nie może normalnie przebywać. Chociaż ma na sobie ładnie skrojoną sukienkę koktajlową, jej marynarka zapięta jest zbyt wysoko, a buty są zbyt niskie. Ciekawe, że kobieta, która całe życie poświęciła sztuce może być aż tak mało zainteresowana własnym wyglądem. Ale według Rika robi niesamowitą robotę dla muzeum i wytrwale walczy o to, w co wierzy. Co ponoć niekoniecznie znaczy, że pracuje się tam spokojnie.

Alana staje tuż przy obrazie.

– Chciałam wam wszystkim podziękować za to, że przybyliście, by celebrować ten podniosły moment w życiu Isabella Stewart Gardner Museum.

Głośny aplauz, parę gwizdów, dość zaskakujących, biorąc pod uwagę klasę tu obecnych. Ale nawet Alana wygląda, jakby sama miała ochotę zagwizdać ze szczęścia. Po paru minutach przewidywalnej przemowy na temat zaginionego arcydzieła i tego, jak jego powrót uszczęśliwiłby Belle, Alana dramatycznie milknie. Zapada cisza.

Serce zaczyna mi walić jak dzwon. Domyślam się, że wokół mnie wiele innych serc bije teraz szybciej, ale moje zachowuje się tak z zupełnie innego powodu.

– To już – szepcze niepotrzebnie Rik. Widzę, jak bardzo jest podekscytowany.

– Nie widziałeś go jeszcze? – pytam zaskoczona.

Klaszcze w dłonie.

– Praktycznie nikt go nie widział.

Alana zrywa aksamitną zasłonę.

Słysząc głośnie westchnienie. Zaraz potem wszyscy klaszczą. Niektórzy znów gwizdzą. Ja patrzę w podłogę.

Rik przyciska rękę do piersi.

– Och – mówi, a jego długie rzęsy są mokre od łez.

Alana wyciera oczy chusteczką i zauważam, że jestem jedną z niewielu osób, która nie płacze. Wszyscy inni wierzą, że arcydzieło Belle wróciło właśnie do domu, i są podwójnie wzruszeni widokiem ukochanego, tragicznie zaginionego dzieła sztuki.

Gardłowy krzyk, który brzmi jak „nie” wyrywa się z moich ust.

– Claire – Rik chwyta mnie za ramię, kiedy się na niego osuwam. – Co się...?

– Wszystko w porządku, w porządku – mówię szybko, odpychając się od niego. – To tylko... To ten obraz. Jest niesamowity. Rysowałam go, kopiowałam, gdy byłam małą dziewczynką...

– Więc to jednak jest jedno z twoich ulubionych płócien – Rik wskazuje na granitową ławeczkę. – Usiądźmy. Przyniosę ci wodę.

Próbuję się uspokoić, ale ciężko mi stać, bo całe pomieszczenie wiruje wokół mnie.

– Nie trzeba. Naprawdę.



Ale mnie nie słucha. Kiedy sadza mnie na ławce i odchodzi szukać wody, odwracam się tak, by nie patrzeć na obraz. Na szczęście woda trochę mi pomaga.

– Sama nie wiem, chłopie – mówię Rikowi. – Chyba powinienesz załatwić sobie jakieś inne towarzystwo.

– Jesteś chora?

– Nie. Ale kręci mi się w głowie. Trochę mi niedobrze.

Dotyka ręką mojego czoła.

– Gorączki nie masz – mówi, a potem patrzy na mnie uważnie. – Kiedy ostatnio się porządnie wyspałaś?

– Dość dawno, ale...

– I pewnie nie zjadłaś dziś za dużo. – Patrzy na mnie surowym, rodzicielskim wzrokiem. – A ile wypiałaś szampana?

Uśmiecham się zmieszana.

– Mimo wszystko uważam, że będzie lepiej, jak zamówię taksówkę i wrócę do domu.

Wstaje.

– Nie pozwolę, żebyś straciła okazję zobaczenia, jak twój ukochany obraz wraca na swoje miejsce. Zostań tu i pij wodę. Ja znajdę Alanę i poproszę, żeby ustawiła nas w pierwszej grupie. Nie będziesz musiała czekać w kolejce.

– Poważnie, nie trzeba! – wołam za nim. Ale on mnie nie słucha.

Zastanawiam się, czy po prostu nie wymknąć się i nie złapać taksówki zanim wróci. Zadzwońię do niego już z domu i przeproszę. Uwierz mi. Przecież mówiłam, że nie czuję się najlepiej. Ale zanim udaje mi się to zrobić, znów stoi przede mną.

– Już wyglądasz lepiej – wyciąga rękę, żeby pomóc mi wstać. – Idziemy, pani Roth, czekają na nas.

Pozwalam mu się ciągnąć przez tłum.

– Prawda jest taka – mówi – że to doskonała wymówka, aby wejść tam w pierwszej grupie. Zajmie dobrych parę godzin, zanim wszyscy obejrzą obraz. Więc całkiem fajnie się złożyło, że się źle poczułaś. – Zaciera rękę.

W połowie drogi na drugie piętro tłum się zatrzymuje. Patrzą w tył: ludzie cisną się aż do krużganka hiszpańskiego. Poza parterem, każdy poziom muzeum to koło otaczające dziedziniec. Dzięki otwartym łukom ogród można zobaczyć praktycznie z każdego miejsca. Podobnie jak przeciwległe sobie galerie. Schody na górę znajdują się po stronie zachodniej, a galerie przechodzą jedna w drugą, aż w końcu dochodzą znów do schodów. Tu, gdzie stoimy ściśnięci w tłumie, nie ma opcji zejścia w dół. Możemy tylko piąć się w górę.

Rik patrzy na ludzi przed nami.

– Na oko potrwa to około pół godziny.

To daje mi trzydzieści minut, żeby się uspokoić, albo trzydzieści minut, by kompletnie spanikować.

– Są gorsze miejsca na stanie w kolejce – mówię, próbując iść w uspokajanie się. – Przynajmniej mamy na co patrzeć.

Rik mnie przytula.

– Widzę, że już się lepiej czujesz.

Patrzą na tłum ozdobiony biżuterią i eleganckimi strojami, szczęśliwy, że oto doświadcza tak podniosłego momentu. Zalewa mnie fala samotności. Pragnę, by to Aiden stał obok mnie. Próbuję skupić się na sztuce. Niestety, renesans włoski nie należy do moich ulubionych. Podobnie jak bogato zdobione meble, które wypełniają galerię. Jest tu co prawda piękny Pesellino, *Triumfy Miłości, Czystości i Śmierci*, ale gdy na niego patrzą, widzą tylko zło śledzące dobro. Jest Bellini, *Siedzący skryba*, wspaniały, ale tak poważny i tak dobry, że samo patrzenie na niego sprawia, iż czuję się winna. Prawie wszystkie obrazy w tym pokoju są religijne, pobożne i sprawiedliwe. Biada grzesznikom...

– A co Belle myśli o tym wszystkim? – pytam.

Rik chichocze.

– Od kiedy to wierzysz w życie po życiu?

– To chyba przez te religijne obrazy.

– Myślę, że ciężko nie wyobrazić sobie jak patrzy teraz na swoje muzeum, jak jest ciągle obecna i jak upewnia się, że wszystko jest tu robione tak, jak sama by tego chciała. Ale prawdę mówiąc myślę, że nadal

byłaby wkurzona całym tym napadem, a powrót jednego ze skradzionych obrazów wkurzyłyby ją jeszcze bardziej, bo przypomniałby jej o nieobecności pozostałych.

Szczególnie jeśli wiedziałyby, że obraz, który powrócił, jest kopią. Chwytam Rika za rękę i przechodzimy przez Pokój Rafaela.

– Jeszcze tylko jedna galeria.

Pokój Rafaela jest większy i jaśniejszy niż Pokój Włoski. Co przyjmuję z ulgą. Chociaż też wypełniony jest sztuką religijną. Nawet cudowny *Portret księcia Tommaso Inghirami* ukazuje go w czerwonych kościelnych szatach. I chociaż Inghirami patrzy w górę – ewidentny kamuflaż dla jego wędrującego oka – czuję, że spogląda na mnie z pogardą. Podobnie jak wiele Madonn z Dzieciątka, archanioł Gabriel i gołębie symbolizujące Świętą Trójcę w *Zwiastowaniu*.

Gdy przechodzimy przez Pokój Rafaela i zbliżamy się do *Kąpieli II*, patrzę na mój ulubiony obraz z tego pomieszczenia, *Tragedię Lukrecji* Botticellego. Szukam wytchnienia, schronienia. Wydaje mi się bezpieczny, bo przecież opowiada legendę przedchrześcijańską. Ale zapomniałam, że historia dotyczy dobrej żony, która została zgwałcona pod groźbą śmierci. Już po wszystkim Lukrecja była tak przerażona, czuła się tak winna temu, co zaszło oraz swemu, jak uznała, niemoralnemu zachowaniu, że popełnia samobójstwo, by nie żyć dalej w nieprawości.

Mała Galeria jest właściwie wąskim i wysokim korytarzem, który łączy galerie po północnej stronie dziedzińca z tymi na wschodzie i południu. Nie jest to więc zwyczajny pokój. Wchodzimy do środka, do małego i przegrzanego wnętrza. Zapach drogich perfum traci swą moc, mieszając się z delikatnym odorem potu. Narastające i zanikające pomruki podziwu krążą wokół mnie i czuję się, jakbym właśnie zapadała na chorobę morską. Nie mogę patrzeć.

Rik chwyta mnie za ramię.

– Och, Claire, spójrz na nią. Po prostu spójrz. Czy widziałaś kiedyś coś tak cudownego?

Moje oczy spoczywają na obrazie.

– Och – krzyczę, ale nie w zachwycie. Nie wiem, co powiedzieć. To nie moje dzieło. To nie ja je namalowałam. Więc jednak eksperci mieli rację. I nie wiem już, co powinnam czuć.

– Brak mi słów – mówi Rik.

Przede mną wisi prawdziwy, oryginalny Degas. Te intensywne warstwy świetlistego koloru. Pulsujące zielenie, błękity, korale. Ta karnacja modelek – tak blada i przezroczysta. Françoise o rudawych włosach i ostrym nosie. Jacqueline, wysoka i piękna. Simone, zamknięta w sobie, o delikatnych rysach twarzy. Jak to się tu znalazło? Przeciskam się bliżej.

Teraz jednak widzę, że się pomyliłam. Po prostu nie widziałam wcześniej *Kąpieli II* w ramie. Nie rozpoznałam jej, bo jest powieszona w miejscu, które pamiętam z dzieciństwa, oprawiona w znajome, ciężkie i złoczone ramy. Ale Françoise na pewno nie jest dziełem Degasa, a popękania w lewym dolnym rogu, o które martwiłam się, że są zbyt głębokie, są na pewno moje. Chociaż tego nie widzę, wiem, że na odwrocie widnieje mała zielona kropka.

Będzie tu wisiał po wieki: mój obraz, podwójna kopia, fałszerstwo fałszerstwa, podczas gdy arcydzieło Degasa gnije gdzieś w podziemiach, a Aiden zaraz straci palec. Odwracam się do Rika.

– Musimy porozmawiać. Teraz.

Chyba nigdy wcześniej nie rozmawiałam z Rikiem w taki sposób, żebym to ja ciągle mówiła, a on nie przerywał. Jesteśmy w jego biurze, drzwi są szczelnie zamknięte, a odgłosy imprezy wyciszone, ale słyszalne: Beethoven, śmiech, postukiwanie sztućców. Wnętrze jest ciasne, wilgotne i chłodne, moje krzesło twarde i niewygodne. Rik trzyma łokcie na biurku, rękami zasłania usta, jego nos opiera się na palcach wskazujących, a oczy skierowane są na mnie. Kiedy kończę, patrzy na mnie tak, jakbym nadal mówiła.

– Więc? – Ulga, jaką odczuwałam, kiedy się mu zwierzałam, zamienia się w niepokój spowodowany jego milczeniem. – Powiedz coś.

Potrząsa głową, jakby wypływał właśnie z oceanu.

– To prawda?

– Niestety tak.

Zakłada ręce na piersi.

– A co, gdybym powiedział, że ci nie wierzę?

– Sama bym pewnie sobie nie uwierzyła.

– Ale to prawda?

Potakuję.

– Wszystko?

– Przypuszczalnie ominęłam parę szczegółów.

– Nawet nie wiem, jak mam to ugryźć – mówi. – Czyli oznacza to, że Markel wie, gdzie znajdują się pozostałe obrazy?

– Był tylko pośrednikiem w sprzedaży jednego z nich. Nic nie wie o tamtej kradzieży. Podobnie jak ludzie, którzy przekazali mu obraz.

– I jesteś tego pewna, bo...?

– Jest w niebezpieczeństwie – zaciskam pięści – ze strony sprzedających. W fizycznym niebezpieczeństwie.

– Przecież siedzi w więzieniu – dziwi się Rik.

– Mają swoje wejścia.

Rik wstaje, wygląda na zaskoczonego, że nie ma gdzie się ruszyć, potem znów siada.

– I jesteś pewna, że ten na dole to ten, który sama namalowałaś?

– Poznaję po pęknięciach.

– Nie wierzę.

Uśmiecham się krzywo.

– Tworzą koło.

Patrzy w dal, potem znów na mnie.

– I zdecydowałaś się mi to powiedzieć właśnie teraz, bo...?

– Muszę zejść do podziemi. Żeby zobaczyć, czy mam rację. Jeśli mam, Gardner Museum zyska autentyczny obraz Degasa, który przypuszczalnie może okazać się jego najlepszą pracą. A świat zyska nowe arcydzieło.

Mruży oczy, jakby miało mu to pomóc w przetwarzaniu.

– Do tego – dodaję – jeśli znajdziemy oryginał, to powinno wystarczyć, by pomóc Aidenowi wyjść za kaucją. – Przelykam ślinę. – I przy odrobinie szczęścia zachowa swój palec.

– Palec?

Zbieram się w sobie, potem patrzę Rikowi prosto w oczy.

– Potrzebują odcisku jego prawego palca wskazującego, żeby dostać się do skrytki w galerii. Gdzie trzyma pieniądze.

– Oj – wykrzykuje Rik, przerażony. – Nie, Claire... To... Nie!

Zamykam oczy i potakuję.

– A co jeśli obrazu tam nie ma? – pyta.

– Wtedy będę musiała szukać dalej.

– A co jeśli tam jest? Jak masz zamiar to wszystko wyjaśnić? – Na jego twarzy maluje się troska. – Co jeśli uznają, że byłaś zamieszana w kradzież i cię aresztują?

– Rik, pomyśl. Za co mieliby mnie aresztować? Za kopiowanie kopii? Przecież tak zarabiam na życie.

Myśli.

– Nawet nie wiem, gdzie jest ta dolna piwnica – mówi wolno, skupiony. – Co dopiero jak się do niej dostać.

– Mówiłam ci: wszystko jest na planach. – Widzę, że się łamie, więc cisnę dalej. – Znalezienie jej nie może być aż tak trudne.

Otwiera szufladę, zamyka, znów otwiera i zamyka.

– Naprawdę myślisz, że tam może być oryginalny Degas?

– Tak – mówię. – I czy nie byłoby cudowne, gdybyśmy go znaleźli?

Ulotny śmiech pojawia się na jego twarzy.

– Byłoby.

Wyciąga plany i kładzie je na komputerze. Odnajduje podziemia, obrysowuje palcem kontury dolnej piwnicy.

Zaciskam dłonie i czekam.

– Sam nie wiem, Claire – mówi w końcu. – Myszowanie w muzeum bez pozwolenia... Jeśli nas tam w ogóle wpuszczą.

– Nie jesteś przypadkiem w komitywie z paroma strażnikami?

– Jestem, ale... – jego place przelatują po klawiaturze. – Mam tu dokumenty, które wskazują, że Belle przywiozła ze sobą obraz olejny Degasa, gdy wróciła z Paryża w 1898 i... – mówi, czytając – *Po kąpieli* figuruje w rejestrze jako dodany do kolekcji w 1900 roku, więc musi chodzić o ten sam obraz. – Nic nie mówię. Klikanie klawiatury wypełnia cały pokój, a Rik potwierdza tylko to, co już wiem. – Znalazł się też na zaproszeniu na galę otwarcia Fenway Court, które Belle wysłała w 1903 roku. Od tamtego czasu nie był ruszany. Aż do momentu, gdy go ukradziono – Rik opiera się na krześle. – Przykro mi, kotku, ale Belle nie dałaby się nabrać i nie kupiłaby fałszerstwa. Podobnie jak Bernard Berenson.

– Ale ja uważam, że Belle przywiozła do domu prawdziwego Degasa – spieram się. – Potem, kiedy już był w Bostonie, Virgil Rendell albo ją zaszantażował i zmusił, by powiesiła jego obraz w miejsce oryginału, i w tym przypadku jest pewnie na dole, albo go ukradł i zatrzymał dla siebie, i w tym przypadku ma go jego rodzina. Wiem na pewno, że szkicowniki Degasa i Rendella potwierdzają, że istniały dwa podobne obrazy.

– To po prostu nie wystarczy....

– Nie wystarczy do czego? – przerywam. – Żeby pozbyć się fałszerstwa z Małej Galerii? Żeby znaleźć oryginalnego Degasa? Żeby uratować Aideną?

– Claire...

– W porządku, Rik – wstaję. – Naprawdę. Przepraszam, że w ogóle ci o tym wszystkim powiedziałam. Po prostu robię się coraz bardziej zdesperowana.

– Dokąd idziesz? – Jego głos wydaje się naprawdę zmartwiony.

– Porozmawiać z Alaną. Co innego mogę zrobić? Ktoś musi pójść na dół i sprawdzić.

Natychmiast wstaje i chwyta mnie za rękę.

– O nie, tego nie możesz zrobić. Jeszcze nie. Ona kompletnie spanikuje. Zrobimy to dopiero, jak będziemy pewni, że obraz tam jest.

– Aiden nie ma zbyt wiele czasu. Nie mogę...

– Spotkajmy się tu jutro z samego rana – mówi.

Przytulam się do niego.

– Dziękuję – szepczę.

Całuje czubek mojej głowy.

– A teraz wracajmy na imprezę i udawajmy, jakbyśmy się świetnie bawili.

Stoję na wprost Gardner Museum. Patrząc, jak Rik przechodzi przez ulicę z parasolką w dłoni. Jest zimno i nieprzyjemnie jak wczoraj, a zamarzająca mżawka tylko dokłada do tej beznadziei. Czuję, jak pod kurtką przeciwdeszczową leje się ze mnie pot.

– Gotowa? – pyta, przepuszczając mnie przez wejście dla pracowników.

– Gotowa, żeby go znaleźć. Przerazona, że nam się nie uda.

– To dobre podsumowanie.

Wchodzimy do szatni, a nasze mokre buty skrzypią na kamiennej posadzce. Rik wyciąga latarkę zza lady i krzyczy:

– Naprzód!

Śmieję się, ale brzmi to bardziej jak prychnięcie.



Na pierwsze piętro podziemia jedziemy windą. Niżej już nie można. Rik wyjaśnia, że znajduje się tu małe pomieszczenie gospodarcze, które mieści w głównej mierze wszelkie instalacje i urządzenia: elektryczność, ogrzewanie, klimatyzację oraz nowy system alarmowy, zamontowany już po kradzieży. Mimo wszystko oświetlenie jest słabe i naprawdę się cieszę, że Rik pomyślał, by zabrać ze sobą latarkę. Pachnie tu wilgotną, piwniczną stęchlizną.

Słyszę tupot małych łapek i mam nadzieję, że to malutkie myszki, a nie znacznie większe łapy szczurów. Podchodzę bliżej Rika. Ściany zrobione są z odsłoniętej cegły, nierównej i dość przypadkowej, choć oczywiście oryginalnej. Posadzka wylana jest betonem, mimo tego też jest nierówna i opleciona na tyle dużymi pęknięciami, że można się o nie potknąć. Idziemy do przodu. Rik świeci latarką na obszar bezpośrednio przed nami.

Sprawdzam plany.

– Tam – mówię, wskazując na południową ścianę. Na planach nie znalazłam jakiegokolwiek śladu wejścia do dolnej piwny, co z początku trochę mnie niepokoiło, a teraz naprawdę mnie martwi. Ale widzę, że jednak coś tam jest.

Kłękamy na krawędzi wgłębienia o wymiarach metr pięćdziesiąt na metr pięćdziesiąt. Rik oświetla latarką przestrzeń poniżej. Podłoga jest brudna, ale na dole widać trzy ściany z grubo ciosanych gładów. Wyglądają, jakby otaczały jakąś dodatkową przestrzeń. Kiepsko i na szybko skonstruowaną dodatkową przestrzeń. Prowadzi do niej rozklekotana drabina.

– Widzisz coś? – pytam Rika. – Widzisz jakieś drzwi?

– Trudno powiedzieć.

Wchodzę na drabinę.

– Świeć na mnie cały czas, a potem, gdy już zejść, zrzuć mi latarkę, to ja poświecę na ciebie.

Schodzę i upadam na podłogę. Rik szybko podąża za mną. Jest ciemno i nawet przy świetle latarki zajmuje nam dobrą chwilę zorientowanie się, gdzie w ogóle jesteśmy. Wnętrze jest mniejsze niż wyglądało na planach, może sześć na dziewięć metrów, z sufitem na wysokości mniejszej niż

metr osiemdziesiąt. Ale trudno dobrze ocenić jego wielkość, bo wypełnione jest masą rupieci. Zebranie ich zajęło na oko całe stulecie. To zakurzone i spiętrzone, upchane w prawie każdym dostępnym miejscu meble, szafki, księgi rachunkowe, książki.

Oboje kichamy i odwracamy się do miejsca, w którym powinny znaleźć się drzwi prowadzące do skrytki. Rik unosi latarkę. Mimo całego zamieszania w środku od razu widać, że nie ma tam żadnych drzwi. Światło pada na jednolitą betonową ścianę.

– Cholera – mówi Rik.

Moje rozczarowanie jest tak silne, że prawie się przewracam. Klękam, by przyjrzeć się dolnej części ściany – miejscu, gdzie styka się z nierównymi głazami. Jest tam sporo szpar. Kiedy odnajduję jedną naprawdę dużą, Rik świeci w nią latarką.

Wiercę się, aż znajduję pozycję, z której widzę, co jest w środku. A tam, może trzydzieści czy czterdzieści centymetrów za betonową ścianą znajdują się podwójne drzwi.

– Są tu – krzyczę, nie wierząc, że widzę to, co widzę.

– Co??? – Rik przyciska oko do kolejnej dziury w betonowej ścianie – Co tam jest?

Trzęsą mi się ręce, gdy biorę od niego latarkę i oświetlam przestrzeń, by też mógł ją zobaczyć.

– O jasny gwint! – Odwraca się, patrzy na mnie, potem szybko odwraca się z powrotem. – Miałaś rację. Miałaś rację. Drzwi. Muszą ukrywać...

Nagle widzimy promień światła z góry. Oślepia nas.

– Hej! – Burkliwy głos odbija się od ścian. – Zatrzymać się tam, gdzie jesteście.

Zamieram, podnoszę rękę do góry.

– Tu Richard Gramont – krzyczy Rik. – Jestem asystentem kuratora – odwraca się do mnie. – Możesz opuścić rękę.

– Nie – rozkazuje głos. – Trzymajcie je w górze. Oboje.

– To tylko strażnicy muzealni – szepcze Rik i wyciąga w ich stronę przepustkę zawieszoną na piersiach. – Pracuję tu. Wszystko w porządku.

– Nic obchodzi mnie, gdzie pracujesz. Policja. Teraz wchodźcie po drabinie. Tylko spokojnie i powoli i trzymajcie ręce tak, bym je cały czas widział. Panie przodem.

Jeden z policjantów trzyma mnie za ramię, drugi przytrzymuje Rika, a trzeci, ten, który wcześniej kazał nam wchodzić po drabinie, patrzy na nas podejrzliwie. Trzech gliniarzy z bostońskiej policji, zaalarmowanych przez ulepszony, cichy alarm, zainstalowany specjalnie na wczorajsze przyjęcie.

– Zadzwońcie do Alany Ward – mówi Rik. – Jest tu dyrektorką, przypuszczalnie siedzi teraz w biurze. Ona za nas poświadczy.

– Co do cholery w ogóle tu robicie?

– To moja przyjaciółka, Claire Roth – wyjaśnia Rik. – Przygotowuje książkę na temat Isabelli Stewart Gardner i artystów, z którymi pracowała. Powiedziano nam, że na dole są materiały, które mogłyby jej pomóc. Więc zeszliśmy, by na nie spojrzeć. – Naprawdę szybko udaje mu się to wszystko wymyślić.

Gliniarz jest pod mniejszym wrażeniem jego słów niż ja.

– Przygotowuje książkę w niedzielę rano...? – ale dzwoni do Alany, która prosi, by przyprowadzić nas do biura.

Gdy idziemy razem przez piwnicę i wchodzimy na piętro, Rik patrzy na mnie tak, jakby chciał mi dać jasno do zrozumienia, bym milczała jak grób.

Kierujemy się na schody na drugie piętro. Podziwiam majestatyczność dziedzińca w bezruchu. Zazwyczaj ten bezruch mnie tu denerwuje, ale to właśnie on sprawia, że to miejsce jest tak wyjątkowe. Nie do podrobienia. Na drugim piętrze spoglądam przez łuki na Galerię Malarstwa Wczesnowłoskiego i na Pokój Rafaela. Nie widać stąd Małej Galerii, ale wyobrażam sobie wiszącą tam *Kąpiel II*. Wyczuwam ją jak ducha, który wisi w powietrzu. Przeszywa mnie dreszcz. To przecież *Po kąpeli* Degasa powinno wisieć tu na ścianie, a nie jakaś podróbka podróbki.

Pierwszy gliniarz odsuwa sznur oddzielający wejście na czwarte piętro, przepuszcza nas, potem poprawia sznur za nami. Prowadzi nas do biura

Alany Ward. Gdy wchodzimy, ta wychodzi z za biurka.

– Sama się tym zajmę, panowie – mówi.

Gliniarze nawet nie drgną.

– Naprawdę – dodaje. – Chcę z nim porozmawiać na osobności.

– Będziemy na zewnątrz, jeśli będzie nas pani potrzebowała.

Kiedy wychodzą, każe nam usiąść na dwóch krzesłach stojących naprzeciw jej biurka. Patrzy na Rika.

– O co w tym wszystkim chodzi?

– Przykro mi, Alana – mówi Rik – ale to naprawdę nic wielkiego. Claire jest moją przyjaciółką ze studiów i pracuje teraz nad książką o Belle i jej związkach z różnymi artystami. Szukaliśmy materiałów, które mogłyby jej pomóc.

– O ósmej rano w niedzielę?

– Ty też tu jesteś – uśmiecha się Rik.

– W podziemiu?

– Jest tam pomieszczenie pełne starych rzeczy. Mnóstwo dokumentów i książek. Nie spodziewałem się, że to jakiś...

– Nie miałeś pozwolenia – ucina i patrzy na mnie. – Jakimi artystami?

– Chodzi mi o tych najbardziej znanych: o Whistlera, Singera Sargenta i Ralpa Curtisa. Ale interesują mnie też ci mniej popularni, z którymi się przyjaźniła, tacy jak Smith, Cram, Martin Mower czy Virgil Rendell.

Rik patrzy na mnie zaskoczony, a Alana przygląda nam się uważnie.

– To poważne naruszenie przepisów, Rik – mówi. – Nie możesz...

– To nie jego wina.

– Zdecydowanie jego wina – ucina.

– Nie chciał mnie tam brać – mówię. – Ale namówiłam go...

– Zapytała mnie, czy mógłbym pomóc jej znaleźć materiały – przerywa Rik. – A ja zasugerowałem, żeby zerknąć do podziemi.

– Po co mielibyście tam szukać? – dopytuje Alana. – I dlaczego zrobiliście to tak ukradkiem?

– To nie było ukradkiem. A przynajmniej dla nas to tak nie wyglądało. Bardziej jak... no wiesz, coś zupełnie normalnego.

Kiedy słucham Rika, który próbuje znaleźć dobrą odpowiedź na wszystkie te pytania, argumenty za i przeciw temu, co powinnam teraz zrobić, kotłują się w mojej głowie, tak jak obrazki z życia przelatują przez głowę ludziom, którzy mają właśnie umrzeć. Nie jestem do końca zadowolona z takiej analogii, ale cóż zrobić.

– Powiedziałaś mu, że być może jest tam ukryty oryginalny obraz Degasa – mówię w końcu.

– Co?

– Claire – mówi Rik. – Co ty...

– *Po kąpielach*, które powiesiliście wczoraj na ścianie, jest kopia – mówię Alanie. – Myślę, że oryginał, ten, który został namalowany przez Edgara Degasa, może znajdować się w podziemiu.

– To absurdalne – mówi Alana pogardliwie. – Został sprawdzony przez grupę międzynarodowych specjalistów. Zatwierdzony jako oryginalna praca Degasa przez najbardziej szanowanych ekspertów w dziedzinie.

– Wiem – mówię. – Ale nie mieli racji.

– A skąd pani może to wiedzieć?

Przełykam ślinę.

– Bo to ja go namalowałam.

Alana patrzy na Rika.

– Wiem, że to brzmi dość dziwnie – mówi, wierząc się w krzesło. – Ale Claire pracuje dla Reproductions.com. Jest certyfikowaną kopistką Degasa i....

– Certyfikowaną kopistką Degasa? – wybucha Alana. – Co to do cholery ma znaczyć? Mówisz mi, że mam wierzyć jakiejś certyfikowanej kopistce Degasa, a nie naszym ekspertom? Że mam uwierzyć, że to ona namalowała to arcydzieło?

Wtrącam się, zanim Rik zdąży odpowiedzieć.

– Historia aż roi się od ekspertów, którzy widzieli tylko to, co chcieli zobaczyć. Albo czego spodziewali się zobaczyć.

Alana marszczy brwi.

– Claire Roth... Claire Roth... – strzela palcami. – Cullion. Wielka Pozorantka. Czy to kolejny z pani świetnych dowcipów? – Zanim zdążę

odpowiedzieć, wstaje. – Dość już usłyszałam. Teraz zajmie się wami policja.

– Nie! – Rik aż podskakuje. – Proszę, Alana, wysłuchaj jej. Może... może wie coś, co ty też powinnaś wiedzieć.

Patrzy na niego, potem na mnie, potem siada.

– Ma pani pięć minut.

Opowiadam jej o mojej pracy, o ekspertyzie w tematyce Degasa.

– Jednego popołudnia zadzwonił do mnie Aiden Markel. Znaliśmy się, chociaż nie rozmawiałam z nim od lat. Powiedział, że ma dla mnie pracę w stylu Repro, jeśli mnie to interesuje. Dla Repro jestem tylko konsultantem, nie pracuję na wyłączność, więc zgodziłam się.

Alana czeka. Rik ogląda swoje dłonie.

– Powiedział mi, że ma klienta z Indii – ciągnę. – Kogoś, kto widział wcześniej wysokiej jakości kopię *Po kąpieli*, należąca do jednego z przyjaciół Aidena. Chciał kupić taką samą, tak samo dobrze zrobioną.

– Dlaczego nie poprosił o namalowanie jej tego, który zrobił tę pierwszą? – pyta Alana. Dobre pytanie.

– Bo tamten malarz już nie żyje – mówię szybko, żałując, że Aiden i ja nie spędziliśmy więcej czasu na przemyśleniu całej historii i mając nadzieję, że będę dostatecznie szybka, by wymyśleć odpowiedzi na wszystkie jej pytania.

Alana słucha z kamiennym wyrazem twarzy.

Odchrząkuję.

– Aiden powiedział, że słyszał, iż jestem najlepsza, na tyle dobra, by jego klient był zadowolony. I że chciałby mnie zatrudnić do zrobienia takiej kopii. Powiedział, że przyniesie obraz przyjaciela jako wzór.

– Nie ma nic nielegalnego albo nieetycznego w kopiowaniu obrazów – mówi Rik. – Robią to...

– Rozmawiam z panią Roth – warczy Alana. – Z tobą porozmawiam później.

Rik pociera ręką czoło, ale nic więcej nie mówi.

– Więc – ciągnę – następnego dnia przyszedł do mnie z dwoma płótnami. Jedno to było późne płótno Ernesta Meissoniera. A drugie to,

według jego słów, „najlepsza kopia *Po kąpieli* Degasa, jaką kiedykolwiek zrobiono”.

– Ach tak?

– Faktycznie obraz był bardzo dobry. I faktycznie był kopią.

– Jak może być pani tego taka pewna?

– Kopiuję obrazy od lat.

– Więc Meissonier był po to, by zdarła pani z niego farbę i użyła jako płótna do kopii? A ponieważ jest pani „certyfikowaną kopistką” wiedziała pani, jak to zrobić?

– Pracuję dla Repro od lat, zrobiłam różne kursy, dużo się uczyłam. Polegam na znanych technikach – patrzę na Rika, którego oczy robią się coraz większe. – Użyłam moich notatek, doświadczenia i książek typu „jak skopiować obraz”.

Usta Alany zaciskają się jeszcze bardziej.

– I mam uwierzyć, że stworzyła pani *Po kąpieli*, obraz, który wisi na dole, śledząc instrukcje z książeczek typu jak malować?

– Tak, po części – przyznaję. – Do tego miałam wielki piec i trochę fenolu aldehydowego.

Oczy Alany zawężają się

– Czy to jakiś dowcip?

– Chciałabym.

– Proszę pozwolić, że powtórzę – mówi. – Aiden Markel kontaktuje się z panią ni z tego, ni z owego, a pani myśli, że cała ta sprawa jest zupełnie normalna? Nie zastanawia się pani? Nie wątpi? Nie pyta o motyw?

– To Aiden Markel z Markel G. – zaczyna Rik. – Kto by...

Alana ucisza go grzmiącym spojrzeniem.

– Po prostu pomyślałam, że musi mieć bardzo bogatego klienta – mówię. – A po tym, jak dokładnie obejrzałam płótno, byłam pewna, że to kopia. Dlaczego więc miałabym cokolwiek podejrzewać?

– Więc mówi pani, że dopiero w czasie gali zorientowała się pani, o co w tym wszystkim chodziło? – pyta Alana.

Patrzę jej prosto w oczy.

– Nadal nie jestem pewna, o co w tym wszystkim chodzi.



– Proszę tu zaczekać – mówi Alana, potem odwraca się do Rika. – A ty chodź ze mną.

Pół godziny później wraca. Razem z nią wchodzi barczysty mężczyzna w sportowej kurtce i krawacie. Jego głowa jest zbyt mała w stosunku do reszty ciała, co w normalnym przypadku dawałoby dość komiczny efekt, ale jego twardy wyraz twarzy zupełnie go niweluje.

Wstaję i czuję, jak zaciska mi się żołądek. To glina, jestem tego pewna. I to wysoko postawiony glina.

– Agent Lyons, FBI – mówi do mnie Alana, potem odwraca się do niego. – To jest Claire Roth.

– Witam – wyciągam do niego rękę. Agent to znacznie gorzej niż glina.

Ściska moją dłoń w sposób zaskakująco delikatny, ale jego twarz nadal wygląda jakby była ze stali. Nic nie mówi, tylko kłania się nieznacznie.

Alana siada za biurkiem, Lyons na krześle Rika.

– Proszę wyjaśnić agentowi Lyonsowi to, co powiedziała mi pani wcześniej – rozkazuje.

Gdy kończę, Lyons wreszcie się odzywa, a jego głos jest aż gęsty od podejrzeń.

– Więc uwierzyła pani panu Markelowi, kiedy powiedział, że obraz, który przyniósł, był kopią? Nigdy nie przyszło pani do głowy, że mógł być tym skradzionym?

– Od początku wiedziałam, że nie był to prawdziwy Degas. Więc nie, nie przyszło mi to do głowy.

– Czy nie myśli pani, że było to dość naiwne?

Waham się.

– Nie. Nadal jestem pewna, że obraz nie był namalowany przez Degasa i wiem, że Aiden też o tym wiedział.

– Jak może być pani tak pewna tego, co wiedział Aiden?

– Bo tak mi powiedział, a jeśli chodzi o sztukę, to on naprawdę wie, co mówi. Do tego to przecież Aiden Markel.

– No cóż, daleko zajechał na swojej reputacji – agent zapisał coś w swoim notatniku, zmarszczył brwi, potem coś dopisał.

Patrzę na niego ostrożnie.

– Ja... Ja chyba powinnam zadzwonić do prawnika.

Lyons i Alana wymieniają spojrzenia.

– Po co? – pyta Lyons i wygląda na zdumionego. – Przecież tylko zgłasza pani zajście, tak? Nie wiemy, czy doszło do jakiegokolwiek przestępstwa. Ani żeby była pani zamieszana w jakąkolwiek działalność przestępczą.

Kiedy nie odpowiadam, Lyons gładko przechodzi w tryb „miłego faceta” – łokcie na kolana, pierś wypięta w moim kierunku, uśmiech na twarzy.

– Tak więc, pani Roth – mówi – uważa pani, że Isabella Stewart Gardner była szantażowana przez tego... – sprawdza w notatkach – Virgila Rendella. Żeby powiesić obraz jego autorstwa zamiast obrazu Degasa? I że potem ukryła ten prawdziwy?

– To jedna z moich hipotez. Biorę też pod uwagę inne. Istotne jest to, że obraz, który został tu powieszony wczoraj wieczorem jest kopią, którą sama namalowałam. Kopią kopii, którą dostałam od Aideny Markela.

– Skąd ta pewność?

– Poznają po pęknięciach.

Patrzy na Alanę i podnosi brew do góry.

– Pęknięcia to wynik pęknięcia farby wraz z upływem czasu – Alana patrzy na mnie złym okiem. – Sposób na ustalenie daty powstania dzieła.

– Wiem, co to znaczy – mówi Lyons, a ja myślę, że facet może mieć więcej polotu, niżby to sugerował jego wygląd.

– Wspominałam ci wcześniej, że to nie pierwszy raz, gdy pani Roth opowiada podobną historię – mówi Alana. – Jej wiarygodność jest dość wątpliwa.

– Ach, Cullion i jego 4D – Lyons uśmiecha się do mnie. – Ale czy ta sprawa nie wzbudziła wielu pytań? Czy nie miała pani poparcia co najmniej paru wysoko postawionych osób z MoMA?

– Tak, miałam. I to wielu – rozumiem, że grają w dobrego i złego glinę, ale im mniej będziemy teraz rozmawiać o 4D tym lepiej. – Wiem, że obraz z dołu jest mój, bo gdy go malowałam, martwił mnie jeden jego fragment, tuż przy dole. Niepokoiło mnie, że niedostatecznie porządnie wytarłam tam tusz, nim go utwardziłam. Czułam, że jest przez to trochę przesadzony. Więc gdy zobaczyłam go wczoraj, wiedziałam, że to on.

– Jest pani tego pewna? – pyta Lyons.

– Na odwrocie, w prawym rogu płótna, postawiłam zieloną kropkę. Na blejtramie. Sprawdźcie sami to zobaczycie.

– To nic nie znaczy – przerywa Alana. – Przypadkowa kropka farby może zdarzyć się wszędzie. Mogła ją zobaczyć zeszłej nocy albo wiedzieć o niej, bo była zaangażowana w kradzież.

– To niedorzeczność...

Agent nachyla się w moim kierunku.

– Spokojnie. Ale nadal nie rozumiem, skąd wiedziała pani, że to Virgill Rendell sfalszował obraz.

– Nie wiem tego na pewno, ale był dość znanym fałszerzem, do tego widziałam jego szkicownik. Zawiera rysunki tak oryginału, jak i kopii.

– Teraz dopiero nic nie rozumiem.

– Mam książkę ze szkicami kompozycyjnymi Degasa do *Po kąpeli*. Jeden ze szkiców Rendella zgadza się idealnie ze szkicami Degasa, a drugi zgadza się z kompozycją obrazu, który wisiał w Gardner Museum.

– Czy Rendell nie mógł po prostu znać tych samych szkiców co pani? I ich kopiować? – pyta Lyons.

– To mało prawdopodobne. Chociaż żyli w tym samym czasie, Degas mieszkał w Europie, a Rendell w Bostonie. Nie sądzę, by kiedykolwiek się spotkali. Myślę, że Rendell zobaczył oryginał, gdy przywiozła go Belle, zanim został powieszony w muzeum. Potem, z niewiadomego powodu, gdy go kopiował, zmienił jego układ.

– A skąd pani wie, jak wyglądał oryginał?

– Musiał wyglądać jak szkice kompozycyjne Degasa.

– A ten z dołu tak nie wygląda?

– Nie. Jak powiedziałam wcześniej, jedna z modelek jest zupełnie inna, kompozycja jest inna i, jeśli się przyjrzeć dokładnie, praca wcale nie wygląda jak obraz Degasa.

– Szkice kompozycyjne nigdy nie odpowiadają ostatecznym obrazom – wtrąca się Alana. – To jest obraz Degasa. I patrzyłam na niego dokładnie. Podobnie jak eksperci, którzy dokonywali autentyfikacji. Ludzie z wykształceniem i wiarygodni. Nie jacyś przypadkowi pseudo-artyści z certyfikatem wystawionym przez internetowy sklep sprzedający podróbki.

– Więc – Lyons zwraca się do mnie – wiedziała pani, że to była podróbka, ale nikt inny o tym nie wiedział?

– Mam po prostu odpowiednie wykształcenie i umiejętności, by to zobaczyć. Ale prawdę mówiąc, myślę, że byłam pierwszą, która się mu uważnie przyjrzała.

– To znaczy?

– Jeśli będziemy się trzymać tezy, że Isabella Gardner powiesiła kopię Rendella, choćby pod przymusem, wówczas obraz ten nigdy nie został poddany autentyfikacji. Każdy zakładał, że to Degas i nikt nigdy nie podał tego w wątpliwość. A ponieważ testament Belle zakazał ruszania czegokolwiek, co stanowi własność muzeum, obraz nigdy nie został pożyczony. Nigdy nie było więc okazji, by zrozumieć, że wcale nie był oryginałem.

– Czy to możliwe? – Lyons pyta Alanę.

– To absurdalne.

– Ale możliwe?

Alana krzyżuje ręce na piersiach.

– Jak wszystko.

Lyons znów odwraca się do mnie.

– Ale czy Degas nie zorientowałby się, że to nie jego obraz? Nie odwiedził muzeum? Nie zobaczył zdjęcia wiszącego płótna?

– Degas przyjechał do Stanów tylko raz – wyjaśniam. – Do nowego Orleanu. I to na długo zanim otwarto muzeum. Komunikacja nie wyglądała wtedy tak jak dziś, podobnie jak podróżowanie. Nie było

telefonów, samolotów. Więc z dużym prawdopodobieństwem nie zobaczył swojego obrazu po tym, jak sprzedał go Belle.

Agent zamyśla się.

– Więc nikt prócz pani, osoby świeżo po studiach, nie spojrzał uważnie na obraz, który wisiał w bardzo ważnym muzeum przez prawie sto lat? Nikt prócz pani nie zorientował się, że to nie był obraz Degasa? Imponujące. Bardzo imponujące.

Patrzę tylko na niego.

– Proszę mi przypomnieć, jak pani to zrobiła? – pyta znów z tym nieszczerym szacunkiem w głosie. – Po czym się pani zorientowała?

Znów wyjaśniam wszystko na temat pociągnięć pędzla, kolorów, szkiców kompozycyjnych, symetrii, tajnego pokoju w podziemiach.

– Po prostu wszystko zaczęło mi pasować. I kiedy rozpoznałam obraz w czasie wczorajszej gali, no cóż... – wzdrygam się.

Lyons pogwizduje.

– Świetna robota detektywistyczna, pani Roth. Myślała pani kiedyś o karierze w FBI?

Śmiech Alany.

Chociaż mam ochotę przyłożyć im w twarz, staram się być spokojna.

– Nie musiałam wam o tym mówić. Mogłam siedzieć cicho i wszyscy byliby szczęśliwi. Powiedziałam to, żeby dowiedzieć się prawdy i żeby pomóc Gardner Museum odzyskać arcydzieło. Nie podoba mi się, że traktujecie mnie, jakbym była głupim dzieckiem.

– Nie mogła pani siedzieć cicho – przypomina Alana. – Została pani złapana przez policję.

Lyons patrzy na mnie uważnie.

– Jeśli dobrze rozumiem, to właśnie kopia Rendella została skradziona z Gardner Museum, i to ona została przyniesiona pani przez pana Markela?

– Nie, tego nie powiedziałam – patrzę na niego wrogo, żeby się zorientował, że wiem, czego próbuje i że nie dam się złapać. – Obraz, który przyniósł mi Aiden, był kopią. Kopią kopii Rendella. Albo mogła to też być kopia kopii kogoś innego. Nie wiem. Skąd miałabym to wiedzieć?

– I o to właśnie chodzi, prawda? – wytyka Alana.

– A czy ma pani może jeszcze te słynne szkicowniki? – pyta Lyons.

– Są w moim studiu – mówię wkurzona, że dałam się złapać w taką głupią pułapkę.

– I te też odnalazła pani, używając swoich umiejętności detektywistycznych?

W pierwszej chwili chcę go wysłać do diabła. Zamiast tego robię się jeszcze spokojniejsza.

– Zgadza się, agencie Lyons, to dokładnie to, co zrobiłam.

Nagradza mnie rozbawieniem w oczach.

– Masz plany muzeum, prawda? – pyta Alana.

Ta patrzy na mnie, potem odwraca się do komputera i zaczyna klikać.

– Może jak je nam pokażesz – mówi Lyons – pani Roth wskaże nam swoje sekretne pomieszczenie.

Wstaję i podchodzę do komputera.

– Powiedziała pani, że chodzi o podziemia? – pyta Alana, nawet na mnie nie patrząc.

– O dolną piwnicę.

– Nie wiedziałam nawet, że taka istnieje – mamrocze, kiedy szuka właściwych rysunków. – Tutaj – mówi i odpycha krzesło od biurka. – Proszę.

– Znaleźliśmy betonową ścianę, której nie ma na planach – wyjaśniam i pokazuję palcem miejsce. – Tutaj. Naprzeciw podwójnych drzwi, które znajdują się za ścianą.

– I myśli pani, że tam ukryty jest obraz Degasa? – pyta Lyons.

– Jeśli nie ma go tam – odpowiadam – jest gdzieś indziej. Musimy się przekonać.

– To niedorzeczne – odburkuje Alana. – Niczego nie musimy się dowiedzieć. *Po kąpieli* Degasa wisi na dole w Małej Galerii.

Lyons prosi o chwilę na osobności. Alana mówi, że bym usiadła na krześle jej asystentki tuż za drzwiami.

Kiedy zamykają drzwi do jej biura, wstaję i przyciskam ucho do ściany, ale ich głosy są zbyt ściszone, bym mogła cokolwiek usłyszeć. Po paru

minutach wychodzą. Alana prosi, żebym się nie ruszała. Myślę o Aidenie, o tym, że siedzi teraz w celi i sam musi słuchać ciągłych rozkazów.

Żeby oderwać od tego myśli, patrzę na fotografie w sepii wiszące na ścianie. Jest wśród nich zdjęcie Belle, na którym ma okropny, czarny kapelusz i wchodzi po drabinie w czasie budowy Fenway Court. Malutka istota, dość skromna, bez biżuterii i pięknych sukienek, do tego niezadowolona z tego, co widzi. Jak udało się jej zawrócić w głowach tyłu mężczyzny? Stać się aż tak ważną? Wszystko na temat Belle Gardner jest albo nieprawdopodobne albo zaprzecza samemu sobie. Mogę mieć tylko nadzieję, że jestem na dobrej drodze do odkrycia ziarna prawdy.

– Czy piec nadal jest w pani studiu? – pyta Alana, kiedy wracają.

Mrugam oczami, jakby spytała mnie o coś zupełnie nielogicznego, potem nagle rozumiem: znaleźli zieloną plamkę.

– Tak, mam go cały czas.

– I pomimo tego, co wydarzyło się w MoMA, nadal twierdzi pani, że obraz na dole jest pani autorstwa? – pyta Lyons.

– Oba obrazy są mojego autorstwa.

– MoMA tak nie uważa – mruczy Alana.

– Panie Lyons, Pani Ward, mogę nie być pewna wielu rzeczy w życiu, ale naprawdę potrafię rozpoznać moją własną pracę. Przykro mi, że was rozczarowuję. Że rozczarowuję muzeum. I wszystkich. Że stwarzam problemy. Ale myślę, że tak naprawdę, mimo wszystko, wolelibyście poznać prawdę.

– Taki właśnie mamy zamiar – mówi Alana. – Przyjdziemy we trójkę do pani studia jutro o ósmej rano. Przyniosę stare płótno i pokaże nam pani cały proces.

– W porządku, nie ma problemu. Mogę...

– Ja nie pytam o pani pozwolenie, pani Roth.

Patrzę na moje dłonie.

– Będę też musiała sprowadzić paru ekspertów, żeby dokonali drugiej autentyfikacji – ciągnie Alana – i zamówić specjalne chemikalia i sprzęt,

żeby proces mógł być szybki i odbyć się na miejscu. To będzie kosztowało dużo czasu i pieniędzy. I jeśli, a raczej kiedy, okaże się, że to wszystko jest nieprawdą, będzie pani musiała zwrócić nam wszystkie koszty i pokryć szkody. Włączając w to stratę dochodu spowodowaną niemożliwością pokazywania *Po kąpieli*.

– To nie jest...

– A jeśli okaże się, że obraz jest fałszywy – przerywa Agent Lyons – i że to pani go sfalszowała, moi koledzy z FBI i ja będziemy chcieli znów z panią porozmawiać. Tym razem w bardziej oficjalny sposób.



Zgodnie z obietnicą Alana przychodzi o ósmej rano razem z dwoma naukowcami: starszym mężczyzną i młodą kobietą, która wygląda jak studentka. Oboje mają okulary, a z teczek wydobywają laptopy: jego jest połamany i sterany, jej błyszczący i drogi. On nazywa się pan Jones, a ona to pani Smith. Kiedy się uśmiecham, gdy słyszę ich nazwiska, oni tylko na mnie patrzą. To będzie zabawny dzień...

Nie żebym sama była bardzo wesoła. Wczoraj, jak tylko wyszłam z Gardner Museum, natychmiast udałam się na Nashua Street, żeby opowiedzieć Aidenowi, co się wydarzyło i upewnić się, że wszystko z nim w porządku. Ale nie wpuścili mnie do środka. Powiedzieli, że wyczerpał już limit gości na dzień. Później dostałam sms-a od Kristi: „Markel prosił, żeby przekazać, że został tylko tydzień”.

W związku z tym nie śpię całą noc. Szwendam się po studiu, boksuję z własnymi myślami, męczę Rika przez telefon. Powiedziałam mu o Aidenie. On z kolei oznajmił, że Alana była na niego strasznie wkurzona, ale że raczej go nie wyrzuci. Więc mimo wszystko mamy jakieś dobre wieści. Wszystkie inne są złe. Alana ma misję, żeby udowodnić, że nie mam racji, żeby zniszczyć moją karierę i życie, żeby mnie aresztować. A jeśli jej to nie wyjdzie, będę musiała się zmierzyć z agentem Lyonsem.

Teraz Alana wręcza mi płótno trzydzieści na trzydzieści. To obraz olejny przedstawiający wodospad. Kiepsko namalowany wodospad.

– Proszę zacząć od tego – mówi surowym i konkretnym głosem. – Proszę namalować jeden z aktów z *Po kąpieli*. Proszę pokazać nam proces, który doprowadził panią do sfałszowania...

– Skopiowania – wiem, że muszę być spokojna, ale analogia z ponownym malowaniem 4D sprawia, że moja cierpliwość wisi na włosku. Myślę tylko, że teraz sytuacja jest odwrotna: wtedy chciałam, żeby

uwierzyli, że jestem malarką i autorką dzieła. Teraz chcę, by uwierzyli, że jestem fałszerką. Co wcale nie sprawia, że czuję się jakoś lepiej.

Nie pomaga też to, że gram teraz o większą stawkę. Staram się rozweselić, myśląc, że to i tak nic przy tym, o co grał Han van Meegeren. Musiał ponownie namalować swojego fałszywego Vermeera, żeby udowodnić, że nie sprzedał skarbu narodowego nazistom, i żeby uniknąć kary śmierci. Ale to też wcale nie sprawia, że czuje się lepiej.

– Proszę wyjaśniać wszystko, co pani robi – rozkazuje Alana. – Nawet jeśli pani myśli, że już to wiemy.

Kiwam głową.

– Kawy? Herbaty?

– To nie odwiedziny u cioci, pani Roth – przypomina mi Alana. – Im szybciej pani zacznie, tym szybciej skończymy. – Jak dla mnie to nawet lepiej.

Pracuję według dobrze mi już znanego schematu, wyjaśniając wszystko, co robię. Smith i Jones przez większość czasu siedzą cicho, jeśli nie liczyć paru bardzo uprzejmych pytań, które zadają. Alana za to nie potrafi ukryć swej irytacji. Teatralnie wzrusza ramionami na moje komentarze, przewraca oczami, mamrocze pod nosem. Robię, co mogę, żeby ją ignorować, ale każda jej odpowiedź, każdy jej ruch przypominają mi, jak dużo od niej zależy.

Robi się ciemno, gdy kończę trzecią rundę wypiekania.

– Skończmy na dziś – zarządza Alana. Nikt nie protestuje. Odwraca się do mnie. – Zabiorę z sobą obraz, żeby się upewnić, że nic w nim nie zostanie zmienione w czasie naszej nieobecności. Wrócimy z nim jutro z samego rana.

– Jasne – mówię, zbyt wykończona, by obrazić się na tak słabo zawołowaną aluzję dotyczącą mojego charakteru.

– I – mówi Alana – wezmę ze sobą szkicowniki Degasa i Rendella. Agent Lyons i ja chcemy na nie spojrzeć.

Chociaż szkicowniki potwierdzają moją hipotezę, ciężko mi się z nimi rozstać. Alana wyjmuje je z moich rąk.

– Dziękuję – mówi niezbyt uprzejmym tonem, który wskazuje, że wcale nie jest mi wdzięczna. Oczywiście, że nie jest. I nie powinna być.

Wracają następnego ranka z obrazem, telefonami i komputerami. Wczorajszej nocy Rik powiedział mi, że słyszał od swojego kumpla z ochrony, że jego kumpel, też z ochrony, wszedł do podziemi z Alaną i Lyonsem. Chociaż Alana była temu przeciwna, Lyons powiedział, że chce przynieść ultrasonograf, żeby przekonać się, co jest za betonową ścianą. Strażnik powiedział, że słyszał, jak Alana szepnęła tylko „cholerna krowa”.

Alana, Jones, Smith i ja zajmujemy nasze miejsca z wczoraj. Ja maluję i wypiekam. Oni patrzą. Dziś wszystko jest mniej interesujące, bo nie robię niczego, czego nie widzieli do tej pory. Nie mam nic nowego do wyjaśniania, a oni nie mają żadnych nowych pytań. Po dwóch kolejnych rundach obraz zaczyna wyglądać całkiem dobrze. Chociaż składa się z zaledwie pięciu warstw, kolory zaczynają nabierać głębi i świetlistości: ręka Jacqueline, którą trzyma ręcznik, błyszczy się. Patrzą na nią i myślę o moich własnych pracach, o moich *Oknach*. Kristi wysłała mi wczoraj sms-a, żeby przypomnieć, że zaczynamy wieszać je w czwartek. Teraz wydaje mi się to takie banalne.

– Czy będzie pani coś jeszcze robić na końcu, żeby całość wyglądała na starą? – pyta Alana.

– Obraz musi zostać pokryty tuszem.

– Można zrobić to teraz?

– Jasne – mówię, bardzo chętna, żeby jak najszybciej to skończyć. – Musimy tylko poczekać, aż pęknięcia wydostaną się przez ostatnią warstwę werniksu. Potem nałożę tusz.

– Zróbmy tak – potwierdza.

Patrzą na nią i widzę jej podkrążone oczy, zmarszczki, których wcześniej nie dostrzegłam. Nawet czuję cień sympatii. A także winy. Odkąd się poznałyśmy, przynoszę jej same kłopoty. Ona chciała tylko cieszyć się triumfem swojego cudownego muzeum. A ja próbuję naprawić coś, co być może powinno zostać nietknięte. Ale trochę późno na wyrzuty sumienia. Szczególnie że wiem, iż najgorsze jeszcze przed nami.

Spękania wychodzą na wierzch. Nakładam tusz indyjski i zostawiam do wyschnięcia. Teraz zaczynam czyścić go mydłem. Patrzą zafascynowani, jak ścieram ostatnią warstwę werniksu, która zostawia po sobie cienką jak włosy pajęczynkę drobnych linii. Następnie dodaję do werniksu odrobinę brązowej farby, wyjaśniając, że imituje ona proces starzenia, i pokrywam nim płótno. Kiedy kończę, unoszę obraz w górę, by mogli się mu przyjrzeć.

Alana wstrzymuje oddech.

Następnego dnia rano dzwonię do Kristi z Markel G.

– Już jestem.

– Świetnie – mówi, ale słyszę, że jest wkurzona.

– Naprawdę przepraszam, że zawałam. Czy myślisz, że będzie można jakoś przełożyć te wywiady? – Musiałam odwołać sześć, żeby namalować obraz dla Gardner Museum. Powiedziałam Kristi, że miałam ciężką sytuację w domu. Wymówka stara jak świat, ale zawsze dobra i gwarantuje, że nie będzie dodatkowych pytań.

– Niektóre. Mam nadzieję.

Chociaż wcale nie chciałam bawić się w ten cały marketing, teraz przydałoby mi się cokolwiek, co zajęłoby moje myśli. Czekam na wynik z Gardner Museum i nie mam nic do roboty. Mogę tylko dalej szukać rodziny Virgila Rendella. Ale nie idzie mi to zbyt dobrze.

– Co straciłam?

– Dziennikarzy od sztuki z „Globe”, „Phoenix” i „Boston Magazine” – mówi cierpko. – „Newbury Street Gallerie”. „Metro”.

– Masz nazwiska i numery? Zadzwoń do nich sama i umówię się na inny termin.

– Nie lubię rozmawiać bezpośrednio z artystami. Sprawdzę, czy ktoś da się zaprosić do galerii, gdy będziemy wieszac obrazy. Dzisiaj cały dzień masz wywiady w radio. Masz listę, którą ci wysłałam?

– Jasne – ostatnio nie miałam zbyt dużo czasu, żeby sprawdzać maile. – Wszystko pod kontrolą.

– Masz czas wieczorami?

– Kiedykolwiek trzeba.

– Dobrze. Te wywiady naprawdę mają większe znaczenie, niż myślisz – waha się. – Więc już wszystko w porządku?

– Tak – zapewniam. – Ale wiesz, jak to jest z dramataми rodzinnymi. Nigdy się tak naprawdę nie kończą.

Śmieje się, co znaczy, że musiała mi wybaczyć choć trochę.

– Oj, wiem – mówi znacząco.

Jak tylko kończymy, otwieram komputer i przechodzę przez niekończące się maile. Co najmniej dziesięć z nich jest z Markel G, więc szybko je otwieram. Kiedy widzę listę wywiadów, wzdycham ciężko. Cztery. Pierwszy zaczyna się za godzinę. Biegnę pod prysznic.

Gdy suszę włosy, w duchu dziękuję Aidenowi, że kazał mi kupić nowy strój specjalnie na wywiady. Wskakuję w niego i wychodzę. Dzwoni mój telefon, więc go odbieram i pędzę po schodach.

– W podziemiach mają ultrasonograf albo coś takiego – mówi Rik.

– Myślisz, że to oznacza, że przekonałam Alanę? Albo że eksperci zdecydowali, że *Kąpiel II* jest kopią? Taki sprzęt musi być bardzo drogi.

Waha się.

– Nie jestem pewien.

– Mów, co wiesz! – Nie podoba mi się ton jego głosu.

– Nic – odpowiada szybko. – Naprawę. Nic mi nie mówią. Ale powiem ci, że naprawdę mam nadzieję, że obraz jest na dole.

– Ja też – mówię i zatrzymuję taksówkę.

– Co robisz?

– Mam cztery wywiady radiowe w ciągu następnych siedmiu godzin.

– Trzymaj telefon na wibracjach. Zadzwoń, jak tylko będę coś wiedział.

– Jesteś moim księciem.

– A patrz, myślałem, że królową – odpowiada, śmiejąc się. Potem się rozłącza.

Wywiady idą mi lepiej niż się spodziewałam. Pewnie dlatego, że skupiam się na czymś innym, czekam na wibracje telefonu, martwię się tym, co dzieje się teraz w Gardner Museum, co dzieje się z Aidenem. W ogóle nie martwię się tym, co powinnam powiedzieć. Moje obawy, że dziennikarze będą pytać o 4D albo o Aideną też się nie sprawdzają. Prawie wszystkie pytania są łatwe i miłe. Nikt nie wspomina MoMA, a tylko jedna osoba delikatnie nawiązuje do „problemów” Aideną.

Wracam do domu Red Line i po raz tysięczny sprawdzam telefon. Ostatnio sprawdzałam go dwie minuty wcześniej i nadal nic się nie zmieniło: Rik nie dzwonił, co wydaje mi się dość złowieszcze.

Trzymam się górnego uchwytu w wagonie, ściśnięta przez obce ciała, podduszana przez ich ciepło i nieprzyjemny zapach. Jedynym pocieszeniem jest to, że nie mam jak upaść. Wagon jest przeładowany i przegrzany, podróżni siedzą w zimowych kurtkach, wkurzeni, że muszą doświadczać takiego poniżenia po długim i ciężkim dniu pracy. Też tak czuję.

Gdy pociąg wyślizguje się z czarnej od sadzy ciemności i wjeżdża na Longfellow Bridge, miasto ożywa. Świejące się szklane wieżowce strzelają w niebo swoimi iluminacjami, a kopuła State House mieni się złotem. Ludzie w jasnych, kolorowych płaszczach zalewają chodniki, a samochody jadące w dół Storrow Drive migają światłami między bezlistnymi drzewami. Mimo tego, że świat wokół mnie się rozkłada na kawałki, energia i dynamika miasta sprawiają, że odczuwam dreszcz emocji.

Może Rik nie dzwoni, bo dopiero przebijają się przez ścianę? A może już otworzyli pomieszczenie i znaleźli obraz? Może Aiden zostanie za chwilę uwolniony, a jego palec uratowany? Może wypuszczą go na dobre, a nie tylko za kaucją? I może wszystko to zdarzy się akurat przed moim otwarciem? Może wystawa okaże się sukcesem, a Aiden i ja będziemy to świętować w czasie drogiej wycieczki do Paryża? A może już zupełnie straciłam rozsądek...

Rik dzwoni dopiero koło dziewiątej. Dawno już porzuciłam dzisiejsze poszukiwania rodziny Rendella (nawet strona mormonów nie zawiera żadnych informacji na ten temat) i zdrzemnęłam się chwilę na kanapie. Teraz chwytam za telefon.

– Nadal nic, kotku – mówi. – FBI nie pozwala tam zejść nikomu z naszych strażników.

– Nie domyślasz się nawet, co się tam dzieje?

– Ci, którzy wiedzą, milczą. Ale jestem pewien, że jutro coś usłyszymy. Zadzwoń od razu, jak tylko coś zwietrzę. Nie martw się.

Opadam na łóżko i patrzę w ciemne, niezastłonięte okna. Szukam pocieszenia, ale jedyne, co widzę, to moje zniekształcone odbicie.

Po kolejnej nieprzespanej nocy cieszę się, gdy nareszcie dostrzegam białe rozmyte światło grudniowego poranka. Niestety, jest zbyt wcześnie, żeby iść do Markel G, więc kręcę się po studiu i piję zbyt dużo kawy. Staram się skupić na wiadomościach, mailach, poszukiwaniach Rendella, nawet na *Seinfeldzie*. Wszystko na nic. Nie mogę malować. Nie mogę do nikogo zadzwonić. Boli mnie nieobecność Aideny.

Kiedy wreszcie wchodzę po schodach do Markel G, widzę, że poprzednia wystawa jest już zdjęta. Ściany są puste, jak naczynia, które trzeba wypełnić. Chociaż drzwi są nadal otwarte dla klientów, dziś i jutro galeria jest oficjalnie nieczynna, żebyśmy mogły ozdobić ją moimi *Oknami*.

Chantal i Kristi już tu są i ustawiają obrazy wzdłuż ścian. Obie mają na sobie wygodniejsze niż zwykle, ale nadal szalone kreacje. Kristi jest w trochę mniejszych butach emu, ale do lewego doczepiła wielką broszkę. Ma na sobie jasnożółte szorty i pasujące rajstopy. Chantal też ma coś na kształt emu, do tego czerwone skarpetki w diamentowy wzór i bardzo niesymetryczną, zsuwającą się z ramion, wełnianą sukienkę, podobną do ponczo. Ja jestem w pobrudzonym farbą kombinezonie. Ale, oczywiście, to ja jestem artystką.

Witają mnie ciepło. Kiedy już wszystkie obrazy są ustawione, stajemy na środku galerii i przyglądamy się im.

– Czyli *Nighttime T* idzie na witrynę, zgadza się? – pyta Kristi.

Myślę o tym, jak Aiden po raz pierwszy zobaczył ten obraz. Jak mu się spodobał i jak powiedział, że powinien znaleźć się w oknie. Myślę też, jaki cudowny był tego popołudnia, jaki przystojny. Myślę o jego ciepłych ramionach, które obejmowały mnie w nocy. Chcę, żeby stamtąd wyszedł. Chcę, żeby był teraz przy mnie.

Kristi i Chantal też by chyba tego chciały, ale nadal obowiązuje nas niewypowiedziany pakt „Aiden jest tuż za rogiem”, więc mówię po prostu:

– Jak dla mnie w porządku.

– Dla mnie też – zgadza się Chantal.

– Super, jeden z głowy – Kristi podnosi obraz i ustawia go w odpowiednim miejscu.

Odwracamy się do pozostałych dziewiętnastu.

– Możemy go od razu powiesić? – pytam, zaskakując samą siebie.

Patrzę na mnie zdziwione.

– *Nighttime T.* To znaczy, sama nie wiem... Po prostu chciałabym go tam zobaczyć – mówię zawstydzona. – Rozumiecie, chcę sprawdzić, jak będzie wyglądał. Może nie będzie pasował?

Chociaż obie są ode mnie co najmniej pięć lat młodsze, uśmiechają się, jakbym była zbyt niecierpliwym dzieckiem

– Jasne – mówi Kristi. Bierze młotek i drabinkę. – Dobry pomysł.

Gdy jest już powieszony, patrzę na niego zdumiona. Kristi podchodzi do drzwi i sprawdza, jak wygląda, gdy wchodzi się do galerii. Chantal podchodzi blisko okna, żeby zobaczyć widok stamtąd.

Ja wychodzę przed galerię, otulam się rękoma. Jest mi zimno i ciepło jednocześnie. *Nighttime T* wygląda lepiej niż myślałam. Sama go namalowałam. Dzięki niemu od razu wiadomo, że jestem doświadczoną artystką. Nie będę już znana jako kobieta, która utrzymywała, że namalowała 4D, ani nawet, jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, jako ta, które skopiowała *Po kąpieli* Degasa. Będę Claire Roth, mną, artystką i autorką własnych prac.

Wychodzi do mnie Chantal i podaje mi płaszcz, który z wdzięcznością zakładam. Patrzymy na obraz.



– Jest porywający – mówi. – Wymowny. – Przytula mnie. – Wiem, że nie tak to wszystko miało wyglądać, Claire – dodaje, zrywając nasz niepisany pakt. – Ale twoje prace bronią się same. Są świetne. Powinnaś być z siebie dumna. Markel by był. Wiem, że jest.

Łzy płyną mi po policzkach. Wycieram je rękawem mojego płaszcza.

– Przepraszam – mówię. – Jestem taka szczęśliwa. I taka smutna. – Wygląda na to, że płaczę teraz co najmniej dwa razy dziennie.

– Daj spokój, bekso – Chantal obejmuje mnie ramieniem. – Dość mazgajstwa. Mamy jeszcze całą wystawę do powieszenia.

Przez następne parę godzin jesteśmy pochłonięte pracą. Ustawiamy obrazy, przestawiamy je. Wieszamy. Zdejmujemy. Znow przestawiamy. Niektóre wyżej niż inne? Wszystkie na tej samej wysokości? Uporządkowane tematycznie, po tytule czy kolorystycznie? Patrzymy na nie z daleka. Z bliska. To wyczerpujące fizycznie, emocjonalnie i intelektualnie. Po raz pierwszy od dłuższego czasu nie myślę o niczym innym.

Kiedy dzwoni telefon, przykładam go do ucha zupełnie bezwiednie.

– Mam dobrą i złą wiadomość – mówi Rik. – Ultrasonograf znalazł pomieszczenie. Dokładnie takie, jak na planach. Wygląda na to, że w środku coś jest.

– Ale?

– Ale ponieważ jest tam tak mało miejsca i tak tłoczno, nie ma szans, żeby wcisnąć tam jakikolwiek sprzęt. Co oznacza, że zburzenie ściany trochę zajmie.

– Ile? – pytam.

– Nie wiadomo. Parę dni. Może parę tygodni.

Niestety nie mam aż tyle czasu.

Wychodzę z galerii. Jest trzecia, ale cienie są długie i właśnie nadchodzi pierwszy tej zimy opad śniegu. Zapowiadają, że spadnie piętnaście centymetrów, co wcale nie wróży dobrze na resztę sezonu, szczególnie, że mamy dopiero grudzień. Moja zimowa kurtka leży schowana gdzieś głęboko w szafie, bo do tej pory wołałam żyć w ułudzie i nie szukać jej. Kiedy małe kawałeczki lodu lądują na moim policzku zdaję sobie sprawę, że nadszedł czas, by stawić zimie czoła. Ale może jutro będzie cieplej i jednak nie będę musiała.

Mimo złej pogody zatrzymuję się przed skrzyżowaniem z East Berkeley w Harrison Avenue. Chociaż nie wiem, co dokładnie wywołało takie zamieszanie w podziemiach Gardner Museum, czy były to westchnięcia Alany, czy ultrasonograf, to bardzo prawdopodobnym jest, że wkrótce powinnam się spodziewać „oficjalnej” wizyty agenta Lyonsa. Modłę się do niewysłuchującego mnie Boga, żeby tak nie było, potem prostuję się i wchodzę w Harrison Avenue. Po Lyonsie ani śladu, ale widzę samochód policyjny zaparkowany pod moim budynkiem. Może jednak Bóg słucha. I ma poczucie humoru.

Idę wolno. Serce dźwięczy mi w uszach. Czuję, jakby żołądek zapchał mi gardło i staram się pocieszyć myślą, że nie widzę błyskających świateł ani policjantów z bronią. Kiedy podchodzę, z samochodu wychodzi dwoje funkcjonariuszy, mężczyzna i kobieta. Nadal nie czuję zagrożenia, nie widzę żadnej broni. Po prostu patrzą na mnie spokojnie.

Kobieta robi krok naprzód.

– Claire Roth? – pyta.

Nie mogę wydobyć z siebie słowa, więc potakuję.

– Jestem detektyw Farrell, z departamentu bostońskiej policji – mówi, jakbyśmy poznawały się właśnie na jakiejś imprezie. – A to oficer Rodriguez.

Patrzę raz na jedno, raz na drugie. Cały czas nie mogę mówić. Teraz nie mogę nawet kiwać głową, zupełnie, jakby części mojego ciała nie były ze sobą w ogóle połączone. Mam wrażenie, że nie oddycham.

Detektyw wyciąga do mnie rękę i dotyka mnie.

– Postaram się, aby wszystko poszło tak gładko, jak to możliwe. I tak spokojnie, jak to możliwe.

Staram się wyprostować, ale nie wiem nawet, czy się poruszyłam.

– Claire Roth – mówi oficer Rodriguez. – Zamieszkała przy 173 Harrison Avenue, Boston, Massachusetts. Jest pani aresztowana.

Pokazuje jakieś papiery, potem wyciąga kajdanki.

Zaczynam się trząść.

Farrell potrząsa głową.

– To niepotrzebne, Rod. Pani Roth nigdzie się nie wybiera – odwraca się do mnie. – Prawda?

– Jasne – udaje mi się wyszeptać. To pierwsze słowa, jakie ode mnie słyszą.

Komenda główna policji znajduje się parę kilometrów stąd, w innej części miasta. Praktycznie nie pamiętam, jak się tam dostaliśmy. Pamiętam tylko, że prowadził oficer Rodriguez, a detektyw Farrell siedziała obok niego. Ja byłam z tyłu, sama. W środku nie było klamek.

Teraz detektyw i ja siedzimy w małej kabinie, jednej z wielu ustawionych przy betonowej ścianie. Według napisu na drzwiach jestem w Pokoju Postępowania. Więc jestem poddana postępowaniu. Podejrzana o popełnienie przestępstwa.

Moje ciało nadal drży, ale już nie tak bardzo jak wcześniej. Chociaż wydaje mi się, że nie potrafię nabrać powietrza w płuca, wygląda na to, że jednak oddycham. Podaję moje nazwisko i adres. Potem detektyw Farrell czyta mi moje prawa.

– Chcę zadzwonić do mojego prawnika – mówię od razu. Widziałam wystarczająco dużo filmów kryminalnych, żeby wiedzieć, że to najlepszy moment, by to powiedzieć. – Czy mogłabym zadzwonić do prawnika? –

dodają. Bycie uprzejmą na pewno mi nie zaszkodzi. Oczywiście nie mam żadnego prawnika. Jedyne prawo od spraw kryminalnych, jakiego znam, to mój przyjaciel Mike Dannow z Jake'a. Ten prawnik/artysta. Nie mam pojęcia, czy jest dobry, ale niestety nie mam luksusu kręcenia nosem.

Farrell podaje mi komórkę i zostawia mnie samą w kabinie otwartej na resztę pokoju.

– Claire? – pyta Mike, kiedy asystentka podaje mu telefon. – Co się dzieje?

– Zostałam... zostałam aresztowana – mówię, starając się brzmieć spokojnie. – Byłeś pierwszą osobą, która przyszła mi do głowy. Więc dzwonię.

– Za co?

– Za dużo rzeczy – waham się, bojąc się wypowiedzieć je wszystkie na głos. – Za fałszowanie dzieł sztuki, za współudział w planowaniu przestępstwa, za transport i sprzedaż skradzionych dóbr. To chyba tyle. A nie, jest jeszcze coś. Tak, naruszenie dóbr osobistych.

– Dobrze – mówi Mike. – Zachowaj spokój. Weź głęboki oddech. Ważne, żebyś nie panikowała, żebyś kontrolowała emocje.

Staram się wziąć oddech, ale wychodzi mi jak szloch.

– Na którym komisariacie jesteś?

– Komenda główna – udaje mi się wykrztusić. – Chyba chcą mnie zamknąć. Ja....

– Posłuchaj, Claire – mówi, a jego głos jest tak twardy i konkretny, że nie jestem już pewna, czy rozmawiam z tym samym człowiekiem, z którym piję w Jake'u. – Po pierwsze: nic nie mów. Do nikogo. Podaj tylko nazwisko i adres. Nic więcej. Nieważne, co ci powiedzą, oni tak naprawdę nie są mili, nie chcą ci pomóc i nie są twoimi przyjaciółmi. Nic rozmawiaj z nikim, dosłownie z nikim, bez prawnika. Powtórz.

– Ja, ja... Nie będę z nimi rozmawiać bez ciebie.

– Teraz potwórz: Za poradą mojego prawnika nie powiem niczego, dopóki nie będzie tu obecny.

Powtarzam to dwukrotnie, żeby upewnić się, że zapamiętałam.

– Będę za godzinę.

– Proszę, przyjedź tak szybko, jak możesz – błagam. Ale już go nie ma.

Detektyw Farrell zajmuje się mną całą tę godzinę: zdjęcia, odciski palców, skan moich dokumentów, konfiskacja plecaka, przeszukanie, które na szczęście nie uwzględnia wtórnych jam ciała. Ciągłe zadaje mi pytania, na które nie odpowiadam. Jej mina dobrego gliniarza blednie za każdym razem, gdy powtarzam to, czego nauczył mnie Mike. W końcu ląduję w celi. To nie może być prawda. Nie mogli mnie zamknąć. Przecież muszę odnaleźć ukryty obraz!

„To przejściowa cela”, informuje mnie, ale ja widzę tylko kraty, metalowe słupki od podłogi do sufitu, oddzielające mnie od Pokoju Postępowania i od wolności. Pojedynczy plastikowy mebel zajmuje prawie całą przestrzeń celi. Stanowi bazę pryczy ustawionej wzdłuż jednej ściany, potem płynnie przechodzi w toaleta-zlew pod drugą. Żadnych ostrych krawędzi. Gdy siedzę na skraju pryczy, widzę toaletę i nie muszę patrzeć na kraty. Unikam też patrzenia na to, czego tam nie ma: klamki w drzwiach.

Przypominam sobie, że kopiowanie obrazów nie jest przestępstwem, a kopiowanie kopii na pewno nie może być uznane za fałszowanie. Nie jestem też winna transportowania czy sprzedaży skradzionych dóbr. Mike na pewno mnie stąd wyciągnie. Przyjedzie i wszystko wyjaśni. A potem pójdę do domu. Gdyby nie szczegół w postaci „współdziałania w planowaniu przestępstwa”, prawie bym zaczęła w siebie wierzyć.

Okazuje się, że Mike jest znany i lubiany przez policjantów z komendy głównej, co jest dość nietypowe jak na adwokata od spraw karnych. Ma też dobre powiązania w sądzie. W ciągu godziny przekonuje wszystkich, którzy powinni być do tego przekonani, że można wypuścić mnie za poręczeniem, bo nie mam kryminalnej przeszłości, mam stałą pracę, mieszkam w Massachusetts całe życie i nie zagrażam społeczeństwu.

Wyjeżdżamy samochodem z parkingu przy komendzie i jedziemy do South End. Jestem taka szczęśliwa ze świeżo odzyskanej wolności, że nie mogę się skupić na tym, co mówi.

– Dzięki – powtarzam. – Dziękuję za wszystko. Uratowałeś mi życie.

– Claire, nie słuchasz mnie. Pierwsze przesłuchanie jest już jutro rano i musimy się do niego przygotować.

Znam Mike'a od lat, ale wychodzi na to, że właściwie go nie znam. Ponieważ jest tak niepewny siebie jako artysta i ponieważ jest tak niski, muszę przyznać, iż zakładałam, że jest niepewny siebie w każdym innym aspekcie życia. Ale teraz widzę, że jest wręcz bardzo pewny siebie, wie, co robi, i że jest dobrym prawnikiem. Chyba powinnam się była tego domyślić, zważywszy, że mieszka w jednym z tych drogich budynków tuż za rogiem koło mnie.

– ...a po przesłuchaniu nastąpi rozprawa wstępna, w której nie chodzi o to, czy jesteś winna czy nie, ale o decyzję, czy dowody przeciw tobie są dostatecznie mocne, żeby zaprowadzić cię przed sąd. – Mike patrzy na mnie – Claire – mówi ostro. – Nie będę ci mógł pomóc, jeśli nie będziesz w tym wszystkim uczestniczyć.

– Rozprawa wstępna – mówię, żeby udowodnić, że go słucham. – Nie chodzi o winę.

– A co się stanie w czasie przesłuchania?

Uśmiecham się zmieszana.

– Jutro – powtarza zbyt spokojnym tonem. – Dziewiąta rano, sąd miejski w Bostonie. Sędzia odczytuje oskarżenia, ty mówisz, że nie przyznajesz się do winy. Sędzia potwierdza twoje zwolnienie za poręczeniem i ustala datę rozprawy wstępnej.

– Całość nie powinna zająć więcej niż godzinę – w końcu przypominam sobie coś, co mówił wcześniej.

Mike wybucha śmiechem.

– To wszystko podpucha, prawda? – pytam – Kopiowanie obrazu nie jest przestępstwem, prawda?

– Samo kopiowanie nie. Chodzi o to, co zrobisz z tą kopią, jak już ją namalujesz. Albo co ty i ktoś inny planowaliście, żeby z nią zrobić. Chodzi o wiedzę. I o zamiary.

– Aiden wynajął mnie, żebym skopiowała kopię. Namalowałam ją na starym płótnie, które mi dał, wzorując się na wysokiej jakości kopii *Po*

kąpieli, która należała do jego przyjaciela, a którą także mi dał. Kiedy skończyłam, zapłacił mi i zabrał oba obrazy.

Mike podnosi rękę z kierownicy.

– To wszystko, co na razie muszę wiedzieć.

– Ale musisz też zrozumieć, że...

– To ja zdecyduję, co muszę zrozumieć – przerywa mi.

To też pamiętam z kryminałów. Prawnicy lubią zakładać, że ich klienci są zupełnie niewinni.

– Jestem niewinna – mówię mu. – Nie miałam nic do czynienia z tym, co się działo z obrazem po tym, jak zniknął z mojego studia. Nie miałam pojęcia, że...

– Porozmawiamy o tym po przesłuchaniu – mówi Mike, gdy zatrzymuje się pod moim budynkiem. – Jutro nie będę występował przeciw oskarżeniu, więc będziemy mieli kilka dni, żeby się dobrze wszystkiemu przyjrzeć. Rozprawa wstępna to moment, gdy będziemy mogli zakwestionować dowody i przekonać sędziego, że nie są one dostatecznie mocne. I to jest to, do czego się musimy przygotować.

– To znaczy, że nie ma dowodów? – Chwytam się każdej pozytywnej wiadomości. – Że porzucą oskarżenia, zanim się cokolwiek zacznie?

Zaciąga ręczny i patrzy na mnie.

– Tego nie powiedziałem – jego głos jest poważny. – Powiedziałem, że przed rozprawą wstępną niczego nie możemy być pewni.

– Acha – mówię i czuję, że schodzi ze mnie powietrze.

– Ale nigdy nic nie wiadomo – dodaje. – Każda sprawa jest inna i z tego, co widziałem do tej pory, dowody przeciw tobie są naprawdę słabe. – Zatrzymuje się, gdy widzi, że znów się rozjaśniam. – Ale to nie znaczy, że nie mają innych dowodów. Musimy po prostu pójść na miejsce i zobaczyć, co się stanie. Poczekać parę dni. Teraz...

– Parę dni? – Przerywam. – To za długo!

– ...wyspij się i postaraj się nie martwić – ciągnie, jakbym wcale się nie odezwała. – Spotkamy się jutro o ósmej trzydzieści w lobby sądowym. Zaraz przed wykrywaczami metalu.

– Nie wiem nawet, jak ci dziękować – nachylam się i dotykam jego ramienia. – Jesteś... jesteś, no, najlepszy.

– Sąd Miejski w Bostonie, centrum rządowe, New Chardon Street 24.

– Jasne – wychodzę z samochodu, potem odwracam się. – Myślisz, że prasa już o tym wie?

– Zatrzymania i przesłuchania to informacja publiczna – mówi Mike. – A wszystko, co zahacza o kradzież w Gardner Museum, ma duże szanse przebić się od razu.

Rano nie włączam telewizji i nie sprawdzam internetu, jak to mam w zwyczaju. „Zatrzymania i przesłuchania to informacja publiczna”. A ja nie jestem na to gotowa. Zawsze byłam typem osoby, która chciała wiedzieć wszystko, nawet to, co czeka mnie w przyszłości, nawet datę własnej śmierci, gdyby było to możliwe. A teraz siedzę w nieświadomości, którą sama na siebie nakładam, udając, że jeśli o czymś nie wiem, to znaczy, że się nie dzieje.

Robię kawę i sprawdzam, czy mam pełną baterię w telefonie na wypadek, gdyby Mike chciał do mnie zadzwonić. Piję drugi kubek, gdy rozlega się dzwonek. Nie ma jeszcze siódmej, więc to na pewno nic dobrego. Kiedy widzę, że to Kristi, wiem na pewno, że to coś złego.

– Zamknęli Markel G – mówi bez ogródek.

Nie muszę nawet pytać, kim są „oni”.

– Claire? Jesteś tam?

– Tak, tak – wyduszam z siebie. – Z jakiego powodu?

– Drzwi są zaryglowane. FBI. Coś o sprzeniewierzeniu środków.

Zamykam oczy.

– Wszystko w porządku? – pyta. – Po tym, no wiesz, po wczoraj.

Więc już wiadomo. Wszyscy wiedzą. Nie jestem zaskoczona, po prostu przerażona.

– Tak dobrze, jak się można spodziewać.

– Jeśli mogę coś dla ciebie zrobić, daj znać. Obie z Chantal bardzo się martwimy. To... no wiesz, to po prostu niesprawiedliwe.



- Dzięki, Kristi. Doceniam to – łyż lecą mi po policzkach. – Odezwę się. Jak tylko kończymy, znów dzwonek. Mike. Jest już w biurze.
- Hej – mówię z udawanym entuzjazmem.
- Zaraz po ciebie podjadę – mówi. – Będę pod budynkiem o ósmej.
- Nie musisz tego robić – mówię, myśląc, jaki jest miły. – Dzięki, ale mogę pojechać tramwajem. Nie ma problemu.
- Chodzi o dziennikarzy. Nie chcę, żebyś szła tam sama. Zajmuje mi chwilę, żeby przetrwać to, co mówi.
- Claire?
- Będę przed domem.

Kiedy się ubieram, przypominam sobie, że nie jestem przecież w więzieniu, nie jestem zamknięta w celi, a Aiden ma jeszcze co najmniej parę dni. Mike powiedział, że dzisiejsze przesłuchanie nie powinno zająć więcej niż godzinę. Więc zostanie mi cały dzień.

Kiedy wychodzę przed dom, oślepia mnie jasność: ziemię pokrywa około dziesięciocentymetrowa warstwa śniegu. To niemożliwe, że zaledwie wczoraj spacerowałam po szarym chodniku. Dziś niebo jest idealnie błękitne, a promienie słońca odbijają się od każdej powierzchni. Jest ciszej i ładniej. Ale też przerażająco zimno. Od wczoraj minęło tak mało czasu, a zmieniło się tak wiele. Zamykam oczy, by uchronić je od blasku i stawiam kołnierz, żeby zabezpieczyć się przed wiatrem. Myślę o radości, jaką wywołał we mnie widok *Nighttime T* wiszący w oknie Markel G. To też było zaledwie wczoraj.

Moje przemyślenia przerywa dźwięk klaksonu. To Mike, oczywiście. Siedzi w samochodzie z bardzo poważną miną.

- Co wiadomo? – pytam, jak tylko znajduję się w środku.

Nie pyta, dlaczego nie wiem, co się wokół mnie dzieje, po prostu patrzy na mnie wzorkiem pełnym wyrozumiałości.

- Wiedzą o twoim zatrzymaniu i oskarżeniu. Mniej więcej wtedy, gdy byliśmy w komendzie głównej, Gardner Museum ogłosiło, że ich *Po kąpieli* to fałszerstwo. Później, wieczorem, wszystkie większe stacje donosiły, że Markel G została zamknięta przez FBI.

Oficjalne potwierdzenie fałszerstwa. A więc kolejny powód, dla którego Gardner Museum powinno chcieć odnaleźć oryginał Degasa. Kolejny promyk nadziei. Ale też dodatkowy powód, dla którego Lyons może nabrać względem mnie podejrzeń.

– Czy to prawda? – pyta Mike. – Z galerią?

Mogę tylko kiwnąć głową.

– Przykro mi, Claire – dotyka mojego kolana. – Straszny pech.

Patrzę w dół na moje dłonie.

– Jest jeszcze coś.

Zamykam oczy.

– Co?

– Nic wielkiego, chodzi o sędziego. Mamy Zwerdling. Publicznie mówi się o niej „bulwa”, w zaciśnięciu używa się słowa, które się z tym rymuje.

– Czy to ma jakieś znaczenie? Myślałam, że mówiłeś, że dzisiejsze przesłuchanie będzie dość bezproblemowe.

– Będzie. Dopóki prokurator nie poprosi, żeby zrewidować twoje zwolnienie za poręczeniem.

Znajomy ucisk w żołądku.

– Więc mogą mnie znów zamknąć w więzieniu?

– To mało prawdopodobne – zapewnia mnie.

Patrzę na niego. Chcę mu wierzyć, desperacko chcę mu wierzyć, ale nie jestem pewna, czy mówi mi całą prawdę, czy tylko to, co myśli, że jestem w stanie znieść.

– Głównym naszym problemem na teraz jest dostanie się do sądu – mówi Mike zmieniając temat. – Nie będzie to łatwe, dlatego chciałem ci towarzyszyć. Musimy wejść głównym wejściem, które będzie zabezpieczone przez policję. Mimo wszystko reporterzy będą zadawać pytania, krzyczeć, celować w twarz mikrofonami, robić zdjęcia. Myślisz, że sobie z tym poradzisz?

– Już kiedyś czegoś podobnego doświadczyłam, pamiętasz? – mówię z pewnością siebie, której wcale nie czuję.

Przez ułamek sekundy patrzy na mnie zamiast na drogę.

– To nie było nawet bliskie temu, co czeka cię dziś.

Podnoszę głowę do góry.

– Dam radę.

Patrzy na mnie pytająco, potem najwyraźniej postanawia zostawić temat.

– Jedna z moich współpracowniczek będzie na nas czekać. Emma. Emma Yales. Będzie szła po twojej jednej stronie, ja po drugiej. Patrz wprost przed siebie, nie nawiązuj kontaktu wzrokowego i idź pewnie do przodu. Nie odzywaj się słowem do nikogo. Nikogo. Nieważne, co powiedzą. I nieważne, jak bardzo się wkurzysz. Rozumiesz?

– Rozumiem – kurwa.

– Emma i ja zajmiemy się wszystkim, cokolwiek się zdarzy. Ale raczej nie powinno się nic zdarzyć.

– Dlaczego w ogóle robią z tego takie wielkie halo? – pytam w nadziei, że powie, że to wcale nie jest wielkie halo. – Trochę taką wydmuszkę medialną.

– Grudzień to sezon ogórkowy – odpowiada. – I, na szczęście lub nieszczęście, jesteś piękną kobietą z przeszłością.

Siedzimy w samochodzie z włączonym ogrzewaniem. Na parkingu przy sądzie. Przyjechaliśmy trochę za wcześnie. Czekamy na Emmę, która ma ochraniać moją lewą stronę, gdy będę iść przez tłum dziennikarzy.

– Więc wszystko jest tak, jak mówiliśmy wczoraj – wyjaśnia Mike. – Dzisiejszy dzień to czysta formalność. Wstęp. Coś jak ustalanie daty na wizytę lekarską, a nie prawdziwe badanie.

– Więc póki co nie muszę się rozbierać? – pytam.

Mike wybucha śmiechem.

– Dokładnie. Nigdy nie słyszałem, by ktoś to tak określił, ale tak – szczerzy się do mnie. – Cieszę się, że nie opuszcza cię poczucie humoru. To przydatna rzecz.

Stuknięcie w okno.

Mike wychodzi z samochodu.

– Emma – mówi uśmiechając się i ściskając jej rękę oboma swoimi.

Też wychodzę i przedstawia nas. Emma jest pewna siebie, a informacja „nie zadzieraj ze mną” emanuje z każdej części jej ciała.

W ciszy idziemy wzdłuż budynku. Kiedy wychodzimy za róg, zatrzymuję się. Mike i Emma biorą mnie za ramię i starają się popchnąć naprzód. Nie ruszam się.

– Miejmy to już za sobą – mówi Mike. – Im szybciej tym lepiej.

– Osłaniamy cię – Emma ściska mnie za ramię.

Ale moje stopy są przytwierdzone do podłoża. Dziesiątki reporterów, fotografów, kamerzystów i gapiów stoją po obu stronach schodów, przytrzymywani przez żółtą taśmę policyjną i strategicznie ustawionych policjantów. Samochody z wielkimi napisami i talerzami satelitarnymi zastawiają całą ulicę.

„To nie było nawet bliskie temu, co czeka cię dziś” powiedział Mike, kiedy stwierdziłam, że już kiedyś czegoś takiego doświadczyłam. Miał

rację.

– Weź trzy głębokie oddechy – mówi Mike. – Potem idziemy.

Robię, jak każe i zanim o tym pomyślę, jesteśmy już na dole schodów. Wchodzimy. Mike i Emma trzymają łokcie na zewnątrz i wyglądają, jakby nie obawiali się ich użyć. Pomimo blasku słońca, błyski fleszy oślepiają mnie. Słyszę morze wołających głosów.

– Gdzie znajdują się pozostałe obrazy?

– Kto stoi za kradzieżą?

– Czy obrazy są bezpieczne? Czy jakieś zostały zniszczone?

– Jakie to uczucie namalować coś tak dobrego, że nawet Gardner Museum dało się nabrać?

– Czy to znaczy, że nie jesteś pozorantką?

Potykam się na schodku, ale Mike i Emma mocno mnie trzymają.

– Do przodu, Claire – szepcze Mike. – Jesteś już prawie na miejscu.

Ale wcale nie jesteśmy prawie na miejscu. Przeszliśmy zaledwie jedną czwartą drogi.

– Gdzie jest oryginał? Czy ma go Aiden Markel?

– A co z Whiteyem Bulgerem? Rozmawiałaś z nim po jego aresztowaniu?

Zaśmiałabym się na to ostatnie pytanie, gdybym nie była tak przerażona. Czy ci ludzie myślą, że ja naprawdę znam tych wszystkich przestępców?

– Claire! – woła kobieta przyjaznym głosem – Jak myślisz, co znajdą w podziemiach Gardner Museum?

Odwracam się do niej.

– Oryginalny obraz Degasa.

Rzuca się na mnie z mikrofonem.

– A kto go tam wsadził?

Mike odciąga mnie, zanim zdążę odpowiedzieć.

– Mówiłem, żebyś nic nie mówiła – warczy.

– Ale to nam może pomóc – sprzeciwiam się. – Znalezienie oryginału to jedyne wyjście z tego bałaganu.

– To, co nam pomoże, to jak się, kurwa, zamkniesz.

Jestem tak zaskoczona sposobem, w jaki się do mnie odezwał, że faktycznie się zamykam. Mike z Jake'a nigdy nie powiedziałby mi, żebym się zamknęła. Mike z Jake'a nigdy nie podniósłby na mnie głosu, nigdy by nie przeklął, nigdy nie byłby nieprzyjemny. Patrząc na swoje stopy i wspinając się dalej.

Przechodzimy wreszcie przez próg sądu, a Mike wskazuje na wykrywacz metalu po lewej.

– Spotkamy się po drugiej stronie – mówi, jakby przemawiał do wkurzającego dzieciaka, który przekroczył właśnie ustalone granice. Co, jakby się nad tym zastanowić, dość dobrze mnie opisuje.

– Przepraszam – mówię, jak tylko przechodzimy dalej. – Moja wina.

Ale on nie uśmiecha się i nie wybacza, choć tego się właśnie spodziewałam. Zamiast tego przeszywa mnie spojrzeniem.

– Musisz zrozumieć, że teraz nie jesteśmy przyjaciółmi. A przynajmniej nie tu. Jestem twoim prawnikiem, a ty moją klientką lub pozwaną, jak nazwą cię za chwilę w sądzie. I najważniejsze, żebyś robiła wszystko, i to dokładnie wszystko, co ci mówię. Jeśli nie podobają ci się moje porady, powinnaś pomyśleć o innym prawniku.

– Pani Roth – mówi sędzia Zwerdling ostro, patrząc na mnie znad swoich brązowo-czarnych okularów. – Została pani pozwana w sprawie czterech zarzutów. Przeczytam teraz je wszystkie, a pani odpowie, czy się przyznaje, czy nie do każdego z nich. Czy to jasne?

Patrząc na prokuratora siedzącego przy biurku naprzeciw nas, potem na Mike'a, który stoi obok mnie. Mike kiwa głową.

– Fałszerstwo – intonuje sędzia.

Mike powiedział, bym mówiła tylko „niewinna”. Nic więcej, nic mniej. Żebym nawiązywała kontakt wzrokowy i myślała o tym, jak bardzo jestem niewinna. Byłam pewna, że sobie z tym poradzę, ale teraz, gdy patrząc na moje trzęsące się dłonie i czuję ciepło na policzkach, zaczynam mieć poważne wątpliwości. W ustach mam tak sucho, że praktycznie nie mogę mówić. Muszę wyglądać na tak winną, jak tylko się da.

– Fałszerstwo – tym razem grzmi to głośniejszy, bardziej konkretnie.

– Niewinna – mówię, ale mój głos brzmi jak szept.

– Proszę mówić głośniejszy, pani Roth.

Ściskam dłonie za plecami, by uspokoić ich drżenie.

– Niewinna.

– Transport skradzionych dóbr.

– Niewinna – prostuję ramiona i patrzę na nią.

Mike nachyla się.

– Dobrze, tak lepiej.

– Sprzedaż skradzionych dóbr.

– Niewinna – mówię z coraz większą siłą, bo zarzuty stają się coraz bardziej absurdalne.

– Udział w planowaniu przestępstwa.

Robię wszystko co mogę, żeby podtrzymać kontakt wzorkowy i udowodnić jej, że nie boję się tych oskarżeń.

– Niewinna.

Sędzia Zwerdling patrzy na mnie, potem na leżące przed nią dokumenty.

Czyta jakieś notatki, marszczy się. Odwraca się do prokuratora, który przerzuca papiery na swoim biurku.

– Panie Oden, czy jest coś, co chciałby pan dodać?

– Tak, wysoki sędzie. – Oden robi krok do przodu. Dokumenty trzyma w prawej ręce. Jest dość młody, ma rzadkie, zaczesane ze uszami włosy, a do tego jest blady i wygląda jak ryba. Z miejsca go nie lubię.

– Wierzmy, że pani Roth stanowi zagrożenie dla społeczeństwa i dla kraju i jest obawa, że może chcieć uciec – mówi. – Składam wniosek o odwołanie zwolnienia za poręczeniem na rzecz zwolnienia za kaucją w wysokości stu tysięcy dolarów.

Chwytam Mika za ramię.

– Więzienie? Ja? Znów? – tylko tyle jestem w stanie z siebie wykrztusić.

– Uspokój się – szepcze, ale spojrzenia, jakie wymieniają z Emmą, są dalekie od spokojnych.

– Sto tysięcy dolarów? – syczę mu do ucha. – Nie mam stu tysięcy dolarów.

– Jakie ma pan podstawy, panie Oden?

– Pani Roth przyznała się do sfalszowania bezcennego obrazu Edgara Degasa, który został ukradziony z Gardner Museum w 1990 roku. Fałszerstwo jest tak dobre, że eksperci wierzą, iż musiała użyć oryginalnego dzieła, by je wykonać. Tego, które zostało skradzione. Co oznacza, że musiała mieć bezpośredni kontakt ze złodziejami, że działała z nimi w zмовie, co z kolei czyni ją niebezpieczną i świadczy o tym, że może chcieć uciec.

Nie wierzę w to, co słyszę. Spełnia się mój najgorszy koszmar. Dzieje się najstraszniejsza rzecz, jaka się mogła dziś wydarzyć.

– Czy mogę coś powiedzieć, wysoki sędzie? – pyta Mike. Kiedy sędzia udziela mu pozwolenia, Mike mówi – Nie ma absolutnie żadnych podstaw do wnioskowania, że pani Roth przetrzymywała skradziony obraz Degasa. Nie tylko nie ma dowodów na to, że znajdował się w jej posiadaniu, ale nikt nie może takiego faktu poświadczyć. Obraz jest zaginiony od ponad dwudziestu lat.

– Czy ma pan jakieś dowody, panie Oden?

– Jest jeszcze jedna obawa, wysoki sędzie. Obraz sfalszowany przez panią Roth, jak sama potwierdziła, znajdował się w rękach Ashoka Patela, mężczyzny podejrzanego o przemyt skradzionych dzieł sztuki. Wiemy na pewno, że obraz był w jej posiadaniu, a skończył w jego rękach. Wynika z tego, że ona także była zaangażowana w przemyt. Co ciekawe, prace pozwanej mają właśnie zostać pokazane na wystawie w galerii Markel G przy Newbury Street, której właścicielem jest Aiden Markel. Ten sam, który został aresztowany za sprzedaż wspomnianego obrazu panu Patelowi. Dużo tu przypadków, a dostęp pani Roth do dużej ilości gotówki działa tylko na jej niekorzyść.

– Wysoki sędzie – mówi Mike. – Nie ma żadnego dowodu świadczącego o tym, że pani Roth miała jakikolwiek związek ze złodziejami czy z przemytnikami. Taka logika jest pokrętna i błędna. Nie ma dowodu na to, że pan Markel jest winny zarzucanych mu czynów i nie ma żadnego



dowodu na to, że pani Roth miała jakikolwiek udział w jego transakcjach. Czy każdy artysta, którego reprezentuje Markel G, powinien zostać teraz zamknięty do więzienia? Ze strony prokuratora to kompletna fantazja...

– Nie jestem tego aż tak pewna jak pan – przerywa Zwerdling. –

Pozwana przyznała się do namalowania fałszerstwa, które zostało skonfiskowane przez FBI zaraz po tym, jak je skończyła. Więc jakieś powiązanie jednak tam jest.

– Pani Roth nigdy nie przyznała się do namalowania fałszerstwa – poprawia Mike. – Przyznała się do namalowania kopii z kopii. To duża różnica. I to ta różnica sprawia, że argumenty pana Odena są bardzo dyskusyjne.

– Proszę mówić dalej.

– Jedynym powodem, dla którego obraz został skonfiskowany – ciągnie Mike – był fakt, że policja uznała, że to prawdziwy Degas, skradzione dzieło sztuki. Teraz wiadomo, że nie było to arcydzieło, nie zostało namalowane przez Degasa i nie zostało skradzione. Gdyby od początku wiadomo było, że była to kopia namalowana przez Claire Roth, obraz nigdy nie zostałby skonfiskowany, a mężczyźni, którzy są teraz w więzieniu oskarżeni o jego sprzedaż, posiadanie i przemyt, nie zostaliby nigdy aresztowani. Podobnie jak sama pani Roth.

– Nawet jeśli to, co mówi pan Dannow, jest prawdą – wtrąca się Oden – którą oczywiście nie jest, uważamy, że z powodu, iż sprawa ta może mieć znaczenie dla poważniejszego przestępstwa, czyli kradzieży bezcennych dzieł sztuki z Gardner Museum, musimy się upewnić, że wszelkie dowody dotyczące tej drugiej sprawy są sprawdzone i zachowane.

– Może i nie jestem prawnikiem zajmujący się prawem konstytucyjnym, wysoki sędzio – mówi Mike – ale dla mnie brzmi to jak dość niekonstytucyjny argument.

– Zgadza się, panie Dannow – przytakuje sędzia – nie jest pan prawnikiem od spraw konstytucyjnych.

Emma obejmuje mnie w talii.

– Nie wydaje mi się, że jest tak źle, jak na to wygląda – szepcze. Niestety, jestem pewna, że jednak jest.

Zwerdling znów przerzuca papiery, które ma przed sobą.

– Panie Oden, czy to ostateczna wersja raportu policji?

– Tak, wysoki sędzie. Ale będzie oczywiście więcej dowodów, trzeba je tylko zebrać.

Sędzia marszczy się nad raportem, potem odrywa wzrok i patrzy przez chwilę na każdego z nas.

– I to już wszystko, panie Oden? Całość pańskich dowodów na ten moment?

– Na ten moment tak, wysoki sędzie.

Pochylam się do Emmy, zamykam oczy.

– Wniosek odrzucony – mówi w końcu sędzia. – Pani Roth pozostaje wolna za własnym poręczeniem.

Zanim zdążę zareagować, odzywa się Mike.

– Wysoki sędzie, wnoszę o oddalenie wszystkich zarzutów.

Sędzia Zwerdling unosi brew.

– Wszystkich, panie Dannow?

– Tak. Teraz, kiedy wiemy już, jak wygląda suma dowodów pana Odena, wnoszę o odrzucenia zarzutów na podstawie braku dowodów.

– Ciekawe – szepcze Emma.

– A jakich dowód według pana brakuje? – pyta Zwerdling.

Mike odchrząkuje.

– Według raportu z aresztowania nie ma jakichkolwiek dowodów na to, że pani Roth miała kontakt ze skradzionymi dobrami, nie ma dowodów na to, że była w kontakcie z jakimkolwiek znanym kryminalistą, nie ma dowodów, że transportowała dobra, których nie posiadała. I tak, chociaż przyznała się do namalowania obrazu, który został skonfiskowany przez FBI, z tego, co wiem, kopiowanie dzieł sztuki nie było uznane za przestępstwo. Gwoli ścisłości, to jest dokładnie to, co robi pani Roth na co dzień, jako pracownik Reproductions.com. W związku z tym – ciągnie Mike – nie ma żadnego dowodu na fałszownię, posiadanie, sprzedaż czy transport skradzionych dóbr ze strony pani Roth. Dodatkowo, nie ma dowodów, które świadczyłyby, że pani Roth brała udział w planowaniu przestępstwa. Szczerze mówiąc, wysoki sędzie, nie ma dowodów na to, że

w ogóle planowano jakiegokolwiek przestępstwo. Ashok Patel, Aiden Markel i moja klientka mówią dokładnie to samo, a mianowicie, że pani Roth skopiowała kopię. Co nie jest niezgodne z prawem.

– Wysoki sędzie – sprzeciwia się Oden. – Fakt, że trzy obecnie aresztowane osoby mówią to samo kłamstwo, w żadnym wypadku nie sankcjonuje uwolnienia jednej z nich.

– Dość już usłyszałam – mówi Zwerdling. – W całej mojej karierze nie widziałam mniej wiążącego raportu z aresztowania. – Stuka w raport policyjny. – To jest albo niekompletne albo, jak podejrzewam, to po prostu jeden wielki polityczny teatrzyk.

Patrzą na Mike'a i Emmę. Oboje wpatrzeni są przed siebie, ich twarze bez wyrazu.

– Gdzie są jakiegokolwiek dowody, panie Oden? Gdzie całe to mięso? – W odpowiedzi na jego puste spojrzenie wybucha śmiechem. – Może i jest pan młody, ale chyba rozumie pan, o co mi chodzi?

– Wysoki sędzie, ja...

– Wystarczy, panie Oden.

– Tak, wysoki sędzie.

Odwraca się do mnie.

– Nie mam dowodów, aby w pełni zrozumieć, o co chodzi w tej sytuacji, ani jak bardzo niewinna lub winna pani jest. Ale potrafię rozpoznać, że zgromadzone dowody są w najlepszym razie marne.

Mike bierze moją dłoń i ściska ją. Czy ja dobrze rozumiem? Czy to, co mi się wydaje, naprawdę się dzieje? Nie chcę robić sobie nadziei, ale wydaje się, że może wreszcie będę miała chwilę wytchnienia.

Sędzia kiwa głową w kierunku Mike'a i Odena.

– Panie Oden, proponuję panu zebrać więcej dowodów, o których pan wspominał. W przeciwnym razie może się pan znaleźć na lodzie. A pan, panie Dannow, powinien być mądrzejszy i nie próbować takich piruetów w moim sądzie.

Gdy patrzy na mnie, jej spojrzenie łagodnieje.

– Przykro mi, pani Roth, ale przesłuchanie to nie miejsce na tego typu decyzję. – Stuka młotkiem. – Wniosek odrzucony. Pozwana pozostaje

aresztowana, wypuszczona na wolność za poręczeniem. Rozprawa wstępna odbędzie się w najbliższy poniedziałek o godzinie ósmej rano.

Zamiast skorzystać z oferty Mike'a, który chciał mnie podwieźć, a także zamiast jechać tramwajem wracam do domu pieszo. Potrzebuję czasu i przestrzeni, nie wspominając już o świeżym powietrzu, żeby przemyśleć wszystko to, co zdarzyło się w ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin. Markel G pozostaje zamknięta, moja wystawa odwołana. *Kąpiel II* została uznana za fałszerstwo. Patrę na zegarek. Mniej więcej o tej godzinie wczoraj stałam na chodniku przez galerię, patrząc na *Nighttime T*. Sześć godzin później siedziałam w celi w więzieniu, a teraz znów jestem wolna. Przynajmniej częściowo.

To tyle, jeśli chodzi o wzloty i upadki. Patrę na bezchmurne, kobaltowe niebo, oddycham boleśnie ostrym powietrzem, uśmiecham się do ludzi idących z naprzeciwka. Dość odważnie jak na spokojny i zachowawczy Boston. Sędzia – Mike powiedział, że musiała chyba być na antydepresantach – była na tyle miła, że pozwoliła nam wyjść z sądu tylnymi drzwiami, by wymknąć się dziennikarzom, którzy przypuszczalnie nadal stali na schodach. Śmiałam się głośno, myśląc o nich, gdy szłam szerokim, ceglany chodnikiem rozciągającym się przez budynkami rządowymi.

Idę w kierunku Downtown Crossing i planuję, co robić dalej. Zajdę do Aideny i sprawdzę, czy już o wszystkim wie. Zadzwonię do Rika i wypytam o nowości. Odezwę się do Sandry Stoneham i dowiem się, czy zna panięskie nazwisko matki Virgila Rendella, żebyśmy mogła znaleźć jego rodzinę. Jakoś dostanę się do podziemi Gardner Museum, żeby sprawdzić, jak idzie robota i dowiedzieć się, czy Aiden ma jeszcze jakąkolwiek szansę, żeby ocalić palec.

Wręczam dolara przykucniętej na podeście przy pustej witrynie sklepu kobiecie, która potrząsa kubkiem z Dunkin' Donuts. Macham do dziecka w wózku, które krzyczy „Cześć! Cześć! Cześć!” i drapię w głowę

merdającego ogonem cocker spaniela, który ciągnie smycz, by się do mnie zbliżyć. Nie jestem naiwna. Rzeczy nie mają się dobrze. Ale nie jest tak źle, jak mogłoby być. A ja nie przepuszczę okazji, żeby cieszyć się z pomniejszego zwycięstwa. Jeśli jest coś, czego się ostatnio nauczyłam, to to, że sytuacja potrafi się zmienić w ciągu nanosekundy. Nie chcę więc żałować, że nie cieszyłam się, kiedy miałam ku temu powód.

Jakby na potwierdzenie moich słów dzwoni telefon. To agent Lyons. Chce wpaść, żeby ze mną porozmawiać.

– Przykro mi – mówię. – Za poradą mojego prawnika, nie powiem niczego, dopóki nie będzie tu obecny.

– To naprawdę niepotrzebne – głos Lyonsa jest ciepły i przyjacielski. – Nie mam powodu, żeby panią aresztować. Szczerze mówiąc, myślę, że policja, lekko popchnięta przez pani przyjaciółkę Alanę Ward, troszkę się pośpieszyła. Chcę po prostu opowiedzieć pani o tym, co się dzieje, zapytać o szkicownik Virgila Rendella, a także o tę całą sprawę z obrazem w podziemiu.

Waham się. Brzmi dość niewinnie, ale pamiętam złość Mike'a, gdy odezwałam się bez pozwolenia do dziennikarki na schodach sądu.

– Za poradą mojego prawnika, nie powiem niczego, dopóki nie będzie tu obecny.

– Acha – mówi. – Obstawiona prawnikami, tak?

– Nie jestem głupia.

Lyons chichocze.

– Nie, nie jest pani. Za to jest pani niezwykle utalentowaną artystką – kiedy nie odpowiadam, ciągnie – przechodziłem dziś rano obok Markel G. Nie jestem znawcą, ale pani obraz w witrynie naprawdę mnie poruszył. Taki wyrazisty. Cudowne kolory.

Miło mi to słyszeć, podobnie jak to, że *Nighttime T* nadal wisi tam, gdzie go zostawiłam. Ale staram się nie zmieniać tonu głosu.

– Pochlebstwami nic pan nie wskóra.

Znów chichot.

– To może da mi pani numer swojego prawnika, a ja zadzwonię i umówię się na spotkanie? Czy późniejsze popołudnie będzie pasowało?

Biuro Mike'a znajduje się na trzydziestym piętrze. Kiedy wchodzę i widzę widok z okna na port, myślę o tym, że Mike i ja nie rozmawialiśmy w ogóle o jego cenach, a chyba jasnym jest, że mnie na niego nie stać. Szczególnie, jeśli nie będę miała wystawy. Ale nie mam okazji, żeby go o to zapytać. Zaraz za mną wchodzi Lyons, a nie jest to temat, jaki chce się poruszać w obecności agenta FBI.

Po paru minutach spędzonych na picciu kawy i pogaduszkach, Mike odchrząkuje.

– Żebyśmy się dobrze zrozumieli, agencie Lyons. Jak powiedziałem panu przez telefon, w czasie przesłuchania pani Roth sędzia uznała, że prokurator nie miał dostatecznej liczby dowodów, by postawić sprawę przed sądem i zasugerowała, że nie było dostatecznych dowodów nawet do aresztowania.

Lyons podnosi ręce do góry.

– Nam zależy tylko na odnalezieniu brakującego obrazu i wsadzeniu za kratki osoby odpowiedzialnej za jego kradzież. – Uśmiecha się do mnie – Nie chcemy przeszkadzać młodej kobiecie, która stara się zarobić na życie. Jestem tutaj, bo potrzebuję jej pomocy, a nie dlatego, że jest podejrzana.

Twarz Mike'a jest bez wyrazu.

– A jak dokładnie miałyby pomóc?

Lyons otwiera teczkę i wyciąga moją książkę „Edgar Degas: Szkice i rysunki, 1875 – 1900”, a także szkicownik Virgila Rendella. Kładzie je na stoliku pomiędzy naszymi krzesłami i uderza w okładkę szkicownika.

– Potrzebuję wyjaśnień na temat tego, co dokładnie pokazują nam te rysunki. Ale najpierw, jeśli chcecie, opowiem wam o tym, w jakim momencie dochodzenia jesteśmy.

Nie czekając aż powiemy, czy tego chcemy czy nie, mówi dalej.

– Wiemy na pewno, że za ścianą w dolnej piwnicy znajduje się jakiś rodzaj schowka lub pomieszczenia. Ultrasonograf potwierdza, że nie jest ono puste. Ale może tam być wszystko, włącznie z liczącymi sto lat odpadkami budowlanymi.

– Albo obraz – mówię.

– Jest taka możliwość, ale dopóki się tam nie dostaniemy, to tylko zgadywanka. I, niestety, ponieważ przestrzeń wokół jest tak zapchana, być może będziemy potrzebować naprawdę dużo czasu, żeby to sprawdzić.

– Więcej niż dwa dni? – pytam, myśląc o sms-ie od Kristi: „Markel prosił, żeby przekazać, że został tylko tydzień”. To było pięć dni temu.

– Dlaczego tak dużo? – pyta Mike.

– Ściana jest gruba, a my musimy posługiwać się narzędziami ręcznymi. Jest obawa o ściany nośne, poza tym mamy do czynienia z zabytkiem i ze starymi metodami wznoszenia budynków. I, żeby było gorzej, cała przestrzeń zavalona jest śmieciami, a kurator musi przejrzyć każdy z nich, zanim będziemy mogli je przesunąć. Może dostaniemy się tam jutro, może za tydzień.

– A wpuszczacie gości? – pytam.

Lyons wydaje się nie rozumieć.

– Do muzeum?

– Obiecuję, że nie będę przeszkadzać.

– To jeden wielki bałagan. Mnóstwo kurzu i zdecydowanie zbyt dużo ludzi.

– Mogę patrzeć z poziomu wyżej, nie muszę schodzić. A jeśli będziecie mieli jakieś pytania, będę wam mogła na nie odpowiedzieć.

Agent zastanawia się chwilę.

– Może i byłoby to przydatne?

– Jutro? – pytam.

Lyons wygląda na rozbawionego, gdy wręcza mi swoją wizytówkę.

– Proszę zadzwonić, zanim pani przyjdzie, żeby się upewnić, że wszystko jest nadal okej.

– Jasne – mówię, biorąc wizytówkę. – Dzięki. Tak zrobię.

– Agencji Lyons – mówi Mike. – Nie rozumiem, jak znalezienie tego obrazu może wam pomóc w znalezieniu innych skradzionych prac.

– To poszlaka – mówi. – Może coś znaczyć, może nic nie znaczyć.

Mike patrzy na niego pytająco.



– Wydaje się, że zuzywacie dość dużo czasu i energii na mało znaczącą poszlakę.

Lyons uśmiecha się.

– Witaj w moim świecie.

Mike znów uważnie patrzy na agenta.

– Czy mogę zerknąć na szkicownik? – pyta w końcu.

Lyons podaje mu go, ale zwraca się do mnie.

– Nakazaliśmy prawnikowi Markela, żeby ten oddał obraz, który przyniósł pani do skopiowania. – Patrzy na mnie uważnie, czekając na reakcję. – Powinniśmy go dostać w przeciągu tygodnia.

– I co wam to da? – pyta Mike, zanim zdąży się zastanowić, czy to, że FBI będzie miało wkrótce obraz Virgila Rendella, to dobra czy zła wiadomość.

– Po pierwsze, ustalimy jego autentyczność – mówi Lyons, potem odwraca się do mnie. – I to jedna z rzeczy, co do których potrzebuję pani pomocy, pani Roth. Chciałbym przejść przez cały proces krok po kroku. Czy może mi pani opowiedzieć dokładnie, jak doszła pani do wniosku, że kopiuje pani kopię, a nie oryginał?

Patrzę na Mike'a. Ustaliliśmy przez telefon, że mogę powtarzać tylko to, co już powiedziałam Lyonsowi i Alanie, i że mam się trzymać podobnego słownictwa i podobnych sformułowań. Mike kiwa głową, a ja staram się przypomnieć sobie dokładnie, co wtedy powiedziałam. Zaczynam wyjaśniać, co się wydarzyło, gdy Aiden przyniósł mi kopię. Lyons od razu mi przerywa.

– Wcześniej powiedziała pani, że nigdy nie przyszło pani do głowy, że to ukradziony obraz. A jednak coś tam musiało pani zaświtać. – Stuka w szkicownik leżący na biurku Mike'a. – W przeciwnym razie, po co zaczęłaby pani poszukiwania znanych fałszerzy?

Staram się brzmieć spokojnie.

– Kiedy pracowałam nad moją kopią, kiedy wgryzałam się w każdy jej detal, zaczęłam się zastanawiać, dlaczego jej kompozycja nie pasuje do kompozycji pozostałych dzieł Degasa. Co z kolei doprowadziło mnie do jego szkicownika i, później, do szkicownika Virgila Rendella. To nie miało

nic wspólnego z tym, czy myślałam, czy był to obraz z Gardner Museum czy nie. To nie miało żadnego znaczenia.

– Więc – mówi Lyons – mimo że obraz, który pani miała, był identyczny do tego, który widziała pani wielokrotnie w Gardner Museum, nigdy nie przyszło pani do głowy, że to może być ten sam? Biorąc pod uwagę pani smykałkę do śledztw, trudno mi uwierzyć, że nie przyszło to pani do głowy nawet przez chwilę.

– Chciałbym panu przypomnieć, agencie Lyons – przerywa łagodnie Mike – że moja klientka ma panu pomóc, bo ją pan o to poprosił, i że nie musi odpowiadać na żadne z pana pytań.

– Oczywiście – odpowiada Lyons podobnie łagodnym tonem. – I bardzo doceniam jej pomoc. – Znow się do mnie uśmiecha, potem patrzy na Mike'a. – Czy pana klientka może mi dokładnie opowiedzieć co zrobiła, by odpowiedzieć sobie na pytanie o autentyczność obrazu?

Mike kiwa do mnie głową.

– Najpierw próbowałam znaleźć szkice kompozycyjne Degasa do *Po kąpieli* – wskazuję na książkę leżącą na biurku Mike'a. – Tam. Ale nie znalazłam niczego, co wyglądałoby dokładnie jak obraz, który miałam przed sobą.

– Który był kopią, a nie obrazem.

– Tak, kopią, zgadza się. Ale był kopią zrobioną na podstawie obrazu, co do którego autorstwa Degasa zaczynałam mieć wątpliwości. – Mój głos podnosi się mimo starań, żeby zachować spokój.

– I nikt z tysięcy, może milionów osób, które oglądało go przez tyle lat, nigdy nie doszedł do podobnych wniosków – spuentował Lyons.

– Jest dokładnie tak, jak powiedziałam wcześniej: ludzie widzą to, co chcą zobaczyć. Nawet eksperci.

– Ale nie pani.

– Dość – przerywa Mike, wstając. – Moja klientka nie jest o nic oskarżona, nie zrobiła nic złego i nie pozwolę, by ją pan tu zadręczał. Ta rozmowa jest skończona.

– Co pan właściwie sugeruje? – patrzę na Lyonsa. – Że to był prawdziwy Degas? Że wszystko to sobie wymyśliłam? Po co w ogóle miałabym...

Ręce Mike'a zaciskają się na moim ramieniu.

– Po prostu wydaje mi się dziwne – mówi Lyons – że mogła pani tak łatwo dojść do takich wniosków, patrząc tylko na kopię obrazu. Nieważne, jak dobrą.

Mike przyciska guzik w telefonie.

– Moja asystentka odprowadzi pana do drzwi – mówi.

Agent zabiera obie książki z biurka Mike'a, dziękuje za nasz czas i wychodzi.

Kiedy zamykają się za nim drzwi, przygotowuję się w duchu na gniew Mike'a. Gdy podnoszę wzrok, widzę, że stoi przy oknie i wpatruje się w port.

– O co w tym wszystkim chodzi? – pytam – Myślisz, że coś na mnie ma?

– Nie wiem, czy „coś ma” – odwraca się od okna. – Ale wygląda na to, że myśli, iż Markel nie przyniósł ci kopii, i że namalowałaś kopię, wzorując się na oryginale. Co oznacza, że oboje wiecie, gdzie znajduje się oryginał i od kogo Markel go dostał.

Rik dzwoni o ósmej następnego ranka.

– Widziałaś dzisiejsze „Globe”? – pyta.

Moje serce zamiera.

– Unikam wszystkich źródeł wiadomości.

– Claire, nie bądź dzieckiem. Chodzi o coś fajnego. Albo przynajmniej ironicznego.

– Nigdy nie byłam wielką fanką ironii.

– Zadzwoń, jak już przeczytasz.

Schodzę na dół do małego foyer, jeśli można tak nazwać wyłożoną metalem kabinę z kilkunastoma skrzynkami na listy. Zawsze w weekend leżą tam jakieś gazety, bo artyści, którzy mają dostatecznie dużo pieniędzy, żeby nie mieszkać w swoich studiach, nie przychodzą tu w soboty i niedziele. Z zabłoconej podłogi podnoszę „Globe”. Przeklinam zimową pluchę i patrzę na nagłówki. Iran. Afganistan. Znów strzelanina w Dorchester. Dzielna mała dziewczyna, która pokonała raka. O co chodziło Rikowi? Przewracam strony. A tam, zupełnie na dole widzę mały nagłówek: FBI BOMBARDOWANE ŻĄDANIAMI OTWARCIA GALERII MARKEL G NA WYSTAWĘ ROTH.

Wchodzę po schodach, czytając artykuł. Kończę już na kanapie. Znów czytam. To spełnienie moich marzeń. I manifestacja moich koszmarów. Wygląda na to, że są ludzie, którzy uważają, że publikując materiały marketingowe na temat moich obrazów i ich cen, galeria zawarła formę ustnej umowy ich sprzedaży, której realizację uniemożliwia teraz FBI. A pytani kolekcjonerzy twierdzą, że są zainteresowani tylko i wyłącznie moimi *Oknami*, że zakochali się w moich pracach, kiedy tylko Aiden je pokazał, i że afery wokół *4D* i *Po kąpieli* nie mają dla nich najmniejszego znaczenia.

Ale przecież ludzie nie są głupi. I ja też nie jestem. Ostatni akapit artykułu mówi, że pomimo zapewnień, że jest inaczej, każdy chce „kupić obraz artystki, która jest tak dobra, że udało się jej nabrać zawodowych ekspertów sztuki i oszukać jedno, a może i dwa muzea należące do najważniejszych tego typu instytucji na świecie”.

Oddzwaniam do Rika.

– Myślę, że jesteś wspaniała – woła, zanim zdążę powiedzieć „cześć”. – Że twoje *Okna* są wspaniałe. Że...

– Myślę, że rozgłos wokół mnie jest wspaniały.

– Nie o to chodzi. Wiesz, że nie o to. I mówią tak, jakby przyznawali, że to ty namalowałaś *4D*. Prasa nigdy wcześniej nie...

– Nie wiem i nie chcę nawet o tym mówić. Lyons powiedział, że mogę przyjść obejrzeć postęp prac.

– Naprawdę? – pyta Rik – Dlaczego miałby się na to zgodzić?

– Bo go o to poprosiłam. Powiedział, że już powoli przekłuwają się przez beton.

– Kiedy z nim rozmawiałaś?

Waham się.

– Wczoraj popołudniu. W biurze Mike’a.

– Czego chciał?

– Spotkać się. Zadać mi parę pytań na temat szkiców Rendella.

Rik odchrząkuje.

– Nie rób tego.

– Jasne, jasne. Cieszę się, że myślisz pozytywnie. Zadzwoń do ciebie później.

Z biurka podnoszę wizytówkę Lyonsa. Agent specjalny Jonathan Lyons, oddział bostoński, FBI. Myślę o teorii Mika’ego, że Lyons zakłada, iż Aiden przyniósł mi oryginał, i dochodzę do wniosku, że pewnie rozsądniej będzie nie spędzać z nim dużo czasu. Potem znów myślę o tym, jak cudownie byłoby zobaczyć, jak przebijają się przez ścianę i otwierają podwójne drzwi. Jak wspaniale byłoby ujrzeć moment odkrycia prawdziwej *Po kąpieli* Degasa. Wiedzieć, że Aiden jest uratowany. Dzwonię do Lyonsa.

Kurz jest gęsty, a hałas ogłuszający. Na górze strażnik podaje mi kask, zatyczki do uszu i maskę chirurgiczną. Na początku myślałam, że to przesada, ale teraz cieszę się, że to wszystko mam. Nad wejściem do dolnej piwnicy zawieszono są reflektory, a dwóch mężczyzn pracuje z czymś, co wygląda jak młoty pneumatyczne. Ale zamiast przyłożyć je do podłogi, robotnicy ustawiają je horyzontalnie, na zewnątrz krawędzi dwóch dużych dziur w ścianie. Wszystkie przedmioty, które wcześniej wypełniały pomieszczenie, są teraz ładnie wyłożone w rzędku.

Kłękam, by lepiej się wszystkiemu przejrzeć. Białoszary pył dostaje mi się do oczu i osiada na brwiach, które i tak są już mokre od panującej tu wilgoci. Każda z dziur ma średnicę około dziewięćdziesięciu centymetrów, a pomiędzy nimi jest około dziewięćdziesiąt centymetrów betonowej ściany. Pył sprawia, że nie widzę, jak głębokie są te dziury, ale wygląda na to, że przebijają się przez ścianę. Są większe niż myślałam, biorąc pod uwagę to, co mówił Lyons na temat przypuszczalnego terminu dotarcia do skrytki.

Agent Lyons kiwa na mnie głową, a ja podążam za nim w róg, gdzie hałas nie jest aż tak ogłuszający.

– Rozbierzemy ścianę szybciej niż zakładaliśmy – krzyczy.

Wyciągam z ucha zatyczkę.

– Co?

– Kuratorzy zajęli się całym tym kramem, a my kupiliśmy nowy sprzęt. Mniejszy, a jakieś dziesięć razy silniejszy. O wiele lepiej przecina ścianę – pokazuję ręką jakby ciął nożem. – Wchodzi jak w masło.

Udaje mi się złapać tylko parę słów, ale rozumiem sens. Więc to może być ten moment.

Nachyla się bliżej i dalej krzyczy mi do ucha.

– Może nawet przewiercimy się już dziś.

– Dziś? – Opieram się na zakurzonej słupie. Czyli zmieścilibyśmy się w czasie, jaki ma Aiden?

– Przyniesiemy sobie lunch, kolację, jeśli trzeba będzie – krzyczy. – Chce pani indyka czy wołowinę?

Siedem godzin później dziura w betonie jest tak duża, że widać przez nią całe drzwi.

Jest dobrze po szóstej. Wszyscy robotnicy już poszli. Lyons i ja stoimy w dolnej piwnicy i patrzymy, jak dozorca usuwa z drzwi ostatnie odpady po wierceniu. Alana, które nie odezwała się do mnie ani nie zaszczyciła mnie spojrzeniem przez cały dzień, kobieta z kamerą i dwóch agentów FBI też patrzają. Cisza jest ogłuszająca.

To było długie popołudnie. Jestem cała spocona, mimo że w pomieszczeniu panuje piwniczny chłód. I naprawdę chcę, żeby to się już skończyło. Zresztą podobnie jak wszyscy. Jesteśmy wykończeni, ale nikt nawet nie myśli, żeby wyjść.

Dozorca uderza młotkiem zamek w drzwiach. Ani drgnie. Chwyta za dłut i skrobie rdzę, która go unieruchomiła. Na chwilę przenoszę się myślami do popołudnia, kiedy Aiden i ja używaliśmy dłuta i młotków, żeby odpakować obrazy. Puskę Pandory.

Dozorca nie wydaje się spieszyć. Alana spaceruje w tę i z powrotem i pyta, czy potrzebuje pomocy, lepszych narzędzi. Ten odpowiada, że ma wszystko, czego potrzebuje, i że to robota dla jednego człowieka. Alana znów spaceruje, potem znów pyta. Ta sama odpowiedź.

W końcu, gdzieś między stuknięciem młotkiem a dłutem, zamek otwiera się. Lyons i pozostali agenci wchodzą przez dziurę. Jakoś udaje im się otworzyć ciężkie drzwi.

Kiedy stają w progu, zapada cisza. Ich ramiona i głowy blokują nam widok.

– I co? – krzyczy Alana – Jest tam?

Próbuję coś powiedzieć, ale słowa grzęzną mi w gardle.

Mężczyźni wymieniają się spojrzeniami, potem rozchodzą się i ustawiają po bokach pomieszczenia.

Teraz nasza kolej. Patrzymy. Poza paroma głazami i odrobiną kurzu pomieszczenie jest zupełnie puste.

Wczoraj w nocy, gdy wychodziliśmy z muzeum, Lyons poinformował mnie oficjalnie, że jestem teraz podejrzaną w sprawie kradzieży obrazów. Stwierdził, że próbowałam odwrócić jego uwagę od mojej winy ściemną o ukrytym płótnie. Mike potwierdził tę wersję dziś rano, kiedy zadzwonił powiedzieć, że agent Lyons „wymaga mojej obecności” w swoim biurze o czwartej po południu. Przypomni mi też, że rozprawa wstępna ma się odbyć w poniedziałek o ósmej. Jakbym mogła o tym w ogóle zapomnieć.

Spieprzyłam sprawę. Nie udało mi się uratować Aiden. Sama wpakowałam się w jeszcze gorsze kłopoty. Nie wspominając nawet stresu, jaki wywołałam u wszystkich miłośników sztuki znów zdruzgotanych utratą *Po kąpieli* Degasa. Jest wcześniej, ale kieruję się prosto do więzienia. Sama chcę przekazać Aidenowi złe wieści. Przynajmniej tyle mogę dla niego zrobić.

Aiden nawet nie stara się ukryć radości z tego, że mnie widzi. Nie mówi, że mam odejść. Patrzy na mnie z wyczekiwaniem.

Nasze oczy spotykają się i wiem, że to, co zaraz utracimy, jest ważniejsze, niż ktokolwiek z nas nawet podejrzewa.

– Tak mi przykro – udaje mi się wyszeptać.

Zamyka oczy.

– Nie znalazłaś związku z fałszerzem? Ani śladów oryginalnego obrazu?

Tylko potrząsam głową, bojąc się, że gdy coś powiem, zacznę płakać. Nie tego ode mnie potrzebuje.

– Wcale nie chciałem go oddać – mówi, zanim zdążę opowiedzieć mu szczegóły mojej porażki.

Nie rozumiem.

– Czego oddać?



– Pamiętasz, gdy rozmawialiśmy o kolekcjonerach? Że potrafią być szaleni? Że pragnienie posiadania bierze u nich górę nad rozsądkiem?

Przypominam sobie, że coś podobnego mówiła mi Sandra Stoneham i przez chwilę wydaje mi się, że odnosi się właśnie do niej. Ale to nie miałyby sensu. Nagle zdaję sobie sprawę, że mówi o sobie.

– *Kąpiel?*

– Kiedy sprzedający przyszedli do mnie z obrazem, założyłem oczywiście, że to oryginał. Oni z pewnością też. I było dokładnie tak, jak powiedziałem ci pierwszego dnia. Odmówiłem im, ale potem zacząłem myśleć o tym obrazie, przywiązywać się do niego, pożądać go. Chciałem go zatrzymać bardziej niż cokolwiek wcześniej w życiu. *Po kąpeli* Degasa. W mojej własnej kolekcji. Jej ukoronowanie.

– Ukoronowanie – powtarzam, próbując zrozumieć, do czego zmierza.

– Na początku nie wiedziałem, co mogę zrobić, żeby go zatrzymać. – Patrzy na swoją prawą rękę i bawi się odstającą taśmą. – To nie są ludzie, względem których chcesz za bardzo kombinować.

Nadal nie rozumiem.

– I... i wtedy zdecydowałaś się przyjść do mnie? – potrząsam głową, jakbym chciała zaprzeczyć własnym słowom. – Jak... jak Ely Sakhai? Podwójne fałszerstwo?

– Zobaczyłem artykuł w „Globe” o Reproductions.com. Ten z twoim zdjęciem. O tym, że jesteś ekspertką od Degasa.

– Nigdy nie podobały ci się moje *Okna*... – mówię zszokowana.

I pomyśleć, że po dzisiejszym telefonie od Mike’a zakładałam, że nic gorszego nie może się już wydarzyć.

– Nie, to nieprawda. Po prostu wpadłem tego dnia, żeby zobaczyć, co robisz. Wyczuć, czy taka opcja byłaby w ogóle możliwa. Kiedy zobaczyłem Degasa, którego malowałaś dla Repro, oraz twoje niesamowite *Okna*, zrozumiałem, że kroi mi się plan.

– Nigdy nie rozważałaś oddania płótna do Gardner Museum?

Nie patrzy mi w oczy.

– Byłem przekonany, że gdybym powiedział ci prawdę, nie zgodziłabyś się na to.

– I miałaś rację.

– A kiedy zaczęliśmy się spotykać, i kiedy to, co malowałaś, okazało się tak dobre, chciałem powiedzieć ci prawdę. Ale było nam tak cudownie, tak świetnie się rozumieliśmy... – odchrząkuje. – Bałem się, że cię stracę i że zrezygnujesz z wystawy.

– A co miałaś zamiar zrobić, jakbym już się zorientowała, że nie oddałaś obrazu do Gardner Museum? Zastrzelić mnie?

– Oczywiście, że nie! – Wykrzykuje z urażonym wyrazem twarzy.

I potem nagle rozumiem. Widzę to jasno jak na dłoni.

– Chciałaś mnie zaszantażować. Wyszło ci, że i tak siedziałam w tym wszystkim po uszy, więc na pewno nikomu bym nic nie powiedziała... Och, Aiden... – łamie mi się głos. – Jak w ogóle mogłeś o czymś takim pomyśleć? Po tym wszystkim, co razem...

– Nie spodziewałem się, że się zakocham – mówi z desperacją w głosie. – Nie było to częścią mojego planu. Ale kiedy tak się stało myślałem... miałem nadzieję, że mi wybaczysz. Że może razem będziemy się nim cieszyć.

Czuję, jakby w moje wnętrze wkręcał się korkociąg i rozsyłał wściekłość i ból do wszystkich części mojego ciała. Patrzę na niego w beznadziei.

– Claire, proszę, nie patrz tak...

– Więc okłamywałaś mnie przez ten cały czas?

Jego oczy zapalają się przebiegle, w sposób, jakiego do tej pory u niego nie widziałam.

– Chyba dokładnie to samo można powiedzieć o tobie.

\*\*\*

Wytaczam się z więzienia, próbując zrozumieć znaczenie tego, co właśnie powiedział mi Aiden. Nie mogę w to uwierzyć. Nie mogę uwierzyć w jego szalony plan. I nie mogę uwierzyć, że nigdy nie zwątpiłam w jego historię. W końcu to człowiek, który woli stracić palec niż sprzedać obraz ze swojej kolekcji. Wiedziałam to o nim, a jednak nadal nie do końca go rozumiałam.

Jestem naiwna, a on jest szaleńcem. Oboje zasługujemy na to, co mamy. Być może nawet jesteśmy sobie warci. Ale „my” jest już przeszłością. Przeszłością. Jestem tak wściekła i na niego, i na siebie samą, że nie mogę nawet płakać. Więc to wszystko było jednym wielkim kłamstwem. Jego kłamstwem, moim kłamstwem. Naszą pychą i ambicją. Szaleństwo artysty warte tyle, ile szaleństwo kolekcjonera.

„Gdy jakaś praca zdobędzie twoje serce, nigdy nie będziesz potrafiła się z nią rozstać” powiedziała Sandra Stoneham. Miała rację. Zupełnie, jakby miała na myśli Aiden. Opieram się o fasadę więzienia i zamykam oczy. Nachodzi mnie ogromna fala smutku.

Potem nagle szeroko je otwieram. Sandra nie miała na myśli Aiden. Mówiła o sobie.

Jadę tramwajem do Brooklynu. Kiedy dzwonię do drzwi, Sandra otwiera mi w szlafroku, nieuczesa. Wygląda na znacznie chudszą niż ostatnio, kiedy ją widziałam. Na pewno nie spodziewała się gości.

– Claire – wykrzykuje i wprowadza mnie do środka. – Co tu robisz tak wcześniej? Czy wszystko w porządku?

Rzucam okiem na portret Amelii wiszący naprzeciw wejścia i staram się nie patrzeć na drzwi prowadzące do salonu, chociaż zauważam że, jak zawsze, są zamknięte na klucz.

– Przyszłam przeprosić – mówię. – Nabrałam cię, okłamałam, a potem musiałam oddać coś, co należało do ciebie.

– O czym ty mówisz?

– Nie piszę książki o Belle, a FBI jest w posiadaniu szkicownika, który ostatnio od ciebie pożyczyłam. I nie wiem nawet, czy kiedykolwiek dostaniesz go z powrotem.

Sandra ciaśniej zawiązuje supeł w szlafroku.

– Dlaczego mi o tym mówisz?

– Bo najprawdopodobniej dziś po południu zostanę aresztowana.

Patrzy na mnie, ale wbrew temu, czego się spodziewałam, nie dostrzegam złości, tylko ciekawość i sympatię.

– Cóż – mówi w końcu. – Wejdz, zrobię herbatę. Może będę mogła jakoś pomóc – i kieruje się w stronę kuchni.

Część mnie chce z nią iść, chce zapaść się w jej babcinym cieple, uwierzyć w coś, w co niestety nie mogę wierzyć. Podchodzę do podwójnych drzwi. Chwytam za klucz.

– Co robisz? – krzyczy Sandra, biegnąc w moim kierunku. – Odsuń się! Zatrzymaj!

Ale oczywiście jej nie słucham. Przekręcam klucz i otwieram drzwi.

Pierwsze co widzę, to czerwienie, błękity i zielenie wystrzeliwujące z obrazu wiszącego nad kominkiem. Wchodzę do środka i podnoszę wzrok. Tak samo, jak od razu wiedziałam, że *Kąpiel Aiden*a nie była prawdziwa, tak teraz od razu wiem, że ta jest. I, oczywiście, dobrze ten obraz rozpoznaję.

Bo oto stoję przed *Po kąpeli* Degasa. Jego świetlistość i żywość odsuwają fałszerstwo Rendella głęboko w cień. Simone i Jacqueline są identyczne jak w mojej kopii, ale Françoise to zupełnie inna historia. Siedzi dokładnie tak, jak w szkicach Degasa, co sprawia, że kompozycja obrazu jest asymetryczna. Ale co najważniejsze, jest nie tylko moją nie-Françoise. To Belle. I to naga.

Za mną słyszę ciche łkanie Sandry. Rozglądam się po pokoju. Jest zupełnie pusty. Znajduje się tu tylko ten jeden obraz i samotny fotel stojący naprzeciwko.

# Epilog

## *Sześć miesięcy później*

Jest tak, jak to sobie wyobrażałam: dużo śmiechu, wirujące kolory, szampan i kręcący w nosie zapach drogich perfum. Nie wspominając o buziakach, jakie dostaję ze wszystkich stron. Bo właśnie odbywa się otwarcie mojej pierwszej wystawy indywidualnej. W Markel G. Mówię pierwszej, bo zostałam już poproszona o kolejne. Jedną w Royal Academy of Arts w Londynie, drugą w Tokio, w galerii, której nazwy nie potrafię wymówić. Od pariasa do ulubienicy, i to w mniej niż rok. Oszłamiające osiągnięcie. Które każe mi się na chwilę zatrzymać.

Ludzi jest tu pełno, a pięć obrazów ma już czerwone kropki. Opinie krytyków są świetne, klienci ustawiają się w kolejce, kuratorzy się podlizują. Wygląda na to, że nareszcie mi się udało. Gratulują mi, poklepują mnie i proszą o przysługi. Mogłoby mi to nawet uderzyć do głowy, gdyby nie to, że wiem, skąd ten sukces. Prasa nieustannie komentuje, jaka jestem bezpretensjonalna i jak twardo stąпам po ziemi. Pewnie i tak można to opisać.

Kiedy tak wędruję przez galeryjny tłum, widzę twarze, które znam i takie, których nie znam. Widzę twarze, które rozpoznaję, a które teraz rozpoznają mnie. Jestem wołana z każdej strony, fotografowana, aż błyski fleszu zaczynają mi się mienić przed oczami.

Profesor Zimmermann całuje mnie w oba policzki.

– Co jest bardziej niesamowite: ta wystawa czy to, jak to się wszystko skończyło? Sandra Stoneham, ze wszystkich ludzi na ziemi! Znam ją od lat! Kto by pomyślał? – Potem się uśmiecha. – Oczywiście ty!

Zimmermann nawiązuje do *Po kąpeli* Degasa, który wisi teraz, dumny i wspaniały, w Małej Galerii, przyciągając ludzi z całego świata i znacząco podbijając liczbę zwiedzających Gardner Museum. Muzeum planowało urządzić galę wprowadzenia (nie odsłonięcia) na urodziny Belle, które przypadają czwartego kwietnia, ale obraz zawisł dopiero w czerwcu.

I nie przez Sandrę Stoneham. Tego ranka w salonie wyjaśniła mi, że *Po kąpieli* było jedynym przedmiotem, który został jej po ciotce Belle. Że wiedziała, że nie powinna go trzymać, ale jej matka i babka jej to nakazały.

– Pomijając oczywiście to, że bardzo chciałam go mieć tylko dla siebie – przyznała. – Siedzę tu cały czas, patrząc na niego i ciesząc się, że jest tylko mój i nikogo więcej.

– Twoje matka i babka? – zapytałam.

– Babka Amelia obiecała ciotce Belle, że przyniesie obraz z piwnicy i powiesi go w Małej Galerii, gdy ta umrze. Ale kiedy dyrektor muzeum okazał się niemący i niechętny do współpracy, babka zdecydowała, że jednak go zatrzyma. To miała być sekretna spuścizna rodzinna, którą potem przekazała mojej mamie, a która potem przekazała ją mi z zastrzeżeniem, że nigdy nie może ona wrócić do Gardner Museum.

– Żeby ukarać muzeum, czy żeby ukryć nagość Belle?

– I to, i to – powiedziała Sandra z uśmiechem. – Ale to chyba już nieważne.

Sandra oddała obraz chętnie. Powiedziała, że nawet poczuła ulgę i że Gardner Museum nie wniosło przeciw niej żadnych zarzutów. Z testamentu Belle wynikało jasno, że *Po kąpieli* od początku należało do muzeum, ale ani zarząd, ani FBI nie miało serca, żeby oskarżać osiemdziesięciodwuletnią kobietę, która jest zarazem ostatnią żyjącą potomkinią Isabelli Stewart Gardner.

To sam testament Belle okazał się powodem opóźnienia w zawieszeniu obrazu. Rozgorzała prawna debata wokół tego, czy *Po kąpieli* Degasa w ogóle powinno zostać pokazane. Według woli Belle nic w jej muzeum nie mogło zostać usunięte ani zmienione po jej śmierci, a fałszerstwo Virgila Rendella wisiało tam, gdy umierała. Na szczęście zwyciężył zdrowy rozsądek, a Gardner Museum wkrótce wystawi wersję Virgilla na sprzedaż, żeby podreperować swoje finanse.

Podchodzi do mnie Karen Sinsheimer.

– Claire, Claire, Claire – mówi. – Po prostu nie potrafisz trzymać się z dala od kłopotów!

– Chyba nie – jestem zachęcona jej uśmiechem, ale nadal dość niekomfortowo czuję się z powodu tego, co nas łączy. Podobnie jak w przypadku wielu innych osób, które widzę tu dziś wieczorem.

– Tak mi przykro, Claire. Chciałam osobiście ci powiedzieć, jak bardzo się pomyliłam, że nie potraktowałam tego, co mówiłaś o Isaacu, bardziej...

Potrząsam ręką.

– Nieważne. Cieszę się, że wszystko się wyjaśniło.

Bo wyjaśniło się. Po tym, jak Gardner Museum przyznało, że *Kąpiel II* było moją pracą, MoMA ponownie przeanalizowało 4D. Tym razem eksperci się nie pomylili.

Nagle podchodzi do mnie cała paczka z Jake'a. Wyglądają na znacznie bardziej podekscytowanych niż ja sama. I na pewno więcej wypili.

Mike zarzuca mi rękę na ramię.

– A ty myślałaś, że ten dzień nigdy nie nadjedzie.

– Widziałaś Crystal? – syczy Danielle. – Jest tu, ale ją ignorujemy.

Maureen unosi w górę kieliszek.

– Nareszcie to ty stawiasz mi drinki!

Mała obejmuje mnie w pasie i zaczyna płakać.

Kristi odciąga mnie na bok.

– Właśnie dostałam telefon od kuratora sztuki nowoczesnej z Whitney. Licytuje się z kolekcjonerem z Bangkoku, żeby kupić *Nighttime T* – prawie boksuje mnie w plecy.

Podchodzi Rik. Spędził tu ze mną całe popołudnie, pomagając mi w ostatnich przygotowaniach do otwarcia. Teraz chwyta mnie za rękę i patrzy głęboko w oczy. Potem mruga, żeby zatrzymać napływające mu łzy. Szybko biorę chusteczkę, żeby moje nie zepsuły mi makijażu.

– Kotku – tylko tyle daje radę z siebie wykrztusić.

Odkrycie *Po kąpeli* Degasa sprawiło, że wszyscy fani Belle totalnie zwariowali, a każdy uknuł swoją wersję tego, do czego mogło dojść między nią a Degasem. Najbardziej spierają się ci, którzy uważają, że Belle i Degasa połączył pełen pasji romans (wszystkie plotki na temat jej pozamałżeńskich podbojów wydają się to potwierdzać, choć brakuje ostatecznych dowodów), z tymi, którzy uważają, że nie tylko nigdy nie

zdradziła Jacka, ale także nigdy nie pozowałaby nikomu nago. Ci ostatni przypisują *Po kąpieli* wyobraźni Degasa. A nie ma wątpliwości, że miał jej pod dostatkiem. Jednak gdyby Belle nie miała romansu z Degasem albo gdyby nie pozowała mu nago, czy wówczas schowałaby ten obraz i wynajęła Virgila Rendella, żeby go sfalszował?

Bo okazuje się, że i tu miałam rację: Rendell faktycznie sfalszował obraz, ale nie dlatego, że go ukradł, ani nie dlatego, żeby szantażować Belle. Według Sandry to Belle nie chciała, by oryginał znalazł się w muzeum. Analizując płótno, które Aiden dostarczył FBI (to samo, które wcześniej przebywało w moim studiu) oraz portret Amelii należący do Sandry, eksperci potwierdzili, że obie prace zostały namalowane przez tego samego artystę.

Z Rendellem wiązała się jeszcze jedna tajemnica, która nie dawała mi spokoju: co jego dziennik i szkicownik robiły wśród pamiętek Prescottów i Stonehamów? Kiedy zapytałam o to Sandrę, ona zdradziła mi kolejny sekret rodzinny: Virgill Rendell był jej dziadkiem. On i Amelia mieli długotrwały romans. Fanny, matka Sandry, była ich dzieckiem. A Belle, której obawy dotyczące statusu społecznego zmusiły młodych kochanków do życia osobno, wpakowała Amelię w nieszczęśliwe małżeństwo.

Jest dziesiąta wieczorem, a impreza nadal się rozkręca. Więcej gości przychodzi niż wychodzi. Wszystko wydaje mi się takie surrealistyczne: transakcje, poświęcana mi uwaga, ludzie, których poznałam w różnych momentach mojego życia. Kimberly z Beverly Arms. Pani Santo, moja nauczycielka malarstwa. Shelley McRae, moja niania. Optometrysta z mojej dzielnicy. Nawet Helena, daleka kuzynka z Providence. Wszystko jest tak dziwaczne, że czasami mam wrażenie, że wcale mnie tu nie ma. Że jestem tylko maską, że uśmiecham się, zagaduję, ale moje prawdziwe ja jest gdzieś indziej. Że jest z tą prawdziwą Claire.

Kristi i Chantal zaciągają mnie w kąt.

– Whitney kupiło właśnie *Nighttime T* – krzyczy Kristi.

Whitney. Teraz wiem już na pewno, że nie jestem Claire, że przybrałam postać jakiejś innej artystki.

– To prawda – Chantal klaszcze w dłonie.



Kristi wskazuje na krzesło. Ja siadam, oszołomiona i oczarowana. Nie mogę w to uwierzyć. Dziewczyny patrzą na zegarek.

– Jutro niedziela. Rano pójdę do Markela i mu wszystko opowiem – mówi Kristi, potem patrzy na mnie przeprasząco. – Przepraszam. Nie powinnam o nim wspominać.

– W porządku – mówię, ale prawda jest taka, że wolałabym, żeby nikt nie przypominał mi teraz o Aidenie.

Jest nadal w więzieniu, bez możliwości wyjścia za kaucją. Czeka na proces, który przypuszczalnie zacznie się za jakieś sześć miesięcy. Może za rok. Nie widziałam go ani nie rozmawiałam z nim od czasu naszego ostatniego spotkania i mam zamiar się tego trzymać. Bez względu na moje uczucia do Aideny, całkowite odcięcie się od niego jest karą, którą jestem gotowa zapłacić.

FBI pozwoliło otworzyć galerię w zeszłym miesiącu. Ja zaakceptowałam propozycję Kristi, by zorganizować tu moją wystawę. Wahałam się, ale Rik przekonał mnie, że powinnam to zrobić. Że nie mogę pozwolić, aby bezpodstawne poczucie winy wpłynęło na moją karierę. Ale nie miał racji z tym bezpodstawnym poczuciem winy. Osoba, która zawiera faustowski pakt, nigdy nie jest całkowicie niewinna.

Znalezienie *Po kąpieli* ocaliło także palec Aideny. Został zwolniony za kaucją na wystarczająco długo, by zapłacić sprzedającym. Ale kiedy oddał obraz do FBI i okazało się, że faktycznie był on fałszerstwem Virgila Rendella, szybko ustalono, że to ten sam obraz, który został skradziony z Gardner Museum. Więc zwolnienie zostało cofnięte. Aiden to obecnie jedyny istniejący łącznik ze złodziejami. I chociaż ciągle powtarza, że nie ma pojęcia, kto obrabował muzeum, FBI żywi nadzieję, że długotrwały pobyt w więzieniu poprawi jego pamięć. Z tego, co o nim wiem, nie jest to aż tak nieprawdopodobne.

Kristi kładzie dłoń na moim ramieniu. Patrzę wokół: na ludzi, na czerwone kropki. Myślę o przyszłości, która nareszcie wygląda obiecująco. Ale tak naprawdę nie wiem, czy moja dobra passa spowodowana jest talentem czy sławą. I bez względu na to, co stanie się ze mną i z moimi

pracami, bez względu na to, jak dużo będę miała zamówień od jak wielkich muzeów, pewnie nigdy się tego nie dowiem.

# Podziękowania

W kategorii tych, bez których to wszystko nie byłoby w ogóle możliwe, na prowadzenie wybija się jedna osoba: Jan Brogan, moja droga przyjaciółka, współpracowniczka, moja największa fanka, a zarazem najzagorzalsza krytyczka. Zwykle „dziękuję” po prostu nie wystarczy. Tak samo jak nie wystarczą podziękowania dla pozostałych moich przyjaciółek-pisarek: Lindy Barnes i Hallie Ephron, ani dla mojej rodziny: Dana, Robina, Scotta i Bena. Wasza zachęta i wiara w moje siły prowadziły mnie przez wyboiste ścieżki.

Za profesjonalną ekspertyzę i za cierpliwość do moich pytań dziękuję Jamie Elizabeth Crockett, Jane Little Forman, Jamesowi Kennedy’emu, Edwinie Kluender, Kimberle Konover, Victorii Monroe, Robercie Paul, Robowi Sinsheimer i Carol Tovar. Dziękuję też moim czytelnikom: Danowi Fleishmanowi, Scottowi Fleishmanowi, Ronniemu Fuchsowi, Gary’emu Goshgarianowi, Vicki Konover, Sandrze Shapiro, Alice Stone i Robinowi Zimmernowi. Specjalne podziękowania dla mojej mądrej i bardzo wspierającej redaktorki, Amy Gash, i bardzo specjalne podziękowania dla mojej agentki Ann Collette, której nieustanny wysiłek i wiara w moją pracę sprawiły, że to wszystko udało się w końcu złożyć w całość.

# Informacja na temat stanu badań

Chociaż *Falszerka obrazów* została napisana w oparciu o bardzo szeroko zakrojoną analizę faktów i wywiady z malarzami, handlarzami i kuratorami, jest pracą fikcyjną. Wszystkie postaci, większość sytuacji i miejsc, które znalazły się we współczesnej części powieści pochodzą z mojej wyobraźni: nie ma Markel G, nie ma Jake'a, nie ma Beverly Arms, nie ma „Materiałów Plastycznych Al”, nie ma Reproductions.com, a artykuł z „Boston Globe”, który otwiera całą książkę, nigdy nie ukazał się w tej gazecie. Z drugiej strony istnieje Isabella Stewart Gardner Museum, chociaż bez dolnej piwnicy, jest MFA, MoMA, hotel Mandarin Oriental, South End i Newbury Street. Staralam się opisać te miejsca tak wiernie, jak to możliwe.

Technika, której używa Claire tak do wykonania swojego fałszerstwa, jak i do namalowania własnych prac, jest zbieżna z tym, jak pracują współcześni malarze i dobrze oddaje trudy i znoje młodych artystów. Fałszerze i handlarze, których odkryła, przeszukując internet, byli/są prawdziwi (włączając Johna Myatta, Ely Sakhaiia i Hana van Meegerena), a szczegóły ich przestępstw, metod, wynalazków i kar także się zgadzają się z rzeczywistością. Virgil Rendell to postać fikcyjna.

Szczegóły kradzieży w Gardner Museum z 1990 roku są prawdziwe – jest to największa nierozwiązana kradzież dzieł sztuki w historii – z tym wyjątkiem, że wśród ukradzionych prac nie było piątej wersji *Po kąpieli* Degasa. Obraz ten nigdy nie został ukradziony, nigdy też nie został namalowany, chociaż jego kompozycja opiera się na pozostałych czterech płótnach o tytule *Po kąpieli* pędzla Degasa. Trzy wspomniane rysunki artysty, *Wieczór artystyczny*, *La Sortie du Pesage* i *Cortège aux Environs de Florence* zostały skradzione i nadal ich nie odnaleziono.

Listy, które Belle Gardner pisała do swojej siostrzenicy Amelii są zlepkiem prawdy i fikcji. Belle przebywała w przywoływanych przeze mnie

miejscach, kupując obrazy do swojej kolekcji. Jej relacje z Johnem „Jackiem” Gardnerem, Johnem Sargentem, Henrym Jamesem, Jamesem Whistlerem i Bernardem Berensonem są oparte na faktach, ale wydarzenia, które opisuje: kolacje, wyścigi w Longchamps, podróże, choroby itd. już nie. Faktycznie spacerowała z dwoma lwiatkami po ulicach Bostonu, a do opery zakładała opaskę z napisem „oh you red sox”. Jej jedyne dziecko, Jackie, umarło w wieku lat dwóch, a ona wychowała trzy siostrzenice Jacka Gardnera po śmierci ich rodziców. Jedna z nich zmarła jako dziecko. Nigdy nie było wśród nich Amelii. Nigdy nie było też Sandry Stoneham.

Ani Claire, ani ja nie dałyśmy rady odnaleźć żadnej wzmianki o tym, czy Isabella Stewart Gardner i Edgar Degas kiedykolwiek się spotkali, chociaż przebywali w tych samych kręgach, w tych samych miejscach i w tym samym czasie. Dlatego też wszystko, co dotyczy związku Belle i Degasa, jest tworem fantazji, tak samo jak wszystko, co wynikało z tego wymyślnego związku. Niemniej jednak opisy osobowości obojga oparte są na historycznych faktach i spekulacjach biografów. A skąd możemy wiedzieć, sto pięćdziesiąt lat później, co mogło, a co nie mogło tak naprawdę się wówczas wydarzyć?